

DRAMATY
IRLANDZKIE



DIALOG

NAJLEPSZE Z NAJLEPSZYCH

DRAMATY IRLANDZKIE

Instytut Książki
Kraków – Warszawa
2011



Spis treści

	PIERWIASTEK IRLANDZKOŚCI	7
William Butler Yeats	CATHLEEN, CÓRKA HOULIHANA (<i>Cathleen, the Daughter of Houlihan</i>) Przełożyli Zofia i Lucjan Porębscy	10
John Millington Synge	JEŹDŹCY DO MORZA (<i>Riders to the Sea</i>) Przełożyła Maria Monika Misińska	16
Sean O'Casey	KUKURYKU (<i>Cock A Doodle Dandy</i>) Przełożyła Cecylia Wojewoda	24
Brian Friel	TAŃCE W BALLYBEG (<i>Dancing at Lughnasa</i>) Przełożyła Małgorzata Semil	66
Martin McDonagh	KALEKA Z INISHMAAN (<i>Cripple of Inishmaan</i>) Przełożyła Małgorzata Semil	112
Martin McPherson	TAMA (<i>The Weir</i>) Przełożyła Klaudyna Rozhin	154
	SPIS SZTUK IRLANDZKICH DRUKOWANYCH W „DIALOGU”	186



PIERWIASTEK IRLANDZKOŚCI

„Pewnie Irlandia nie jest takim najgorszym krajem, jeśli Amerykanie tu przyjeżdżają, żeby robić filmy” – dowartościowuje się Bartley, bohater *Kaleki z Inishmaan* Martina McDonagha. W przekonaniu, że z Irlandią nie jest źle, utwierdza tego niezbyt rozgarniętego wiejskiego chłopca obecność Francuzów na wyspie, osiedlanie się na niej dentystów, łagodne, jak twierdzi, usposobienie mieszkańców, a nawet odwiedzające wybrzeża rekiny. Gdyby był lepiej wykształcony, mógłby do tej listy dodać gwałtowny rozwój dramaturgii irlandzkiej i zainteresowanie nią na całym świecie. Z dramaturgią irlandzką nie jest źle – można by powiedzieć, trawestując słowa bohatera sztuki – jeśli grają ją nawet na antypodach. I, nawet psiocząc, doceniają: znany australijski dramaturg Louis Nowra z okazji premiery kolejnego Irlandczyka na australijskim afiszu oznajmił, że dla niego sezon sztuk irlandzkich równa się kwintesencji piekła. Bo tyle w nich pesymizmu i ogólnego czarnowidztwa. Potem zresztą okazało się, że głównie chodzi mu o Becketta.

Od czasów Becketta sporo się zmieniło i kolejne zmiany w dramaturgii irlandzkiej zachodzą nieustannie. Pisz o nich szczegółowo – w „Dialogu” nr 5/2011, który ukazuje się równoległe z tym tomem – Michał Lachman. Nie zapomina jednak przy tym podkreślić – podpierając się słowami Franka McGuinnessa – że jakkolwiek zmieniałyby się wyspiarska dramaturgia, nigdy się nie da z niej zasadniczo „wyrugować pierwiastka irlandzkości”. I nikt zresztą nie próbuje. Wszystkie pokolenia irlandzkich dramaturgów czerpią z tego samego dziedzictwa kulturowego i literackiego. Przy wybujałych cechach indywidualnych zawsze dość wyraźnie widać, co pisarzy łączy.

Spróbujmy pokrótce scharakteryzować ów „pierwiastek irlandzkości”, jego powracające wątki i cechy. Lachman wymienia tu przede wszystkim bogactwo języka. Słowo, które „urasta do roli pierwszoplanowego bohatera”. Narracyjny styl. Także uwikłanie w pamięć (całe *Tańce w Ballybeg* dotyczą pamięci) i uwikłanie w mit – społeczny, narodowy (jak w *Cathleen, córce Houlihana*), bądź osobisty (jak w *Kalece z Inishmaan* czy w *Tamie*). Dodajmy do tego miejsce akcji, zazwyczaj na odludziu lub na zapadłej prowincji – jak we wszystkich niemal sztukach Friel, osadzonych w nieistniejącej wsi

Ballybeg, albo gdzieś w hrabstwie Galway u Synge'a, a później u McDonagha, czy wreszcie na wyspach Aran u McPhersona. I wymieńmy jeszcze osadzenie społeczne: fabuła często rozgrywa się w rodzinie i obejmuje toczone od pokoleń waśnie. Miejszem akcji równie często bywa miejscowy bar, gdzie płyną wolno długie nocne rozmowy. Bohaterowie marzą, pragną oderwać się od banału dnia powszedniego, by zacząć nowe życie – nieraz utożsamiane z emigracją. Przeważnie jednak nie są do tego zdolni wskutek prowincjonalnych kompleksów, więzów sentymentalnych, przywiązania do przeszłości.

Osadzenie w realiach wiejskich i zaangażowanie bohaterów w codzienną krzątaninę nie jest bynajmniej równoznaczne z konwencją realistyczną: duchy, zjawy, czary i inne elementy nadprzyrodzone pojawiają się, by służyć różnym celom – wzniosłym jak u Yeatsa, albo zabawie jak u O'Caseya. Temat zmagania się z losem – z biedą, przeciwnościami przyrody czy z wrogiem politycznym wraca często, a bohater pokonany nie przestaje być bohaterem. Rozpamiętywanie klęski ma tu swoją tradycję do pewnego stopnia dzięki mitowi Cuchulaina (udramatyzowanemu między innymi przez Yeatsa): ranny bohater przywiązał się do skały, by umrzeć na stojąco i śmiał się z kruka pijącego jego krew. Bólowi często towarzyszy humor. Liryka, czasem granicząca z sentymentalizmem, nierzadko sąsiaduje z brutalnością. Bliska wielu pisarzom jest tonacja heroikomiczna, satyra i groteska. Wzorem Synge'a i O'Caseya dramatopisarze w tej właśnie poetyce podejmują trudne tematy, takie jak religijna zapiekłość, fanatyzm, zabobon.

Do tego wszystkiego trzeba dodać jeszcze kwestię tożsamości. Niemal w każdej sztuce jej bohaterowie – a zatem i jej autorzy – czują się w obowiązku podkreślić przywiązanie do rodzinnego kraju. I to niezależnie od tego, jak mocno uwiera ich los i jak niespokojne myśli rodzą się w ich głowach. Irlandzkość nieodmiennie jest powodem do dumy, co najwyżej przełamywanej nutami melancholii. Czy postawy tej nie załamię obecna zapaść ekonomiczna i wyczuwalne w społeczeństwie przeświadczenie o klęsce? Na odpowiedź na to pytanie poczekamy parę lat. Wolno ryzykować przypuszczenie, że wrodzony irlandzki pesymizm, tak krytykowany przez Nowrę, albo też wstyd prowincjonalizmu, cechy, które w ostatnich latach zeszyły na nieco dalszy plan, ponownie dojdą do głosu. Co, mówiąc nieco cynicznie, dotąd nie wychodziło tej dramaturgii na złe.

Ale to sprawa irlandzkiej dramaturgii jutrzejszej. „Dialog” nr 5/2011 prezentuje irlandzką dramaturgię dzisiejszą – nowe sztuki Endy Walsha i cytowanego już Franka McGuinnessa wraz ze szkicami Michała Lachmana, Justyny Jaworskiej i Krzysztofa Puławskiego. A tom niniejszy – pierwszy z serii, której kolejne pozycje chcielibyśmy ofiarowywać czytelnikom raz w roku – sięga po dramaturgię wczorajszą. Obchodzący swoje pięćdziesięciopięcioletnie „Dialog” zawsze starał się być z irlandzką twórczością dla teatru na bieżąco. Można uznać za fakt symboliczny, że irlandzki dramatopisarz znalazł się już w pierwszym numerze pisma, w maju 1956. Był to Samuel Beckett ze swoim *Czekając na Godota*. Od tego czasu na naszych łamach prezentowało swoje sztuki ponad dwudziestu autorów, tak z Republiki Irlandii, jak z Irlandii Północnej. Ich pełną listę zamieszczamy na końcowych stronach tomu. Zamieszczamy tam również informację o zawartości dwóch numerów „Dialogu” (2/1977 oraz 4/1993), których znaczna część poświęcona była dramatowi i teatrowi irlandzkiemu.

Do publikacji opatrzonej tytułem-hasłem „Najlepsze z najlepszych” wybraliśmy dramaty trzech klasyków związanych z ruchem irlandzkiego odrodzenia narodowego z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku (William Butler Yeats, John Millington Synge, Sean O'Casey) oraz utwory autorstwa trzech pisarzy uchodzących za klasyków współczesnych (Brian Friel, Martin McDonagh, Conor McPherson). Zdało się nam, że trudno o lepszy dowód żywej ciągłości tradycji dramatopisarskiej i witalności „pierwiastka

irlandzkości” w dramacie. Oczywiście każdy wybór pozostawia po sobie żal, że nie znalazło się miejsce dla jeszcze paru tytułów, które zasługują na przypomnienie. Chociażby *Biedne zwierzę na deszczu*, *Porcja Coughlan*, *Przekłady* czy *Mojo Mickybo*.

Ponieważ po starych przekładach widać ich wiek, trzeba było dokonać niezbędnych prac redakcyjnych, by przygotować je do druku. Patyny tłumaczeń sprzed półwiecza nie zdzieraliśmy jednak na siłę. Przebija przez nią moc oryginałów. Kto wie zresztą, może ktoś, kogo zafrapują dawne teksty – a są frapujące bez wątpienia – zechce sprawdzić ich siłę sceniczną i zamówi nowe przekłady? Na pewno warto. Bardzo chcielibyśmy w tej serii, która pozwoli wydobywać z dawnych „Dialogów” różnie wybierane i pod rozmaitymi kątami zestawiane teksty, próbować przedłużać żywotność – tak sceniczną, jak lekturową – dzieł, które z całą pewnością nie były jednosezonowymi efemerydami. Które zawsze warto mieć w pamięci, choćby po to, żeby we właściwym kontekście, dysponując sensownymi punktami odniesienia, odbierać i oceniać bujnie rozkwitający twórczy ogród współczesności.

Redakcja „Dialogu”

William Butler Yeats

CATHLEEN, CÓRKA HOULIHANA

Przełożyli Zofia i Lucjan Porembscy

OSOBY:

PETER GILLANE

MICHAEL, jego syn, jutrzejszy nowożeniec

PATRICK, młodszy syn, lat dwanaście

BRIDGET, żona Petera

DELIA CAHEL, narzeczona Michaela

STARA, uboga kobieta

Sąsiedzi.

*Izba w wiejskiej chacie w pobliżu Killala, rok 1798. Bridget przy stole rozwija paku-
nek, Peter i Patrick siedzą po obu stronach stołu.*

PETER Co to za dźwięk?

PATRICK Nic nie słyszę, *(nasłuchuje)* Teraz słyszę! Jakby wiwaty. *(pochodzi do okna)*

Kto to się może tak cieszyć? Nie widać żywego ducha.

PETER Może grają w hurling?

PATRICK To musi być coś w mieście. Dziś nie ma żadnego meczu.

BRIDGET Na pewno chłopcy w coś grają. *(do Petera)* Chodź tu i zobacz ślubny strój Michaela.

PETER *(przysuwa się z krzesłem do stołu)* Naprawdę wspaniały.

BRIDGET Nie miałeś takiego, kiedyśmy się pobierali, nie miałeś nawet porządniejszego płaszcza.

PETER Co prawda, to prawda. Nie spodziewaliśmy się, że nasz syn będzie miał takie ubranie na swoje wesele i taki dom, żeby godnie wprowadzić do niego żonę.

PATRICK *(przy oknie)* Jakaś stara kobieta idzie drogą. Ale nie wiem jeszcze, czy do nas.

BRIDGET Na pewno jakaś sąsiadka chce obejrzeć strój Michaela. Nie wiesz, kto to?

PATRICK To jakaś obca, ale nie idzie tutaj. Skreśliła w stronę przejścia, które prowadzi do miejsca, gdzie Murteen z synami strzyże owce. *(zwracając się do matki)* Pamiętaj, co Winny ze Skrzyżowania Dróg mówiła wczoraj wieczorem o tej dziwnej kobiecie, co chodzi po kraju, jak ma być wojna albo jakieś nieszczęście?

BRIDGET Nie opowiadaj nam tu bzdur Winny, tylko idź, otwórz bratu. Słyszę jak nadchodzi.

PETER Mam nadzieję, że ma ze sobą posag Delii. Nie dałbym już rady, gdyby te targi miały się zacząć od nowa.

Patrick otwiera drzwi, wchodzi Michael

BRIDGET Co tak późno, Michaelu? Od dawna na ciebie czekamy.

MICHAEL Wstąpiłem do proboszcza, żeby przypomnieć mu o jutrzejszym ślubie.

BRIDGET No, i co powiedział?

MICHAEL Powiedział, że jesteśmy bardzo miłą parą i że bardzo się cieszy, że się żenię z Delią.

PETER Dostałeś posag, Michaelu?

MICHAEL Jest tutaj. *(kładzie torbę na stole, sam podchodzi do kominka)*

Bridget składa ubranie i zbliża się do Michaela.

PETER *(wyrzuca pieniądze z torby)* Tak, dobrze się o ciebie targowałem, Michale. Stary John Cahel niechętnie się z tym rozstawał. „Pozwól mi zatrzymać połowę, póki się pierwszy chłopak nie urodzi” – powiada. „Nic z tego” – mówię. „Czy chłopak będzie, czy nie będzie, Michael musi mieć całe sto funtów w rękę, zanim wprowadzi swoją córkę do domu”. Wreszcie żona z nim pogadała i ustąpił.

BRIDGET Lubisz liczyć pieniądze, prawda?

PETER A żebyś wiedziała, że lubię. Mnie się nie trafiło wziąć za żonę już nie mówię stu, ale nawet dwudziestu funtów.

BRIDGET Cóż, może nie wniosłam wiele do małżeństwa, ale też i nie więcej dostałam. Cóżeś ty miał w dniu naszego ślubu? Stadko kur, które sam hodowałeś i parę nędznych jagniąt. *(w zdenerwowaniu stawia głośno dzban)* Nie dałam ci posagu, ale odrobiłam to uczciwie, kiedyś odkładała naszego pierworodnego na wiązkę siana, żeby móc kopać kartofle. I nigdy nie upominałam się o piękne suknie, tylko ciężko pracowałam.

PETER *(kłępiąc ją po ramieniu)* No, dobrze już, masz rację.

BRIDGET Daj mi spokój, muszę przygotować dom dla panny młodej.

PETER Jesteś najlepszą kobietą w Irlandii, ale pieniądze są też dobre. *(zaczyna je znowu liczyć)* Nigdy nie przypuszczałem, że zobaczę tyle pieniędzy w tym domu. Wiele rzeczy można będzie teraz zrobić. Będziemy mogli wydzierżawić te dziesięć akrów, które zostały po śmierci Jamsie Dampseya. Trzeba będzie pojechać na jarmark do Ballina po bydło, by je tam wypasać. Czy Delia chce coś z tych pieniędzy dla siebie?

MICHAEL Nie, wcale się nimi nie interesowała, nawet nie spojrzała.

BRIDGET Nic dziwnego. Po co miała na nie patrzeć, kiedy ma ciebie, dorodnego chłopaka? Musi być z ciebie dumna. Dobry, spokojny chłopak, który potrafi dobrze wykorzystać te pieniądze, nie przepije ich ani nie przehula.

PETER MICHAEL jest taki sam. Też mu pieniądze nie w głowie, tylko by patrzył za dziewczyną.

MICHAEL Zobaczycie, sami będziecie radzi, że macie w domu miłą spokojną dziewczynę. Majątek nie starczy na długo, ale kobieta pozostanie tu na zawsze.

PATRICK *(przy oknie)* Ciągłe tam coś słychać z miasta. Może to wyładowują konie z Enniscrone? Zawsze jak poją konie, to jest taki zgiełk.

MICHAEL Nie ma żadnych koni. Gdzie by je mieli, przepędzać, kiedy żaden jarmark się nie szykuje. Pobiegnij do miasta, Patricku, zobacz, co się tam dzieje.

PATRICK *(w drzwiach)* Jak myślisz, czy Delia pamięta o tym szarym szczeniaku, którego mi obiecała?

MICHAEL Na pewno pamięta.

Patrick wybiega zostawiając drzwi otwarte.

PETER No, teraz kolej na Patricka rozejrzeć się za posagiem, jemu będzie już trudniej, bo nie będzie miał zagrody.

BRIDGET Tak sobie często myślę, że teraz, jak się nam tak poprawiło, bo to i z Cahelami wszyscy się liczą w powiecie, i rodzony wuj Delii jest proboszczem, może uda nam się Patricka wyksztalić na księdza. On taki chętny do książek.

MICHAEL Jest jeszcze dużo czasu. Ciągłe musisz coś planować, Bridget.

BRIDGET Możemy postać go do szkół, a potem pomóc tak, żeby nie włączył się po kraju, szukając roboty.

MICHAEL (*przy oknie*) Jeszcze krzyczą. (*wygląda*)

BRIDGET Czy widać coś?

MICHAEL Jakaś stara kobieta idzie ścieżką.

BRIDGET Ciekawe, kto to może być? To chyba ta sama dziwna kobieta, którą Patrick widział niedawno.

MICHAEL Nie mogę poznać, czy to któraś z sąsiadek, bo zasłoniła twarz połą płaszczą.

BRIDGET Pewno jakaś biedaczka, która posłyszła o weselu i przyszła po wsparcie.

PETER Lepiej schowaj pieniądze. Po co kłuć nimi w oczy obcych. (*chowa pieniądze do skrzyni*)

MICHAEL Już się zbliża, ojczy!

Tuż za oknem przechodzi Stara Kobieta, patrząc uważnie w twarz Michaelowi

MICHAEL Wolałbym nie wpuszczać nikogo obcego do domu na dzień przed weselem.

BRIDGET Otwórz drzwi, Michale, nie każ jej czekać.

Wchodzi Stara Kobieta, Michael usuwa się na bok, aby ją przepuścić.

STARA Niech Bóg ma was wszystkich w opiece.

BRIDGET I tobą niech się opiekuje.

STARA Piękny macie dom.

PETER Mile cię witamy.

BRIDGET Siądź tu przy ogniu i odpocznij.

STARA (*grzejąc dłonie*) Mocno dziś wieje.

PETER Daleką miałaś drogę?

STARA Daleką, bardzo, daleką. Niewielu wędrowało tak długo jak ja, a wielu było takich, co mnie niechętnie przyjmowali. Jeden miał silnych synów, myślałam, że są mi życzliwi, ale zajęci byli strzyżeniem owiec i nie chcieli mnie słuchać.

PETER Bieda, jak człowiek nie ma własnego kąta.

STARA Och, prawdę mówisz, a ja już tak długo jestem w drodze.

BRIDGET Że też cię nie męczy takie wędrowanie.

STARA Czasem bołą mnie nogi, ręce opadają, ale nie ma spokoju w moim sercu. Kiedy ludzie widzą mnie spokojną, myślą, że to starość i że cały żar się we mnie wypalił.

Ale kiedy zbliża się nieszczęście, muszę pomówić z przyjaciółmi.

BRIDGET Co cię wyгнаło na te wędrowniki?

STARA Za wielu obcych w domu.

BRIDGET Widać po tobie, że masz wiele trosk.

STARA O, bardzo wiele.

BRIDGET A co cię tak gnębi?

STARA To, że zabrano mi ziemię.

PETER Dużo jej było?

STARA Cztery piękne zielone pola.

PETER (*na stronie do żony*) Może to jest wdowa Casey, którą niedawno wywłaszczono?

BRIDGET Nie. Widziałam raz wdowę Casey na rynku w Ballina. Jest przysadzista i jeszcze młoda.

PETER (*do Starej*) Słyszałaś może te wiwaty, jak szłaś tu do nas na wzgórze?

STARA Zdarzało mi się już taką wrzawę słyszeć, kiedy odwiedzali mnie moi przyjaciele.

(*zaczyna nucić pod nosem*)

Będę z tobą płakać, kobieto,

Bo złotowłosa Donough nie żyje,

Białą chustę zarzucili mu na głowę,

Konopny sznur dla ozdoby na szyję.

MICHAEL (*podchodząc bliżej*) Co wy śpiewacie, pani?

STARA Śpiewam o człowieku, którego kiedyś znałam, o złotowłosym Donoughu, powieszonym w Galway. (*śpiewa głośniej*)

Przychodzę z tobą płakać, kobieto,
 Włosy mam potargane;
 Pamiętam, jak orał swoje pole,
 Odrzucając rudą skibę ziemi,
 I jak budował stodołę na wzgórzu
 Z dobrej kredowej skały;
 Ach, obalilibyśmy szubienicę
 Gdyby to było w Enniscrone!

MICHAEL Dlaczego go powiesili?

STARA Umarł z miłości do mnie; wielu mężczyzn umarło z miłości do mnie.

PETER (*do żony*) Nieszczęście pomieszało jej w głowie.

MICHAEL Czy dawno tę pieśń ułożono? Czy długo nie żyje?

STARA Niedawno, niedawno. Ale byli inni, co umarli z miłości do mnie bardzo dawnymi laty.

MICHAEL Czy to byli wasi sąsiedzi, pani?

STARA Chodź tu bliżej, opowiem ci o nich.

Michael siada koło niej

STARA Był pewien rudy z O'Donellów, tych z północy, i jeden z O'Sullivanów z południa i pewien Brian, co stracił życie pod Clontarf* i jeszcze bardzo wielu na zachodzie, jedni z nich umarli przed setkami lat, a inni umrą jutro.

MICHAEL Czy to ci z zachodu mają umrzeć jutro?

STARA Przysuń się bliżej do mnie, jeszcze bliżej.

BRIDGET Czy ona mówi do rzeczy? A może to zjawą z tamtego świata?

PETER Sama nie wie, co mówi, po tym wszystkim, co przeszła.

BRIDGET Biedaczka, musimy się nią zająć.

PETER Daj jej kubek mleka i kawałek owsianego placka.

BRIDGET Może damy jej jeszcze coś na drogę? Parę pensów, albo nawet szylinga, mamy przecież tyle pieniędzy.

PETER Nie ociagałbym się, gdyby te pieniądze miały tylko leżeć w skrzyni, ale jak tak zaczniemy gospodarować, to i stu funtów nie starczy.

BRIDGET Wstydzilibyś się, Peter. Daj jej szylinga i swoje błogosławieństwo, bo inaczej szczęście się od nas odwróci.

Peter wyjmuje ze skrzyni szylinga

BRIDGET Napijcie się mleka, pani?

STARA Nie trzeba mi picia ani jedzenia.

PETER (*podając monetę*) Tu jest coś dla was.

STARA To nie to, czego pragnę. Nie srebra mi potrzeba.

PETER A czegoż wy chcecie?

STARA Ten kto chce mi pomóc, musi mi oddać samego siebie. Musi mi oddać się cały.

Peter odchodzi na bok, patrzy z niedowierzaniem na monetę i zaczyna szeptać z żoną.

MICHAEL Czy nie ma nikogo, kto by zadbał o was na starość, pani?

STARA Nie ma. Tylu kochanków niosło mi swą miłość, a żadnemu nie posłałam łoża.

MICHAEL I tak samotnie wędrujesz?

STARA Mam swoje myśli i swoje nadzieje.

MICHAEL Jakaż to nadzieja cię wspiera?

STARA Nadzieja, że odzyskam moje piękne pola. Nadzieja, że wygonię obcych z mego domu.

MICHAEL Jak ty to zrobisz, pani?

STARA Mam dobrych przyjaciół, którzy mi pomogą. Zbierają się właśnie, aby mi pomóc. Nie lękam się. Jeśli dzisiaj upadną, jutro powstaną silniejsi. (*wstaje*) Muszę iść na spotkanie moich przyjaciół. Przybywają, aby mi pomóc, muszę ich powitać. Muszę zwołać sąsiadów, aby ich powitali.

*Bitwa z 1014 roku, w której poległ Brian Boru. Yeats czyni tu aluzję do różnych walk niepodległościowych. (Przyp. tłum.)

MICHAEL Pójdę z tobą.

BRIDGET To nie jej przyjaciół masz witać, Michale, tylko dziewczynę, która będzie twoją żoną. Jest mnóstwo do roboty. Trzeba się zatroszczyć o jadło i napitek. Kobieta, która tu wejdzie, nie przychodzi z pustymi rękami i nie możesz jej przyjąć w pustym domu. (*do Starej*) Wy może nie wiecie, pani, że mój syn się jutro żeni.

STARA Nie od nowożeńca wyglądam pomocy.

PETER (*do żony*) Jak myślisz, kim ona w ogóle jest?

BRIDGET Nie powiedzieliście nam jeszcze swego imienia, pani?

STARA Jedni nazywają mnie Biedną Starą Kobieta, a inni Cathleen, córką Houlihana.

PETER Już kiedyś słyszałem to imię? Ale kiedy? Chyba w dzieciństwie. Nie, nie, już pamiętam, słyszałem je w pieśni.

STARA (*stojąc w drzwiach*) Dziwią się, że układano dla mnie pieśni. Jest ich wiele. Dziś rano jedną przypomniał mi wiatr. (*śpiewa*)

Nie płaczcie tyle

Nad grobami, które wykopiemy jutro.

Nie zwołujcie jeźdźców w białych stułach

Na jutrzejszy pogrzeb.

Nie szykujcie jedzenia dla obcych,

Którzy przyjdą na jutrzejsze stypy;

Nie dawajcie groszy na modlitwę

Za umarłych, którzy umrą jutro...

wcale jej nie będą potrzebować,

im nie będzie potrzeba modlitwy.

MICHAEL Nie wiem, co ta pieśń znaczy, ale powiedz, co mógłbym dla ciebie zrobić?

PETER Chodź tu do mnie, Michale.

MICHAEL Cii, ojcze, pozwól jej mówić.

STARA Ciężką podejmują służbę ci, co pragną mi pomóc. Wielu z tych, co są dziś rumiani, blade będzie mieć lica; wielu, co swobodnie biega po wzgórzach i mokradłach, będzie deptać bruki w obcych krajach; wiele planów obróci się wniwecz, wielu, co składało pieniądze, nie zdąży ich wydać; wiele urodzi się dzieci, którym zabraknie ojca, aby dał im imię. Wielu z tych, co są dziś rumiani, blade będzie mieć lica dla mojej sprawy, a przecież uważają, że dobrze ich wynagrodzono. (*wychodzi, słysząc jej dobiegający z zewnątrz głos*)

Oni zawsze będą w naszej pamięci,

Oni zawsze będą dla nas żyli,

Oni zawsze będą do nas mówić,

Ludzie zawsze będą ich słuchać.

BRIDGET (*do Petera*) Spójrz na niego, wygląda, jakby miał widzenie. (*podnosząc głos*)

Michale, spójrz na ślubny strój. Jaki piękny. Powinieneś przymierzyć, bo może trzeba coś poprawić na jutro. Chłopcy by się z ciebie śmiali, gdyby źle leżało. Idź do izby i przymierz. (*podaje mu ubranie*)

MICHAEL O jakim weselu mówisz? Co to za ubranie?

BRIDGET Ubranie, które włożysz jutro na swój ślub z Delią Cahel.

MICHAEL Zapomniałem o tym. (*bierze ubranie i idzie do izby, ale zatrzymują go okrzyki z zewnątrz*)

PETER Teraz już krzyczą tuż przed naszym domem. Co to się stało?

Wbiega gromada sąsiadów, za nimi Patrick i Delia.

PATRICK Okręty w zatoce! Francuzi lądują w Killala!

Peter wyjmuje fajkę z ust, zdejmuje czapkę z głowy i wstaje. Ślubny strój ześlizguje się z ramienia Michaela.

DELIA Michael! (*on nie słyszy*) Michael! (*zwraca się do niego*) Dlaczego patrzysz na mnie jak obcy? (*chwytą go za ramię; Bridget podbiega*)

PATRICK Wszystkie chłopaki lecą przyłączać się do Francuzów.

DELIA MICHAEL nie przyłączy się do Francuzów.

BRIDGET (*do Petera*) Powiedz mu, żeby nie szedł.

PETER To na nic. On nie słyszy ani słowa z tego, co mówimy.

BRIDGET Spróbuj, przekonaj go.

DELIA Michale, Michale! Ty nie możesz mnie opuścić! Nie idź do Francuzów, przecież jutro nasz ślub. (*obejmuje go ramionami*

Michael przytomnieje, mięknie, za oknem śpiew Starej Kobiety

STARA Oni zawsze będą do nas mówić,

Ludzie zawsze będą ich słuchać.

Michael wyrывa się Delii, na chwilę zatrzymuje się w drzwiach i wybiega wabiony pieśnią Starej Kobiety. Bridget obejmuje Delię, która płacze cicho w jej ramionach.

PETER (*kładąc dłoń na ramieniu Patricka*) Czy widziałeś Starą Kobietę, która przechodziła ścieżką?

PATRICK Nie, widziałem tylko młodą dziewczynę, która szła jak królowa.

Kurtyna

WILLIAM BUTLER YEATS

(ur. w Sandymount w 1865 – zm. w Roquebrune-Cap-Martin w 1939)

Niekwestionowany ojciec irlandzkiego teatru, założyciel – wraz z Lady Gregory (Isabellą Augustą z domu Persse) i Edwardem Martynem – Abbey Theatre (wówczas pod nazwą Irish Literary Theatre – Irlandzki Teatr Literacki), instytucji mającej największy wpływ na rozwój irlandzkiego dramatu. Laureat Nagrody Nobla (1923), współzałożyciel, wraz z George'em Bernardem Shawem, Irlandzkiej Akademii Literackiej.

Yeats był artystą wszechstronnie uzdolnionym – był nie tylko dramaturgiem i poetą, lecz także praktykiem teatru, zafascynowanym wielkimi awangardami przełomu wieków, między innymi koncepcjami Edwarda Gordona Craiga, a przede wszystkim nurtem symbolistycznym w europejskim teatrze. To inspiracja twórczością Augusta de Villiers de L'Isle-Adama oraz Maurice'a Maeterlincka była jednym z podstawowych fundamentów poetyki jego tekstów teatralnych, zwłaszcza sprzed końca dziewiętnastego wieku (w twórczości poetyckiej ważną rolę, w szczególności przy tworzeniu własnej koncepcji symbolu, odegrali Verlaine i Mallarmé). Nieco późniejszym źródłem inspiracji stała się Japonia i jej tradycja teatralna, która w dramatach Yeatsa uwidoczniła się przede wszystkim w ich strukturze, będącej luźnym nawiązaniem do wczesnych koncepcji rytuału.

Niemniej, mimo wpływów kultury spoza Irlandii, to właśnie rodzima tradycja, nasycone fantastyką stare irlandzkie legendy i podania odcisnęły największe piętno na twórczości Yeatsa – zarówno na wcześniejszej (choćby *Cathleen, córka Houlihana* z 1902), jak i późniejszej (cykl o Cuchulainie, zwłaszcza *Śmierć Cuchulaina* z 1945). Niemalży wpływ na „narodowy” aspekt tych dramatów miała znajomość Yeatsa z Lady Gregory, dramaturgiem, znawczynią folkloru, popularyzatorką inspirowanego irlandzką gwarą dialektu kiltartan.

Dramat *Cathleen, córka Houlihana* został opublikowany w „Dialogu” nr 11/1957. Polską prapremierę przygotował w 1979 roku Teatr Telewizji w reżyserii Andrzeja Maja.

John Millington Synge

JEŹDŹCY DO MORZA

Przełożyła Maja Monika Misińska

OSOBY:

MAURYA, stara kobieta
BARTLEY, jej syn
CATHLEEN, jej córka
NORA, jej młodsza córka
Mężczyźni i Kobiety.

Wysepka w pobliżu zachodnich brzegów Irlandii. Kuchnia w chacie rybackiej z sieciami, nieprzemakalnymi płaszczami, kołowrotkiem, kilkoma świeżymi deskami, stojącymi przy ścianie, etc. Cathleen, dziewczyna około lat dwudziestu, kończy właśnie zagniatą ciasto i kładzie je na blachę przy ogniu, po czym wyciera ręce i zaczyna prząść na kołowrotku. Mała Nora wścibia głowę przez drzwi.

NORA (*ściszym głosem*) Gdzie jest?

CATHLEEN W tej chwili odpoczywa. Oby Bóg miał ją w swej opiece; może nawet śpi, jeśli w ogóle zdołała zasnąć.

Nora wchodzi cicho, wyciąga zawiniątko spod szala.

CATHLEEN (*przedzie szybko*) Cóż tam masz?

NORA Przed chwilą właśnie przyniósł te rzeczy młody ksiądz. Koszula i jedna gruba pończocha; wszystko, co znaleziono przy topielcu, który wypłynął w Donegal.

Cathleen zatrzymuje kołowrotek gwałtownym ruchem i pochyla się nadsluchując.

NORA Musimy sprawdzić, czy to rzeczy Michaela. Zresztą i ona sama pójdzie z pewnością nad morze i będzie go wyglądać.

CATHLEEN To nie mogą być rzeczy Michaela, Noro? Skądby się mogły wziąć tak daleko na północy?

NORA Młody ksiądz mówi, że zna już takie wypadki. „Jeśli prawda, że to rzeczy Michaela – rzekł – możesz jej powiedzieć, że z Bożą pomocą uczciwy mu sprawię pogrzeb; a jeśli to nie są jego rzeczy, niech już nikt o nich jej nie mówi, bo sama umrze – powiedział – w płaczu i lamencie”. (*drzwi, które Nora przyknęła, otwierają się szeroko od podmuchu wiatru*)

CATHLEEN (*patrząc niespokojnie w stronę drzwi*) Czy prosiłaś go, żeby zatrzymał dziś Bartleya i nie puścił go z końmi na jarmark do Galway?

NORA „Nie chcę go zatrzymywać – powiedział – ale ty nie potrzebujesz się lękać. A jeśli o nią chodzi, to przecież odmawia pacierze aż do północy; Bóg Wszechmocny nie porzuci jej, samotnej – powiedział – zabierając jej wszystkich synów.”

CATHLEEN Noro, czy morze przy białych skałach jest wzburzone?

NORA Tak. Niech Bóg ma nas w swej opiece. Na zachodzie strasznie huczy a będzie jeszcze gorzej, gdy przyływ odwróci się z wiatrem. (*zbliża się do stołu z zawiniątkiem*) Czy mam to teraz rozwinąć?

CATHLEEN ...może się jeszcze zbudzić i przyjść tu, zanim zdążymy coś zrobić. (*zbliżając się do stołu*) To może długo potrwać i obie będziemy płakały.

NORA (*zbliża się do wewnętrznych drzwi i nastuchuje*) Rusza się na łóżku. Z pewnością zaraz przyjdzie.

CATHLEEN Przysuń mi drabinę, złożę te rzeczy na stryszku z torfem, aby ich nie zobaczyła. Gdy zacznie się przyływ, może sama wyjdzie na brzeg, aby zobaczyć, czy od wschodu nie niesie fala. (*Cathleen stawia drabinę przy okapie komina i wdrapuje się na kilka szczebli, chowa zawiniątko na strzyku z torfem; Maurya wchodzi z drugiego pokoju*)

MAURYA (*patrząc w górę na Cathleen mówi kłopotliwym tonem*) Czy nie dosyć torfu, na teraz i na wieczór?

CATHLEEN Teraz piecze się chleb na ogniu, (*zrzucając torf*) Bartley weźmie go, jeśli popłynie do Connemary.

Nora obkłada torfem blachę do pieczenia.

MAURYA (*siadając na stolku przy ogniu*) Nie popłynie dziś, przy wietrze, który wieje od południa i zachodu. Nie płynie, bo ksiądz z pewnością go zatrzyma.

NORA Nie zatrzyma go, matko; słyszałam jak Eamon Simon i Stephen Pheety i Colum Shawn mówili, że popłynie.

MAURYA Gdzież on jest?

NORA Poszedł zobaczyć, czy w tym tygodniu jeszcze jakaś łódź tam płynie. Chyba niebawem tu przyjdzie, bo odpływ kończy się przy zielonym przylądku i łódź przyplynie ze wschodu.

CATHLEEN Słyszę jak ktoś idzie po kamieniskach.

NORA (*patrząc przez okno*) Już nadchodzi i bardzo się śpieszy.

BARTLEY (*wchodzi i rozgląda się po izbie; mówi smutno i spokojnie*) Gdzie jest ten kawałek nowego sznura, Cathleen, kupionego w Connemara?

CATHLEEN (*schodząc na dół*) Noro, podaj mu go; jest na gwoździu, przy białych deskach. Zawiesiłam go tam dziś rano, bo świnia, ta z czarnymi racicami, zaczęła go żreć.

NORA (*podając mu sznur*) To wszystko?

MAURYA Lepiej byś, Bartleyu, zostawił sznur, niech wisi tu, przy deskach. (*Bartley bierze sznur*) Mówię ci, przyda się, jeśli morze wyrzuci Michaela jutro rano lub pojutrze. Da Bóg wykopie mu głęboki grób.

BARTLEY (*zaczynając majstrować przy sznurze*) Nie mam uzdy, aby się wybrać naszą kobyłą, a muszę już jechać. Jest tylko jedna łódź, która wyrusza na dwa tygodnie, może i na dłużej; a na tym targu będzie dużo koni. Słyszałem, jak o tym rozmawiali na brzegu.

- MAURYA Tam na dole będą złorzeczyli, gdy woda wyrzuci ciało. A tu nie ma człowieka, który by zrobił trumnę; niemało też musiałam zapłacić za te białe deski, najlepsze, jakie można było znaleźć w Connemara. (*odwraca się przypatrując się deskom*)
- BARTLEY Jakże je może wyrzucić, gdy od dziewięciu dni pilnujemy co dzień morskiego brzegu, a silny wiatr dmie to od zachodu, to od południa?
- MAURYA Gdyby się nawet nie odnalazło, to wiatr spiętrza fale i gwiazda, co świeci wysoko na wprost księżycy idzie w górę. Gdyby tam była setka koni lub nawet tysiąc, wszystkie, jakie chcesz, to cóż mi po nich wobec syna, gdyś tylko jeden mi pozostał?
- BARTLEY (*majstrując coś przy postronku mówi do Cathleen*) Pilnuj, by owce nie wchodziły w żyto; a gdy przyjdzie handlarz, sprzedaj świnię, tę z czarnymi racicami, jeśli tylko da dobrą cenę.
- MAURYA Jak ktoś taki może wytargować dobrą cenę?
- BARTLEY (*do Cathleen*) Jeśli zachodni wiatr się utrzyma aż do końca nocy, nazbieraj z Norą więcej wodorostów. Ciężko będzie sobie poradzić, gdy zostałem sam do roboty.
- MAURYA Naprawdę ciężko to będzie, kiedy i ty utoniesz, jak inni. Jakże będziemy żyć? Dwie dziewczyny i staruszka nad grobem?
- BARTLEY (*kładzie postronek, zdejmuje stary płaszcz i wkłada nowy z takiego samego materiału; do Nory*) Czy łódź zbliża się już do przystani?
- NORA (*patrząc przez okno*) Mija właśnie zielony przylądek i ściąga żagle.
- BARTLEY (*wyciąga woreczek i tytoń*) Mam jeszcze pół godziny; zobaczycie mnie znów za dwa lub trzy dni, a nawet za cztery, jeżeli wiatr nie będzie nam sprzyjał.
- MAURYA (*odwraca się do ognia i okrywa głowę szalem*) Czy ten człowiek nie jest twardy i okrutny, kiedy nie chce słuchać słów starej matki, która go nie chce puścić na morze?
- CATHLEEN Takie jest już życie młodego człowieka, że wypływa na morze. Któż by tam słuchał starej kobiety, kiedy powtarza w kółko jedno i to samo?
- BARTLEY (*biorąc postronek*) Muszę się już śpieszyć. Pojadę wzdłuż brzegu na kasztanecce a siwek pójdzie za mną... Niech Bóg was błogosławi. (*wychodzi*)
- MAURYA (*placze, gdy Michael staje w drzwiach*) Poszedł już. Boże, miej nas w swej opiece, bo więcej nigdy go nie zobaczymy. Poszedł już, a gdy zapadnie czarna noc, nie będę miała żadnego syna.
- CATHLEEN Dlaczego nie chciałaś dać mu swego błogosławieństwa, gdy stał w drzwiach i oglądał się? Czyż nie wystarczy już nieszczęść w tym domu?
Maurya chwytając szczyptę i bezmyślnie grzebie nimi w ogniu, nie oglądając się za siebie.
- NORA (*do matki*) Odsunęłaś torf od blachy.
- CATHLEEN Jezu Panie, przebacz nam! Noro, zapomniałyśmy dać mu chleba. (*zbliża się do ognia*)
- NORA Zabraknie mu sił, gdy będzie szedł do późnej nocy, a przecież nic nie jadł odkąd wstało słońce.
- CATHLEEN (*wyciągając chleb z pieca*) Ano, zbraknie mu sił z pewnością. Nikt tu nie ma ani krzty rozsądku w tym domu, gdzie stara kobieta wiecznie tylko gada i gada.
Maurya chwytając się opada na stołek.
- CATHLEEN (*odkrawając kawałek chleba i zawijając go w płótno; do Mauryi*) Idźże do źródła i daj mu to; potem niech sobie idzie. Zobacysz go, odwrócisz złe słowa i będziesz mogła mu powiedzieć „Niech cię Bóg prowadzi”. A jemu będzie lżej na duszy.
- MAURYA (*biorąc chleb*) Czy tylko dojdę tam na czas?
- CATHLEEN Jeśli się pośpieszysz...
- MAURYA (*wstając niepewnie*) Ciężko będzie.
- CATHLEEN (*patrząc na nią niespokojnie*) Noro, dajże jej kij, może się jeszcze pośliznąć na głazach.

NORA Co za kij?

CATHLEEN Ten, który Michael przywiózł z Connemara.

MAURYA (*biorąc kij, który podaje jej Nora*) Na całym świecie starzy ludzie zostawiają po sobie rzeczy swoim synom i dzieciom; tyłko tu młodzi zostawiają rzeczy starym. (*wychodzi powoli; Nora zbliża się do drabiny*)

CATHLEEN Czekaj, Noro, może jeszcze wróci. Jest taka zbolała, niech Bóg ją ma w swej opiece, że nigdy nie wiadomo, co zrobi.

NORA Czy minęła krzaki?

CATHLEEN (*patrząc przez okno*) Już jej nie widać. Zdejm prędko rzeczy; Bóg raczy wiedzieć, kiedy wróci.

NORA (*wyciągając zawiniątko ze stryżka*) Młody ksiądz powiedział, że gdy jutro będzie na wyspie, możemy wyjść i pomówić z nim na drodze, jeśli tylko są to rzeczywiście rzeczy Michaela.

CATHLEEN (*biorąc zawiniątko*) Czy mówił ci, w jaki sposób je znaleźniono?

NORA (*schodząc na dół*) „Dwóch ludzi – powiedział mi – płynęło z whisky wzdłuż wybrzeża przed pierwszym kurem i wiosło jednego trafiło na ciało, kiedy mijali czarne skały na północy.”

CATHLEEN (*próbując otworzyć zawiniątko*) Podaj mi nóż, Noro; słona woda przeżarła sznur, a tego czarnego węzła w ogóle nie da się rozwiązać.

NORA (*podając jej nóż*) Słyszałam, jak mówiono, że do Donegal jest daleko.

CATHLEEN (*przecinając sznur*) O tak, z pewnością. Przed chwilą był tu jeden człowiek – ten, co sprzedał nam nóż – i powiedział, że jeśli wyjdzie się pieszo, to od tych tam skał dojdzie się do Donegalu za siedem dni.

NORA A ile czasu może człowieka nieść stamtąd?

Cathleen otwiera zawiniątko i wyjmuje kawałek koszuli i pończochę. Obie z przejęciem oglądają rzeczy.

CATHLEEN (*ściszonym głosem*) Oby Bóg miał nas w swej opiece, Noro. Jak to dziwnie ciężko powiedzieć, czy to rzeczywiście są jego rzeczy?

NORA Zdejmę jego koszulę z wieszaka i je porównam. (*przeogląda odzienie wiszące w kącie*) Nie, to nie ta. Cathleen, gdzież ona być może?

CATHLEEN Zdaje mi się, że Bartley wziął ją dziś rano, bo jego koszula była aż ciężka od soli. (*wskazując kąt*) O, tu, kawałek rękawa z podobnego materiału. Podaj mi; zdaje się, że to wystarczy.

Nora podaje jej koszulę i obie porównują materiał.

CATHLEEN Tak, to ten sam materiał, Noro, ale jeśli nawet tak, to przecież tyle tego można znaleźć w sklepach w Galway. Inni też mogli mieć takie koszule.

NORA (*bierze pończochę i liczy w niej ściegi, z płaczem*) Tak, to pończocha Michaela, Cathleen, to jego pończocha. Niech Bóg ma go w swojej opiece, ale co ona na to powie, gdy usłyszysz o tym wszystkim, a Bartley będzie na morzu?

CATHLEEN (*biorąc pończochę*) Całkiem zwyczajna.

NORA To druga pończocha z trzeciej pary, którą zrobiłam mu na drutach i dodałam trzy razy po dwadzieścia oczek, a cztery z tego opuściłam.

CATHLEEN (*liczy oczka*) Tak, tyle jest tutaj oczek. (*placze*) Ach, Noro, czyż to nie okropne, gdy się pomyśli, że zaniósło go aż na północ i nie ma przy nim nikogo bliskiego, chyba te czarne kormorany nad morzem?

NORA (*obraca się i kładzie ręce na ubraniach*) I czy to nie żałosne, że po tym człowieku, wielkim wioślارzu i rybaku został tylko kawałek koszuli i jedna pończocha?

CATHLEEN (*po chwili*) Słuchaj, Noro, czy ona już nie nadchodzi? Słyszę jakiś szmer na ścieżce.

NORA (*patrząc przez okno*) Tak, Cathleen, idzie. Zbliża się właśnie do drzwi.

CATHLEEN Schowaj te rzeczy zanim wejdzie. Może teraz będzie jej lżej, po tym błogosławieństwie, jakie dała Bartleyowi, a my nie wygadamy się, co słyszałyśmy, jak długo będzie na morzu.

NORA (*pomagając Cathleen złożyć zawiniątko*) Wsuńmy je tu, do kąta. (*wsuwają rzeczy do dziury w kącie kominka; Cathleen wraca do kołowrotka*)

NORA Może zobaczyć, że płakałam przed chwilą.

CATHLEEN Odwróć się tyłem do światła.

Nora siada przy kominku odwrócona plecami do drzwi. Maurya wchodzi bardzo powoli, nie patrząc na dziewczęta, zbliża się do stolka przy ogniu. W rękę trzyma kawałek płótna z chlebem. Dziewczęta patrzą na siebie, po czym Nora wskazuje na zawiniątko.

CATHLEEN (*przedzie chwilę i przerywa*) Nie dałaś mu tego chleba?

Maurya zaczyna cicho płakać, nie patrząc w jej stronę.

CATHLEEN Widziałas go, jak jechał ku morzu?

Maurya wciąż płacze.

CATHLEEN (*trochę niecierpliwie*) Bój się Boga; czy nie byłoby lepiej powiedzieć nam, co takiego zobaczyłaś, zamiast tak lamentować? Pytałam, czy widziałaś Bartleya?

MAURYA (*słabym głosem*) Od dziś mam złamane serce.

CATHLEEN (*jak przedtem*) Czy widziałaś Bartleya?

MAURYA Widziałam coś potwornego.

CATHLEEN (*odsuwa kołowrotek i patrzy przez okno*) Niechże ci Bóg przebaczy; w tej chwili jedzie na kasztance, przez zielony przylądek, a siwek za nim.

MAURYA (*porusza się tak, że szal spada jej z głowy i ukazuje siwe, w tył odrzucone włosy. Przerażonym głosem*) A siwek za nim...

CATHLEEN (*zbliżając się do ognia*) Cóż ci to znów się stało?

MAURYA (*mówiąc bardzo powoli*) Widziałam rzecz najstraszliwszą, jaką ujrzałam od dnia, kiedy Bridget Dara powróciła z martwych, by nakarmić swoje dziecko.

CATHLEEN i NORA Och! (*obie kucają przed matką*)

NORA Powiedz wreszcie, cóż takiego widziała?

MAURYA Poszłam na dół, do źródła, i stanęłam odmawiając modlitwy. Wtedy pokazał się Bartley, jechał na kasztance a siwek za nim. (*podnosi ręce do góry, jakby zakrywając oczy przed jakimś widokiem*) Chryste Panie, miej nas w swojej opiece, Noro!

CATHLEEN I cóż takiego zobaczyła?

MAURYA Zobaczyłam samego Michaela.

CATHLEEN (*mówiąc cicho*) Nie, matko, nie mogłaś go zobaczyć. To nie był Michael, ten kogoś widziała, bo ciało jego właśnie co znaleziono daleko na północy, i teraz z łaski Boga mieć będzie uczciwy pogrzeb.

MAURYA (*z uporem*) A właśnie, że go widziałam. Jechał konno galopem, a przed nim Bartley na kasztance. Chciałam rzec „Szczęść ci Boże”, lecz coś zdławiło mi słowa w gardle. Przejechał szybko mimo i powiedział „Niech ci Bóg błogosławi”, a ja mu nic odrzec nie mogłam. Płacząc spojrzełam na siwka, a na nim jedzie Michael – piękne na nim ubranie i nowe buty na nogach.

CATHLEEN (*zaczyna zawodzić*) To koniec. Naprawdę, już koniec.

NORA Czy młody ksiądz nie powiedział ci, iż Bóg Wszzechmocny nie zostawi cię samotnej, bez synów?

MAURYA (*cicho lecz wyraźnie*) Mało, zna się na morzu... Teraz znów zginie Bartley – wezwijcie tu Eamona i z jasnych desek zróbcie dobrą trumnę, bo ja ich nie chcę przeżyć. Miałam męża, i ojca mego męża i sześciu synów w tym domu – sześciu pięknych chłopców, chociaż ciężkie były porody. Kilku z nich znaleziono, kilku nie znaleziono, ale wszyscy odeszli... Był i Stephen, i Shawn też był, zginęli w wielkiej wichurze,

a potem znaleziono ich w Bay od Gregory, koło Golden Mouth. Przenieśli tu obu, na jednej desce przez te tutaj drzwi

Maurya na chwilę milknie; dziewczęta wzdrygają się, jakby usłyszały coś za uchylonymi drzwiami za ich plecami.

NORA (*szeptem*) Czy słyszysz, Cathleen? Czy słyszysz jakiś hałas od północnego wschodu?

CATHLEEN (*szeptem*) Ktoś krzychał na brzegu.

MAURYA (*mówi w dalszym ciągu nic nie słysząc*) Był też Sheamus i jego ojciec i z kolei jego ojciec, wszyscy zginęli w ciemnej nocy, nawet ślad po nich nie został, gdy weszło słońce. Był też Patch, który utonął, gdy jego łódka przewróciła się na morzu. Siedziałam tu kiedyś z małym Bartleyem na kolanach; i wówczas ujrzałam, jak dwie, potem trzy, potem cztery kobiety, wchodzą tu, żegnając się znakiem krzyża, i nie mówią ani słowa. Wyrzałam na dwór i zobaczyłam jak kilku mężczyzn idzie za nimi i niesie coś na kawałku czerwonego żagla. Woda z tego kapiała – a był to pogodny dzień, Noro – i znaczyła ślady aż do drzwi.

Maurya znów milknie, wyciągając rękę w kierunku drzwi; drzwi otwierają się cicho i zaczynają wchodzić stare kobiety, żegnając się znakiem krzyża na progu, po czym kłękają z przodu sceny z czerwonymi spódnicami na głowach.

MAURYA (*jakby we śnie do Cathleen*) Czy to Patch, czy Michael, co to wszystko znaczy?

CATHLEEN Michaela dopiero co znaleziono, daleko na północy; a jeśli tak, to jakże może być tutaj?

MAURYA Mało to ciał młodych ludzi nosi fala po morzu? Tylko jakże mogli poznać, czy znaleźli Michaela, czy też kogo innego? Bo gdy człowiek leży dziewięć dni w morzu, a wiatr przy tym dmie, własna matka nie może go rozpoznać.

CATHLEEN To jest Michael, niech się Bóg nad nim zlituje, bo przystali nam właśnie z dalekiej północy resztę jego odzienia.

Cathleen wyciąga rękę i wręcza Mauryi ubranie, które należało do Michaela, Maurya wstaje powoli i bierze je do rąk. Nora patrzy przez okno.

NORA Właśnie niosą coś, a woda ścieka z tego i zostawia ślady na kamieniskach.

CATHLEEN (*szeptem do kobiet, które właśnie weszły*) Czy to Bartley? Czy to on?

JEDNA Z KOBIET Tak, to on, niech Bóg mu da wieczne odpoczywanie.

Wchodzą dwie młodsze kobiety i wyciągają stół. Mężczyźni wnoszą na desce, okryte kawałkiem żagla ciało Bartleya i kładą je na stole.

CATHLEEN (*do kobiet*) Jak on utonął?

JEDNA Z KOBIET Siwek strącił go do morza, a na brzeg wyrzuciło go w miejscu, gdzie wielka kipiela bije o białe skały.

Maurya zbliża się do stołu i kłeka. Kobiety zawodzą cicho, kołysząc się powoli. Cathleen i Nora kłękają przy drugim końcu stołu. Mężczyźni kłękają blisko drzwi.

MAURYA (*podnosząc głowę zaczyna mówić, jak gdyby nie widziała ludzi stojących dookoła*) Wszyscy już odeszli i morze nic mi już więcej zrobić nie może... I nikt mi już teraz nie każe zostawać i płakać, i modlić się, gdy wichur uderzy z południa i będzie słychać fale na wschodzie i na zachodzie, i wielki zamęt gdy się zetną. I żaden głos już mnie nie wezwie na brzeg, bym przyniosła święconej wody w ciemną noc po Samhain, i obojętne mi będzie, jak wygląda morze, gdy zawodzą inne kobiety (*do Nory*) Podaj mi święconą wodę, Noro. Zostało jej jeszcze trochę na kuchennej szafie. (*Nora podaje jej święconą wodę*)

MAURYA (*kładzie ubranie Michaela na nogi Bartleya i skrapia go święconą wodą*) To nie to, że nie modliłam się za ciebie, Bartleyu, do Wszzechmogącego Boga. I nie to, że nie odmawiałam modlitw w ciemną noc, bo i skąd mógłbyś wiedzieć, co mamrocę; ale to, że teraz znajduję wielki odpoczynek, a z pewnością czas już po temu. Wreszcie

znajdę teraz wielki odpoczynek, i spokojny sen w długie noce po Samhain, choć do jedzenia będziemy miały tylko trochę wilgotnej mąki, a czasem cuchnącą rybę. *(kłęka ponownie robiąc znak krzyża i odmawiając szeptem modlitwy)*

CATHLEEN *(do starego człowieka)* Zapewne wy i Eamon zrobicie trumnę, gdy wzejdzie słońce. Mamy tu piękne heblowane deski, które sama kupiła z myślą o Michaelu. Mam świeży chleb, będziecie mogli jeść przy robocie.

STARY CZŁOWIEK *(patrząc na deski)* Czy macie gwoździe?

CATHLEEN Nie. Nie pomyślałyśmy o gwoździach.

DRUGI CZŁOWIEK Bardzo to dziwne, że nie pomyślała o gwoździach, choć już niejedną widziała trumnę.

CATHLEEN Starzeje się i jest załamana.

Maurya wstaje ponownie bardzo powoli i rozkłada części ubrania Michaela koło ciała, skrapiając je resztką święconej wody.

NORA *(szeptem do Cathleen)* Starzy ludzie szybko się męczą, a czyż nie płacze i nie zawodzi już od dziewięciu dni?

CATHLEEN *(powoli i wyraźnie)* Stara kobieta bardzo szybko się męczy tym co robi, a czyż nie minęło już dziewięć dni od chwili, odkąd płacze i zawodzi, i tak okropnie rozpacza w tym domu?

MAURYA *(stawia pusty kubek dnem do góry na stole i składa obie ręce na stopach Bartleya)* Teraz są wszyscy razem. Już koniec. Oby Bóg Wszechmogący miał zmiłowanie nad duszą Bartleya i duszą Michaela, i duszą Sheamusa, i Patcha, i Stephena, i Shawna, *(pochylając głowę)* i oby miał zlitowanie nad moją duszą, Noro, i nad duszą każdego, który jeszcze został żywym na tym świecie.

Maurya przestaje mówić, zawođenje kobiet staje się nieco głośniejsze po czym cichnie.

MAURYA *(ciągnąc)* Z łaski Boga Wszechmogącego, uczciwy pogrzeb ma Michael na dalekiej północy. A Bartley piękną trumnę z jasnych desek i grób mieć będzie głęboki. Na pewno... I czegoż więcej chcieć możemy ponad to? Nikt nie może żyć wiecznie i to musi nam wystarczyć.

Maurya kłęka ponownie podczas gdy kurtyna powoli opada.

JOHN MILLINGTON SYNGE

(ur. w Rathfarnham w 1871 – zm. w Dublinie w 1909)

Mimo wczesnej śmierci, już za życia stał się jednym z najważniejszych literatów w historii Irlandii, umiejętnie łączącym metaforę i sposób obrazowania języka gaelickiego z językiem angielskim, celnie diagnozującym i uniwersalizującym ówczesne problemy zielonej wyspy. Olbrzymi wpływ na jego twórczość wywarł Henri d'Arbois de Jubainville, a przede wszystkim starszy o sześć lat William Butler Yeats, za radą którego wyruszył na wyspy Aran, by tam szukać inspiracji twórczej. Poznawszy mieszkańców wsi i ich język, stał się twórcą najbarwniejszych typów i historii osadzonych w realiach lokalnych. Po odejściu Yeatsa z Abbey Theatre Synge zajął tam jego miejsce.

Za życia Synge'a jego najgłośniejszą sztuką był *Playboy zachodniego świata* (1907), grany w Polsce także jako *Bohater mimo woli*, *Prowincjonalny playboy* oraz *Kresowy rycerz wesolek*. Utwór ten opowiada historię buntu i rozczarowania nieśmiałego prowincjusza Christy'ego Mahona, oskarżonego o zabójstwo zdegenerowanego ojca (co – paradoksalnie – przyczynia się do uznania go za lokalnego bohatera). Premiera sztuki demaskująca tradycyjne tabu i silnie nacechowana politycznie, była jednym z największych skandali w historii irlandzkiego teatru, prowadząc do rozruchów na ulicach Dublina. Drukowani w tej antologii *Jeźdźcy do morza* (1904) są zaś często uznawani za najdojrzalsze (obok osobistego, po części autotematycznego *Deirdre of the Sorrows* ([Deidre boleściwa](#), 1910) dzieło Synge'a, w którym najsilniej dał o sobie znać jego talent już dwudziestowiecznego tragika.

Dramat został opublikowany w „Dialogu” nr 3/1957. Polską prapremierę przygotował w 1966 roku Teatr Telewizji w reżyserii Juliusza Burskiego.

Sean O'Casey

KUKURYKU

Przełożyła Cecylia Wojewoda

OSOBY:

KOGUT

MICHAEL MARTHRAUN, rolnik, obecnie właściciel przynoszącego dochody torfowiska

MARYNARZ MAHAN, dawniej marynarz, obecnie właściciel kilku ciężarówek wożących torf do miasta

LORNA, młoda kobieta, druga żona Marthrauna

LORELEEN, córka Marthrauna z pierwszego małżeństwa

MARION, pomocnica domowa w domu Lorny

SHANAAR, „bardzo mądry katolik”, a naprawdę niebezpieczny stary dureń

PIERWSZY ROBOTNIK wieśniacy zatrudnieni na torfowisku

DRUGI ROBOTNIK

OJCIEC DOMINEER, proboszcz Nyadnanave

SIERŻANT, sierżant miejscowej policji

JACK, główny kierowca Mahana

JULIA, siostra Lorny, paralityczka, która wybiera się do Lourdes

OJCIEC LORNY I JULII

JEDNOOKI LARRY, młody wieśniak, kandydat na kościelnego

BURMISTRZ

FUNKCJONARIUSZ z BUŁAWĄ

POŚLANIEC, zakochany w Marion

DZWONNIK, krzykacz miejski

GONIEC, zatrudniony w domu towarowym

Scena pierwsza

Dziki i zapuszczony ogród przed domem Michaela Marthrauna. Niestrzyżone trawniki upstrzone są jaskrami i stokrotkami. Kamienny mur, wysoki na trzy, cztery

stopy, otacza ogród. Osoba wchodząca do ogrodu, miałaby po prawej ręce drewnianą furtkę, na lewo zaś – w pewnej odległości od furtki – kępę słoneczników, w pełnym rozkwicie; są wysokie, sztywne i godne, o koronach wielkich jak tarcze i ostrych szeroko rozstawionych płatkach, jak promienie mocno palącego słońca. Dalej na lewo przybysz zobaczyłby szczytową ścianę domu z wysuniętym naprzód gankiem oraz oknem nad nim. Daszek portyku osadzony jest na skrzyconych drewnianych filarach wyglądających jak węże, a wzór okratowania między filarami przypomina grę w szubienicę, gdyż kratki wypełnione są kółkami i krzyżkami, pomalowanymi na olśniewająco biały kolor. Rama okienna jest nieco skrzywiona, a sznury do podciągania okna w górę są poskręcane w nieregularne linie. W pewnej odległości od portyku, bliżej muru, stoi reprezentacyjna urna z brązu z jakąś wiecznie zieloną rośliną, która wygląda zimno i cynicznie. Nad murem powiewa trójkolorowa chorągiew irlandzka. Ściany domu są czarne, natomiast ramy i sznury okienne – jaskrawoczerwone. Jest piękny słoneczny letni dzień, a że w ogrodzie nie ma nic, co dawałoby cień, więc panuje tu nieznośny upał, trwający już zapewne od jakiegoś czasu, bowiem trawa nabrała koloru intensywnej żółtości, z wyjątkiem miejsc, gdzie portyk i dach domu rzucają głęboki czarny cień. W dali rozciąga się torfowisko, fioletowo-purpurowe, upstrzone tu i ówdzie czarnymi plamami. Srebrzysto-szare niebo połyskuje jak jakiś wschodni baldachim. Słychać dalekie tony melodii tanecznej wygrywanej na akordeonie, a po paru chwilach zjawia się Kogut i tanecznym krokiem okrąża szczytową ścianę domu, zatacza koło wokół reprezentacyjnej urny i w momencie, gdy milkną dźwięki melodii znika za drugim rogiem domu.

Upierzenie Koguta jest bardzo czarne i przylega do jego zwinnej smukłej postaci jak rękawiczka do kobiecej dłoni. Stopy i kostki Koguta są żółte, sztywna peleryna z jaskrawozielonymi połami, przypominającymi skrzydła, opada w dół niczym ogon. Wielki szkarłatny grzebień kotylsze się nad jego głową, a ze szcęk po obu stronach zwisają mu szkarłatne klapki nadające jego twarzy wyraz cynicznego żartownisia. Michael Marthraun wchodzi przez portyk do ogrodu, za nim idzie Marynarz Mahan. Obaj mają w rękach kuchenne krzesła, które ustawiają w pewnej odległości od domu. Michael jest już dobrze po sześćdziesiątce – gładko ogolony, chudy i ponury. Usta drgają mu nerwowo, ilekroć zapomni ścisnąć wargi. Ciemnoszare tweedowe ubranie i czarne sztylpy. Ciężki złoty łańcuch opasuje mu brzuch i zwisa na kamizelce. Nosi kołnierzyk o szerokich wyłogach i czarną strojną muszkę.

Mahan dopiero przekroczył pięćdziesiątkę. Jest grubszy od swego towarzysza i nieco bardziej pogodny. Ma krótką spiczastą bródkę, która zaczyna już siwieć. Twarz jego jest czerstwa, widać, że wiele razy wystawiona była na wiatr i burze, co nadało jej szorstkości, lecz nie uczyniło nieprzyjemną. Mówi on i porusza się jak ktoś znajdujący się na pełnym morzu. Ubrany jest w jasnoszare spodnie z flaneli, dwurzędową granatową marynarkę i niebieską koszulę, wokół szyi ma biały szalik. Ustawivszy krzesła mężczyźni stają naprzeciwko siebie.

MICHAEL Siądźmy sobie tu, tu człowiek może swobodnie porozmawiać. W tym domu ciągle słychać jakieś szepty, aż się człowiekowi w głowie mąci.

MAHAN (zdumiony) Szepty? Jakie znów szepty?

MICHAEL Dziwne. Takie, co nie służą duszy ani ciału.

MAHAN Przecież w domu nie ma nikogo prócz twojej żony, Lorny, służącej, Marion, i twojej córki, Loreleen.

MICHAEL Tak ci się zdaje, ale ja wiem lepiej.

MAHAN (lekko) Bzdura, Mick, holujesz na linie, która jest fikcją.

MICHAEL (podnosi głos) Kto mieszka w tym domu, ty czy ja? (Mahan milczy) Pytam, kto mieszka w tym domu, ty czy ja?

- MAHAN (*również podnosi głos*) Ty. A jeżeli to taki dom, to wcale nie chciałbym tu mieszkać.
- MICHAEL No to milcz, jak do mnie mówisz, i słuchaj człowieka, który się zna.
- MAHAN Znam się na szeptach nie gorzej od ciebie.
- MICHAEL Znasz się na szeptach wiatru i morza... koń by się uśmieł. A ja mówię o szeptach, co to snują się po tym domu jak Zły, odkąd ta wymalowana bezbożnica, ta rozchichotana suka zjechała tu z Londynu na bezecne wakacje.
- MAHAN Mówisz o Loreleen? Człowieku, przecież to twoja rodzona córka z pierwszego małżeństwa.
- MICHAEL Tak ludziska mówili w swoim czasie i teraz jeszcze w to wierzą, ale ja miałem co do tego wątpliwości już wtedy, a teraz mam ich jeszcze więcej. Skóra na mnie cierpnie na myśl o spotkaniu z nią. Cierpnie, powiadam ci, cierpnie! (*śmieje się lekliwie*) Córka Michaela Marthrauna! (*chwyta Mahana za ramię*) Człowieku, czy ona w ogóle jest czyjaś córką?
- MAHAN (*porywczco*) Musi przecież być czyjaś córką, człowieku.
- MICHAEL (*porywczco*) Dlaczego musi? Pamiętasz, co powiedział misjonarz wczoraj wieczorem? „Dziwne figle płatają ludziom chytre złe moce”. A odkąd ta wróciła z Anglii, gdzie zło aż kipi, w każdym pokoju pełno złowieszczych znaków i paskudnych nawoływań.
- MAHAN (*zdumiony*) Jakie tam znów nawoływania i znacnościowania?
- MICHAEL (*patrzy podejrzliwie na portyk i na okno, następnie odciąga Mahana dalej od domu*) Uważaj, co ci powiem, marynarzu. (*tajemniczo*) Coś okropnego zaczyna się dziać ze świętymi obrazami i figurami, jak tylko ta Loreleen koło nich przejdzie. Niewidzialny wiatr gasi lampki pod obrazami, a święci na obrazach odwracają się do ściany z wykrzywionymi twarzami. Raz widziałem, jak figura świętego Krankariusza stanęła na głowie, żeby zwalczyć pokusę, kiedy ona przystanęła obok. A znów innym razem święty Patryk zamierzył się na nią pastorałem, spudłował i rozciągnął się na ziemi jak długi z przerażenia.
- MAHAN (*powątpiewająco, lecz pod wrażeniem*) Wielki Boże, to nie przelewki! (*pauza*) Czy jesteś całkiem pewny, Mick, że nie ulegasz halucynacjom?
- MICHAEL Stuknij się w głowę, człowieku! A moja własna żona, Lorna, przykłada rękę do tego paskudztwa i nic tylko się fiokuje. Niedawno złapałem ją, jak się wyszczerzała do lustra, a jak spojrzałem do tego lustra, to zobaczyłem, że ona ma kolorowe rogi na głowie.
- MAHAN Niemożliwe. Brednie pleciesz, Mick. Lorna to wspaniała kobita i nie można tak o niej mówić.
- MICHAEL To i ty już wpadłeś? Powiadam ci, widziałem, jak się chłopaki na nią gapią, jak ich oczy wiszą na tych jej nogach, które są czystą pokusą – w tej kobiecie jest coś złego.
- MAHAN Nie ma nic złego w ładnej buzi ani w kuszących nogach.
- MICHAEL Człowieku, nasza religia nas uczy, że największa walka, jaką święci pańscy stoczyli, to była walka z pokusą w postaci ładnych bab.
- MAHAN (*podenerwowany, chce zmienić temat*) Siądźmy sobie lepiej i dogadajmy się wreszcie, ile mi dasz za zwózkę torfu.
- MICHAEL (*nie reaguje na zabiegi Mahana*) Widzisz ten pokój? (*wskazuje okno nad portykiem*) Ona tam często tańczy sama jedna, ale wyobraża sobie, że tańczy z krzepkimi chłopakami, z młodymi byczkami, co to się podniecają nieprzystojnymi myślami o miłości.
Z okna nad portykiem słychać walca granego cichutko na harfie, lutni czy skrzypkach albo też na wszystkich tych instrumentach jednocześnie.
- MICHAEL (*gorzko*) Słyszysz, człowieku? Ona się ze mnie naigrawa. Zgubi swoją duszę, jak nie będzie uważała.

MAHAN Jest młoda, cóż to dziwnego, że jej się chce tańczyć? A w ogóle, po co się upierałeś, żeby się z nią ożenić? Żenić się z dzierlatką! Ona za nic nie chciała wyjść za ciebie.

MICHAEL Ale wreszcie się zgodziła, może nie?

MAHAN Zgodziła się, bo jej tata, ty i ksiądz dobrodziej zamąciliście dziewczynie rozum fortuna, jaka niby w ręce jej wpada.

MICHAEL Dobrze wiesz, że ten tłusty folwarczek wpadł jej w oczko, no i ten porządny dach nad głową, i ten ciepły grosik, który mam w banku na czarną godzinę.

MAHAN Sam widziałem, jak się włóczyłeś za nią od prawej burty do lewej, od dziobu do rufy, jak rozwijałeś przed nią żagle i obiecywałeś jej wstążki i koronki, srebrne sprzączki do butów i jedwabną sukienkę na niedzielę.

MICHAEL A cóż ona miała oprócz połatanej spódnicy, wymizerowanej buzi i dziurawych butów, żeby się wystroić na mszę w niedzielę? A czy nie dałem jej staremu pięćdziesiąt ciężkich funtów szterlingów, żeby jej chora siostra mogła wyjechać do Lourdes i oddać się pod opiekę Najświętszej Panience? I co dostałem za te swoje pieniądze? Dwieście marnych morgów bagniska i tyle.

MAHAN Nieźle pieniądze ciagniesz z tego bagniska, odkąd mamy koniunkturę na torf. To bagnisko zrobiło z ciebie radnego, sędziego pokoju i beniaminka duchowieństwa.

MICHAEL Skoro już mowa o tym torfie, to załatwmy wreszcie sprawę podwyżki. Nie mogę ci dać tyle, ile chcesz.

MAHAN (*rzeczowo*) Będziesz musiał, panie Marthraun, bo ja nie będę woził ani za centa mniej.

MICHAEL Napijmy się kapkę, to nam rozjaśni w głowach. Mam w domu butelkę najprzedniejszej whisky, dziesięć lat dojrzewa. Poczekaj, zaraz przyniosę. (*wchodzi do domu przez ganek, po paru chwilach wraca; usta mu drżą, głos zdradza strach i nienawiść*) Ta Loreleen właśnie schodzi na dół, a ja nie mam najmniejszej ochoty podchodzić do niej za blisko. Poczekamy, aż sobie pójdzie. Rozmawiamy jakby nigdy nic, kiedy ona tu się zjawi. Shanaar by ci powiedział, że jak się słyszy albo widzi Złego, nie należy na niego zwracać uwagi. (*szeptem, niecierpliwie*) Siadajże, człowieku.

MAHAN (*siada; z niedowierzaniem*) Czy aby jesteś pewny, Mick, że holujesz te myśli, co chciałeś?

MICHAEL Czy ja jestem pewny? Tak pewny, jak gdybym słyszał pianie koguta, a ty byś pytał, czy je słyszę.

W chwili gdy Loreleen zjawia się na ganku słychać głośnie pianie koguta. Loreleen to bardzo ładna młoda kobieta wyglądająca na osobkę, która wie, czego chce. Jest beztroska, jak przystoi ładnej, wesołej i inteligentnej kobiecie. Ma na sobie ciemnozieloną suknię z ciemnoczerwonymi wypustkami przy staniku i z boku spódnicy. Jej zawadiacki kapelusik – również zielony, lecz bardziej jaskrawy niż suknia – przybrany jest ornamentem w kształcie koguciego grzebienia. Na wyjątkowo zgrabnych nogach ma beżowe jedwabne pończochy o złotym połysku. Michael, który zdążył usiąść, zrywa się na równe nogi słysząc pianie koguta, przechyla się przez stół i chwyta Mahana za ramię.

MICHAEL Co to, co to?

MAHAN (*przestraszony gwałtownym gestem Michaela*) Co jest co, człowieku?

MICHAEL (*stara się odzyskać równowagę*) Nic. Nic nie słyszałem. O czym to mówileś? (*szeptem*) Gadajże o torfie, człowieku.

MAHAN (*nic z tego nie rozumie, ale stara się robić, co mu każą*) Będziesz musiał dorzucić te dwa szylingi za każdy ładunek, Mick. Byłbym stratny, gdybym wziął mniej, (*przyjaźnie kładzie rękę na ramieniu Michaela*) Wiesz dobrze, że dla takiego starego przyjaciela, jak ty, obniżyłbym cenę, gdybym mógł.

MICHAEL (*zapomina o Loreleen*) Czyż ja tego nie wiem, marynarzu? Zarobiłbym to samo, a nawet więcej dla ciebie. Ale gdybym ci miał dodać te dwa szylingi, to równie dobrze mógłbym ci podarować całe torfowisko. Muszę z czegoś żyć, marynarzu.

MAHAN A ja to nie muszę, do jasnej cholery? Jak ja mam dać ludziom szylinga podwyżki, jeśli ty mi nie dasz dwóch? Mam prosić świętych pańskich, żeby mi zrzucili trochę forsy z nieba?

MICHAEL (*z twarzą przy twarzy Mahana, zapalczywie*) Nie taki z ciebie magik, abyś potrafił mnie zamagikować. Może nie dokładasz co tydzień okrągłej sumki do tej, co już masz w banku? Trzymasz tylko swoich biednych urzędników po godzinach biurowych, bo muszą układać twoje banknoty w równe stosiki.

MAHAN (*równie zapalczywie, wstaje i jeszcze bliżej przysuwa twarz do Michaela*) W pysku to ty jesteś nędzarz, ale jakbyś się tak zabrał do przeliczenia tego, coś odłożył, siedziałbyś dzień i noc na głodnego tak długo, póki byś nie zliczył do ostatniego banknocika, ile tego masz.

Loreleen przeszła tymczasem wolnym krokiem do furtki przysłuchując się ich rozmowie. Teraz odwraca się, aby lepiej widzieć i słyszeć.

LORELEEN „Nie skarbcie sobie skarbów na ziemi, gdzie rdza i mol psuje i gdzie złodzieje wykopywują i kradną”.*

MICHAEL (*przestraszonym szeptem*) Nie odwracaj głowy. Udawaj, że nie słyszysz jej załganego bredzenia.

Młody robotnik wiejski, dobrze zbudowany i silny, biegnie ścieżką do furtki. Ma na sobie ciemnobrązowe sztruksowe spodnie, przytrzymane paskiem, szarą koszulę i jaskrawozielony szalik w żółte kropki. Odpycha Loreleen na bok.

PIERWSZY ROBOTNIK Nastąp się, kobito! (*dostrzega nagle jej urodę*) Rany boskie, ależ z ciebie dziewucha na schwał. Co ty tu robisz w tej dziurze?

LORELEEN Szukam szczęścia, ale nic z tego.

PIERWSZY ROBOTNIK Taka jak ty nie powinna tu siedzieć – nic tu nie znajdziesz prócz głązów i suchej trawy. Sama nędza siedzi na tych beznadziejnych mokradłach. Powinnaś leżeć sobie pod wysokimi palmami i stąpać po kwiatach, powinnaś być tam, gdzie się lekko żyje, a nie tu, gdzie się ciężko umiera.

LORELEEN (*dyla przed nim nisko*) Dziękuję ci, szlachetny rycerzu, za jedwabiste komplementy, które prawisz swej biednej służebnicy.

Loreleen odwraca się jakby zamierzała odejść. Pierwszy robotnik wbiega przez furtkę

PIERWSZY ROBOTNIK (*do Loreleen ciągle stojącej przy furtce*) Poczekaj, aż załatwię sprawę z tymi facetami. Pójdę z tobą do zakrętu. Chętnie bym oddał wieczne szczęście w niebie za dłuższy spacer z taką dzierlatką jak ty.

Inny Robotnik wiejski nadbiega ścieżką. Przy furtce odpycha na bok Loreleen. Ubrany jest w jasnobrązowe sztruksowe spodnie, koszulę w kratkę, a na szyi ma jasnożółty szalik w zielone paski.

DRUGI ROBOTNIK Z drogi, kobito! (*odpychając ją dostrzega, jaka ona śliczna*)

Fiu! A cóż to za wymyślny wiaterek przywiał taki kwiatek na ten zatracony, zaszuszony wydmuchów? Deirdre** ożyła, lecz nie do smutku, tylko do zabawy. Jeżeli Ewa tak wyglądała, to się wcale nie dziwię, że praojczulek Adam zgrzeszył. Taka dziewucha mogłaby świat wywrócić do góry nogami jednym pocałunkiem. (*wchodzi do ogrodu i idzie do mężczyzn oglądając się na Loreleen*) Poczekaj, ślicznotko, aż załatwię interes z tymi facetami, a pójdę za tobą jak cień do końca życia.

* Mateusz, VI. 19.

** Deirdre – bohaterka legendarnego romansu irlandzkiego, księżniczka słynna z piękności, która miała smutny los.

LORELEEN (*do obu Robotników*) Nie jestem dla was, przyjaciele – nie nadaję się dla porządných chłopców. Te dwa stare próchna powiedzą wam, że ze mną można się całować tylko w ciemnościach niebezpiecznej nocy. (*posyła im pocałunek ręką*) Pa, pa.

MICHAEL I MAHAN Czego tu chcecie? Dlaczego nie jesteście przy pracy?

PIERWSZY ROBOTNIK (*kładzie rękę energicznie na ramieniu Mahana*) Słuchajcie, albo dostaniemy tego szylinga ekstra, albo zostawimy wozy na szosie.

DRUGI ROBOTNIK (*energicznie chwyta Mahana za drugie ramię*) Może mi powiecie, co to ma znaczyć? (*rzuca na stół czek*) Czy wam się zdaje, że czek na dwa pensy to godna zapłata za tygodniówkę?

MICHAEL Nie odpracowaliście całego tygodnia, bo deszcz padał, no i potraciliśmy wam za stołówkę i ubezpieczalnię.

DRUGI ROBOTNIK Może mi powiecie, jak ja mam przeżyć tydzień za dwa pensy.

PIERWSZY ROBOTNIK Ci panowie są przecież kawalerami św. Kolumbana, no to na pewno będą mogli ci powiedzieć, jak się to robi.

MICHAEL To jest zagadnienie socjalne, które należy rozstrzygnąć na podstawie encykliki „*Rerum novarum*”^{*}.

DRUGI ROBOTNIK To wasze „*Rerum novarum*” ma już pięćdziesiątkę z hakiem. Diabła było warte w swoim czasie, a cholera nam z tego przyjdzie. Zagwarantujcie nam tygodniową stawkę albo ludzie zejdą z torfowiska. (*idzie w kierunku furtki*)

PIERWSZY ROBOTNIK (*idąc do furtki, do Mahana*) Albo podwyżka, albo ciężarówka na szosie.

DRUGI ROBOTNIK (*niecierpliwie*) Ona jest tam. (*wskazuje palcem*) Lećmy, to złapiemy naszą ślicznotkę.

Robotnicy biegną ścieżką. Nagle zatrzymują się wytrzeszczając oczy.

PIERWSZY ROBOTNIK (*z przerażeniem w głosie*) Co się z nią dzieje? Jakaś chmura na nią spada, błyskawice latają jej nad głową, a ona cała faluje.

DRUGI ROBOTNIK (*przestraszony*) Jezusie! Ona się zamienia w jakiegoś bajątkowego ptaka. Ooo... patrzy na nas, otwiera dziób długi jak drąg.

W oddali słycać pianie koguta.

PIERWSZY ROBOTNIK (*przeżony*) Tędy, człowieku. Machniemy się w przeciwną stronę. To znak, ostrzeżenie, przypomnienie! Misjonarz mówił wczoraj, że młode chłopcy mogą myśleć o ładnych facetkach, tylko, kiedy w pobliżu są starzy i pobożni ludzie. (*uciekają w przeciwnym kierunku*)

MICHAEL (*do Mahana*) Słyszałeś? Pytam cię, marynarzu, czy słyszałeś, co te przeklęte lotry powiedziały?

MAHAN Słyszałem. Ale nie widzę w tym nic znaczącego, chyba to, że sobie gołnęli.

MICHAEL (*ostrzegawczo*) Jak nie będziesz uważał, marynarzu, to twoje zatwardziałe niedowiarstwo zaprowadzi cię na manowce. Loreleen nie jest moją córką... ona nawet nie jest kobietą: ona jest zaczarowana albo opętana.

MAHAN (*pogardliwie*) Na miłosierdzie boskie, Mick, zastanów się, co mówisz, i dałbyś już raz to whisky, aby i nas zaczarowało.

MICHAEL (*niemal wrzeszczy*) Zapomniałeś już, jak to było z wdową Malone, co to mogła w jednej sekundzie zamienić się w psa albo zającą, kiedy chciała się ukryć? Zapomniałeś, jak to ją psy goniły, bo myślały, że to zając, a ona gnała do chaty i dała susa przez otwarte okno, aż tu jeden z psów łaps ją za nogę? Wyłamali drzwi, no i znaleźli starą wiedźmę na łóżku bez jednego kulasa, a krew chlustała jej z kikuta jak fontanna. Cała wieś słyszała jej wrzaski, kiedy ta gadzina wynosiła się do czarta.

^{*} Mowa tu o encyklice Leona XIII z 1891 r. stanowiącej podstawę katolickiej doktryny społecznej i propagującej solidarność klasową.

- MAHAN Słyszałem jakieś gadki na ten temat, ale to było później, kiedy wróciłem z Valparaiso.
- MICHAEL Jak słyszałeś, to powinieneś wiedzieć, że tak było. A tobie nic tylko whisky w głowie i chcesz mnie puścić z torbami, bo zachciało ci się podwyżki, na którą mnie nie stać. Czy tak postępuje prawdziwy chrześcijanin, kawaler św. Kolumbana, członek Koła Badaczy Rerum Novarum? Ty powinieneś okazać miłosierdzie, postępować sprawiedliwie i dbać o potrzeby ludu, a nie tylko o siebie. (*nagle*) Słuchaj, dorzucę ci jeszcze trzy pensiały, to będzie razem o dziewięć pensów więcej. Daj, przybijemy na zgodę.
- MAHAN Niech mnie woda zaleje, jeśli przybiję! Nie nabierzesz mnie, jak starego tatę swojej żony, który sprzedał ci torfowisko, bo myślał, że jest nic nie warte. A ty sobie ciągniesz tysiączki z tego bagna.
- MICHAEL Zapominasz, że dałem staremu idiocie dość forsy, żeby mógł zawieźć chorą córkę na kurację do Lourdes.
- MAHAN Dobrze wiesz, że ludzie marudzą naumyślnie, obracają dwa razy w tym samym czasie co dawniej trzy.
- MICHAEL A moi ludzie odgrają się, że w ogóle zejdą z torfowiska. To wszystko przez ten materializm... to już zakrawa na bunt przeciwko chrześcijańskiemu postępowaniu. Gdyby ci robotnicy brali przykład z nas i postępowali jak prawdziwi chrześcijanie, nie byłoby żadnych z nimi kłótni. Ale ja i ty powinniśmy być dobrymi synami Kolumbana – ty powinieneś myśleć o moich kłopotach, a ja o twoich.
- MAHAN Dorzuc po półtora szylinga, a podniosę banderę na zgodę.
- MICHAEL Nie mogę. Poszedłbym z torbami, marynarzu!
- MAHAN (*jadownicie*) Wolisz wyrzucić forsy na cylinder, żeby się pokazać i narobić zamieszania, kiedy pan prezydent przyjedzie obejrzeć torfowisko. Będziesz mi tu opowiadał bajeczki, że Loreleen jest czarownicą. Cała okolica zamrze jak zaklęta, kiedy twój cylinder wyjdzie na spotkanie cylindra pana prezydenta, a te biedne cylindry będą musiały ukryć wasze gęby. Dwa szylingi albo nici z interesu! (*oburzony siada*)
Za murem widać nadchodzącego Shanaara, który otwiera furtkę i powoli zbliża się do obu mężczyzn. Jest to wiekowy starzec, z twarzą pomarszczoną jak włoski orzech, z mocno przygarbionymi plecami, długimi białymi włosami i białą brodą, trochę brudną, sięgającą mu do pasa. Ubrany jest z chłopska – w cienką, wyszarżatą samodziałową oponczę, polatane czarne sztruksowe spodnie, grube buty, dobre i mocne, jaskrawo niebieski szalik na szyki oraz kamizelkę z workowego płótna, na której kołysze się mosiężny krzyż zawieszony na grubym sznurku. Na głowie ma okrągły czarny kapelusz z szerokim rondem
- SHANAAR (*wchodząc przez furtkę uchyla kapelusza*) Niech was Bóg ma w swej opiece! Niech Bóg ma w swej opiece mieszkańców tego domu prócz kota i psa.
- MICHAEL (*z wielkim szacunkiem*) I was też, panie Shanaar. Sędziwy z was mędrzec, pełen wiedzy o rzeczach tajemnych.
- SHANAAR Sędziwy powiadasz? Bardzo sędziwy. Tysiącletni... tysiącletni, gdyby tak wszystko było wiadomo.
- MICHAEL Mówiliśmy tu z marynarzem Mahanem o zmyślnych matactwach tajemnych mocy i o tym, co misjonarz prawil wczoraj. Ale marynarz wcale się nie przejmuję.
- SHANAAR (*pochyla się nisko i wsuwa głowę między nich*) Jak się nie przejmuję teraz, to się przejmie później. Może jeszcze dziś i tu, gdzie stoi.
- MICHAEL (*do Mahana*) Co ty na to?
- MAHAN (*nadrabia minę, ale mu trochę nieswojo*) Nic, nic.
- SHANAAR (*z twarzą jeszcze bliżej twarzy Mahana*) Przyjacielu... od lat wędruję przez góry i doliny, i swoje wiem. Wielkie biesy i mniejsze biesy, i jeszcze mniej-

sze biesy, i najmniejsze biesy są wszędzie. Możesz zobaczyć pszczołkę, a to wcale nie jest pszczołka... możesz zobaczyć ptaszka, a to wcale nie jest ptaszek, możesz zobaczyć kobitę jak ta lala, a to w ogóle nie jest kobita.

MICHAEL (*zdenerwowany*) Mówię mu to, przez cały czas mu to mówię!

MAHAN (*powątpiewająco, do Shanaara*) A jak nieszczęsny człowiek ma ich rozpoznać?

SHANAAR (*rozgląda się ostrożnie, z napięciem, szeptem*) Będziesz miał pewny znak, jak ci się uda obejrzeć Złego ze wszystkich stron, (*ogłąda się wokół*) *Daemones posteriora non habent* – biesy nie mają sempiterny.

MICHAEL (*bardzo wystraszony*) O, Boże, co za przerażające, porażające przeżycie.

MAHAN (*też wystraszony, ale usiłuje nadrabiać miną*) Może być, ale niewinne pszczołki i ptaszki nie należą chyba do tej ferajny.

SHANAAR (*pełen pogardy dla ciemnoty*) Nie należą! Niewinne ptaszki. No, to wam coś opowiem. Była sobie raz kukułka, która zaprowadziła pewnego świętego braciszka do piekła. Jej kukanie zwabiło braciszka na zaciszną polankę, gdzie biedak zobaczył cud kobitę prawie nagusienką, jak sobie moczyła nogi w strumieniu, i w jednej chwili chuć poraziła świętego męża. Stracony! Powiedziała mu, że jest przystojny, ale jak chce ją mieć, to musi się postarać o pieniądze. Braciszek poszedł do domu pewnego szlachcica i nuż go prosić o pieniądze dla klasztoru. Aliści ten szlachcic nie w ciemnię był bity i powiada, że chciałby wpiern zobaczyć przeora. Na to braciszek łup go siekierą, którą miał schowaną pod habitem, no i rozłupał szlachcicowi głowę od czubka do brody. Potem go ograbił, sam przystroił się w aksamity i pograżył się w słodkiej zgniliznie grzechu z tą dziewoją... aż się im pieniążki skończyły. Wtedy go złapali! Wtedy go powiesili i... słuchajcie uważnie (*trzy głowy zbliżają się do siebie*), kiedy ten biedak szlochał na szubienicy, wszyscy słyszeli śmiech dziewczyny i kukanie kukułki.

Kiedy Shanaar wypowiada ostatnie słowa rozlega się szyderczy śmiech dziewczyny, kukanie, a także szloch młodego mężczyzny – najpierw jedno za drugim, następnie razem i nagle nastaje cisza. Shanaar stoi wyprostowany, na ile pozwala jego zgięty grzbiet, a dwaj pozostali powoli podnoszą się i zastygają z przerażenia.

SHANAAR (*szeptem pełnym napięcia*) Nic nie mówcie, nie zważajcie. Siadać! Zachowujcie się, jak byście nic nie słyszeli!

MAHAN (*po pauzie*) Kukułka owszem, bo to zagraniczny ptaszek – nie ma stałej przystani ani własnego domu. Ale żaden porządny irlandzki ptak nie zrobiłby człowiekowi takiego psikusa.

MICHAEL Ej, marynarzu, marynarzu... jak się moce piekielne rozigrają, to nie ręczyłbym nawet za zwykłą kurę.

SHANAAR I mielibyście rację, panie Marthraun... chociaż na ogół kury zawsze są na oczach chrześcijan. Ale to wam powiem, że te niewinne stworzenia często są najbardziej niebezpieczne. Tak to było z tym chłopakiem, którego matka kierowała na księdza, a on ci pewnego dnia siedząc w domu zobaczył nagle derkacza, jak śmignął przez okno do cudzego domu. Polazł za tym ptaszkiem, no i zobaczył w tamtym domu na stole błyszczącą broszkę... straszna go napadła pokusa, aby tę broszkę ukraść. Dostał za to dziesięć lat domu poprawczego, matka jego umarła z żalu, a ojciec zaczął pić.

W czasie tej opowieści słychać nawoływanie derkacza: „krek, krek, krek, krek”.

MICHAEL (*szeptem w napięciu do Mahana*) Słyszałeś, marynarzu?

SHANAAR (*ostrzegawczo*) Szszsz. Ani słowa. Nie zważajcie! Jak usłyszycie albo zobaczycie coś podejrzanego, nie zważajcie... chyba że wiecie, jak się z tym obchodzić.

MICHAEL (*uroczyście*) Będziemy pamiętać. Ale przypuśćmy, że kura jest opętana, co wtedy?

SHANAAR (*z namysłem*) Niełatwa sprawa... musicie być ostrożni. Pierwsza rzecz – jeśli potraficie – to wystosować do kury łacińską dysertację. Jeżeli pomiędzy ptactwem domowym znajduje się mamiłdo kury z piekła rodem, to nieczysta siła nie będzie mogła znieść łaciny. Łacina ją niszczy. Wieczysty wpada wtedy w paskudne tarapaty. Pęka od razu i ginie... widzimy tylko słup czarnego dymu, a ucho wierzącego słyszy śmiertelny pisk z samego środka tego słupa.

MICHAEL (*pod ogromnym wrażeniem*) Coś takiego! Widzisz, co to znaczy wiedza! *Z domu dochodzi głośnie gdakanie zmieszane z krótkim, przenikliwym pianiem koguta. Słychać trzask rozbijanych naczyń, na wpół gniewne, na wpół przerażone okrzyki kobiet. Przez okno nad portykiem wylatuje filiżanka, a za nią spodek. Trzej mężczyźni odskakują, następnie – zdziwieni i trochę przestraszeni – kucają na ziemi.*

MICHAEL A to co znowu, do cholery?

Marion podbiega do drzwi ganku przestraszona i zaniepokojona. Jest to młoda, bardzo ładna dziewczyna, lat około dwudziestu. Sukienka sięga jej zaledwie do kolan, bo ma śliczne nogi i lubi je pokazywać – właściwie dlaczego nie miałyby tego robić? Robi to z łobuzerskim wyrazem w niebieskich błyszczących oczach. Zamiast czepka pokojówki ma owiniętą wokół głowy szeroką wstążkę lamowaną srebrzem, zawiązaną nad czołem w kokardę. W sam środek kokardy wpięta jest emaliowana broszka, wystające końce kokardy sięgają aż do uszu dziewczyny. Sukienka Marion o kroju uniformu ciemnozielonego koloru, przybrana jest jaskrawszą zielenią na rękawach i przy szyi, w tym samym tonie są guziki stanika. Na nogach Marion ma czarne pończochy i pantofle. Malutki, prześliczny biały fartuszek w zielone paski ochrania jej uniform.

MARION (*wzburzona*) To lata po domu i wyprawia straszne rzeczy. Mówiłam Loreleen, że jak tak ciągle będzie wołać do kur „cip, cip, cipki”, to całkiem nam zepsuje ptactwo domowe.

MICHAEL (*w strachu*) Co ci się stało, dziewczyno? Co się z tobą dzieje?

MARION Może by tak który z panów pofatygował się do domu i złapał toto, na miłość boską, zanim zrujnuje cały dom.

MAHAN (*krzyczy*) Złapać co, złapać co, kobito?

MARION Tę dziką gęś! Straciła wodę święconą z ołtarzyka, poszarpała pazurami obrazy święte, a teraz dziobie cylinder.

MICHAEL Dzika gęś? Wiesz na pewno, że to dzika gęś?

MARION (*zmartwiona*) Nie wiem, nie wiem... może to dzika kaczka. To lata i demoluje dom.

MICHAEL (*trzęsie się, do Shanaara*) Myślicie, że to może być to, co wiecie?

SHANAAR (*kolana mu się lekko trzęsą*) Nie traćcie głów, nie traćcie głów! To nic nie jest!

MICHAEL (*pełen niepokoju i przerażenia potrząsa Marion*) Opanuj się wreszcie dziewczyno i gadaj z sensem. Co to jest: gęś, czy kaczka, czy może kura, czy co?

MARION (*cicho*) Gęś... nie... kura, na pewno kura. Chciałyśmy ją wygnąć i rzuciłyśmy w nią filiżankami i spodkami... ale ona nic! Niech ktoś pójdzie i ją złapie, bo rozdziobie dom na drobne kawałki

SHANAAR (*modlitewnym tonem*) Oby tylko nie była przemieniona, oby tylko nie była przemieniona!

MICHAEL (*znów szarpie Marion*) Gdzie Lorna, gdzie Lorna?

MARION (*apatycznie*) Widziałam, jak się barykadowała pod schodami.

MICHAEL (*błagalnie do Mahana*) Ty się nie bałeś wielorybów, delfinów i oktopusów... skocz no tam, bądź porządnym chłopcem i chwyć za łeb to coś.

MAHAN (*oburzony*) Ja? Ani mi w głowie parać się z ptactwem lądowym.

MICHAEL (*do Shanaara, na wpół rozkazująco*) Na wypadek gdyby to było to, czego się boimy, to właśnie wy powinniście skoczyć i rozprawić się z tym czymś łaciną.

SHANAAR (*cofa się tyłem do muru*) To na nic w czterech ścianach, łacina przynosi skutki tylko na wolnym powietrzu.

MICHAEL (*wściekły, popychając gwałtownie Marion*) Skocz no, ty wystraszona durna gapo, i sprowadź tu zaraz Ojca Domineera.

Przez czas trwania tej sceny słyhać było gdakanie jakby z odcieniem zadowolenia a nawet tryumfu oraz łopotanie skrzydeł. Marion wybiega przez furtkę i wpada na Posłańca z telegramem w rękę. On chwyta ją w ramiona i mocno całuje. Posłaniec ma na sobie srebrzystoszary mundur, zapięty na guziki, i tego samego koloru spodnie. Na jego plecach, po prawej stronie błyszczą para szkarłatnych skrzydeł. Jaskrawozielony beret wciśnięty zawadiacko na głowę, na nogach – zielone sandały. Michael i Mahan odsunęli się jeszcze dalej od domu, a Shanaar cofnął się do furki, skąd uporczywie wpatruje się w dom, gotów w każdej chwili do ucieczki, gdyby się coś zdarzyło. Ręce ma złożone jak do modlitwy, a usta cały czas mu się poruszają.

POŚLANIEC (*do Marion*) Ach, piękna moja, jesteś jak ucieleśnienie wdzięku i radości, twój całus pali niczym płomień miodu – dokąd to śpieszysz?

MICHAEL (*zły, do Posłańca*) Nie zatrzymuj jej, leci po księdza.

POŚLANIEC Po księdza? A po co??

Gdakanie i łopot skrzydeł stają się bardzo głośne. Przez okno wylatuje talerz i słyhać pisk Lorny.

POŚLANIEC (*zdumiony, ale śladu po nim nie widać*) Co się tam dzieje?

MICHAEL Jakaś dzika gęś czy coś w tym rodzaju urwało się i przewraca naczynie z wodą święconą.

MARION I dziobie święte obrazy na ścianach!

MAHAN Mówią też, że to dzika kaczka.

SHANAAR Może to kura... tylko kura.

POŚLANIEC (*odstępując od Marion podaje depeszę Michaelowi*) Telegram do pana. Michael bierze telegram automatycznie i wsuwa go do kieszeni.

MICHAEL Czy wyście zmysły postradali, żeby się bać kury? (*idzie w stronę ganku*) Zaraz się z nią załatwię.

SHANAAR (*który już jest po drugiej stronie muru*) Nie wchodź do tego domu, chłopcze, jeżeli ci życie miłe, bo ta kura nie jest żadną kurą!

POŚLANIEC Jeżeli kura, która jest w tym domu nie jest kurą, to pewnie jest kogutem. Załatwię się z tym. (*wbiega do domu*)

MICHAEL (*w panice*) Jeżeli to kogut, no to koniec z nami!

SHANAAR (*żarliwie*) Och... rovelum, randee, horrida aidus, sed spero spiro specialii spam!

Głowa Koguta z ogromnym, pięknym szkarłatnym grzebieniem nagle wychyla się z okna nad gankiem i rozlega się gwałtowne, tryumfalne, pianie. Shanaar znika za murkiem, a Mahan i Michael padają plackiem na ziemię, jak w śmiertelnym omdleniu.

MICHAEL (*padając*) Święci Pańscy, ratujcie! Kogut!

SHANAAR (*zza muru*) Och... dana eirebus, heniba et galli scatterum in multus parvum avic asthorum!

Głowa Koguta momentalnie znika, a z głębi domu dochodzą odgłosy większego zamieszania: Posłaniec krzyczy, kobieta piszczy. Po krótkiej pauzie, kłęby niebieskoczarnego dymu buchają przez okno. Kiedy dym się rozwiewa, Posłaniec wychodzi z domu. Czapka siedzi mu krzywo na głowie, twarz ma lekko zarumienioną, uśmiecha się. W prawej ręce trzyma coś na kształt miotły, co jednak jest srebrną laską zakończoną rozetą z zielonych i czerwonych wstążek. Za nim idzie Kogut prowadzony na zielonej wstążce opasującej mu szyję. Idzie potulnie za Posłańcem i przystaje, kiedy ten przystaje.

SHANAAR (*wygląda zza muru*) Ludzie, ludzie, nie zważajcie na niego albo koniec z wami! Mówcie tylko, byle o czym, ale mówcie!

POŚLANIEC (*patrzy zdumiony na dwu mężczyzn siedzących na trawie i odsuwających się jak najdalej od domu, w miarę jak Kogut się zbliża*) Co się z wami dzieje? Dlaczego zamiatacie trawę tyłkami i cofacie się? Wstańcie, wstańcie i sięgnijcie po rozum do głowy!

Michael i Mahan zrywają się na równe nogi, wybiegają przez furtkę i czujnie stają przy Shanaarze. Głowa Lorny ukazuje się w oknie nad portykiem i na pierwszy rzut oka widać, że jest znacznie młodsza od męża. To kobieta wyjątkowo ładna, lecz jej wdzięczna twarz zamglona jest cieniem troski i wrodzoną nieśmiałością. Jest wzburzona i mówi zbyt głośno zwracając się do Poślanca.

LORNA Zabierz mi stąd tego ptaka, Czarusiu. Oddaj go pod opiekę policji albo komuś, kto potrafi sobie z nim poradzić.

POŚLANIEC On nie jest groźny, śliczna pani, i nigdy nie był. Czuł się trochę samotny i szukał towarzystwa, to wszystko. Zamiast rzucać w niego filiżankami i spodkami, trzeba mu było podać śnieżnobiałą rączkę, a poprowadziłby panią do tańca – do tańca jak cudowne marzenie. Pani tylko przestraszyła biedaka.

LORNA Przestraszyłam, powiadasz? To ja się przestraszyłam, kiedy on zaczął tłuc fajans, szarpać święte obrazy i rozdziobywać na kawałki nowiuteńki cylinder, który mój mąż kupił sobie, aby razem z burmistrzem powitać Jego Światłość, Prezydenta Irlandii, na otwarcie stołówki dla robotników torfiarzy.

MICHAEL (*wściekły*) Co takiego? Zniszczył mój nowy cylinder?

SHANAAR (*ciągnie Michaela za rękaw, ostrzegawczo*) Nie zważać powiedziałem, do jasnej cholery!

MICHAEL (*oburzony, do Shanaara*) A wy byście się cieszyli, gdyby wam zniszczono wspaniały, jedwabny cylinder?

SHANAAR Szszsz, człowieku, szszszsz!!

MARION (*z podziwem ogląda Koguta*) Pewnie, że nie jest groźny, jak się go zna.

POŚLANIEC (*głaszcze plecy Koguta*) Oczywiście, że nie. Wesoły z niego ptak, to wszystko. Czasem troszkę się rozbryka, ale odpowiednia osoba zawsze sobie z nim poradzi. (*do Koguta*) No, towarzyszu, podnieś łeb, uderz skrzydłami i zapiej. *Kogut podnosi łeb, uderza skrzydłami i wydaje przeraźliwe pienie, po którym natychmiast rozlega się grzmot.*

MICHAEL (*jakby za chwilę miał dostać ataku nerwowego*) No, koniec z nami!

SHANAAR (*gwałtownie*) Nie zważać, nie zważać!

LORNA (*w oknie*) Boże, miej litość nad nami, a to co? (*do Poślanca*) Czy zabierzesz stąd to przeklęte bydlę, Czarusiu, zanim stanie się coś okropnego?

POŚLANIEC Możesz sobie spokojnie złożyć rączki na kolanach, śliczna pani, bo on nikomu krzywdy nie robi – jest tylko wesoły i wrażliwy. (*do Koguta*) Znasz paradny krok irlandzkiej milicji miasta Cork przed stu laty? No, to pomaszujemy sobie do domciu, jakbyśmy byli na defiladzie, i pokażemy światu, że nie ma takiej rzeczy, której by Irlandia nie знаła. Nasza milicja maszerując wyrzucała na przemian to lewą, to prawą nogę do góry, kiedy się to Niemcom w ogóle jeszcze nie śniło. Gotów? Raz, dwa... Maaarsz!

Posłaniec i Kogut maszerują jak pruscy żołnierze na paradzie wojskowej. Marion idzie za nimi naśladując ich, przy furtce staje i patrzy na drogę machając ręką na pożegnanie. Po wyjściu Koguta Michael i Mahan ukradkiem wracają do ogrodu, podchodzą do krzeseł i opadają na nie kompletnie wyczerpani, wycierając oczu chusteczkami. Shanaar zbliża się do nich bardzo powoli, nie odrywając oczu od ścieżki, na której znikł Kogut i Poślaniec. Stwierdziwszy, że ich nie widać, rozsiada się za stołem.

LORNA (*w oknie, do Marion*) Chodź do domu, Marion, pomożesz mi zrobić jaki taki porządek. (*odchodzi od okna*)

MARION (*idzie wolno rzucając ostatnie spojrzenia na ścieżkę, wesolo*) A to ci kozak ptaszysko. Godnie maszerował. (*kokieteryjnie trąca łokciem Michaela*) Widział pan? (*Michael nie reaguje*) Boże odpuść, ale sobie z nami potańcował, co?

MICHAEL (*chłodno*) Pani cię woła.

MARION Słyszałam, proszę pana. Cóż to był za harmider. A panowie wszyscy się trzęśli. Nawet panu marynarzowi trzęsły się portki, bo myślał, że to sam Zły.

MAHAN (*wściekły*) Idź do swojej pani!

MARION (*chichocze*) Taki kozak z pana marynarza. A miotało nim, jakby nigdy morza nie widział. To ci była heca patrzeć, jak się panowie szykują na tamten świat.

MICHAEL (*podnosi głos*) Idź do pani, jak ci każą!

MARION (*chichocze głośniej*) A dziad Shanaar trząsł się jak galareta klejąc tę swoją łacinę, ale schował się za mur, na wypadek jakby zatrąbiły trąby na Sąd Ostateczny. Macie takie ponure miny, że na pewno wam nie do śpiewu. (*śpiewa*) „Zobaczyć jeszcze raz ten łeb, usłyszeć jeszcze raz, jak pieje”. (*wbiega do domu w podskokach*)

SHANAAR (*ostrzegawczym szeptem*) Nie spuszczać tej z oka!

MICHAEL To ciemne dziewuszysko ma czelność się z nas wyśmiewać, kiedy mało brakowało, a byłibyśmy tam, gdzie by nas rodzona matka nie poznała.

SHANAAR Słodkie duszyczki niebieskie, miejcie nas w swej opiece. Nie spuszczać tej z oka, panie Marthraun! Kobity są w większej mocy Złego niż chłopcy. Dawniejsi święci dobrze to wiedzieli. Każ jej na początek bardziej przykryć grzeszne ciało, od góry i od dołu, bo okrągłości natury babskiej działają jak dynamit na próżniacze myśli chłopów.

MICHAEL (*zamyślony*) Święta prawda. Oj, święta prawda!

SHANAAR Nie wolno wam myśleć o tym, cośmy tu dziś widzieli i słyszeli, bo jeszcze ściągniemy na siebie z powrotem moce nieczyste. Wymiećcie te myśli, ab initio extensio, z głów waszych. Na wszelki wypadek powiadomię policję, jak będę przechodził koło komisariatu. Czas już na mnie, mam przed sobą daleką drogę. (*idzie do furtki i wraca*) A nie zapomnijcie, panie Marthraun, że pokój, w którym się to szkaradzieństwo odbywało, turbulento concursio kogutorum, musi być odkurzony i pokropiony przez umiejętnego duchownego. No, do widzenia. (*znów idzie do furtki i wraca*) Baczcie pilnie na wszelkie niezwyczajne poruszenie albo dziwne znaki, albo kwazimodyczne* szczegóła, które byście dostrzegli w znanych wam rzeczach albo stworzeniach pospolicie wam znanych. Na ten przykład: kot, co szczeka na psa, albo pies, co miauczy przy ognisku, może was przerazić, ale na miłość boską, nie zważajcie! To wszystko przez ten materializm, który jest biczem bożym. To ten materializm zwabia do nas moce piekielne.

MAHAN (*w zadumie*) Kompas wskazuje ten kierunek, dziadziu... Każdy myśli tylko o sobie.

SHANAAR A zło się pogłębia, bo baby chcą się bawić! Chłop zbawia teraz duszę kupując błyskotki dla dziewczuch, aby przykryć świecidełkami ohydę piekiel.

MICHAEL (*żarliwie*) Święta prawda, oj, święta prawda!

SHANAAR A te podrygiwania w salach tanecznych dopełniają dzieła zagłady.

MAHAN (*uroczyście*) Mądre słowa mądrego człowieka! Po jednej nocy spędzonej w takiej mordowni robotnik jest wykończony na amen.

SHANAAR (*szeptem*) Ostatnie ostrzeżenie... Pamiętajcie, że sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć złych duchów może się swobodnie pomieścić pod skórą jednego człowieka.

* Niewłaściwie użyte przez Shanaara słowo z I listu św. Piotra: quasi modo geniti infantes – jako dopiero narodzone niemowlęta.

MICHAEL (*przerażony*) Co za straszna myśl!

SHANAAR Strzeżcie się. No, do widzenia.

MICHAEL (*podaje mu banknot*) Macie tu funta, żeby wam nie zabrakło pieniędzy po drodze.

SHANAAR (*odsuwa banknot*) Nie, dziękuję wam. Gdybym to wziął, zatraciłbym duszę. Jak dacie szylinga, pięknie wam podziękuję... starczy na miskę stawy w mieście, zanim dotrę na wieś, a tam już mi pieniędzy nie trza. (*Michael daje mu szylinga*) Bóg zapłać!

Shanaar wychodzi przez furtką i wolno sunie wzdłuż muru. Na końcu ścieżki odwraca się i wyciąga rękę gestem błogosławieństwa, mówiąc żarliwie.

SHANAAR Ab tormentum sed absolvo, non revolvo kogutorum credulum hibernica.

MICHAEL (*wzruszony*) Was też, pocziwy Shanaarze. Was też.

Shanaar wychodzi.

MAHAN (*po pauzie, złośliwie*) Ten stary łaciniaty wariat, szafujący modlitwami, to niebezpieczny ptaszek na wolności.

MICHAEL (*zdumiony i obrażony*) Co takiego? Nie radzę ci nazywać go wariatem, marynarzu! Może lekko stuknięty czasem, ale nie wariat. Kto jak kto, ale ty nie powinieś mu wymyślać od wariatów, bo gdyby nie jego święte łacińskie dysertacje, może dawno cię tu już nie było!

MAHAN (*zrozpaczony*) Stary dureń weszły sztorm w byle zefirku. Nie wierzę, aby z tego koguta jako koguta mogło się zrodzić coś złego albo paskudnego. Stary piernik napycha tylko człowiekowi głowę tą łaciną z wiochy. A jak on pozwala sobie lekceważyć kobiety. Patrzył na Lornę i Marion, jakby miały rogi na głowie.

MICHAEL (*zastanawia się*) Może jest trochę za twardy dla kobiet, ale sam przyznasz, że kobiety kuszą.

MAHAN Nie kusilyby, gdyby nie wiedziały, że my chcemy, żeby one nas kusily!

MICHAEL Tak, ale musimy znosić pokusy zgodnie z nauką prawa kanonicznego. No to łyknijmy sobie... dusza we mnie wyschła od tej suszy... i pogadajmy sensowniej o tej podwyżce, choć Bogiem a prawdą, marynarzu, nie mogę dołożyć ani pół pensa do tego, co powiedziałem.

MAHAN Przydałaby się kropelka czegoś mocniejszego i moglibyśmy przy tym obgadać całą sprawę... choć Bogiem a prawdą, Michaelu Marthraun, niech mnie szlag trafi, jeżeli opuszczę choćby jednego pensa z tego, co już powiedziałem.

MICHAEL (*podchodzi do ganku i krzyczy w głąb domu*) Marion, daj no tu butelkę z dziesięciolatką. I dwa kieliszki. (*wraca*) Chodzi mi o zasadę.

MAHAN I mnie też. (*Marion przynosi butelkę whisky i duże szklanki. Staje między mężczyznami, żeby umieścić to na stole. Mahan czyta etykietę*) „Najprzedniejsza Flanagańska”. No i podana przez dziewczuchę pierwsza klasa!

MARION (*wesoło*) Odczep się pan... z tymi komplementami.

MICHAEL (*z zapalem*) Gdybyś żyła w dawnych czasach, królowa Saba byłaby o ciebie zazdrosna. (*zalotnie szczypie ją w tyłek*)

MARION (*piszczy*) Ouch! (*ucieka na ganek*) A to wstrętne zbereźniki! (*wchodzi do domu*)

MICHAEL (*wola za nią*) Zapomniałem o wodzie sodowej. Daj no tu syfon, dziewczucho.

MAHAN (*chętliwie*) Oj długo mógłbym trzymać tę dzierlatkę w ramionach, Mick.

MICHAEL Ten, kto by nie mógł, wolałby nie żyć.

MAHAN (*z zapalem*) Wziąłbym ją, nawet gdyby miała rogi na głowie, jak to się staremu Shanaarowi przywidziało.

Marion wraca z syfonem, który stawia na stole. Mężczyźni patrzą przed siebie, a na ich twarzach błkają się głupawe uśmieszki. Ogony kokardy na głowie Marion unoszą się do góry i wyglądają jak rozgałęzione rogi. Mężczyźni nie widzą

tego. Wyraz twarzy Marion zmienił się w szyderczo-cyniczny grymas, bardziej stosowny do rogów.

MARION (*zartobliwie*) Dwa dzikusy... strach do was podejść.

Michael obejmuje jej kibić prawym ramieniem, a Mahan lewym.

MAHAN (*chyttrze*) Może byś tak dała całusa, kochanie? Żeby osłodzić smak whisky!

MICHAEL I mnie też, co?

MARION (*z udaną surowością*) Prawdziwy dżentelmen wstałby i nie żądał od prawdziwej damy, żeby się pochylała do pocałunku. (*energicznie*) Wstańcie i pocałujcie, zanim wam przejdzie.

Wstają z głupimi minami i przygotowują się do pocałowania jej, w tym samym momencie zauważają rogi na jej głowie. Opadają na krzesła przerażeni.

MICHAEL i MAHAN Wielki Boże! (*osuwają się na krzesłach, ręce składają im się jak do modlitwy; Marion patrzy na nich zdumiona*)

MARION Co was ugryzło? Za wielkie szczęście czy jak?

MICHAEL (*blagalnie*) Święci pańscy, ratunku!

MARION Co was napadło? Osunęliście się na krzesła półzywi, jakbyście zobaczyli rogi na mojej głowie.

MICHAEL (*ochryple*) Precz stąd. Precz! Shanaarze, gdzie jesteś, Shanaarze?

MARION (*podchodzi do Mahana i obejmuje go za szyję*) *No, jak tam, wesoły marynarzu?*

MAHAN (*w gardle mu bulgocze ze strachu*) Dusisz mnie. Precz stąd. Precz!

MARION Całus dobrze ci robi. Za dużo rozmyślasz o świecie.

MAHAN (*dusi się*) Święty Krzysztofie, opoko marynarzy, stań przy mnie!

LORNA (*wysuwa głowę przez okno nad gankiem. Do Marion w dole*) Zostaw te strachajła, niech sobie sami radzą, a ty chodź do domu. Widzę z drugiego okna tłum. Ludziska się zebrali, żeby pożegnać Julię przed jej wyjazdem do Lourdes. Musisz się trochę ogarnąć, jak chcesz ze mną pójść.

MARION (*na wpół do siebie, biegnąc do domu*) Boże odpuść, na śmierć zapomniałam! Zabawiamy się zamiast szukać oparcia w modlitwie. (*wpada do domu, głowa Lorny znika z okna*)

MICHAEL (*przestraszony i bardzo zły*) Może wreszcie przestaniesz naigrawać się ze starego Shanaara! Może wreszcie zastanowisz się nad sprawami ducha! Może wreszcie przestaniesz latać za dziewczuchami!

MAHAN (*oburzony*) Psiakrew, tak samo chciałeś się pobawić jak ja.

MICHAEL (*wznosi oczy do nieba*) Słyszał to kto? Ja tylko jak kto głupi tolerowałem twoje wstrętne chucie. I to po tylu ostrzeżeniach starego Shanaara. Oj, marynarzu, będziesz ty musiał nieco lepiej na siebie uważać!

MAHAN (*broni się*) Kto by się spodziewał czegoś podobnego? Musimy się nad tym dobrze zastanowić.

MICHAEL (*zrozpaczony*) Zastanowić! Człowieku, czy ty już nie masz nic mądrzejszego do powiedzenia? Zastanowić się!

MAHAN Napijmy się, na miłość boską, żeby się uspokoić.

MICHAEL (*szybko chowa butelkę i szklaneczki pod stół*) Co ci w głowie, marynarzu? Nie możemy sami sobie udzielić dyspensy na libację, kiedy biedna Julia wyjeżdża do Lourdes.

Na ścieżce widzimy Julię na noszach dźwiganych przez obu Robotników. Za noszami postępuje ojciec Julii. Robotnicy stawiają nosze przed furtką w taki sposób, że głowa chorej znajduje się w obramowaniu furki, a reszta ciała w ogrodzie. Julia, oparta o dużą poduszkę, jest w pozycji na wpół siedzącej. Jej twarz to smutna żółto-woskowa maska z otworami dużych podkrążonych oczu. Ojciec jej to krzepki pięćdziesięcioletni wieśniak z siwiejącą brodą. Ubrany jest jak biedny chłop, w polatane proste odzienie. Na szyi ma szalik, a na głowie wyblakły filcowy kapelusz. Przez cały czas patrzy

przed siebie obojętnym nieruchomym wzrokiem. Przed noszami kroczy Burmistrz. Jest to otyły mężczyzna, gładko wygolony, w czerwonej todze narzuconej na chłopskie ubranie. Na głowie ma bardzo szeroki trójgraniasty kapelusz obramowany złotem. Za nim postępuje Funkcjonariusz rady miejskiej z wielką srebrno-czarną buławą na ramieniu. Jest to wysoki mężczyzna w jaskrawoniebieskiej todze lamowanej srebrem, w szerokim pirogu na głowie, lamowanym srebrem. Burmistrz i Funkcjonariusz nie wchodzi do ogrodu, tylko stoją niedaleko domu po drugiej stronie muru. Lorna i Marion wychodzą z domu. Zamiast kolorowych ozdób mają na głowach czarne chustki zawiązane po chłopsku pod brodą. Lorna podbiega do noszy, klęka i całuje Julię.

LORNA (*czule*) Moja siostrzyczko, moja mała Julio, och, jakże mi przykro, że musisz pojechać w tę daleką, smutną podróż.

JULIA (*cichym, lecz pełnym gorącej nadziei głosem*) Daleka, kochana Lorna, ale nie smutna, och nie, nie smutna! Nadzieja będzie mnie prowadziła. Jdę, żeby upaść do stóp Najświętszej Pani.

LORNA Ona cię pocieszy, kochanie.

JULIA Ona mnie pocieszy! (*po pauzie*) I uzdrowi! Lorna, powiedz, że mnie uzdrowi!

LORNA (*opanowuje szloch*) I uzdrowi, kochanie!

JULIA (*do Michaela*) Proszę mi życzyć szczęścia, panie Marthraun.

MICHAEL (*szczerze wzruszony*) Moje najlepsze życzenia i najżarliwsze modlitwy będą ci towarzyszyć przez całą drogę, kochana Julio.

JULIA (*do Mahana*) A pan, marynarzu? Nie chce pan życzyć szczęścia biednej podróżniczce?

MAHAN (*z przejęciem*) Obyś przepłynęła przez uzdrawiające morze i wróciła jak najlepszy kliper, oby ci żaden maszt, żaden żagiel, żadna lina nie szwankowała.

Ukazuje się Ojciec Domineer idący ścieżką szybkim krokiem. To wysoki, korpulentny mężczyzna, około czterdziestoletni. Twarz ma w tym momencie pogodną, ponieważ jego zadaniem jest teraz obudzić stracone nadzieje. Stara się uśmiechnąć, ale żeby nie wiem jak się wysilał, twarde, zgorzkniałe rysy jego twarzy nie poddają się uśmiechowi. Ma na sobie sutannę, a na głowie miękki kapelusz z szerokim rondem.

OJCIEC DOMINEER (*tak radośnie, jak potrafi*) Żadnych postojów po drodze, moja córeczko. Pociąg nie będzie czekał. Musimy mieć dość czasu, aby cię wygodnie ułożyć. W drogę, panowie. Naprzód – w imię Boga Ojca i Maryi, Najświętszej Pani, zawsze gotowej wspomagać biedne, wygnane z rajy dzieci Ewy.

Robotnicy podnoszą nosze i wychodzą na ścieżkę. Za nimi postępuje Funkcjonariusz z buławą. Burmistrz otwiera pochód. Ojciec Domineer idzie tuż za noszami, za nim idą Lorna i Marion, a Michael i Mahan w drugiej parze. W oddali słychać orkiestrę grającą „Gwiazdę Morza” i śpiew tłumu:

Ave, Gwiazdo Morza,

Święta Matko Boża,

Także zawsze Panno Szczęsna niebios bramo.

Okaż się nam matką,

Przez Cię próśb niech słucha,

Który dla nas zrodzon,

Raczył być Twym Synem.

OJCIEC DOMINEER (*z zapalem*) Cud się stanie. Wspaniały cud. Do Lourdes!

Scena druga

Scena wygląda jak poprzednio, choć słońce nie jest już tak olśniewające. Flaga irlandzka powiewa wesoło na wietrze. Stół i krzesła stoją na tych samych miejscach, a butelka i szklaneczki są pod stołem. W ogrodzie nie ma nikogo, bo wszyscy poszli odprowadzić Julię. W dali słychać orkiestrę grającą „Gwiazdę Mo-

rza". Po kilku chwilach na ścieżce ukazuje się Lorna i Marion. Wchodzą do ogrodu i kierują się do domu.

MARION (*zatroskana*) Myśli pani, że Julia ma szansę powrotu do zdrowia?

LORNA Bardzo w to wątpię. Ale nie mówmy o tym.

MARION (*z nutą pobożności w głosie*) Ale pożegnanie miała wspaniałe, a Bóg jest dobry.

LORNA (*chłodno*) I diabeł nie jest zły. (*wchodzą do domu; po krótkiej pauzie na ścieżce ukazuje się Michael i Mahan. Podchodzą do stołu*)

MAHAN No więc, kotwica podniesiona.

MICHAEL Bardzo to był budujący widok, marynarzu. Zapomnieliśmy na chwilę o przyziemnym świecie. Julia modliła się o znak i zapewniam cię, że będzie jej dany.

MAHAN Będzie, będzie, chociaż ja bym się nie założył.

MICHAEL Będzie jej dane to, czego pragnie – całkowite uzdrowienie. Hojną ręką dałem całe pięćdziesiąt funtów za to torfowisko, ale to nie są wyrzucone pieniądze. Tyle modłów... od burmistrza do dzwonnika wszyscy się modlili... to poruzy ważniejszych świętych, przekona ich, żeby w należyty sposób odpowiedzieli na nasze modły.

MAHAN (*niecierpliwie*) Ach, człowieku, człowieku, tobie się zdaje, że szyper tam w niebiosach i jego błyszcząca załoga coś sobie robią z modłów nędzarzy klepiących biedę w jakiejś tam marnej dziurze.

MICHAEL (*oburzony*) Gdybyś ty miał jakieś pojęcie o obietnicy danej raz na zawsze w Ewangelii świętej, to byś wiedział, że dla Pana naszego tam w górze również ważna jest marna dziura, jak wielkie miasto, gdzie całe zastępy kardynałów paradują sobie w dobrobycie, niczym obrazy święte z purpury i złota.

MAHAN (*też oburzony*) Chcesz mi wmówić, że szyper gdzieś tam w górze i jego hierarchologiczna załoga przejmują się burmistrzem, posłańcem, Marion, mną i tobą tak samo jak tymi facetami, co zaawansowali na mostek kapitański? Porównujesz nasze żałosne żale z wyśpiewywaniem różańca przez takie asy jak sam Bing Crosby i inne gwiazdy filmowe, kiedy na dwie minuty łaskawie zdejmą korony z głów, aby przez radio wezwać wszystkich katolików do masowych modłów?

MICHAEL (*siada*) Musisz ty zrobić sobie porządek w głowie, marynarzu.

Podczas rozmowy Mahana z Michaelem nadbiegł ścieżką Posłaniec i stoi teraz oparty o mur, nie zauważony przez tych, których rozmowę podслуshuje.

MAHAN (*też opada na krzesło, z oburzeniem*) Chyba zapominasz, do kogo mówisz, człowieku! Zrobić sobie porządek w głowie! Dobre sobie. A czy człowiek, co zboczył z kursu z powodu katastrofy, czyli zrzędzenia Opatrzności, któremu jednak udało się przeorać przez Morze Sargassowe i wypłynąć na otwarte wody, kiedy nie było już cienia nadziei – czy on ma porządek w głowie?

MICHAEL (*zmęczony*) A cóż to ma wspólnego ze sprawami nieba?

POSŁANIEC Mick ma rację. Każda rzecz ma swój porządek.

MAHAN (*ostro do Posłańca*) Czego tu chcesz? Ciemnogród z ciebie. Nie potrafisz zrozumieć, o czym my mówimy.

POSŁANIEC (*lekko podniecony*) Muszę wam zadać pytanie, chłopcy.

MICHAEL (*pokazuje gestem, że nie czas teraz na pytania*) Kiedy indziej. I nie nazywaj nas chłopcami. Dla ciebie jesteśmy dżentelmeni, rozumiesz?

MAHAN (*do Michaela*) Żebyś ty słyszał, jak ten Bing Crosby grucha irlandzką kołysankę. (*śpiewa*) „Tural, ural, ural, tural, uraj, ej.” Zrozumiałbyś wtedy, jak on by potrafił rozpaść miliony wielbicieli, gdyby zagruchał coś nabożnego.

POSŁANIEC Nigdy nie przepadałem za gruchaniem Binga.

MICHAEL (*wścickły, do Posłańca*) Co ty mówisz? A kim ty w ogóle jesteś, jasna cholera, żebym miał się ciebie pytać, czy przepadałeś, czy nie? Nie stój tam i nie mieszaj

się do poważnej dysputy mądrzejszych od ciebie. *(do Mahana)* Każdy ksiądz ci to powie, że w oczach niebios wszyscy ludzie są równi i wszyscy muszą być jednakowo szanowani i poważani.

MAHAN *(szydlerczo)* Pewnie, że powie... tobie i mnie, ale czy powie to Bingowi Crosby'emu albo innej sławnej gwiazdce filmowej?

POŚLANIEC Czekaj tatka latka. Księża rozdają honory zależnie od tego, ile kilent zapłaci.

MICHAEL *(wściekły)* Wynocha stąd, do stu diabłów! Taka gadanina sprowadzi tu coś złego i w końcu człowiek nie da rady spokojnie na krześle usiedzieć. Ooch! *(krzesło rozpada się pod nim, a on spada uderzając tyłkiem o ziemię)*

MAHAN *(przerażony)* Święci Pańscy, co się stało?

MICHAEL *(szepem, do Mahana)* Uważaj, że nic, idioto! Gadaj coś.

MAHAN *(nieco zmieszany)* Masz rację, Mick. Jak tak dalej pójdzie, nie będziemy mogli nawet na krzesłach spokojnie usiedzieć. Ooch! *(krzesło również pod nim łamie się i on także uderza tyłkiem o ziemię)*

MICHAEL *(wściekłym szepem)* Nie zważaj. Mów, jakby się nic nie stało

POŚLANIEC *(ubawiony)* Teraz to przynajmniej mocno siedzicie. Czy mam naprawić krzesła tak, żeby wytrzymały waszą mądrość?

MICHAEL *(rozsierdzony)* Krzesłom nic nie brakuje. Wynoś mi się stąd. Zydłom nic a nic nie brakuje. Poszoł... do ciebie też nie mam zaufania

POŚLANIEC Muszę was zapytać o coś ważnego.

MICHAEL Powiedziałem ci już... kiedy indziej. *(do Mahana)* Łaska boska, że mamy jeszcze w kraju tyle starych świętych przybytków, które nas mogą chronić przed złem.

POŚLANIEC *(pogardliwie)* A gdzie wy macie te stare, święte przybytki? Ludzie już dawno temu powędrowali na Zachód, a kraj poorany jest kościołami w gruzach.

MICHAEL *(wrzeszczy na Poślańca)* A niby gdzie są te ruiny? Bo my to zawsze dbaliśmy o nasze kościoły i czciliśmy je. Może wymienisz choć jeden kościół w gruzach?

POŚLANIEC *(też krzyczy)* Mogę ich wymienić tysiące. Klasztory ufundowane przez Finiana, Finbara i innych świętych mężów. Pozostały z nich tylko rozsypujące się mury, trawione przez pokrzywy i szczaw kobyli, i jedynym powodem do ich chwały są czerwone jagody jarzębiny. A gdzie jest siedem Kościołów Glendalough? Gdzie Durrow, klasztor ufundowany przez samego Kolumbana? Wiemy o nim tylko z Księgi Durrow.

MICHAEL *(z pianą na ustach)* Księga Durrow. Książki są naszym największym nieszczęściem! Zapychają tylko ludziom głowy rozpustną scholastyką, podważają święte wierzenia i stwierdzone cuda, dokonane przez nałożenie rąk... wierzenia ojców naszych ojców, przekazane przez naszych ojców nam.

POŚLANIEC Wierzenia... Wiarą waszych ojców jest strach i strach jest waszą jedyną przyjemnością.

MAHAN *(niecierpliwie)* Niech on sobie idzie, Mick, i napijmy się wreszcie tej whisky, którą obiecujesz od wieków.

Marion ukazuje się w oknie i patrzy na Poślańca. Przybranie jej głowy wygląda teraz jak na początku. Rogi znikły.

MARION Halo, Czarusiu!

Mahan patrzy w górę.

MARION Gdzie są te stare kraczące kruki?

Mahan pokazuje ręką.

MARION Przynieśli sobie nadłamane krzesła, a teraz całkiem je połamali. *(do Michaela, ze złością)* Pan przecież wiedział, że te krzesła stały w holu tylko od parady.

POŚLANIEC Och, Marion, Marion, najmilsza Marion. Zejdź tu, abym ci mógł dać gorącego całusa... Zżera mnie tęsknota wszystkich wielkich kochanków przeszłości.

MARION Przestań, nieznośny urwisie! *(znika z okna)*

MICHAEL (*kwaśno*) Mam ci przypomnieć, że raz już dostałeś miesiąc więzienia za całowanie Marion, a ona zapłaciła czterdzieści szylingów kary za całowanie się z tobą publicznie na skrzyżowaniu dróg?

Marion wychodzi z domu i podchodzi do Posłańca, który chwyta ją w ramiona i całuje.

POSŁANIEC Posiedziałbym i rok w zimnej, samotnej celi i wyszedłbym z więzienia ze śpiewem na ustach za jednego całusa od takiej królowny jak Marion.

MARION Nie myśl o mnie zbyt dobrze, Czarusiu, bo ja mam w sobie diablika, a te dwa strachajął myślą, że mi w świąteczne dni wyrastają rogi nad czołem.

MICHAEL Widzisz, młodzieńcze, ona sama cię ostrzega.

MARION (*do Posłańca*) A właściwie to po coś tu przyszedł, kłócić się z tymi starymi durniami?

POSŁANIEC Przyszedłem, żeby ich o coś zapytać, ale byli zatopieni w modłach. Widzieliście go może? Nie przechodził tędy?

MICHAEL (*przestraszony*) Przechodził którądy?

MAHAN (*przeżony*) Kogo czy widzieliśmy?

POSŁANIEC Koguta.

MICHAEL I MAHAN Koguta! (*ostrożnie odpełzają od złamanych krzesel i podnoszą się niejakiej od nich odległości*)

POSŁANIEC Aha. Pomyślałem sobie, że pewnie najpierw tu pomknie.

MICHAEL (*powtarza jak echo*) Najpierw tu pomknie.

Z daleka słychać głośnie pianie koguta.

POSŁANIEC (*radośnie*) Jest! Widzę go tam, na wschód od torfowiska, Pójdę po niego i zaniosę go do domu.

MICHAEL (*poruszony*) Słyszałeś, co ona powiedziała, marynarzu? Zawiesi mu na szyi wieniec róż.

POSŁANIEC (*biegnie*) Dobrze, dobrze, moja śliczna.

Posłaniec znika. Marion odnosi połamane krzesła do domu.

MARION Następnym razem weźcie sobie całe krzesła.

MICHAEL (*przeżony*) Słyszałeś, co powiedziała, marynarzu? Zawiesi mu na szyi wieniec z róż. Zobaczymy! Idę po strzelbę! (*idzie w stronę ganku, ale Mahan zatrzymuje go kładąc mu rękę na ramieniu*)

MAHAN A na co ci ta strzelba? Zapomniałeś, co powiedział Shanaar? Kula przeszła by na wylot nie raniąc go nawet. Cieszymy się, że nareszcie mamy spokój, i daj wreszcie to whisky. Przyda się nam obu.

MICHAEL (*waha się*) Masz rację, marynarzu. Gdyby tu się zjawił, musimy o tym pamiętać i nie zwracać na niego uwagi. Musimy patrzeć przez niego, mimo niego, obok niego, ale nigdy na niego. (*szykuje kieliszki*) Wszędzie na około dzieje się tu jakaś straszna nigromancja. Niech Bóg stanie między nami a Złym. Trzeba się zawsze mieć na baczności.

MAHAN (*niecierpliwie*) Dobrze, dobrze... nalejesz wreszcie, czy nie?

MICHAEL Wypijemy, aby sobie dodać ducha. (*pochyla butelkę nad szklaneczką, lecz nic się nie leje*) Boże wielki, butelka też zaczarowana!

MAHAN Butelka zaczarowana? Jak to możliwe? Uspokój się, człowieku. Potrząśnij nią porządnie.

MICHAEL (*stawia butelkę z powrotem na stole i odsuwa się*) Sam potrząśnij, jak jesteś taki zuch.

Mahan podchodzi do stołu z udaną swobodą i ostrożnie dotyka butelki. Pod jego dotknięciem kolor płynu staje się jaskrawoczerwony.

MAHAN (*żarliwie, ze strachem*) Święty Krzysztofie, patronie marynarzy, chroń nas... butelka zmieniła kolor!

MICHAEL Tu się aż roi od demonów. Widziałeś lak na butelce, nikt jej nie tknął, odkąd została przyniesiona ze sklepu. Najprzedniejsza flanagańska, dziesięć lat dojrzewała i popatrz, co się z nią dzieje.

MAHAN Co tu zrobić, żeby nie paść ofiarą nigromancji i zatracenia? Człowiek by myślał, że nawet najohydniejszy z ohydnych biesów nie potrafi zepsuć dobrej whisky.

MICHAEL Kobiety zawsze obracają w niwecz nasze dobre intencje. Nieczysta siła czyha na nas na każdym kroku. Jedyna ucieczka od Złego, to wyjść mu naprzeciw w pół drogi. (*podchodzi do Mahana i szeptem ochryple*) Selah!*

MAHAN (*przestraszony, bo nie rozumie tego słowa, które wydaje mu się czymś strasznym*) Selah?

MICHAEL (*z naciskiem*) Selah!

MAHAN (*zamiera ze strachu*) Boże na wysokościach!

MICHAEL Może uwierzysz nareszcie, że misjonarz mówił wczoraj prawdę.

MAHAN (*z powątpiewaniem*) Czy aby kapkę nie przesadził, Mick?

MICHAEL Spójrz na butelkę, człowieku. Demony potrafią się zadekować w pianie piwa, które człowiek popija. Tymczasem moi robotnicy i twoi kierowcy wyciskają z nas ostatniego grosza, żeby się zabawić w kinie albo na tańcach, a my musimy tu zupełnie sami rozprawić się z nieczystym.

MAHAN (*zupelnie upadł na duchu*) No to co ma robić biedny, przywoity człowiek?

MICHAEL Powinien bez przerwy myśleć o czterech rzeczach ostatecznych: o piekle, niebie, śmierci i Sądzie Ostatecznym.

MAHAN Przecież człowiek by zupełnie sobie nerwy stargał i nie warto byłoby żyć.

MICHAEL Od razu widać, marynarzu, że tobie jeszcze ciągle zachciewa się marności tego świata, dotyku miękkości kobiecego ciała. Przez ciebie zagraża nam obu śmiertelne niebezpieczeństwo.

MAHAN (*protestuje*) Przesadzasz!

MICHAEL Ani trochę. Widziałem, jak ci oczy na wierzch wyłażą i jak zezujesz na nogi tej Loreleen. Będziesz musiał opanować swoje chucie i zrobić ze sobą porządek, marynarzu, bo sprowadzisz na nas śmiertelne niebezpieczeństwo. Już i tak jestem nieźle stratny. Mój wspaniały jedwabny cylinder cały w strzępach, Lorna musiała telefonować do sklepu po nowy, abym mógł godnie wystąpić na powitanie Jego Światłości, Prezydenta. Teraz znów ta whisky... przecież to pojęcie przechodzi – whisky nie jest whisky – a wszystko przez to, że jakiś pomniejszy demon ją zaczarował. Czy zdajesz sobie sprawę, ile teraz kosztuje zarobionych groszy kosztowała?

MAHAN Pojęcia nie mam, ile teraz kosztuje baryłka whisky.

MICHAEL (*poirytowany*) Baryłki ci się marzą. Czy i ty jesteś zaczarowany, marynarzu? Whisky nie mierzy się teraz na baryłki, ale na łyki, i to łyki tak rzadkie jak święta kościelne.

MAHAN Powiedz lepiej, jak się mamy pozbyć tej wódeczności, bo tak długo jak ona tu stoi, jesteśmy w niebezpieczeństwie.

MICHAEL A skąd ja to mam wiedzieć, do cholery? Trzeba będzie sprowadzić Shanaara, aby wykurzył demona... a ty się nie zbliżaj do tego.

Na ścieżce ukazuje się Goniec – mężczyzna w średnim wieku z upartą twarzą i szpakowatą brodą. Ma na sobie znoszone brązowe spodnie, starą popielatą marynarkę i spraną niebieską koszulę. Na głowie nasadzoną ma wielką czapkę z dużym daszkiem. Denko czapki jest wysokie i przepasane szeroką, jaskrawo szkarłatną wstążką. Goniec niesie paczkę owiniętą w brązowy papier. Oba rogi paczki są lekko naddarte. Goniec rozgląda się: na południe, północ i zachód, a zwróciwszy się na wschód, dostrzega obu mężczyzn w ogrodzie.

* Hebrajskie słowo często używane pod koniec wersetu w psalterzu. Prawdopodobnie wskazówka liturgiczna oznaczająca pauzę.

GONIEC Czy ja nie mam odrobiny szczęścia, że udało mi się trafić na jakichś na ludzi w tej zatraconej dziurze? Nogi już sobie zdarłem szukając tego faceta, do którego należy to, co mam w tej paczce. Może wy dwaj, a może któryś z was powie mi, gdzie mam tego faceta szukać. To starszy jegomość, który mianuje się radnym i sędzią pokoju.

MICHAEL A jak się nazywa?

GONIEC A żebym to ja wiedział. Ta smarkula w sklepie najpierw zapomniała zapisać jego nazwisko, a potem, jak się już zabrała żeby je zapisać, to się okazało, że zapomniała, co to za nazwisko. Powiedzieli, że mam znaleźć w tej okolicy jakiegoś radnego, takiego faceta, co przy głowie ma tytuł radnego, a siedzi na stołku sędziego pokoju.

MICHAEL (z *godnością*) Ja jestem radnym i sędzią pokoju w jednej osobie.

GONIEC (z *odcieniem pogardy w głosie*) Teraz mi to pan mówi? (*przechyla się przez mur, aby być bliżej Michaela*) Posłuchajcie, dobry człowieku... Za długo tu szedłem, żeby mi się chciało odgrywać półgłówka. Dziwna by to była miejscowość, gdybyście wy tu mieli być radnym. Za mało jeszcze macie na głowie siwych włosów, abyście mogli mnie nabrać.

MICHAEL (*oburzony*) Powiedzcie lepiej, co tam macie, człowieku, a jak to nie dla mnie, idźcie sobie swoją drogą.

GONIEC (*zły*) Z was też człowiek. Cóż to za maniery. Nie na takie głowy są potrzebne lśniące cylindry.

MICHAEL Jeżeli tam macie cylinder, to będzie dla mnie. Ja jestem pan Marthraun, radny i sędzia pokoju w jednej osobie. To ja kazałem, żeby mi ekspresem przysłano cylinder z firmy Buckley.

GONIEC (*od razu staje się układny*) To moja firma. Od razu poznałem, że to o pana chodzi. Z miejsca! „To musi być jakiś przywódca w tym okręgu” – pomyślałem sobie, jak tylko pana zobaczyłem. „To znakomity, godny, mądry człowiek” – powiedziałem sobie.

MICHAEL (*szorstko*) Dajcie mi tu cylinder i możecie odejść.

GONIEC Chwileczkę, proszę pana. Muszę panu coś powiedzieć. (*zaczyna wyjmować cylinder z paczki*) Cylinder został kapkę uszkodzony w tranzycie.

MICHAEL Uszkodzony? A jakżeście tego dowiedzieli, do diabła?

GONIEC Ja dokazałem? O, nie, proszę pana! (*wychyla się jeszcze bardziej przez mur*) Ktoś przetrzelił cylinder po drodze... kula przeszła ze wschodu na zachód.

MICHAEL Co za brednie. Kto by strzelał w tej okolicy?

GONIEC Też bym chciał to wiedzieć. Na tym polega cała tajemnica. Ale to była kula jak się patrzy. Ludziska pletli, że policja chciała ubić jakiegoś złego ducha, co przyjął na siebie postać ptaka.

MICHAEL (*przeżony*) Kogut!

GONIEC (*ostrożnie kładzie cylinder na murze*) Żle się dzieje, a ja mam porządnego stracha. Przydałaby mi się kropelka z tej przystojnej flaszeczki tak pięknie ustawionej na stole.

MICHAEL (*wyrazistym szeptem*) Nie można jej tknąć, bo byłoby nieszczęście. Ta flaszka jest zaczarowana!

GONIEC Zaczarowana? Gdzież to mnie zaniósł moje biedne nogi? Powinienem był zostać w domu, zanim tu przyszedłem. Tak mi jakoś nieswojo, jakby i ze mną coś zaczynało się dziać. (*słychać strzał, cylinder spada z muru na ścieżkę*) Rany boskie, jeszcze jeden!

MAHAN (*z denerwowany*) To przez waszą czapkę. Przez tę czerwoną wstążkę na waszej czapce.

GONIEC (*podnosi szybko cylinder z ziemi i podaje go Michaelowi*) Proszę wziąć swój cylinder i dobrze go schować. Na mnie już czas.

- MICHAEL (*przestraszony i zły*) Odnieście go z powrotem, bo jest uszkodzony. Zabierzcie go, człowieku.
- GONIEC (*głośno i ze złością*) Sami jesteście człowiekiem! Nie mam ochoty czekać, aż kula przebije mnie, zamiast trafić w ten zatracony cylinder. (*rzuca cylinder w stronę mężczyzn*) Weźcie sobie to cylindrzysko razem z ryzykiem. Róbcie z tym, co chcecie, róbcie z tym, co możecie. Już mnie nie ma. (*ucieka w kierunku, z którego przyszedł; pozostali patrzą niepewnie na cylinder leżący na trawie*)
- MICHAEL (*drżącym głosem*) Cóż to za banda tchórzów zamieszkuje ten kraj... żeby zostawić nieszczęsnego człowieka samego na pastwę wątpliwości. Będę się bał włożyć toto na głowę.
- MAHAN Otrząsnijże się, Mick. Nie będziesz się przecież bał nieszczęsnego cylindra i nie wyrzucisz w błoto dziesięć funtów.
Mahan podchodzi do cylindra, ale Michael przytrzymuje go za ramię.
- MICHAEL (*ostrzegawczo i błagalnie*) Nie dotykaj tego, zobaczymy, co będzie dalej.
Na ścieżce za murem ukazuje się Sierżant. W rękę trzyma karabin. Opiera się o mur spoglądając na obu mężczyzn. Widać, że miota nim strach i niepokój.
- SIERŻANT Nie widzieliście go, panowie? Nie przechodził przypadkiem tędy?
- MICHAEL (*bez tchu ze strachu*) Nie, nie, jeszcze nie. (*błagalnie*) Niech się sierżant tu nie kręci. Sierżant go tylko na nas sprowadzi.
- SIERŻANT (*głuchy na to błaganie*) Trzy razy do niego strzeliłem... trzy razy kule przeszły go na wylot i dwa razy to ptaszycło odleciało sobie piejąc.
- MICHAEL (*zdeenerwowany*) Dostał go sierżant za trzecim razem? Dostał go sierżant?
- SIERŻANT Poczekajcie, aż wam dokładnie opowiem. Dziwne i niestworzone rzeczy zaczynają się dziać na naszej świętej ziemi. Czy ja kiedykolwiek zapomnę, co się stało za trzecim razem, jakem go kropnął? Nigdy, przენigdy! To cud i łaska Boża, że jeszcze żyję po tym strachu, którego się najadł razem z hukiem strzałów.
- MICHAEL (*skwapliwie*) No i co się stało, jak go sierżant kropnął?
- MAHAN (*tak samo*) W jaki sposób kopnął go sierżant za trzecim razem?
- SIERŻANT Nigdy tego nie zgadnicie.
- MICHAEL (*niecierpliwie*) Wiemy, że nie zgadniemy. Nikt nie zgadnie demonologicznych sztuczek.
- MAHAN Powiedźcie wreszcie bez tych zagmatwanych zagadek.
- SIERŻANT Jak mnie tu widzicie, jak widzicie ten karabin w mojej lewej ręce. (*trzymając karabin w prawej*) Jak wszyscy jesteśmy nieszczęsnymi i jawnymi grzesznikami, tak kiedym go kropnął po raz trzeci, zaczął się zamieniać w...
- MICHAEL I MAHAN W co?
- SIERŻANT (*szeptem*) No jak myślicie, w co?
- MICHAEL (*wybuchą*) My nic nie myślimy, my nie potrafimy myśleć, my już jesteśmy poza myśleniem. Czekamy, abyście nam powiedzieli.
- SIERŻANT Omalom ducha nie wyzionął, jakem zobaczył tę nieczystą sztuczkę, rzecz niemożliwa działa się na moich oczach. Nigdy w życiu tak się nie modliłem... o otuchę... o świętą opiekę w tej strasznej opresji... o to, abym został przy zdrowych zmysłach, jak ta maskara wreszcie zniknie.
- MICHAEL Jaka maskara, jaka maskara, człowieku?
- MAHAN (*rozpaczliwie*) Spróbujcie nam opowiedzieć, sierżancie, coście tam widzieli.
- SIERŻANT Zaraz. Ponieważ tego, co widziałem, nie widział przede mną żaden człowiek, więc człowiekowi niełatwo rzeczowo i dokładnie opisać myśli, które przełatywały przez moją przerażoną głowę, kiedym zobaczył, co się działo, a przecież dziać się nie mogło, a jednak działo się i tu, i tam, i sam, i nie wiem sam.
- MICHAEL (*błagalnie*) Zmiłujcie się, sierżancie... umieramy, żeby usłyszeć, coście widzieli... nie możemy przecież tak umierać ze strachu do końca życia.

SIERŻANT No więc tak, jak powiadam... patrzę ja na ten szkarłatny grzebień Koguta, który wyciąga szyję w górę, aby zapaść, podnoszę karabin do strzału i kropię... aż tu wszystko wokół pociemniało jak sadze i czerwona błyskawica omal mnie nie oslepiła... po jakiejś sekundzie rozwidniło się, patrzę, a ten Kogut, nieczysta siła, zamienia się właśnie w lśniący jedwabny cylinder.

MICHAEL (*przeżony*) W jedwabny cylinder!

MAHAN W lśniący cylinder!

MICHAEL (*złośliwie, do Mahana*) Teraz już przestaniesz pokpiwać z tego, co święty misjonarz powiedział o potwornych i paskudnych sztuczkiach Złego, co się zawsze pęta między nami. Teraz widzisz wreszcie znaczącość tych rzeczy.

MAHAN (*odsuwa się jak najdalej od cylindra leżącego na trawie*) Sterujmy jak najdalej od tego paskudztwa, odpłynmy jak najdalej. Bierzmy kurs w tył.

SIERŻANT (*nie rozumie*) Jak najdalej od czego?

MAHAN (*wskazuje cylinder*) Od cylindra, człowieku, od cylindra!

SIERŻANT (*dostrzega cylinder tuż przy sobie i odskakuje*) Omałom nie dotknął ronda. Jezusie! Trzeba mnie było ostrzec.

MICHAEL (*na ucho Sierżantowi*) Czy tak wyglądała maskara, do której strzelaliście?

SIERŻANT (*kładzie rękę na ramieniu Michaela*) Kubek w kubek. Właśnie w ten cylinder zamieniał się nieczysty, kiedy się błysnęło. Podniosłem tylko karabin, ot tak, (*podnosi karabin*) żeby strzelić.

Ciemności nagle okrywają ogród na kilka sekund. Ostre światło błyskawicy je przesywa, cylinder znika, a na jego miejscu pojawia się Kogut. Kiedy zaczyna się błyskać, Kogut pieje na cały głos. Gwałtownie się rozwidnia. Nie ma już cylindra ani Koguta. Michael i Mahan leżą plackiem na trawie. Sierżant klęczy, jakby się modlił.

SIERŻANT Święty Kustodiuszu, patronie policji, chroń mnie!

MICHAEL (*szeptem*) Jesteś tu, marynarzu?

MAHAN (*szeptem*) Jesteś tu, panie Marthraun?

MICHAEL Koniec ze mną!

MAHAN Koniec z tobą i ze mną!

SIERŻANT Koniec z nami wszystkimi!

MAHAN Już czuję palący zapach siarki piekielnej.

MICHAEL Teraz przestaniesz się naigrawać z Shanaara, jeżeli jeszcze nie jest za późno. Widziałeś piekielną ozdobę na głowie Marion, a niedługo i Lorna dostanie rogów.

SIERŻANT (*siada na lewo od Michaela, po prawej ręce ma Mahana ze strachu musi na kogoś krzyżeć*) Trzeba będzie skończyć z tym uganiem się bab za chłopami. W domu ich miejsce i tam niech siedzą! Księża sobie już języki postrzępili, aby im to wyklarować. Muszą zrozumieć, że tylko dom jest ich właściwym miejscem!

MICHAEL I płać na tych, co bajdurzą o książkach.

SIERŻANT (*podnosi głos*) Te książki to największe przekleństwo... książki, których żaden porządny człowiek nie powinien tknąć ani na oczy widzieć.

MICHAEL (*ostrzegawczo*) Szszsz. Nie krzyczcie tak, bo pomniejsze czarty was usłyszą.

SIERŻANT (*przeżony*) Pomniejsze czarty, jakie pomniejsze czarty?

MAHAN (*szeptem, pokazuje ręką*) Demon w tej butelce.

SIERŻANT (*dopiero teraz dostrzega butelkę*) Dlaczego, co w niej jest?

MICHAEL Była tam najprzedniejsza whisky, dopóki jakiś zły duch jej nie zaczarował i teraz nie nadaje się do picia.

SIERŻANT (*nie wierzy*) Nie wierzę. Dobry trunek zawsze zostanie dobrym trunkiem. Przydałby się nam łyżeczek w tej chwili. (*ostroźnie zbliża się do stołu*)

- MICHAEL (*zdeenerwowany*) Zostaw tę butelkę w spokoju, człowieku. Nie złość go!
Sierżant podchodzi na palcach do stołu, wyciąga rękę i dotyka butelki. Natychmiast wydadaje z siebie ryk i odskakuje w tył.
- SIERŻANT Boże, gorąca jak piekło!
- MAHAN (*wściekły*) Powiedziano wam, abyście tego nie ruszali. Sprowadzicie na nas jeszcze gorsze nieszczęście.
- MICHAEL (*wrzeszczy*) Boże wielki, czy wy nie potraficie zrobić tego, co wam każą?
Rozzłościście tylko tego bezczelnego czarta.
- SIERŻANT (*dmucha na rękę*) W niezłą kabałę wdepnęliśmy, skoro byle diabeł może się usadowić w butelce.
- MICHAEL Tu aż gęsto od nich. Sierżancie, pilnujcie drogi od północy, ty marynarzu od południa, a ja będę miał oko na dom.
Mahan i Sierżant idą w odwrotnych kierunkach wzdłuż muru i przechylają się przezeń, aby wyrzeć na drogę. Podczas dialogu, który następuje, ruszają się bardzo ostrożnie, dla bezpieczeństwa pochylając się bardzo nisko, starając się być niewidzialnymi.
- MICHAEL Jeden z nas będzie musiał zaryzykować i natychmiast pójść po ojca Domineera. (*czeka chwilę, ale nikt się nie odzywa*) Słyszeliście, czy udajecie głuchych? Powiedziałem, że jeden z nas będzie musiał pójść po ojca Domineera (*żadnej odpowiedzi*) Słyszałeś, marynarzu?
- MAHAN Słyszałem, słyszałem.
- MICHAEL No to czemu nie idziesz?
- MAHAN (*podchodzi do Michaela na ugiętych nogach*) A jak Kogut zagrozi mi drogę? Dlaczego sam nie idziesz?
- MICHAEL A jak ja się na niego natknę? Jestem bardziej znany w tej okolicy od ciebie i to paskudztwo natychmiast by mnie poznało.
- SIERŻANT (*podchodzi na ugiętych nogach*) Pójdę, ale z marynarzem.
- MICHAEL (*obrusza się*) I zostawicie mnie samego na pastwę misteriosa Daemones? (*patrzy w niebo*) Och, w tej okolicy nie ma człowieka, co by chciał zrobić bliźniemu to, co bliźni miałby zrobić jemu.
- MAHAN (*ostro*) To wierutne kłamstwo... Nie ma takiego, który by nie chciał zrobić bliźniemu to, co bliźni zrobiłby jemu.
Dzwonnik w mundurze straży pożarnej ukazuje się na ścieżce za murem. Na głowie ma ogromny strażacki kask z mosiądzu. Ubrany jest w czerwoną koszulę oraz granatowe spodnie. W rękę trzyma dzwonek i dzwoni głośno, zanim zaczyna wykrzykiwać ostrzeżenie. Trzej mężczyźni przerywają rozmowę i słuchają go z uwagą.
- DZWONNIK (*krzyczy*) Wszyscy do domu! Zaryglujcie drzwi, zamknijcie okna! Kogut nadchodzi. W postaci kobity. Gallus, le Cock i Kyleloch, Kogut nadchodzi w postaci kobity! Wszyscy do domu... zamknijcie okna, zaryglujcie drzwi!
Odchodzi w przeciwną stronę, krzycząc i dzwoniąc. Wszyscy trzej mężczyźni są teraz jeszcze bardziej przerażeni.
- SIERŻANT (*w panice*) Do domu, szybko!
- MICHAEL (*zatrzymuje go, wściekły*) Nie do tego domu, idioto! Ten dom aż pęka od nich. Widzieliście, co się stało z whisky? Kiedy maskara czy paskudztwo się zjawi, nie należy na to zważać... Kiedy maskara czy też paskudztwo zaczyna przemawiać, nie należy odpowiadać i nie należy zważać, wszystko jedno, jaką zatraconą postać przybierze. Siadajcie wszyscy jakby nigdy nic.
Siadają na trawie: Michael z prawej strony, Sierżant z lewej, a Mahan pośrodku.
- MICHAEL (*trzęsąc się*) Weźcie się w kupę, chłopcy. Marynarzu zaśpiewaj no dla niepoznaki swoją ulubioną śpiewkę... tak jak byśmy się tu zebrali dla zabawy. (*Mahan ociąga się*) No zaczynaj, człowieku. Śpiewaj, na miłość boską!

MAHAN (*zdenierwowany*) Nie potrafię śpiewać porządnie w takich okolicznościach. Ale spróbuję. (*zaczyna śpiewać, głos mu się od czasu do czasu łamie*)

Gdy męski ród miał męską krew,
A statki nie śmigały tam i sa-am,
Żagiel nas niósł, i niósł, i niósł,
i dalej niósł do Azji bra-am,

Z ładunkiem znów wracaliśmy, bo wrócić trzeba było na-am.

MICHAEL i SIERŻANT Na-am.

MAHAN (*śpiewa*)

Przeznamy precz, kapitan rzekł,
Piratów tam, gdzie palmy stroją brzeg,
Spod czarnych flag na łąd
I niech się modli, ścierwo to, hej-ho!
A potem rybkom rzucim ich i pójdą na najgłębsze dno.

MICHAEL i SIERŻANT Dno-o.

Złoty promień słońca pada z lewej strony na ścieżkę. Po chwili Loreleen ukazuje się w środku tego promienia. Przystaje w obramowaniu furtki patrząc na mężczyzn siedzących na ziemi.

LORELEEN (*zdziwiona*) Co się tu dzieje?

MICHAEL (*gestem każe Mahanowi śpiewać dalej, szeptem*) Śpiewaj, człowieku, śpiewajże!

MAHAN (*śpiewa coraz bardziej załamującym się głosem*)

Gdy wrażą krew zmyjemy już.
Weźmiem ich wielkie statki pełne dział.
Klejnoty cudne ich ozdobią śnieżną biel kobiecych ciał.
Żagle na maszt! Z powrotem kurs, choć wiatry dmą i pędzi szkwał.

MICHAEL i SIERŻANT Szkwa-ał.

Loreleen wchodzi do ogrodu i podchodzi do nich. Złote światło idzie za nią i częściowo pada na śpiewających.

LORELEEN (*wesoło*) Śpiewacie sobie, co? Wprawiacie się przed zabawą maskową dziś wieczorem? Bardzo słusznie, przyda się trochę zabawy w tej ponurej dziurze. Sierżantowi oczy świecą się, jak nie wiem co, kiedy ja albo Lorna przechodzimy obok niego. I śmiały marynarz też się do nas uśmiecha... tylko tata jest kwaśny. (*patrzy na butelkę stojącą na stole*) Słyszeliśmy pieśń, przed oczyma mamy wino, brakuje tylko kobiety. (*podbiega do ganku i krzyczy w głąb domu*) Lorna, Marion, chodźcie tu, chodźcie tu do nas, zabawimy się.

Lorna i Marion wybiegają z domu. Obie są ubrane jak na bal maskowy. Lorna przebrała się za Cygankę i ma na sobie krótką czarną spódniczkę, zieloną bluzkę z dużym dekoltem i jaskrawy, mieniący się od cekinów pas. Piękne ramiona Lorny są gołe. Na głowie ma opaskę ze srebrnoczarną ozdobą, podobną do tej, którą ma Marion. Marion jest ubrana w strój kelnerki. Jej ubranie składa się z krótkiej jaskrawozielonej spódniczki, spod której wygląda czarna halka, ciemnozielonej bluzki z dużym dekoltem i małego czarnego fartuszka. Na nogach ma jasnobrązowe pończochy i brązowe pantofelki. Ta sama ozdoba, co przedtem, połyskuje na białej wstążce wokół jej głowy. Obie kobiety wpatrują się w mężczyzn.

LORNA (*podrażniona*) Upili się czy co? I żeby się tak zalać akurat wtedy, kiedy ćwiczymy się w tańcu na dzisiejszą zabawę. (*dostrzega butelkę*) Zostawiają whisky na słońcu, aby wyparowała. (*bierze butelkę i zanoszą na ganek*) Nawet nasz marynarz zwiesił nos na kwintę. (*podchodzi do Sierżanta, staje za nim i kładzie rękę na jego głowie. Stoi teraz w złotym promieniu słońca, które pada też na Sierżanta; śpiewa*)

Widziałam ja raz statek, jak kurs na morze brał,
 A wśród przypraw na nim był dla mnie chłop na schwał.
*Sierżant powoli wstaje jakby w oczarowaniu, z głupim wyrazem oddania na twarzy.
 Staje przy Lornie, zerkając na nią bardzo nieśmiało. Podczas tej sceny Loreleen
 podeszła do marynarza Mahana, stanęła za nim i położyła mu rękę na głowie.*

LORELEEN (*śpiewa do Mahana*)

Widziałam ja raz chłopca, przez łączkę w susach gnał,
 Naręcze pełne szatek,
 Króciutkich szatek miał.
 Na krańcach Azji, bratku,
 Tam, gdzie zawinał statek,
 Kupował je i brał.

A każda jak ten kwiatek
 I wszystkie mi je dał.

*Mahan wstaje jak oczarowany i staje wyprostowany przy Loreleen, od czasu do czasu
 spoglądając na nią chytrze.*

MARION Ach, bądźmy rozsądni. (*dostrzega karabin*) Co tu robi karabin? Czyj to karabin?

SIERŻANT Mój. Patroluję okolicę, aby zastrzelić tego ptaka-odmieńca, co grasuje wśród Bogu ducha winnych ludzi.

MARION Ptaka? Odmieńca, co grasuje wśród Bogu ducha winnych ludzi? Wyście chyba zbzikowali.

SIERŻANT (*dotknięty*) Nie zbzikowaliśmy, tylko zatrzęśło nami, jak te ciemności spadły, jak ta błyskawica łysnęła i zobaczyliśmy, jak cylinder pana Marthrauna zamienia się w tego ptaka-odmieńca.

LORNA (*nie rozumie*) Ciemności spadły, błyskawica łysnęła? Cylinder zamienił się w ptaka-odmieńca?

MICHAEL (*zrywa się na równe nogi*) A tak, i nie czas teraz na tańce i zabawy. Zaraz mi zdejmi te krzykliwe fatalaszki... tylko cicha modlitwa i długi post może cię uratować. Padnij na ziemię przed Panem i wyznaj swoje straszne strapienia, a może będzie ci odpuszczone.

LORNA (*do Michaela*) Bzdura. Twój nowy cylinder jest już w domu od godziny i czeka tylko, abyś go włożył. (*do Marion*) Zabierz ten karabin do domu, bo tu przeszkadza, i przynieś cylinder, aby mój mąż się przekonał, że plecie trzy po trzy.

Marion odnosi karabin do domu, tymczasem Michael rozzłoszczony odciąga Mahana od Lorny, aby samemu z nią się rozprawić.

MICHAEL (*podniesionym głosem*) A któż ty jesteś, sekutnico jedna, aby powstawać przeciw temu, co prawdziwi chrześcijanie widzą oczami duszy i ciała? (*krzyczy*) Myśmy widzieli tę paskudę na własne oczy, rozumiesz? Gdybyś wiedziała to, co powinnaś wiedzieć, przyznałabyś, że nieczysta siła potrafi ucześcić się człowieka jak rzep psiego ogona. Powiniennem był zostawić cię, abyś gniła w biedzie, aby ci twoje łachy spadły z chudego ciała, a policzki były zapadnięte niczym dziury od mizernej strawy. Oczy nam wyszły na wierzch, jakeśmy zobaczyli to straszne horrendum – mój rodzony cylinder zamienił się w czarciego koguta. Mój cylinder, ty suko, mój własny, rodzony cylinder hasa sobie po okolicy i wodzi ludzi na pokuszenie, aby zatracili dusze swoje w tańcach i marnych rozkoszach.

MAHAN (*chwytając Michaela za ramię*) Nie zasuwasz komety, Mick!

MICHAEL (*strzepuje rękę Mahana*) Idź mi zaraz do swego pokoju i zdejmi te fatalachy – aż kapią od grzechu... idź, powiadam, i ubierz się przyzwoicie. (*wskazuje Loreleen*) To ty przywlokłaś do nas zarazę z tej piekielnej Anglii. Od razu widać, czego ześ się tam nauczyła, jakeś tam pracowała w tym kraju bez Boga, gdzie panuje pycha, chuć i mamona. (*podchodzi, jakby chciał ją uderzyć, lecz Mahan ją*

zastania) Ty wymalowana flądrow! (*Marion wraca z nowym, godnie wyglądającym cylindrem. Podaje go MICHAELowi, który odskakuje jak oparzony*) Nie, nie, nie... zabierz to, nie dotykaj mnie tym!

Marion kładzie cylinder na stole, a trzech mężczyźni patrzą nań przerażeni, jakby za chwilę miało się stać coś okropnego.

LORNA (*biegnie do ganku i wraca z butelką, która ma dawny kolor*) Napijmy się po szklaneczce, to nam doda ducha w walce ze Złym. Przynies jeszcze jedną szklaneczkę, Marion.

Marion idzie do domu i przynosi kieliszek. Lorna wyjmuje korek z butelki i przechyla ją, aby nalać do szklaneczek.

MICHAEL (*ostrzegawczo*) Nie dotykaj tego, bo stanie się coś straszego.

LORNA (*rezolutnie*) Skoro nie mogę znaleźć ciepła w ramionach mężczyzny, poszukam go w trunku. (*napęlnia szklaneczkę dla siebie i dwie następne dla Marion i Loreleen*) Masz, Loreleen, masz, Marion.

MAHAN (*pelen zwątpienia i strachu*) Ja bym tego nie pił, Lorna. Ta whisky jest jakaś opętana.

LORNA Naprawdę? Oby to opętanie było jak najmocniejsze! (*podnosi szklaneczkę*) Ku-ku-ry-ku!

MARION i LORELEEN (*podnosząc jednocześnie szklaneczki*) Ku-ku-ry-ku!

Kobiety opróżniają szklaneczki jednocześnie. Lorna napęlnia swoją szklaneczkę i podchodzi do Sierżanta.

LORNA (*podaje szklaneczkę Sierżantowi*) Napij się, dzielny oficerze, i ciesz się tym, co dobre w życiu. (*on się waha*) Napij się ze szklaneczki, z której piła bardzo piękna pani.

SIERŻANT (*impulsywnie*) Niech to jasna krew zaleje, ale z pani to naprawdę bardzo piękna pani. (*bierze szklaneczkę*) Oddaję należny hołd piękności.

Wypija whisky i twarz jego nabiera powoli wyrazu rozkosznego podniecenia.

LORELEEN (*napęlnia swoją szklaneczkę i podaje ją Mahanowi*) Napij się, marynarzu, rycerzu szerokich oceanów i siedmiu mórz! Proszę. (*on się waha*) Napij się ze szklaneczki, z której piła bardzo piękna pani.

MAHAN (*impulsywnie*) Masz przed sobą człowieka, który zawsze krzyczał „ahoj!” do pięknej twarzyczki i ładnej figurki, ilekroć pojawiały się na horyzoncie. Salut! (*pije i jego twarz również powoli nabiera wyrazu rozkosznego podniecenia*)

MARION (*napęlnia swoją szklaneczkę i podaje ją Michaelowi*) Ciemny człowieku, obys ujrzał światło pijąc ze szklaneczki, z którego piła piękna, młoda dziewczica.

MICHAEL (*który dotąd z zazdrością patrzył na innych, bierze szklaneczkę*) Daj. Ja nie gorszy od innych. Nie prześcigniecie mnie.

Pije łapczywie i na twarzy jego zjawia się wyraz zuchwalstwa. Tymczasem Lorna zaczęła nucić melodię taneczną, którą cichutko podejmuje akordeon. Po chwili na ścieżce ukazuje się Poślaniec i widać, że to on gra. Siada na murze nie przestając grać.

POŚLANIEC (*do Marion*) W głębi serca, dziewczico Marion, ludzkie sprawy nic nas nie obchodzą. Prawda, marynarzu?

MAHAN (*ostrożnie, choć w oczach jego ukazuje się zuchwały błysk*) Wszyscy musimy czasem myśleć o sprawach ludzkich.

MICHAEL Ale nie w głębi serca, marynarzu, nie w głębi serca. Ty teraz myślisz o podwyżce, marynarzu. Chętnie ci ją dam. Nawet więcej, niż żadasz. Podwoję stawkę bez zmrużenia oka, bez cienia żalu.

MAHAN (*gorąco*) Nie, do cholery! Grosza od ciebie nie wezmę. Jesteśmy prawie braćmi. Popatrz na lilie polne i spytaj siebie, do cholery, co znaczą pieniądze.

MICHAEL (*z zapalem*) To śmiecie, na Boga! Śmiecie i tyle! (*do Marion*) Podaj no ten cylinder.

Marion wykonuje rozkaz. On wkłada go na głowę, obejmuje ją i zaczynają się kręcić w takt muzyki. Ozdoba na jej głowie przybiera formę wdzięcznie zakrzywionego rogu, lecz on tego nie dostrzega. W tym samym czasie Sierżant obejmuje Lornę i też zaczyna z nią tańczyć. Jej ozdoba również przybiera kształt rogu, którego nie dostrzega tańczący z nią mężczyzna. Mahan podkrada się do Loreleen, która przygląda się tańczącym, i nieśmiało popycha ją palcem w żebra. Ona się odwraca, bierze jego rękę i kładzie na swojej kibici. Przyłączają się do tańczących par. W tańcu ozdoba na kapeluszu Loreleen podnosi się jak koguci grzebień. Po paru minutach tempo tańca wzrasta, mężczyźni zaczynają namiętnie wybijać takt nogami, a kobiety kręcą się wokół swoich partnerów w zapamiętaniu. Kiedy ogólne podniecenie sięga szczytu, rozlega się oszałamiający, długotrwały grzmot i przy furtce ukazuje się zadyszany Ojciec Domineer. Zielone światło pada na niego, kiedy przystaje przyglądając się tańczącym parom. Wzrok jego wyraża wściekłość. W tej samej chwili rozlega się ostre pianie koguta. Tancerze, z wyjątkiem Loreleen, stają jak wryci, potem padają na jedno kolano patrząc na księdza, ich złożone ręce wyrażają skrucę i przerażenie. Loreleen tańczy przez parę chwil sama, potem i ona powoli przystaje i patrzy na księdza. Posłaniec nie przestał grać, ale gra bardzo cichutko.

OJCIEC DOMINEER (*jadowicie, w natężeniu*) Dość tego diabelskiego tańca! Ile razy ostrzegałem was, że śmiertelni wrogowie chrześcijaństwa nie śpią? A wy sobie tańczycie! Ile razy mówiłem wam, że trucizna pogaństwa zalewa świat i że Irlandia pochłania tę truciznę w wielkich dawkach przez filmy, teatry i książki. A wy sobie tańczycie! Tańczycie, kiedy Kyleloch, le Cock, Gallus, Kogut panoszy się po okolicy i zabija w ludziach pragnienie modlitwy, ochotę do pracy, kiedy podważa autorytet księży, panów dusz waszych! Królestwo szatana utrwała swą potęgę wszędzie, a wy sobie tańczycie, ubique ululanti cockalorum ochone, ululo.

POSŁANIEC (*grając cichutko*) Diabeł równie często przechadzał się między ludźmi, kiedy nie było filmów, teatrów i książek.

OJCIEC DOMINEER Bo ludzie śpiewali wtedy, jak i teraz, tańczyli, jak i teraz, narażali na szwank wielki niewinne dusze swoje. (*do Loreleen*) Uklęknij, jak wszyscy, ty opętana pychą, rozbrykana obłudnico i błagaj o przebaczenie.

LORELEEN (*z uporem*) Nie potrzebuję przebaczenia za to, że tańczyłam.

OJCIEC DOMINEER (*odwraca się od niej*) Będziesz ty jeszcze błagać o przebaczenie, kiedy go nie znajdziesz.

MICHAEL O Boże, co ja zrobiłem? Dałem się namówić na zdrożny czyn.

MAHAN Mea culpa, ja też, ojczu.

OJCIEC DOMINEER Michaelu Marthraun i ty, marynarzu Mahan, kawalerowie świętego Kolumbana, przyszedłem, aby wam pomóc, a wy sobie skaczeć z bezwstydnymi niewiastami, wystrojonymi w świecidełka, aby zagłuszyć głos cnoty w każdym, kto na nie spojrzy.

MICHAEL To one przy pomocy tego diabelskiego trunku tak urządziły mnie i marynarza, ojczu. Powinienem być pamiętać, że pewien kawaler świętego Kolumbana powiedział mi, że inny kawaler świętego Kolumbana dowiedział się od innego kawalera świętego Kolumbana, że inny kawaler powiedział, że święty Hieronim powiedział raz pewnemu braciszкови, że kobieta jest bramą piekieł. I to święta prawda – wsadzają człowiekowi nóż umajony różami do samego serca.

OJCIEC DOMINEER Wstańcie, wstańcie i odsuńcie się dalej ode mnie. Nigdy już nie bądźcie opieszali w walce dobrego ze złem.

Wszyscy pokornie wstają, kobiety ustawiają się po jednej, mężczyźni po drugiej stronie cofając się o kilka kroków, kiedy ksiądz wchodzi do ogrodu. Loreleen wyzywająco podchodzi do stołu i siada nań bokiem.

- OJCIEC DOMINEER (*do Mahana*) Słówek do ciebie, marynarzu. Idąc tu spotkałem twego robotnika, który żyje w grzechu z nieszczęsną upadłą, niewiastą. Uskoczył w bok, aby mi się wymknąć. Ostrzegałem cię i kazałem ci go odprawić, jeśli on się nie poprawi. Czyś to zrobił? (*Mahan milczy*) Pytam cię, Mahan, czyś go zwolnił z pracy?
- MAHAN (*z uporem*) To nie powód, żeby zwalniać najlepszego kierowcę, jakiego mam.
- OJCIEC DOMINEER (*zimno*) Nie powód, powiadasz? A któż ty jesteś, abyś potrzebował powodu w takiej sprawie? (*podniesionym głosem*) Dla mnie to powód, to ci powinno ci to wystarczyć!
- MAHAN (*broni się*) To świetny robotnik, ojczu! Naród potrzebuje takich jak on.
- OJCIEC DOMINEER (*podniesionym głosem*) My jesteśmy ponad wszystkie narody. Narodowość to mistyczne pełne zawijasów zawracanie głowy. To herezja. Ja jestem stróżem wyższych interesów. (*krzyczy*) Rób, co ci każą. Wyrzuć go!
- MICHAEL (*pojednawczo*) Dobrze, ojczu. On robi, co mu wasza wielebność każe. Marynarz Mahan to prawdziwy Kolumbańczyk.
- MAHAN (*zły, do Michaela*) Nie robi tego, co mu jego wielebność każe.
Na ścieżce ukazuje się Kierowca. To mężczyzna trzydziestoletni, który nie wygląda na olbrzyma, ale jest silny i odważny. Ma na sobie skórzaną kurtkę, żołnierskie spodnie koloru khaki i czapkę z daszkiem poplamioną oliwą. Twarz jego jest opalona, a górną wargę pokrywa dobrze utrzymany wąs. Widząc Ojca Domineera przystaje na chwilę, sztywnieje, ale w końcu wchodzi do ogrodu. Staje niedaleko Mahana i patrzy na niego tak, jakby mu chciał coś powiedzieć.
- OJCIEC DOMINEER (*szyderczo*) A oto i ten džentelmen we własnej osobie! (*do Kierowcy*) Mówiliśmy tu o was i powiedziałem panu Mahanowi, aby was zwolnił z pracy. Wiecie dlaczego. Jesteście zakałą całej wsi. Jesteście naszą hańbą. Albo opuścicie tę kobietę, z którą żyjecie, albo idźcie sobie tam, gdzie takie rzeczy są tolerowane. (*podniesionym głosem*) Słyszeliście?
- KIEROWCA (*mrukliwie*) Słyszałem.
- OJCIEC DOMINEER No i?
- KIEROWCA Mam interes do pana Mahana, ojczu.
- MAHAN (*szybko*) Do mnie, Jack? No, co się znów stało?
- KIEROWCA Bardzo wiele się stało, proszę pana. Robotnicy zeszli z torfowiska i nie mamy torfu do ładowania. Ich delegat powiada, że wysłał telegram do pana Marthrauna i uprzedził go, że ludzie zjadą z pracy, jeżeli w ciągu godziny nie będzie odpowiedzi.
- POSŁANIEC Wysłał, a ja go doręczyłem.
- MICHAEL A niech to diabli wezmą, zupełnie zapomniałem. Wszystko przez to napięcie.
- OJCIEC DOMINEER Torf i napięcie nie są ważne w tej chwili. Odejdziecie z pracy?
- KIEROWCA (*z uporem*) Odejdę, jak pan Mahan mnie zwolni.
- OJCIEC DOMINEER (*z furją*) Czy to nie dziw, że Pan Bóg nie pokarze was śmiercią? Powiedziałem wam: albo zostawicie tę nieszczęsną kobietę, albo odejdziecie z pracy, to powinno wystarczyć i wam, i marynarzowi. (*potrząsa ramieniem Kierowcy*) Czy zostawicie tę nieszczęsną kobietę? Czy wypędzicie z domu tę waszą kobietę?
- KIEROWCA (*z nienawiścią*) Niech mnie ksiądz nie szarpie!
- OJCIEC DOMINEER (*z wzrastającą furją*) Czy wypędziliście już tę kobietę? Zrobicie to?
- KIEROWCA (*wyrywa ramię i cofa się*) Niech mnie ksiądz puści. Nie wypędziłem i nie wypędzę!

OJCIEC DOMINEER (*nie panuje nad wściekłością*) Ty nędzniku, odważyłbyś się przeciwstawić swemu księdzu? Precz z moich oczu!

Rzuca się naprzód i uderza Kierowcę gwałtownie w skroń. Kierowca pada ciężko na ziemię. Przez chwilę leży bez ruchu, potem próbuje się podnieść, pada i zastyga w bezruchu.

MAHAN (*przeżany*) Coś mu się stało, ojcze! Uderzył go ksiądz zbyt mocno!

OJCIEC DOMINEER (*również przestraszony, ze sztucznym uśmiechem*) Bzdura. Ledwie go tknąłem. (*dotyka nogą leżącego*) Wstańcie, wstańcie, przecież nic wam się takiego nie stało.

MAHAN (*pochyła, się nad leżącym i kładzie mu rękę na piersi*) On albo umiera, albo już umarł, ojcze!

Ojciec Domineer podbiega wzburzony do leżącego, klęka przy nim i szepcze mu coś do ucha, potem podnosi twarz i patrzy na zebranych.

OJCIEC DOMINEER Wszyscy widzieli, co się tu stało. Ledwie go tknął, a już upadł. Nie chciałem robić mu krzywdy – tylko zgromić.

SIERŻANT (*pocieszająco*) Dobrze to wiemy, ojcze. To był czysty przypadek.

OJCIEC DOMINEER Wprowadziłem akt skruchy za grzechy tego biednego człowieka.

POŚLANIEC (*grając cichutko*) Byłoby o wiele stosowniej, ojcze, gdybyście uczynili akt skruchy za własne!

Scena trzecia

Ogród o zmierzchu. W świetle zachodzącego słońca niebo z błękitnego stało się żółte, z zielonymi i fioletowymi smugami. Na tle tego kolorowego nieba drzewce od flagi wydają się czarne, a sama flaga – granatowa. Wielkie słoneczniki przy murze też nabrały koloru uroczystej czerni, dom pociemniał jeszcze bardziej i tylko okno nad gankiem świeci jak złote oko, gdyż odbijają się od niego promienie słońca. Daleko, na horyzoncie, widać pierwszą gwiazdę. Słychać dalekie bębnie, przerywane od czasu do czasu przenikliwą nutą fujarki. Mahan siedzi przy stole zajęty dodawaniem cyfr na rozłożonych przed sobą papierach, na jego twarzy maluje się niepokój i zwątpienie. Lorna i Marion stoją oparte o mur, w pewnym oddaleniu od furtki, a bliżej domu. Ich balowe kostiumy przykryte są czarnymi pelerynami z kapturkami, bo wieczór jest chłodny.

LORNA Wszyscy polecili na tę nagonkę – policja i żołnierze, a orkiestra ma im dodawać ducha. Durnie!

MARION Myśli pani, że go dostaną? Smutno by tu było, gdyby nam zabili Koguta.

LORNA A jak mogliby zabić coś, co podług waszych słów nie jest z tego świata? (*podchodzi do Mahana i wpatruje się w niego*) Ochłodziło się. Słońce już prawie zaszło.

MAHAN (*nie podnosi oczu*) Tak? Nie zauważyłem. Jestem zajęty. Wszystko się pokiełbało, odkąd ten przeklęty Kogut się rozpanoszył. Susza taka, że wszystko wysycha na proszek, robotnicy zeszli z torfowiska, babom tylko zabawy i kiecki w głowie. No, ale już my go zakatrupimy i pogrzebiemy tak głęboko, że zapomnimy o nim na amen!

LORNA Ludzie ciężko harują, powinni dostać uczciwą podwyżkę.

MAHAN (*niechętnie*) A dlaczego, do cholery, nie mieliby ciężko harować? Kto dostarczy narodowi opału, jak nie będą ciężko harować?

LORNA Harują dla pana i Michaela. On ma kupę forsy w banku, a chodzą słuchy, że pan też.

MAHAN (*placzkliwie*) Może Michael ma, ale ja nigdy nic nie miałem, a teraz gonie resztkami, odkąd straciłem swego najlepszego kierowcę, niech uschnie ręka, co go zabiła.

Kogut nagle wślizguje się do ogrodu, przemyka między Mahanem, siedzącym przy stole, i Lorną, okrąża ogród i znika za szczytową ścianą domu. Kogut porusza się w takt cichutko wygrywanej melodii tanecznej. Mahan zrywa się na równe nogi.

MAHAN Co to było? Zdawało mi się, że się przesunął koło mnie.

LORNA (*również wzburzona*) Co było, co?

MAHAN Kogut! Widziałem jego czarne pióra, żółte łapy i czerwony grzebień.

MARION (*zesztywniała*) Serce we mnie zamarło. Myślałam, że pan zobaczył biednego nieboszczyka. (*odwraca się, aby popatrzeć na drogę*)

LORNA (*do Mahana*) Nie ma się co zajmować cyframi, trzeba się najpierw ugodzić z ludźmi.

MAHAN (*z irytacją*) To sprawa Micka, a nie moja.

MARION (*podbiega do Lorny i szepta jej coś podekscytowana*) Idą. Ojciec Domineer i pan Marthraun tu idą.

MAHAN (*podrażniony*) Czego ten ojciec tu chce, kiedy mamy tyle spraw na głowie? Wszystko się tylko przeciągnie, a ja muszę się stąd wydostać przed nocą.

LORNA Nie wiedział pan, że będą odkurzać dom ze złych mocy?

MAHAN (*z irytacją*) Czy nie mogliby najpierw zrobić tego, co najważniejsze?

Ojciec Domineer i Michael ukazują się na ścieżce, za nimi postępuje chłopak. To Jednooki Larry. Na twarzy jego maluje się głupota i chytrność, w zależności od tego, kto do niego mówi. W miejscu, gdzie dawniej było lewe oko, jest teraz czarna jama przydająca mu nieco złowrogiego wyglądu. Jest chudy i niezręcznie się porusza. Nosi czarną sutannę obszytą czerwoną lamówką i nie ma na głowie żadnego nakrycia. W rękach trzyma mały ręczny dzwonek, książkę i nie zapaloną świecę. Drecze za księdzem i Michałem.

OJCIEC DOMINEER (*do Michaela*) Nic się nie martw, Michaelu, przepędzimy ich, zanim będę musiał opuścić parafię z powodu tego nieszczęsnego wypadku. Gorszym rzeczom dałem radę. Nie trać ducha. Dzwonek wiele może zdziałać, a księga i poświęcona świeca też niemało. (*patrzy na kobiety*) Niewiasty, usuńcie się na koniec ogrodu. (*patrzy na Mahana*) To nie potrwa długo, marynarzu. (*nagle, gdy już wszyscy trzej są przy ganku*) Gdzie ta trzecia?

MICHAEL Czy ojciec ma na myśli moją córkę Loreleen?

OJCIEC DOMINEER Ona nie jest twoją córką. (*nachyla się i mówi szeptem, ostrzegawczo*) Pozbądź się jej... pozbądź, ona jest niebezpieczna!

MICHAEL Jak ja się mam jej pozbyć, ojczu?

OJCIEC DOMINEER Wyślij ją do Ameryki.

MICHAEL (*z szacunkiem, tuż przed wejściem do domu*) Ja wejdę pierwszy, ojczu.

OJCIEC DOMINEER (*odsuwa go łagodnym gestem*) Nie, nie, ja muszę iść na pierwszy ogień.

Wchodzą do domu. Ksiądz idzie pierwszy, za nim Michael, następnie Jednooki Larry. Marion i Lorna wycofują się na koniec ogrodu.

LORNA To wszystko zawracanie głowy, ale Michael tak mi rozstroił nerwy, że gotowa jestem uwierzyć nie wiem w co.

MAHAN Cholerna strata czasu. Trzeba kogoś lepszego od ojca Damineera, żeby wykurzyć zło z Irlandii.

MARION Posłaniec mówi, że on tylko powiększa zło.

Słychać walenie w bęben i wielką wrzawę. Marion podbiega do muru, aby wyjrzeć na drogę. Bardzo wzburzona.

MARION Jakaś dziewczyna biegnie tu jak opętana. Boże! To Loreleen!

Po chwili na ścieżce pojawia się Loreleen i wpada bez tchu do ogrodu. Podbiega do Lorny, która chwytą ją w ramiona. Kępki trawy, torfu i kamienie, którymi tłum obrzuca Loreleen, wpadają do ogrodu.

LORELEEN (*bez tchu*) Niech piekło pochłonie tych obrzydliwych tchórzy. Rzucają we mnie wszystkim, co im w łapy wpadnie... baby nie mogą znieść mego widoku,

a chłopcy wściekają się, że nie jestem taka, jakby chcieli! Przecież to nic dziwnego, że dziewczęta uciekają z tego ogłupiałego kraju. Niedoczekanie ich! I tak będę wesola i ładna! Niech mnie malują jak straszego diabła. Nie dbam!

LORNA (*pocieszająco*) Spokojnie, dziecko. Nie możemy teraz wejść do domu, bo ojciec Domineer wypędza złe duchy. (*wypuszcza ją z objąć*) Pójdę do tych awanturników, co cię skrzywdzili, i powiem im parę słów do słuchu. (*chwyta Marion za ramię*) Chodź ze mną!

Wybiegają.

LORELEEN (*wpatrzona w dom*) Więc on tam jest? Zło nie jest w tym domu, ale tam, gdzie się obrzuca ludzi błotem.

MAHAN (*z poważną miną*) Chodź tu, Loreleen. Podejdz bliżej, mam ci coś do powiedzenia. (*ona się nie rusza; Mahan chwyta ją za ramię i odciąga dalej od domu*) Mogliby nas usłyszeć.

LORELEEN (*podejrzliwie*) Czego pan chce ode mnie? Nie myśli pan o mnie tak jak ta hołota?

MAHAN (*trochę zażenowany*) Ani mi to w głowie! Żagle mi opadły. Za stary jestem na miłosne szaleństwa. Chciałem ci tylko poradzić, abyś stąd odpłynęła.

LORELEEN (*gorzko*) Dlaczego? Czy dlatego, że jestem ładna i wesola?

Ale zachwały Mahan wcale nie jest obojętny na uroki Loreleen. Z jego zachowania wynika, że w starym piecu diabeł pali, chce jej pokazać, że ma mocne mięśnie i elastyczną skórę. Zaczyna krążyć po ogrodzie rzucając niespokojne spojrzenia na dom; podchodzi do krzesła i z nonszalanckim ruchem przerzuca przez poręcz najpierw jedną, a następnie drugą nogę. Te wyczyny, podobnie jak jego słowa, aczkolwiek nie zdradzają pośpiechu, odznaczają się szybkim tempem, jakby Mahan chciał się wypowiedzieć, zanim mu coś przeszkodzi.

MAHAN (*przerzucając nogę przez poręcz*) I dlatego, że jesteś ładna, i dlatego, że jesteś zuchwała. Pamiętasz, co się stało z biednym Jackiem? Ja bym stąd odpłynął, gdybym był na twoim miejscu. (*podskakuje i siada na stole, po czym okręca się i zeskakuje na ziemię po drugiej stronie stołu, widać przy tym, że jego ruchy są cokolwiek sztywne*)

LORELEEN Jak ja mam to zrobić bez grosza przy duszy? Ojciec zabrał mi moje czterdzieści funtów i włożył do banku dla mnie. Nie chce nic mi dać do ręki, bo się boi, że jak dostanę forszę, to pojedę do Anglii, a jak pojedę do Anglii, to zatracę duszę... Obrzydliwy stary prostak! Siedzę cicho ze względu na Lornę. (*szybko, widząc, że Mahan szybko wdrapuje się w górę po drzewcu od flagi*) Niech pan przestanie drapać się w górę jak małpa. Czy pan nie mógłby mi pomóc? Chciałby mi pan pomóc?

MAHAN (*ześlizguje się w dół, znów przerzuca nogę przez krzesło i podchodzi do niej*) Czekałem, aż to powiesz. Po raz pierwszy udało mi się złapać cię samą. Dam ci forszę, żebyś mogła odpłynąć i zniknąć raz na zawsze z tego przeklętego grajdoła. Wiesz co, kochanie? Przekradnij się dziś w nocy do Czerwonej Stodoły, na zachód od Krzyża, a ja ci tam przyniosę coś, za co będziesz mogła pojechać tak daleko, jak zechcesz. (*nagle chwyta ją mocno w pól*) Rany Boskie, jakie ty masz oczy!

LORELEEN (*próbując zepchnąć jego ramię*) Proszę tego nie robić. Niech mnie pan puści, jeszcze ktoś zobaczy!

MAHAN (*bezcelnie*) Warta jesteś, aby cię trochę potarmosić! No co? Przyjdiesz do Czerwonej Stodoły, jak wszyscy pójda na zabawę? To twój jedyny ratunek. Tak czy nie?

LORELEEN Może... może... przyjdę. Niech mnie pan puści!

Dom zaczyna się trząść; słychać stuk i brzęk tłuczonych naczyń; z okna nad gankiem strzelają błyskawice; drzewce flagi przechylają się z boku na bok. Marion i Lorna ukazują się na ścieżce i wbiegają do ogrodu, w chwili gdy Jednooki Larry wybiega

z domu z wyrazem przerażenia na twarzy. Dostrzega Loreleen wyrrywającą się z objęć Mahana. Ona odwraca się do Larry'ego, natomiast zawstydzony Mahan mierzy się z nim oczami.

LARRY (*wzburzony*) No, zaczyna się na dobre! Walka na śmierć i życie! Biedny Ojciec Domineer ma podbite oko, a marynarka Micka Marthrauna jest cała w strzępach!

LORNA (*wbiegając do ogrodu*) Co się dzieje, co się tu dzieje?

MAHAN (*z godnością, do Larry'ego*) Pan Marthraun, chłoptasiu!

LORELEEN (*złośliwie*) Niech chłoptas opowie swoją zabawną historię.

LARRY Dla pani to zabawne, bo pani jest w zмовie z biesami. (*zwraca się do innych*) Jedna noga Ojca Domineera jest całkiem spalona, bo go Zły dotknął, a Mickowi noga na kość zamarzła od nieczystego dotyku. (*do Mahana*) Pan by się cieszył, jakbym stracił drugie oko, kiedy pan się tu gził z tą! (*wskazuje Loreleen*)

MAHAN (*wściekły*) Ty jednooka maszkaro, jakbyś miał oboje oczu, to bym pięścią zrobił z ciebie cyklopa.

LORELEEN (*niewzruszona, szyderczo*) Jak ten niewinny baranek stracił oko?

MAHAN (*obojętnie*) Będąc jeszcze dzieckiem, wałnął w jakąś butelkę i odłamek szkła wybił mu oko.

LARRY (*jadownicie*) Łzesz! Nie tak było! Czart-Kogut mnie tak urządził. Nie każde oko może go widzieć, a ja miałem takie oko. Złapał mnie raz, jak go podglądałem, położył pazur najpierw na moje lewe oko i pyta, czy go widzę. Ja na to, że nie. Wtedy on przesunął pazur ma moje drugie oko i znów pyta, a ja, że owszem, widzę go doskonale. „To oko – powiada – zbyt dobrze widzi”, i dawaj pchać i pchać ten pazur, aż mi oko do głowy wepchnął.

LORELEEN (*szyderczo*) Prawdziwe nieszczęście!

Dom tak się cały trzęsie, że prawie przechyla się na bok. Drzewce od flagi też się przechylają z jednego boku na drugi, słychać grzmot i błyskawica rozświetla okno. Wszyscy z wyjątkiem Loreleen padają na ziemię, jak najdalej od domu. Ona stoi przy murze na tle poczerniałych słoneczników.

MARION (*przerażona*) Rany Boskie, dom się rozleci w kawałki!

LORELEEN (*wesoło*) A niech się rozleci. To najlepsze, co się może zdarzyć.

LARRY (*trzęsie się gwałtownie*) Teraz albo nigdy. Albo my będziemy górą, albo oni! To straszne, potężne duchy. Wyrwały mi dzwonek z ręki, zgasiły świecę i podarły księgę w strzępy! Tysiące ich tam jest, a na ich czele są wielkie biesy: Całujdziewki, Gładkieuda, Czytajksiażki, Tańcujciagle i Dakapo. Nie uciekajcie. Może nas zawołają na pomoc.

Z domu dochodzi jakieś pohukiwanie, jakby sowy się darły, zmieszane z gdakaniem kur i głośnymi krakaniem wron,

LARRY (*w panicznym, strachu przepycha się, żeby się schować za innymi*) Ooooo! Puście mnie! Muszę iść!

Dom się trzęsie, drzewce trzeszczą i łamią się, niebieskie i czerwone błyskawice wybuchają w oknie, rozlega się oszałamiająco głośny grzmot. Nagle wszystko ucicha. Wszyscy zbijają się w kupę drżąc ze strachu, tylko Loreleen spokojnie zapala papierosa, stawia nogę na krześle, opiera się o poręcz i niefrasobliwie patrzy na dom.

LORNA (*drżącym głosem*) Dlaczego tam ucichło tak nagle?

LARRY (*z tyłu*) Albo zabili demonów, albo demony zabiły ich.

MARION Boże, zmiłuj się nad nami! Na pewno nie żyją!

LORELEEN (*spokojnym głosem, szyderczo*) Niech się dzieje wola nieba!

LORNA (*bardzo wzburzona*) Odsuńcie się. Uciekajcie. Coś wychodzi z domu!

Lorna z Marion, i Larry biegną do furtki, wypadają z ogrodu i pochylają się, tak nisko, że tylko ich głowy sterczą nad murem. Mahan odchodzi dalej od domu, na koniec ogrodu, Loreleen zaś zostaje na miejscu. Przez ganek, który się przekrzywił, wychodzą

Ojciec Domineer i Michael. Ojciec Domineer utyka na lewą, a Michael na prawą nogę. Ksiądz ma też wielki siniac pod okiem, przekrzywione ubranie i włosy w straszonym nieładzie. Marynarka wisi na Michale w strzępach. Twarz księdza umazana w sadzy, obaj wyglądają zmęczeni, lecz zadowoleni. Larry od razu wybiega z ukrycia, staje za nimi w pozie pełnej szacunku, z rękami złożonymi pobożnie na piersi i oczami wbitymi w ziemię. Mahan wyprostowuje się, Lorna i Marion wracają do ogrodu. Loreleen nawet nie drgnęła.

OJCIEC DOMINEER Wszystko w porządku, moi dobrzy. Dom jest bezpieczny dla wszystkich. Złe duchy zostały przepędzone. Większość sług Antyklerykusa, Sekulariusa i Odeoniusa została zniszczona. Policja i wojsko zajmą się niedobitkami. Możemy znów myśleć spokojnie o Loterii Państwowej. Muszę pojechać do domu, żeby się umyć i uporządzić. *(do Marion i Lorny)* Wracajcie do domu, dobre niewiasty. To jedyne właściwe miejsce dla niewiast. Posprzątajcie i bądźcie dumne, że sprzątanie jest waszym udziałem. *(popycha Marion)* Idźże, niewiasto, rób, co ci każą. *(do Michaela)* Jako głowa domu, będziesz musiał zaprowadzić porządek wśród niewiast.

MICHAEL *(posłuszny tej radzie, do Lorny)* Słyszałaś, co powiedział Ojciec Domineer? Idź do domu i zachowuj się, jak na przyzwoitą, bogobojną niewiastę przystało!

OJCIEC DOMINEER *(usiłuje być miły dla Lorny)* Oto królowa ogniska domowego, a mąż jest królem.

Marion wchodzi do domu z kwaśną miną. Lorna idzie za nią też wcale nie zachwycona.

OJCIEC DOMINEER *(do Loreleen)* A ty, nie pójdziesz im pomóc?

LORELEEN *(spokojnie)* Nie, dziękuję. Wolę zostać w ogrodzie.

OJCIEC DOMINEER *(grzmiącym głosem)* Naucz się żyć skromniej i przyzwoiciej, niewiasto! *(wskazuje ozdoby na jej kapeluszu i sukni)* A te błyskotki są wymysłem upadłych aniołów, skazanych na wieczne potępienie za miłość do przemijającego piękna. *(gniewnie)* O, niewiasto, de cultus feminarum malifico eradicum!

MICHAEL Ona ma głowę naszpikowaną niebezpiecznymi myślami z zepsutych książek.

OJCIEC DOMINEER *(cofa się)* Z jakich książek? Gdzie są te książki?

MICHAEL Trzyma je w domu.

OJCIEC DOMINEER *(grzmi)* Dajcie mi je tu! Dajcie tu! Ile razy mam was ostrzegać przed książkami? Dzwony piekielne odwołują ludzi od prawdy. Dajcie tu te książki, in annem fiat ecclesiam nonsensio, zanim demony, wyparte przez nas, znów nie zasiedlą tego domu.

Michael i Larry razem wbiegają do domu, aby wykonać polecenie Ojca Domineera.

LORELEEN *(zdejmuje nogę z krzesła i wolnym krokiem podchodzi do Ojca Domineera)* Głupcze! Czy ksiądz wie, co robi! Nie chce ksiądz dopuścić Boga do głosu!

OJCIEC DOMINEER Błuznisz, kobieto!

MAHAN Na co ludziom potrzebne są książki? Przez całe życie żadnej nie przeczytałem.

Michael wraca z książką, za nim postępuje Jednooki Larry z drugą. Ojciec Domineer bierze książkę od Michaela i ogląda stronę tytułową.

OJCIEC DOMINEER *(wybucha)* Książka o Voltairze? *(do Loreleen)* Kobieto, ta książka jest na indeksie!

LORELEEN *(niewinnie)* Naprawdę? W takim razie muszę ją przeczytać jeszcze raz.

OJCIEC DOMINEER *(do Jednookiego Larry'ego)* A to co?

JEDNOOKI LARRY *(zezuje na tytuł)* Uliss-sess czy jak.

OJCIEC DOMINEER Jeszcze gorsza! *(podaje Voltaire'a Larry'emu)* Zanieś do zakrystii, zniszczymy je.

Loreleen wrywa książki Larry'emu, który próbuje stawić opór, ale przewraca się. Ona szybko wybiega i znika na ścieżce.

OJCIEC DOMINEER (*jakby wrósł w ziemię*) Idźcie za nią!

MICHAEL (*oszołomiony*) Nie potrafię nogą ruszyć!

MAHAN I LARRY Ani ja!

Po zniknięciu Loreleen, Kogut nagle przeskakuje przez mur i w piruetach przewija się pomiędzy skamieniałymi ludźmi. Kogut tańczy w takt cichutko wygrywanej na akordeonie melodii. Nadbiega Sierżant i dostrzegając Koguta, zatrzymuje się, przechyla przez mur i mierzy z karabinu w Michaela.

MICHAEL (*w panicznym lęku*) Nie we mnie, człowieku, nie we mnie!

Podekscytowany Sierżant odwraca karabin i mierzy w Mahana.

MAHAN (*w panicznym strachu*) Nie we mnie, człowieku!

Po kilku piruetach wykonywanych przez Koguta wokół jakby zaczarowanych postaci, na scenie zapadają nagle ciemności, akordeon nie przestaje grać pianissimo. Potem słychać dwa krótkie wystrzały i grzmot; muzyka cichnie i na scenie znów jest wczesny zmierzch. Teraz widać, że Ojciec Domineer znikł. Michael i Mahan leżą plackiem na ziemi; Jednooki Larry leży przewieszony przez mur – głową do ścieżki, a nogami do ogrodu.

MICHAEL Kula przeszła mi przez ciało i kość!

MAHAN Kula przeszła mi przez kość i ciało.

JEDNOOKI LARRY (*krzyczy*) Pani Marthraun, Marion, jesteśmy wszyscy zabici.

Kogut i sierżant nas zabili.

Lorna i Marion wybiegają z domu prosto do rozciągniętych na ziemi mężczyzn.

LORNA Co się stało? Gdzie sierżant?

JEDNOOKI LARRY (*ześlizguje się z muru w panicznym strachu*) Widziałem, jak uciekał, kiedy nas wszystkich powystrelał. Idę do domu. Idę do domu! Kogut-Czart zabrał Ojca Domineera. Już mnie nie ma! (*szybko ucieka*)

LORNA (*nachyla się nad Michaelem*) Gdzie cię zranił? Czy możesz od tego umrzeć?

MICHAEL (*w rozpaczy*) Jestem podziurawiony jak sito.

LORNA (*obmacuje go*) Nie masz na sobie śladu rany, ty durniu!

MARION (*obmacuje Mahana*) Ten też nie jest ranny.

MICHAEL Powiadam ci, że kula przeszła mi pierś i wyszła plecami.

MAHAN I trafiła mnie w plecy i wyszła przez pierś.

LORNA Co ten Larry wygadywał? A ojciec Domineer porwany przez Koguta! Moje nerwy są w strasznym stanie. Chyba oszaleję! (*popycha Mahana nogą*) Wstawać. Nic wam nie jest, ani jednemu, ani drugiemu.

MAHAN (*siada ostrożnie i wsuwa rękę za pazuchę*) A to co, do cholery? (*wyciąga kulę większą od cygara*) Popatrz no, Michael, to ci dopiero kula... przebiła najpierw ciebie, a potem mnie. (*pobożnie*) Anieli Pańscy musieli zaraz zaleczyć nasze poharatane kiszki.

MICHAEL (*równie pobożnie*) Jakaś wyższa i szczególna siła musiała się nami zopiekować. Wydarzył nam się ten sam cud. Teraz jesteśmy sobie bliżsi niż bracia.

MAHAN (*gorączkowo*) Tak, tak, bliżsi niż bracia. Przechowam tę kulę do śmierci jako memento momentalnego cudu.

LORNA (*niecierpliwie*) Wstańcie, powiadam wam. I nie przeszkadzajcie nam więcej, chcemy poćwiczyć przed zabawą, żeby zdobyć nagrodę za taniec.

MICHAEL (*wściekły*) Nie będzie żadnych nagród i żadnych tańców, póki nie pozbedziemy się tego piekielnego Koguta! (*do Mahana, pobożnie*) Żyjemy po bożemu, marynarzu, i pracujemy dla dobra ogółu. To nas uratowało.

MAHAN (*równie pobożnie*) Po bożemu, Michael, właśnie! Szczególnie teraz kiedy ugodziliśmy się co do tej podwyżki.

MICHAEL (*podejrzliwie, z odcieniem złości*) Ugodziliśmy się, powiadasz?

MAHAN Powiedziałeś, że dasz mi dwa razy więcej, niż chciałem.

- MICHAEL (*szydlerczo*) Co ty mówisz? To by było cholernie szlachetne z mojej strony! (*ze złością*) Nie dam ci nawet i tego, co chcesz. Mam pójść z torbami dla twojej chwały, tak? Czy mi się zdaje, że ktoś przysięgał oddać ciężarówkę za pół darmo dla dobra ogółu?
- MAHAN (*krzyczy*) Bo zostałem tu zaczarowany! Idę stąd, idę! Dość mam tego użerania się! (*za furtką zatrzymuje się*) Po raz ostatni, panie Marthraun, czy postąpisz jak człowiek przyzwoity i dla dobra narodu dasz mi tyle, ile chcę?
- MICHAEL (*zdecydowanie i ze spokojem*) Nie dam, marynarzu! Nie dam. (*nagle krzyczy*) Prędzej cię piekło pochłonie!
- MAHAN (*już odchodząc*) Pa, kochasiu... A nie zapomnij wziąć proszka na sen, jak potrzeby narodu spać nie dadzą!
- LORNA Bądźże rozsądny, Michaelu. Wystarczająco zarabiasz, żeby mu dać tę podwyżkę.
- MICHAEL (*chwytając ją gwałtownie za ramię*) Słuchaj, ty... nie wiesz, że żona, która prowadzi rachunki męża, nie powinna ujawniać jego sekretów? To przeciw Bogu i naturze, ty wyfiokowana flądro!
- LORNA (*z trudem się uwalnia*) Nie wrywaj mi rąk! Możesz się wypchać swoimi pieniędzmi, ale nie licz na to, że ci pomogę!
Zrywa się wiatr, który jakby unosił Michaela w kierunku furtki; on się opiera i czepia się rękami muru. Kobiety nie czują wiatru.
- MICHAEL Jezusie Nazareński, co za wicher!
- LORNA (*zdziwiona*) Jaki wicher? Nie ma żadnego wichru!
- MARION (*kiwa głową*) Znowu go zaczarowało!
Jednooki Larry nadbiega krzycząc z podniecenia. Trzyma kurczowo w garści opadające spodnie.
- JEDNOOKI LARRY (*za murem*) Cud, cud! Ojciec Domineer wyrwany z rąk Rządcy Ciemności, ze szponów Czarta-Koguta i odstawiony do domu żywy i cały na grzbiecie białej kaczki!
- LORNA (*oniemiała ze zdziwienia*) Na grzbiecie białej kaczki? Końca nie ma tym bajdom! Wszyscy powariowali!
- MICHAEL (*klaszcze w ręce*) Wspaniała nowina! Czy to była dzika czy domowa kaczka?
- JEDNOOKI LARRY Dzika czy oswojona, co za różnica? Przeleciała sobie z ojcem jakby nigdy nic po niebie i zaniósła go, jak się patrzy, do samego domu!
- MICHAEL (*głęboko zamyślony*) A może to była jedna z moich własnych mądrych kaczuszek?
- JEDNOOKI LARRY (*podchodzi do furtki*) Poczekajcie, to wam wszystko opowiem. Czart-Kogut jest wściekły, że mu się ojciec wymknął, i znów szaleje. Machnął skrzydłami i powstał taki okropny wicher, że bydlę się przewraca, karabiny wylatują żołnierzom z rąk i fruują sobie po niebie jak te żurawie... ten tajfun zdziera z ludzi ubrania. Muszę z całych sił trzymać w garści portki, bo bym je zgubił.
- MICHAEL Ten wicher omal nie przerzucił mnie przez mur.
Na ścieżce zjawia się Dzwonnik i staje naprzeciw Jednookiego Larry'ego po drugiej stronie furtki. Z marynarki Dzwonnika pozostał tylko kołnierz i jeden rękaw. Wiatr wyszarpał mu koszulę ze spodni. Mosiężny kask siedzi mu jeszcze na głowie. Prawą ręką przytrzymuje spodnie, a w lewej trzyma dzwonek, którym czasem podzwania.
- DZWONNIK (*krzyczy*) Uciekajcie do domu! Czart-Kogut znów lata luzem. Strasznie molestuje, monstrialna maskara! Uciekajcie do domu! Padnijcie na kolana! Zatrzaśnijcie drzwi, zamknijcie okna! Wściekły gniewnik wyrwa chmury z nieba, dlatego, że Ojciec Domineer został wyrwany z jego szponów i poleciał do domu zdrów i cały na grzbiecie nakrapianej kaczki!

JEDNOOKI LARRY Łzesz! Żadna nakrapiana! Co to za brednie? Ojciec przyleciał do domu na kaczkę bielusieńkiej jak śnieg!

DZWONNIK (*ze złością*) Sam łzesz i nie masz racji! Nakrapiana powiadam, w czarne, brązowe i zielone ciapki. Widziałem na oba własne oczy, jak leciała z ojcem.

JEDNOOKI LARRY (*gwałtownie*) A ja widziałem na jedno oko, ale za to dobrze, że to była kaczką bielusienką jak najbielszy śnieg, co przyniosła ojca do jego miejsca zamieszkiwania.

LORNA Podług mnie biały kolor bardziej pasuje do takiej historii.

MICHAEL A ja uważam, że nakrapiana wyglądałaby przystojniej od białego ptaka, kiedy zlatywałaby z nieba przed dom ojca.

MARION (*zamyślona*) A może to była oswojona dzika gęś pana McGilligana?

MICHAEL (*wybuch*) To przechodzi wszelkie pojęcie! Nie próbuj zamącać cudu, co się wydarzył na naszych oczach.

Sierżant ukazuje się na ścieżce i wbiega do ogrodu. Zgubił czapkę, a mundur ma obwiązany przez pierś sznurkiem, żeby mu nie zleciał; jest bez spodni, jego długa koszula przykrywa krótkie gacie. Trzęsie się ze strachu i wstydu.

SIERŻANT (*odsuwa na bok Jednookiego Larry'ego i Dzwonnika*) Zejdźcie mi z drogi, durnie! (*wbiega do ogrodu*) Na miłość Boską, Mick, daj mi jakieś spodnie. Wicher zdarł mi spodnie. Jak to zobaczyłem, cała moja natura zastygła w panicznym strachu, co będzie dalej.

MICHAEL Okropne doświadczenie! Co się stanie z nami wszystkimi?

SIERŻANT (*ze łzami w oczach*) Dlaczego tu nie ma Ojca Domineera? Nic go już nie obchodzi, odkąd zdrów i cały przyleciał do domu na grzbiecie dzikiej gęsi!

JEDNOOKI LARRY (*zaniemówił z wrażenia, wściekły*) Dzika gęś? Co też pan plecie, człowieku? To była bielusienka jak śnieg kaczką!

DZWONNIK (*do Jednookiego Larry'ego*) Powiadam ci, że to była naciapana, nakrapiana kaczką.

SIERŻANT (*z naciskiem*) Gęś, rozumiesz? Sam inspektor ją widział przez lunetę i powiedział, że to gęś!

LORNA (*ubawiona, kładzie rękę na ramieniu Marion*) Popatrz na niego, Marion. Wyfiokowany na bal maskowy.

MARION (*pęka ze śmiechu*) Widać, że granatowe czapki wyszły z mody!

MICHAEL (*zły, do Sierżanta*) Wejść do domu, człowieku, i nie stój tu w stanie półnagiej ostateczności! Znajdziesz w domu jakieś stare spodnie. (*gdy Sierżant nieśmiało maszeruje w kierunku domu atakuje Lornę i Marion*) Przeklęte pyskaczki, nie macie już ani krzty zrozumienia? Słodki cud dopiero się nam wydarzył, a wy ryczycie ze śmiechu i wybałuszacie oczy na pewne rzeczy w męskim wyglądzie, od których powinnyście uciekać z wrzaskiem. Nie jesteście lepsze od tej opętanej, którą ludzie nazywają moją córką.

Poświst wichru wzrasta, chwilami słychać w nim jęki jak podczas sztormu na morzu. Poślaniec nadchodzi wolnym krokiem i siada na skraju muru, jak najdalej od domu. Mimo gwałtownych podmuchów wiatru, w ogrodzie nic się nie rusza, tylko Michael; Dzwonnik i Jednooki Larry zrywają się z miejsca. Dwaj ostatni wpadają do ogrodu, jakby ich wiatr podrzucił; wszyscy trzej chwytają się rękami za spodnie i zaczynają się kołysać tam i z powrotem, jakby popychani przez niewidzialną siłę, której się opierają. Poślaniec wygrywa cichutko na akordeonie. Lorna i Marion nie czują wiatru i stoją wpatrzona w mężczyzn i ubawione ich zachowaniem.

MICHAEL (*w lekkiej panice*) Posłuchajcie tylko, jak nieczysta siła dmucha! Co za siła! Wiemy, skąd się ta moc bierze. Zły chce nas zdmuchnąć do piekieł!

DZWONNIK (*chybocząc się na wietrze, jedną ręką przytrzymuje spodnie, drugą dzwoni*) Uciekajcie do domu, zatrzaskajcie drzwi, zamknijcie okna!

JEDNOOKI LARRY (*popychany przez wiatr w przeciwną stronę*) Nie możemy, nie możemy, idziemy tam, gdzie nas wiatr popycha.

POŚLANIEC Co was ugryzło? Ja czuję tylko lekki wietrzyk, a w nim zapach sosen i dojrzewających jabłek.

MICHAEL (*do kobiet, nie wypuszczając spodni z ręki*) Idźcie do domu i zdejmcie z siebie te paskudne fatalachy... czuć was jak te przebiegłe fiołki albo róże, co to mają pokusę ukrytą w każdym swoim płatku. Precz z tym, powiadam, a włóżcie coś szarego dla pewności albo też najlepiej coś czarnego, okażcie godziwą pokorę.

Sierżant wychodzi z domu ubrany w niedzielne czarne spodnie Michaela. Ostrożnie schodzi do ogrodu, ale jak tylko się tam znalazł, twarz mu ciemnieje, łapie rękami spodnie i zaczyna się chwiać na wietrze jak reszta mężczyzn.

MICHAEL (*widząc na nim swoje najlepsze spodnie wykrzykuje oburzony*) Moje czarne niedzielne spodnie! Czy Sierżant nie mógł, do cholery, położyć złodziejskiej łapy na czymś skromniejszym?

DZWONNIK Uciekajcie do domu, zatrzaśnijcie drzwi, zamknijcie okna!

Ojciec Domineer zjawia się nagle na ścieżce, przystaje i zagląda do ogrodu. Podmucha silnego wiatru, który go poprzedza, opada z ostrym świstem. Zapada cisza. Włosy księdza są w wielkim nieładzie, oczy patrzą dziko. W rękę trzyma laskę, gdyż kuleje. Są to efekty walki ze złymi duchami.

OJCIEC DOMINEER (*doświadczonym głosem*) Nie ruszać się z miejsca! Przed wrogiem nie wolno się chować! Nieczyste sztuki teatralne, nieczyste filmy, nieczyste książki i nieczyste myśli wrócą do piekła. Kogut z północy czy kogut z południa, jeszcze my go pobijemy, poćwiartujemy, położymy trupem. Ramię w ramię, razem odepchniemy napór nadciągającego pogaństwa! Z podniesionym czołem śmiało stąpajmy pewnym krokiem!

LARRY, MICHAEL, DZWONNIK, SIERŻANT (*cichutko*) Hura!

OJCIEC DOMINEER Przed siebie patrz i na komendę naprzód marsz!

LARRY, MICHAEL, DZWONNIK, SIERŻANT (*słabiutko*) Naprzód marsz!

OJCIEC DOMINEER Wiemy, dokąd idziemy, i wiemy, kto idzie z nami.

MICHAEL Herosi naszych pieśni narodowych.

DZWONNIK Chłopcy na schwał, bohaterzy!

JEDNOOKI LARRY A nie zapomnijcie o kobietach!

Z odległości słychać wrzawę, bicie w bębny i okrzyki.

OJCIEC DOMINEER (*tryumfująco*) Orkiestra gra. Słyszycie? Okrążamy wroga. Zwycięstwo! (*osłania ręką oczy i wpatruje się*) Jednego z nich już mają. Aha, znów niewiasta! (*pauza*) Ładna... i skąd ją znam. (*krzyczy*) Sprowadźcie tu tę dziewczkę. Shanaar, tu do mnie!

Wchodzi do ogrodu i czeka. Na ścieżce ukazuje się Shanaar, za nim dwaj Robotnicy ciągną Loreleen. Loreleen jest w oplakany stanie: włosy w nieładzie, bluzka rozpięta, spódnica rozdarta od dołu do połowy. Widać wysmukłe udo w podartej nylonowej pończosze. Jeden z Robotników trzyma w rękę jej kapelusz. Krwawa rysa ciągnie się od jej oka do środka policzka. Loreleen jest bardzo blada i wystraszona. Mężczyźni wloką ją za ręce do księdza. Shanaar idzie przed nimi. Loreleen staje przed księdzem z opuszczoną głową, gdyż wstydy się podartego ubrania i tego, że ją tak traktują. Tłum mężczyzn i kobiet zatrzymuje się nieco dalej na znak dany przez księdza. Poślaniec schodzi z muru i podchodzi do Loreleen. Powiesił sobie akordeon na ramieniu i przesunął go na plecy. Michael, Dzwonnik i Jednooki Larry stoją opodal za księdzem. Marion i Lorna chciały się rzucić na pomoc dziewczynie, lecz zatrzymał je w miejscu władczy ruch księdza, więc cofnęły się pod dom oczekując dalszego rozwoju wypadków. Shanaar stoi przy furtce ciesząc się nieszczęściem Loreleen.

- OJCIEC DOMINEER (*do tłumu*) Hej tam, cofnąć się, cofnąć się! Zostawcie tej lalkowatej ladacznicy dość miejsca, aby się pokazała w całej krasie.
- SHANAAR (*do księdza*) Niech ją ojciec zwymyśla, przemówi do niej w imieniu świętej Irlandii.
- OJCIEC DOMINEER (*do Sierżanta*) Idźcie, sierżancie, i przypilnujcie, aby tłum nie podchodził za blisko. A wy, Shanaarze, stańcie z drugiej strony i pilnujcie, aby nie przeszli tamtędy. (*do Robotników trzymających Loreleen*) Podejdźcie z nią bliżej. (*Robotnicy ciągną ją siłą*) Postawcie ją na równe nogi. (*Robotnicy podrzucają ją, aż stoi prosto*) No i cóż, wymalowana nierządniczo? Przestałaś się wreszcie śmiać? Twoja bezczelna pewność siebie niewiele ci teraz pomoże. Skończyły się twoje żarty z niebem, moja miła! (*do Robotników*) Jakaście ją złapali?
- PIERWSZY ROBOTNIK (*z dumą*) Mieliliśmy ją na oku, ojcze. Złapaliśmy ją w samochodzie z żonatym człowiekiem... z żonatym, ojcze, a on chciał ją objąć!
- DRUGI ROBOTNIK (*przerywa, aby też się popisać*) Więc wyciągnęliśmy ją z wozu i przytaszczyli tutaj.
- LORNA (*podbiega do Robotnika stojącego bliżej niej*) Puść tę biedną małą, ty obrzydły tchórz! Znam cię, jesteś parszywy do szpiku kości. Wystarczy, żebyś zobaczył spódnicę, a chuć zalewa ci kaprawe oczy. Gdyby ci Pan Bóg dał słonie kły, rozewałybyś na sztuki każdą kobietę w okolicy.
- OJCIEC DOMINEER (*z gniewem, do Lorny*) Wracaj na swoje miejsce, niewiasto! (*krzyczy*) Wracaj, powiadam! (*Lorna powoli wchodzi do domu*)
- MARION (*idąc za Lorną*) Przekłęci kawalerowie Kolumbana mają szlachetne zajęcia i dobrze wykonują swoją robotę.
- LORELEEN (*do księdza, błagalnie*) Niech im ojciec każe mnie puścić, chcę wejść do domu. Marynarz obiecał mi dać pieniądze na wyjazd, dlatego się z nim spotkałam. Nie powinnam była tego robić, ale chciałam się stąd wydostać... (*złamanym głosem*) Wydostać, wydostać! Dał mi pięć funtów, a oni mi zabrali te pieniądze i moje własne dwa funty.
- OJCIEC DOMINEER (*okrutnie*) Marynarz Mahan to porządny, uczciwy człowiek, kobieto. To człowiek gorącej wiary, który może się poszczycić dobrymi uczynkami dla bliźnich i duchowieństwa. (*nachyla się i syczy jej do ucha*) I takiego człowieka, ty grzeszna ladaczniczo, chciałaś pieszczotami przywieść do zgorzenia!
- LORELEEN Chciałam się tylko stąd wydostać. Chciałam być jak najdalej od marynarza i was wszystkich.
- OJCIEC DOMINEER (*do Robotników*) Gdzie marynarz?
- PIERWSZY ROBOTNIK Ludzie zaciągnęli go z powrotem do domu, do prawowitej żony, ojcze. Leży teraz w łóżku i żałuje, że chciał brzydko postąpić.
- LORELEEN (*błagalnie*) Niech im ojciec każe oddać moje pieniądze.
- OJCIEC DOMINEER (*do Pierwszego Robotnika*) Nie powinniście byli tak ostro potraktować marynarza. Gdzie pieniądze?
- DRUGI ROBOTNIK Podarliśmy je, ojcze. Myśleliśmy, że to nie są pieniądze dla porządných ludzi.
- LORELEEN Nieprawda! Wzięli je sobie. (*tłumiąc okrzyk*) Och, wykręcają mi ręce!
- OJCIEC DOMINEER (*cynicznie*) Nie bój się odrobinki bólu, i tak będziesz się wila z bólu na tamtym świecie po takim życiu. (*do Robotników*) Powinniście byli schować te pieniądze dla ubogich.
- POŚLANIEC (*podchodzi do Robotnika z prawej strony Loreleen i mówi spokojnie*) Puść to śliczne ramię, przyjacielu, bo jak nie, skręcę ci kark tym oto ramieniem. (*krzyczy*) Puść, powiadam! (*na znak Księdza Pierwszego Robotnika puszcza Loreleen; Poślaniec podchodzi do Drugiego Robotnika*) Puść to śliczne ramię, przyjacielu, bo skręcę ci kark! Puść, powiadam! (*Drugi Robotnik puszcza ją*) A teraz

odsuńcie się, dajcie dziewczynie odetchnąć. (*Robotnicy odsuwają się*) Dziękuję. (*do Księdza*) A teraz, litościwy i miłosierny ojcie, wykrztuś gorzkie błogosławieństwo i pozwól dziewczynie odejść. I postaraj się zaprawić swoją pychę odrobiną zrozumienia, aby rozluźnić cokolwiek tę płataninę, w którą Bóg pozwolił nam się uwikłać.

OJCIEC DOMINEER (*namiętnie*) Odejdź ty, bo tłum jest rozgniewany, a ludzie mają mocne ramiona! Znam was, wrogów prawdy przekazanej nam przez tradycję, wrogów sprawiedliwego potępienia, wasza buntownicza liberia jest czerwona od rdzy bramy piekieł. (*do Loreleen*) A ty chciałaś zepsuć takiego człowieka jak marynarz Mahan, który jak Bóg przykazał spełnia swe obowiązki i nie wychodzi z kościoła. Chciałaś go ściągnąć do błota, w którym sama grzęzniesz, ty grzesznico przystrojona w piórka!

LORELEEN (*oburzona*) Niech ksiądz przestanie! Ksiądz nie postępuje uczciwie, bo ksiądz powinien zażądać zwrotu ukradzionych pieniędzy. Ksiądz szydzi z arcydzieła Boga potępiając ładną twarz. Przeklina ksiądz radość, a nie grzech. Niech ksiądz uważa, aby jakiś diabeł nie wdrapał mu się po sutannie do dzwonnicy kościelnej.

OJCIEC DOMINEER (*z furją*) Nie będziesz mi tu rozsiewać ciemności grzechu wśród cnotliwych ludzi. (*syczy*) Stipendium peccati mors est! Wyjeżdżaj stąd natychmiast albo wyjedziesz w trumnie, w trumnie, w trumnie!

SHANAAR (*przy furtce*) Litośmierny wyrok i letka kara dla takiej, jak ta.

LORELEEN (*na wpół wyzywająco*) Jak mam wyjechać, kiedy mi zabrali wszystkie pieniądze? Jak mam stąd iść w podartym ubraniu i lekkich pantoflach?

OJCIEC DOMINEER (*z twarzą przy jej twarzy*) Piechotą... na własnych nogach... a jak porobią ci się bąble, czołgaj się na kolanach... a jak kolana będą w strupach, pełzaj na brzuchu, pełzaj w prochu jako ten wąż w Ogrodach Edenu, bo proch jest w sam raz dla takich jak ty. (*wyprostowuje się i mówi rozkazująco*) Wynos się stąd!

Loreleen powoli wychodzi przez furtkę i idzie ścieżką. Kiedy Loreleen znajduje się przy furtce, z domu wybiega Lorna ubrana w ciemnoczerwoną pelerynę; drugą, zieloną, przerzuciła przez ramię. Na plecach ma dość duży plecak.

LORNA (*biegnąc*) Loreleen!

Loreleen zatrzymuje się nie odwracając głowy.

LORNA Idę z tobą, Loreleen! (*przy furtce odpycha Ojca Domineera i omal nie przewraca Shanaara; podbiega do Loreleen i otula jej plecy zieloną peleryną*) Idę z tobą, kochanie. Mam dla ciebie mocne buty w plecaku, włożysz je, jak uciekniemy od księdza i jego motłochu. Odwagi, malutka. Zło nie jest przed nami, zostawiamy je tutaj.

Odchodzą powoli.

OJCIEC DOMINEER (*ujmując Sierżanta za ramię*) Niech sobie idzie tam, gdzie jej miejsce. Pójdziemy za nią kawałek drogi i przypilnujemy, aby jej nikt nie skrzywdził. (*do Michaela*) Nie upadaj na duchu, demon jest pokonany! Możesz teraz zaznać spokoju i szczęścia w swoim domu.

Wychodzi z Sierżantem, za nimi idzie tłum oprócz Michaela, Posłanica i Shanaara. Posłaniec siada bokiem na murze, przesuwa akordeon na piersi i zaczyna cichutko grać melodię do piosenki „Oh, Wolam Gracious”. Shanaar jest po drugiej stronie muru i patrzy na Michaela, który siedzi przy stole ponury z głową opartą na ręce.

SHANAAR (*do Michaela*) Jego wielebność powiedział świętą prawdę. Teraz będziecie mogli zaznać szczęścia i spokoju. Brakowało wam spokoju, a teraz będziecie szczęśliwy.

MICHAEL (*powątpiewająco*) Może i macie rację, Shanaarze, a Pan Bóg wie, jak bardzo potrzebuję spokoju i szczęścia. (*zamyśla się*) Czy Lorna wróci do mnie?

SHANAAR (*z naciskiem*) Diabła tam wróci! Nie martwcie się o to! I macie szczęście, bo niewiasta to zawsze pułapka na męską duszę. Kobieca miłość prowadzi człowieka do piekła.

POŚLANIEC (*gra cichutko i śpiewa*)

Kobietę wdzięczną, w sukni złocistej
Przechodzisz błyszcząc przez ciemny świat,
Mężczyzna szuka prawdy wieczystej,
Ty daj mu radość młodzięczych lat.
Więc strój się, miła, z fantazją, ładnie,
Będziemy tańczyć i tańczyć znów,
Rozkosze życia weźmiemy snadnie
I miłych nam nie zabraknie słów.

Marion wychodzi z domu, staje w drzwiach i przygląda się Pośłańcowi. Niebieska peleryna sięga jej do kolan. Poślaniec śpiewa:

Więc chwyć w ramiona młodość figlarę,
Bo młodość płocha uciekać chce,
I odbierz swoją całusów miarę,
Nim chytra młodość opuści cię.

Marion kieruje się do furty, Poślaniec chwyta ją za ramie.

POŚLANIEC Chcesz mnie opuścić? A któż mnie będzie kochał, dziewczyno?

MARION Dobrze mi, kiedy słyszę twój głos... dobrze mi, kiedy mnie obejmujesz... i chciałabym...

POŚLANIEC (*szybko*) Pocałować cię!

MARION Ale nie tu, Czarusiu, nie tu! Bo najłżejszy szept miłości w tym domu boli! (*wychodzi na ścieżkę, patrzy na posmutniałego Pośłańca*) Chodź ze mną, jeśli chcesz, zostań, jeśli wolisz. (*odchodzi; Poślaniec zostaje*)

SHANAAR (*do Pośłańca*) Posłuchaj ostrzeżenia mądrego, bardzo mądrego starca! (*patrzy na ścieżkę*) Co ja widzę? Przecież to Julia wraca z Lourdes, i jeszcze na noszach! No to na mnie czas. Nic mi po rozmowie z nią, kiedy wróciła tak samo chora, jak pojechała.

Shanaar zgina się we dwoje, aby go nie dostrzeżono, i chytrze umyka. Po chwili Robotnicy wnoszą Julię, za którą postępuje jej milczący ojciec o kamiennej twarzy. Robotnicy ustawiają nosze w ogrodzie tuż przy furcie. Julia jest przykryta płedem czarnym jak zimowe niebo, przy tej czerni kredowoblada twarz umierającej wydaje się jeszcze bledsza. Poślaniec stanął przy furcie, niedaleko noszy, w pozie na wpół wojskowej, jakby na baczość, i patrzy na dziewczynę. Ojciec Julii stoi za jej głową. Michael siedzi i nic nie widzi, głowę oparł na ręce.

JULIA (*martwym głosem, do nikogo*) Lorna, niech Lorna tu przyjdzie.

POŚLANIEC (*łagodnie*) Poszła stąd, Julio.

JULIA Poszła? Dokąd poszła?

POŚLANIEC Tam, gdzie życie jest bardziej podobne do życia, niż tu.

JULIA Daleko będzie musiała iść. Wszędzie jest to samo. W Lourdes jest tak samo jak tu, mimo tych tłumów i świec. A Loreleen?

POŚLANIEC Poszła z Lorną. I Marion też poszła za nimi.

JULIA No to już nie ma nikogo. Nikt mnie nie spyta, jak ja się czuję.

POŚLANIEC Jest Michael Marthraun.

JULIA (*przypatruje się jakiś czas Michaelowi*) On, biedak, też jest umierający. Nie ma nikogo... a co się tu działo, kiedy wyjeżdżałam! Przyszedł sam burmistrz z całym sztabem, orkiestra grała... Ojciec Domineer jak z rękawa wypał sypał błogo-

sławieństwa, a stary Shanaar szeptał modlitwy... bo myśleli, że będzie cud. (*pauza*) Ale cudu nie było! Nie uzdrowiła mnie, nie uzdrowiła mnie. Straciłam nadzieję. (*znów pauza, z nikłym uśmiechem*) Widzę, jak ci się dusza wyrывa, żeby mnie pocieszyć, jak bardzo pragnąłbyś mnie wyleczyć. Powiedz mi coś, zanim będzie po wszystkim.

POSŁANIEC (*bardzo łagodnie*) Bądź odważna.

JULIA Nic więcej, Czarusiu?

POSŁANIEC Bądź odważna, cokolwiek się stanie.

JULIA (*po pauzie*) Zabierz mnie do domu, tatusiu.

Robotnicy wynoszą ją, ojciec idzie za nimi bez słowa.

MICHAEL (*podnosi głowę i patrzy na Postać*) Może Lorna wróci do mnie... Może nie powinienem był jej tak skrzyknąć za tę maskaradę.

POSŁANIEC (*bezbarwnym głosem*) Może wróci... może nie powinienem był.

MICHAEL (*też bezbarwnym głosem*) Będę teraz całkiem sam. Wszyscy mnie opuścili. (*wyjmuje z kieszeni różaniec i zaczyna przesuwac paciorki*) Pozostał mi tylko Syn Boży. (*widzi, jak Postanieniec przesuwac akordeon na plecach i idzie do furtki*) Ty też odchodzisz?

POSŁANIEC Aha.

MICHAEL Dokąd?

POSŁANIEC Tam, gdzie życie jest bardziej podobne do życia, niż tu.

MICHAEL (*po pauzie*) A co mnie radzisz zrobić?

POSŁANIEC (*odwraca się już przy furtce*) Umrzeć. To jedyna pożyteczna rzecz, którą tacy jak ty, mogą zrobić. (*przesuwac akordeon na piersi i bierze kilka wstępnych taktów; potem zaczyna cichutko grać i śpiewać idąc ścieżką; Michael osuwa się z głową na stół i zagrzebuje twarz w rękach; Postanieniec śpiewa i akompaniuje sobie idąc*)

POSŁANIEC

Gwiazdeczką jest ona młodziutką na niebie.

Niech inne się szczycą mądrością.

Gdy Marion wesoło się śmieje do ciebie,

To życie jest czystą radością.

Czy miasto budować, czy w polu żać będzie,
Popędzę tam za nią, jak noc za dniem pędzi,

Jak chłopak za miłą gna w las po żołędzie,
I zawsze tak, zawsze tak będzie!

Kurtyna

SEAN O'CASEY

(ur. w Dublinie w 1880 – zm. w Torquay w 1964)

Wielokrotnie podkreślał, że na jego twórczość największy wpływ miało doświadczenie trudnego dzieciństwa spędzonego w protestanckiej rodzinie (gdy miał sześć lat, umarł jego ojciec). Sean O'Casey od wczesnych lat musiał zajmować się pracą zarobkową, przede wszystkim w fabrykach, co zbliżyło go do problemów najbiedniejszych grup społecznych Irlandii, później przewodniego tematu wielu jego tekstów. Szybko też zafascynował się tradycyjną kulturą irlandzką i językiem gaelickim (w 1906 wstąpił do Ligi Gaelickiej, ale wkrótce ją opuścił, uznając organizację za klub uprzywilejowanych, niezainteresowanych problemami irlandzkiej klasy pracującej). Debiutował w Abbey Theatre i tu także wystawił jedną ze swoich najbardziej kontrowersyjnych sztuk – *Pług i gwiazdy* (1926), która – podobnie jak wcześniej *Playboy zachodniego świata* Synge'a – wzbudziła uliczne protesty (dramatowi zarzucano między innymi antykatolicki charakter). W obronę autora włączył się Yeats, jednak O'Casey udał się po protestach na emigrację do Wielkiej Brytanii; to tu w pełni rozwinął się jego talent.

Twórczość O'Caseya prześlągnięta jest problematyką współczesnej mu Irlandii, ale język wypowiedzi niekoniecznie jest językiem naturalizmu. Pisarz fascynował się ekspresjonizmem (co oddaliło go od wielu współczesnych mu autorów z Irlandii), ale także teatrem silnych konwencji, również komediowych. Jego dramaty są wyrazem lewicowej wrażliwości, często mają silnie antyklerykalną wymowę.

Pochodząca z roku 1947 (ale opublikowana dopiero dwa lata później) sztuka *Kukuryku*, określana przez autora jako „moralitet, w którym zło walczy z dobrem”, należała do ulubionych dzieł pisarza. W „Dialogu” ukazała się w numerze 5/1960. W tym samym roku jej polską prapremierę przygotował w Teatrze Polskim w Warszawie Zygmunt Hübner, zmieniając tytuł na *Kogut zawinił*.

Brian Friel

TAŃCE W BALLYBEG

Przełożyła Małgorzata Semil

OSOBY:

MICHAEL, młody mężczyzna, narrator; mówi także kwestie Chłopca, czyli samego siebie z okresu, gdy miał siedem lat.

KATE, lat czterdzieści, nauczycielka

MAGGIE, lat trzydzieści osiem, zajmuje się domem

AGNES, lat trzydzieści pięć, dziewiarka

ROSE, lat trzydzieści dwa, dziewiarka

CHRIS, lat dwadzieścia sześć, matka Michaela

GERRY, lat trzydzieści trzy, ojciec Michaela

JACK, lat pięćdziesiąt trzy, misjonarz

Akt pierwszy dzieje się na początku sierpnia 1936, akt drugi – trzy tygodnie później. Scenografia: nieco więcej niż połowę sceny zajmuje kuchnia, znajdująca się po prawej stronie. Resztę sceny stanowi przylegający do domu ogród. Ogród, choć nie uprawiany, wygląda porządnie. W głębi sceny, pośrodku, znajduje się ławka ogrodowa. Chłopiec (którego nie widać) bawił się robieniem dwóch latawców; koło ławki leżą teraz rozrzucone kawałki drewna, papieru, sznurka itp. Jeden latawiec jest prawie gotowy. W kuchni jest dwoje drzwi. Jedne prowadzą do ogrodu i do frontowej części domu, drugie – znajdujące się w prawym rogu w głębi – wiodą do pokoi sypialnych oraz innych pomieszczeń w tylnej części domu. Jedno okno kuchenne znajduje się od strony frontowej, drugie wychodzi na ogród. Za sceną po prawej stronie rośnie jawor. Jedna z jego gałęzi zachodzi nad część dachu.

Wyposażenie kuchni jest typowe dla lat trzydziestych: duża żeliwna kuchnia węglowa, a obok niej skrzynia na torf, stół, krzesła, komoda, lampa naftowa, wiadra z wodą przy tylnych drzwiach itp. Ponieważ mieszka tu pięć kobiet, to różne wdzięczne drobiazgi – kwiaty, firaneczki, ozdóbki na komodzie przydają temu surowemu wnętrzu nieco ciepła.

Kostiumy: tylko Kate, nauczycielka, ma stałe dochody. Agnes i Rose zarabiają troszkę chałupnictwem – robią na drutach rękawiczki. Chris i Maggie nie mają żadnych do-

chodów. Ubranie siostr zdradza, jak skromne są ich warunki finansowe. Rose chodzi w kaloszach nawet w ciepły dzień. Maggie nosi sięgające powyżej kostki sznurowane buty z cholewkami, z niezawiazanymi sznurowadłami. Rose, Maggie i Agnes mają na sobie typowe dla tamtych czasów, obszerne bure fartuchy, przypominające sukienki bez rękawów. W pierwszym żywym obrazie ojciec Jack ma na sobie mundur kapelana armii brytyjskiej – wspaniały i nieskazitelny, olśniewająco biały mundur ze złotymi epoletami, takimiz guzikami, a także hełm tropikalny, koloratkę i laseczkę wojskową. Stoi wyprężony na baczność. Postacie sztuki mówią o nim, że jest „olśniewający”, „przewspaniały”. Jest tak „przewspaniały”, że niemal operetkowy. W scenie tej Gerry też ma na głowie nieskazitelnie biały trójgraniasty kapelusz z imponującym białym pióropuszem. (Brudne i zniszczone wersje munduru ojca Jacka i kapelusza Gerry’ego pojawią się pod koniec sztuki, w ostatnim obrazie.) Rose jest trochę „słaba na umyśle”, toteż siostry otaczają ją troską i opieką; szczególnie opiekuńcza jest Agnes.

AKT I

Michael stoi na przodzie sceny po lewej stronie w kręgu światła. Reszta sceny tonie w ciemnościach. Gdy tylko Michael zaczyna mówić, światło powoli ogarnia resztę sceny. W pewnym oddaleniu od Michaela stoją nieruchomo pozostałe postacie, tworząc żywy obraz. Maggie jest przy oknie kuchennym (po prawej stronie), a Chris przy drzwiach frontowych. Kate znajduje się możliwie najdalej po prawej stronie sceny. Rose i Gerry siedzą na ławce ogrodowej. Ojciec Jack stoi obok Rose. Agnes znajduje się w głębi sceny po lewej. Wszyscy trwają na swoich miejscach podczas monologu Michaela.

MICHAEL Gdy sięgam myślą do lata 1936 roku, przypominają mi się różne rzeczy. Tego lata w naszym domu pojawiło się pierwsze radio – no, powiedzmy, coś w rodzaju radia – i urządzenie to całkowicie nami zawiązało. Moja ciotka Maggie – której zawsze trzymały się żarty – zaproponowała, żeby nadać mu jakieś imię. Skoro zawiątało do nas w pierwszych dniach sierpnia, chciała je nazwać Lugh, na cześć celtyckiego boga płonów. W dawnych czasach pierwszy sierpnia był La Lughnasa, dniem pogańskiego boga Lughy; a następujące potem dni i tygodnie zbiorów stanowiły święto Lughnasa. Ale ciotka Kate, nauczycielka, przy tym osoba niezwykle zasadnicza, oświadczyła, że to grzech nadawać martwemu przedmiotowi jakiegokolwiek imię, a co dopiero imię pogańskiego boga. Ochrzciliśmy więc nasze radio imieniem „Marconi”, gdyż taki właśnie napis widniał na aparacie.

Mniej więcej trzy tygodnie po radiu pojawił się w naszym domu drugi gość – brat mojej matki – wuj Jack. Wuj Jack przyjechał z Afryki, gdzie przez dwadzieścia pięć lat przebywał w kolonii trędowatych w odległej wiosce Ryanga w Ugandzie. Wioskę tę opuścił po raz pierwszy i jedyny w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy został powołany do wojska i służył w nim jako kapelan armii brytyjskiej w Afryce Wschodniej. Potem wrócił do tego ponurego hospicjum, gdzie przepracował kolejne osiemnaście lat. Mając pięćdziesiąt kilka lat i nadszarpięte zdrowie, przyjechał wreszcie do domu, do Ballybeg, jak się okazało tylko po to, żeby tu umrzeć.

A więc, kiedy sięgam pamięcią do lata 1936 roku, te dwa wspomnienia – nasze pierwsze radio i powrót ojca Jacka – zawsze występują łącznie. Gdy przypominam sobie, jakie wstrząsające wrażenie wywarł na mnie widok Jacka, skurczonego, o żółtej malarznej cerze, równocześnie przypomina mi się zachwyty, a nawet nabożny lęk, jaki wywołała we mnie ta czarodziejska skrzynka: radio. I gdy wspominam naszą kuchnię, pulsującą rytmem irlandzkiej muzyki, która docierała tu do nas aż z Dublina, i matkę oraz jej siostry, które nagle chwytały się za ręce i spontanicznie zaczynały tańczyć, chichotały i pokrzykiwały jak rozdokazywane pensjonarki – zaraz pojawia

mi się przed oczami także samotna postać ojca Jacka, który snuł się z pokoju do pokoju, jakby czegoś szukał, tyle że zapomniał, czego. Wprawdzie miałem zaledwie siedem lat, ale wyczuwałem, że coś jest nie tak, że wszystko zbyt raptownie się zmienia, że nasze wyobrażenia o rzeczywistości już do niej nie przystają, a rzeczy mają się nie tak, jak powinny. Brało się to być może stąd, że wuj Jack nie był wcale tak wspaniały, jak go sobie kiedyś wyobrażałem. A może stąd, że widziałem, jak pod wpływem czarów Marconiego dobre, rozsądne kobiety przemieniają się w jakieś rozwrzeszczane, nieznane mi osoby. A może stąd, że podczas Lughnasy 1936 roku dwukrotnie odwiedził nas mój ojciec, Gerry Evans, i po raz pierwszy mogłem mu się przyjrzeć.

Zmiana oświetlenia.

Kuchnia i ogród oświetlone są tak, iż widać, że jest to słoneczny letni dzień. Michael, Kate, Gerry i Jack schodzą ze sceny. Pozostałe osoby zabierają się do swoich zajęć. Maggie przygotowuje jedzenie dla kur. Agnes robi na drutach rękawiczki. Rose wnosi do kuchni kosz pełen torfu i wysypuje jego zawartość do skrzyni stojącej przy kuchni żeliwnej. Chris prasuje na stole kuchennym. Wszystkie siostry pracują w milczeniu. W pewnej chwili Chris przestaje prasować, podchodzi do małego lusterka wiszącego na ścianie i przygląda się uważnie swojej twarzy.

CHRIS Psiakość, kiedyż my się dorobimy lustra, w którym można coś zobaczyć?

MAGGIE Co trzeba, to zobaczysz.

CHRIS Wreszcie się zdenerwuję i wywalę to durne szkielek, ot co!

MAGGIE Niech cię ręka boska broni! To moja wina, że się stłukło. Musimy go używać, bo inaczej spotka nas siedem lat nieszczęść.

CHRIS Nic w nim nie widać.

AGNES Prócz tego, że zmarszczek przybywa.

CHRIS Wiecie, co? Chyba zacznę używać pomadki do ust.

AGNES Słyszałaś, Maggie?

MAGGIE Uważaj, moja panno. Najpierw szmineczka, potem dżinu buteleczka.

CHRIS Chyba jednak zacznę się malować.

AGNES Niechby to Kate usłyszała: „Lafiryndę z siebie robisz, ty bezbożnico jedna!”

CHRIS (*przysuwa twarz do lustra i dotyka jej palcami*) Strasznie jestem błada. I te myszate włosy. Przydałoby mi się trochę koloru.

AGNES Po co?

CHRIS Ano właśnie, po co. (*wzrusza ramionami i wraca do prasowania. Podnosi komżę*) Byłaby z tego ładna suknia, nie...? Boże, przebacz mi...

Siostry kontynuują swoje zajęcia, żadna się nie odzywa. Nagle Rose zaczyna głośno śpiewać.

ROSE

Jedźmy wraz do Abisynii, jedźmy wraz,
Własny kubek, talerz, kotlet radzą brać...

Przy następnych dwóch liniijkach Rose tańczy – jest to ciężkie, niezdarne, pozbawione wdzięku dreptanie niemające nic wspólnego z rytmem piosenki.

ROSE

Mussolini już tam czeka, samolotom rozkaz dał,

Jedźmy wraz do Abisynii, jedźmy wraz.

Nieźle, co, Maggie?

MAGGIE (*usiłuje zapalić bardzo krótki niedopałek papierosa*) Powinnaś występować na scenie.

ROSE (*kontynuuje taniec, teraz podciągnęła przód fartucha*) A jakie nóżki!

MAGGIE Wstydu nie masz, Rose! (*sama podciąga spódnicę jeszcze wyżej niż Rose i wykonuje podobny taniec*) O, tak się tańczy!

ROSE Doskonale, Maggie – doskonale – doskonale! Patrz, Agnes, patrz!

AGNES Bezbożnice z was i tyle. Bezbożnice.

ROSE Włącz Marconiego, Chrissie.

CHRIS Sto razy ci mówiłam, że bateria się wyczerpała.

ROSE Nieprawda. Przed chwilą włączyłam go i grał. (*podchodzi do aparatu i włącza go. Przez trzy sekundy głośno urywek „The British Grenadiers”*) Widzisz! Rosie się słucha! (*już zamierza puścić się w tany, kiedy muzyka milknie*)

CHRIS Mówiłam.

ROSE Do chrzanu to durne radio.

AGNES Kate przywiezie nową baterię.

CHRIS Żeby się nie okazało, że to nie bateria.

ROSE Aggie, czy Abisynia jest w Afryce?

AGNES Tak.

ROSE Tam jest teraz wojna?

AGNES Tak. Już ci mówiłam.

ROSE Ale to nie tam był ojciec Jack, prawda?

AGNES (*cierpliwie*) Jack był w Ugandzie. To też w Afryce, ale zupełnie gdzie indziej... Przecież ty to wszystko wiesz, Rosie.

ROSE (*nieszczęśliwa*) Tak, wiem... wiem... wiem, że...

MAGGIE (*bierze ją za rękę i śpiewa jej cicho na ucho, na tę samą melodię co „Abisynia”*)

Oddaj głos na De Valerę, oddaj głos,

Bo jak nie, to nas Gandhiego czeka los.

Rose i Maggie śpiewają dwie następne linijki razem.

ROSE i MAGGIE

Wujek Bill, co lubi zupe, wsadził sobie radio w...

Tańczą, śpiewając ostatnią linijkę:

ROSE i MAGGIE

Oddaj głos na De Valerę, oddaj głos.

MAGGIE Wiesz, co ci powiem, Rosie, obie powinnyśmy występować w teatrze.

ROSE Tak. Powinnyśmy obie występować w teatrze! Słyszysz, Aggie?

Zabierają się z powrotem do swoich zajęć. Agnes idzie do szafy po włóczkę. Wracając na swoje miejsce, spogląda przez okno wychodzące na ogród.

AGNES Co też twój syneczek tam robi?

CHRIS Bóg raczy wiedzieć. Najważniejsze, że nie hałasuje.

AGNES Coś sobie majstruje. Chyba robi latawca. (*stuka w szybę, woła „Michael!” i posyła całusa niewidocznemu chłopcu*) Oj, miałam tego nie robić! Ma włosy zupełnie jak twoje.

CHRIS Mam siano, nie włosy. Umyjesz mi dziś głowę?

MAGGIE Co to, wybieramy się na wielkie tańce?

CHRIS Może trochę później, jak położę małego.

MAGGIE Pani pozwoli, że będę jej kawalerem?

AGNES (*przy oknie*) Szkoda, że on tu nie ma towarzystwa innych chłopców.

MAGGIE Właśnie. Nam by się też przydali, nie?

AGNES (*odchodząc od okna*) Maggie!

MAGGIE Ale by było, gdybyśmy miały... (*urywa gwałtownie*) Ciii!

CHRIS Co się stało?

MAGGIE Myślałam, że ojciec Jack idzie. Żeby tylko Kate nie zapomniała kupić mu chininy.

AGNES Nie ma obawy, nie zapomni. Kate nigdy o niczym nie zapomina.

Pauza.

ROSE W przyszłym tygodniu będzie film w świetlicy. Chyba się wybiorę.

AGNES (*ostrożnie*) Taak?

ROSE Może się tam z kimś zobaczę.

AGNES Z kim?

ROSE Nie powiem.

CHRIS A my tego kogoś znamy?

ROSE Nie powiem.

AGNES Na pewno spędzisz miło wieczór. Ten ostatni film, na którym byłaś, bardzo ci się podobał.

ROSE A w następną niedzielę chce mnie zabrać w góry – do Lough Anna. Jego ojciec ma tam łądz. Chyba wezmę na drogę butelkę mleka. I kupię ze swoich oszczędności paczkę herbatników w czekoladzie.

CHRIS Rosie, Danny Bradley to łajdak.

ROSE Przecież nie powiedziałam, że to on.

CHRIS Ma żonę i troje dzieci.

ROSE Właśnie że się mylisz, moja panno – wiesz! (*do Agnes*) Pół roku temu go rzuciła i wyjechała sobie do Anglii.

MAGGIE Rosie, kochanie, chcemy tylko...

ROSE (*do Chris*) I kto to mówi? Nie waż się mnie pouczać!

MAGGIE Całe miasto wie, że Danny Bradley to...

ROSE (*do Maggie*) Ty też mi zazdrościsz! Tu was boli... wszystkie mi zazdrościcie! (*do Agnes*) Mówi na mnie „Moja Różyczka”. Czekał na mnie przed kaplicą w tamto Boże Narodzenie i to mi podarował. (*odchyła górną część fartucha. Do sweterka ma przypięty medalik i maskotkę*) „To dla mojej Różyczki.” Tak powiedział.

AGNES Co to jest? Rybka?

ROSE Śliczna, prawda? Z najprawdziwszego srebra. Na szczęście.

AGNES Bardzo ładna.

ROSE Cały czas ją noszę – razem z moją Bożą. (*pauza*) Ja go kocham, Aggie.

AGNES Wiem.

CHRIS (*cicho*) Łajdak.

Rose zakrywa znowu sweter fartuchem. Jest bliska płaczu. Cisza. Maggie unosi wiadro z jedzeniem dla kur i trzymając je jak partnera w tańcu, wykonuje bardzo szybko i bardzo przesadnie kilka taktów tanga, śpiewając przy tym parodystycznie „Pamiętasz Capri”.

MAGGIE

Pamiętasz Capri wśród kwiatów i słońca,

Pamiętasz morze niebieskie wśród skał,

Tam nasza miłość zakwitła gorąca

Wiosną świat cały do nas się śmiał.

(nie zatrzymawszy się nawet dla złapania tchu, zaczyna wołać kury i wychodzi drzwiami od podwórza) Cip, cip, cip, cip ciiiip...

Wchodzi Michael i staje po lewej stronie sceny. Rose zdejmuje fajerkę i wrzuca pod płytę trochę torfu.

CHRIS Co robisz? Tam jest dusza od żelazka!

ROSE Skąd mogłam wiedzieć?

CHRIS Nie widzisz, że prasuję? (*grzebie w kuchni szczypcami*) No i przepadło. Zejźdź mi z drogi, co?

AGNES Rosie, kochanie, mogłabyś mi pomóc? (*chodzi jej o welnę*) Musimy pośpieszyć się z robotą. Inaczej mowy nie ma, żebyśmy zrobiły dwa tuziny do końca tygodnia.

Konwencja musi być jasna, że wyimaginowany Michael-dziecko zajęty jest leżącymi na ziemi materiałami potrzebnymi do zrobienia latawców. Kwestie kierowane do Michaela nie powinny być adresowane do Michaela dorosłego, czyli do narratora. W tej scenie, na przykład, Maggie jest zwrócona do narratora plecami. Michael odpowiada Maggie swoim normalnym głosem narratora. Maggie wchodzi do ogrodu drzwiami od podwórza.

MAGGIE Co to ma być?

CHŁOPIEC Latawce.

MAGGIE Latawce! Też wymyśliłeś!

CHŁOPIEC Ciociu Maggie, ostrożnie! Nadepnęła mu ciocia na ogon.

MAGGIE Ale nie zapiszczał, co? – Ha, ha. Chcesz, założymy się. Dostaniesz pensa, jeśli te twoje latawce w ogóle popfruną. Zgoda?

CHŁOPIEC Aha!

MAGGIE *(przykuca przy nim)* Mam dla ciebie nowe zagadki.

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Co to jest – krąży po domu i stoi w kącie? *(pauza)* Miotła! Stała panienka, biała na niej sukienka. Im dłużej stała, tym mniejsza się stawała.

CHŁOPIEC Ciocia jest niemożliwa.

MAGGIE Świczka! A co to jest – mechate na grzbiecie, mechate na brzuszku, wsuniesz nóżkę – będzie jak w kozuszk.

Pauza.

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Pomyśl!

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Czy masz choć odrobinę oleju w tej swojej łepetynie?

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Skarpetka!

CHŁOPIEC Co?

MAGGIE Skarpetka! No wiesz – wsuniesz nóżkę... *(odgrywa wsuwanie stopy do skarpetki, ale nie spotyka się to z najmniejszą reakcją ze strony Chłopca)* Wiesz, co ci jest, synku? Jesteś skończony cymbał, i tyle!

CHŁOPIEC Uwaga, szczur!

MAGGIE *(z wrzaskiem zrywa się na równe nogi)* Gdzie? – Gdzie? – Gdzie? – Jezus, Maria, Józefie święty, gdzie ten szczur?

CHŁOPIEC Znów się ciocia dała nabrać!

MAGGIE Ty, urwipołciu jeden – niech cię Bóg ma w swojej opiece! Jeszcze się z tobą policzę! Nie zapomnę ci tego, możesz być pewien! *(bierze swoje wiaderko i rusza na tył domu. Zatrzymuje się)* A miałam dla ciebie karmelka.

CHŁOPIEC Oblepionego tytoniem, jak zwykle?

MAGGIE Boże święty, nie zazdrośczonej twojej przyszłej żonie. *(odchodząc)* Cip, ciip, ciip... *(zatrzymuje się jeszcze raz i rzuca mu cukierek)* Masz – może ci zaszkodzi. *(wychodzi)* Cip, cip, ciip...

MICHAEL Gdy pierwszy raz zobaczyłem wuja Jacka, zaskoczył mnie jego wygląd. Spodziewałem się... bo ja wiem... pewnie jakiegoś bohatera z opowieści dla młodzieży. Widziałem go raz na fotografii. Był taki dumny i pełen godności w mundurze oficerskim. Fotografia wypadła ciocie Kate z modlitewnika i ciocia mi ją wyrwała, nim zdążyłem się dokładnie przyjrzeć. Była zrobiona w 1917 roku, kiedy wuj służył jako kapelan w armii brytyjskiej w Afryce Wschodniej. Wyglądał na niej wręcz przewspaniale. O krótkiej karierze wuja w armii brytyjskiej nie mówiło się w naszym domu, bo ciocia Kate była działaczką miejscowego ruchu wyzwolenczego. Niemniej obraz wspańiałego wuja Jacka z tej fotografii utrwalił mi się w pamięci. Dla mnie wuj był bohaterem, ale dla mojej matki oraz ciotek był i bohaterem, i świętym. Wielokrotnie odczytywały jego nieliczne listy. Co wieczór modliły się za niego, za jego trędowatych i za jego misję. Oszczędzwały, odkładały, ile się dało – tu sześc pensów, tam szylinga – ochoczo i z radością się poświęcały, żeby tylko móc wysłać mu coś na Gwiazdkę i na urodziny. Co jakiś czas w miejscowej gazecie, w „Donegal Enquirer”, pojawiał się artykuł o „naszym duszpasterzu trędowatych”, jak go nazywano. Ballybeg, a nawet całe hrabstwo Donegal było z niego dumne. Część tej sławy spływała, naturalnie, na

całą naszą rodzinę i podnosiła trochę naszą pozycję w parafii. Niewątpliwie ciotkom łatwiej było dzięki temu dźwigać ciężar hańby sprowadzonej na nasz dom przez moją matkę, gdyż byłam, jak to wówczas mówiono, synem naturalnym.

Z lewej strony wchodzi Kate objuczona torbami z zakupami. Na widok Chłopca zajętego robieniem latawców jej twarz się rozjaśnia. Przez kilka sekund przygląda mu się, a następnie podchodzi do niego.

KATE Proszę, jakie grzeczne, pracowite dziecko. Chodź tu do mnie i daj cioci buziaka. *(chwyta jego głowę w obie ręce i całuje go w czuprynę)* A co to jest? Pewnie latawiec. Mam rację?

CHŁOPIEC Dwa latawce.

KATE *(ogłądając je bliżej)* Rzeczywiście, dwa latawce. W życiu nie widziałam takich wspaniałych latawców! A co to ma być? *(ogłąda twarze latawców, których widownia nie widzi)*

CHŁOPIEC Twarze latawców. Sam je namalowałem.

KATE *(z udaną grozą)* O, mój Boże, ale się przeraziłam! I sam to wymalowałeś? Można umrzeć ze strachu! A to co? Diabły? Zjawy? Nie chciałabym czegoś takiego zobaczyć na niebie ani żeby to patrzyło na mnie z góry! Czekał, chwilę... *(grzebie w swoich torbach i z jednej z nich wyjmuje małego drewnianego bąka oraz bacik)* Wiesz, co to jest? Oczywiście. Bączek. Mądry chłopak. A to jest bat. Wiesz, co się z tym robi? No, pewnie. I co się mówi?

CHŁOPIEC Dziękuję.

KATE Dziękuję, ciociu Kate. A wiesz, co ja tu mam? Nową książkę z biblioteki! Patrz, jakie śliczne kolorowe obrazki! Poczytamy ją sobie na dobranoc. *(znów całuje go w czubek głowy, podnosi się)* Zawołaj mnie, jak będziesz puszczał latawce. Koniecznie chcę to zobaczyć. *(wchodzi do kuchni)* Wiedzie, co on robi? Christina, widziałas? Buduje dwa latawce!

CHRIS Zobaczymy, co on tam skleci.

KATE Sam, bez niczyjej pomocy.

AGNES Zawsze mówiłaś, że jest bardzo zdolny.

KATE O, niewątpliwie. I na swój wiek bardzo rozwinięty.

CHRIS Bardzo pyskаты na swój wiek.

ROSE Uważam, że jest śliczny. Też bym chciała mieć takiego.

CHRIS Czym on się bawi? To bąk?

KATE Taka drobnostka.

Michael wychodzi na lewo.

CHRIS Rozpuszczasz go, Kate. Gdzie go kupiłaś?

KATE U Morgana „Pod Arkadami”.

CHRIS *(o Chłopcu)* Idę o zakład, że nawet ci nie podziękował.

ROSE Wiem, dlaczego poszłaś do magazynu Morgana!

KATE Właśnie że podziękował. Jest bardzo grzeczny.

ROSE Chciałaś się zobaczyć z Austinem Morganem!

KATE Wszędzie po drodze widziałam, jak pracują w polu.

ROSE Zagiełaś parol na tego starego Austina Morgana!

KATE Zapowiadają się dobre zbiory.

ROSE Wiem, że tak. Rumienisz się! Patrzcie, jak się zarumieniła!

CHRIS *(unosi spódnicę, którą prasuje)* Rosie, musisz tu podszyć obrębek.

ROSE *(do Kate)* Ale jednego nie wiesz – że on chodzi do takiej jednej panny w Carrickfad.

KATE Słuchaj, Rose, to, co robi Austin Morgan...

ROSE To czemu się zarumieniłaś? Zarumieniła się, nie? Dlaczego, Kate, dlaczego, dlaczego?

KATE *(z nagłą złością)* Zamknij się, Rose, dobrze?

ROSE Przecież wiemy, że zawsze za nim...

AGNES Rosie, bądź tak dobra, podaj mi te igły.

Pauza.

CHRIS (*do Kate*) Jesteś zmęczona?

KATE (*ciężko opada na krzesło*) Mam takie wrażenie, jakby droga z miasta do nas codziennie stawała się dłuższa. Możecie się śmiać, ale dam do naprawy ten stary rower i zimą nauczę się na nim jeździć.

AGNES Dużo ludzi w Ballybeg?

KATE Ballybeg ogarnęło szaleństwo. Powiadam wam, wszyscy i wszędzie mówią tylko o jednym: kto z kim i w czym wybiera się na święto plonów. Ponoć takich tańców, jak w tym roku, nigdy jeszcze nie było.

AGNES Tak czy owak, bywały wspaniałe tańce, sama pamiętam.

CHRIS Pewnie. Wszystkie pamiętamy.

KATE (*rozpakowując zakupy*) Agnes, masz tu nową pasjonującą powieść Annie M. P. Smithson.

AGNES O, dziękuję.

KATE „Podwójne życie siostry Harding” – o, Boże! A to dla ciebie, Chris. Raz dziennie łyżka na czczo.

CHRIS Co to jest?

KATE Tran. Jesteś stanowczo zbyt blada.

CHRIS Dziękuję, Kate.

KATE Bo nigdzie nie wychodzisz. A w ogóle, wstąpiłam do drogerii, a tam ta dziewczynka – taka smarkula, nawet nie pamiętam, jak ma na imię – jej matka kupuje od was rękawiczki...

AGNES Vera McLaughlin.

KATE Więc jej córka, jak jej tam...

AGNES Sophia.

KATE No więc, panna Sophia – ma z piętnaście lat, nie więcej, podchodzi do mnie i mówi: „Mam nadzieję, panno Mundy, że wybiera się pani na święto plonów. W tym roku tańce będą wprost nadzwyczajne”. Żebyście widziały ten zachwyt w jej oczach – można by pomyśleć, że mówi o wniebowstąpieniu. Zbiorowe szaleństwo – wszystkich ogarnął jakiś amok. A to chinina. Doktor mówi, że malarii nie wyleczy, ale przynajmniej złagodzi objawy. Jest u siebie?

CHRIS Spaceruje po podwórzu.

KATE Wiesz, Agnes, powtórzyłam doktorowi twoje słowa, że on ci się wydaje taki dziwnie milczący.

AGNES (*przerzywa robótkę na drutach i patrzy z roztargnieniem przed siebie*) Tak?

KATE Przecież tak mówiłaś? Doktor przypuszcza, że po tylu latach nieobecności wszystko tutaj musi mu się wydawać obce. Powinnyśmy to brać pod uwagę. Na dodatek przez dwadzieścia pięć lat posługiwał się tylko językiem suahili. Może więc nie tyle mu się w głowie pomieszało, co trudno mu przypomnieć sobie angielskie słowa.

CHRIS Doktor wie swoje, a ja swoje: ma trochę pomieszane w głowie, i tyle. Czasem nas nie rozróżnia. Słyszałam, jak mówił do ciebie Rose, a mnie nazywa jakoś tak dziwnie, coś jak...

KATE Okawa.

CHRIS Właśnie! Aggie, ty też słyszałaś?

KATE Miał boya imieniem Okawa. Był do niego bardzo przywiązany. (*zdejmując pantofel*) Chyba robią mi się nagniotki. Żebym tylko nie miała kłopotów z chodzeniem, jak nasza biedna mama, niech jej ziemia lekką będzie.

AGNES Wspaniale by było, gdybyśmy wszystkie się wybrały, prawda?

CHRIS Dokąd mianowicie?

AGNES Na tańce.

CHRIS Aggie!

AGNES Tak jak dawniej. Wystrojone od stóp do głów. Ja bym się wybrała.

ROSE Ja też! Poszłabym z tobą, Aggie!

KATE Na miłość boską, Agnes, chyba nie mówisz tego serio?

AGNES Owszem, serio.

KATE Ha! Widać nie tylko w Ballybeg wszyscy oszaleli.

AGNES Podług mnie powinniśmy pójść – wszystkie.

KATE Wyobrażasz sobie, co się tam będzie działo? Te tłumy bezczelnych wyrostków, których jeszcze niedawno uczyłam.

AGNES Mnie to nie przeszkadza.

CHRIS Mogłybyśmy się wybrać, Aggie, prawda?

KATE My, razem z tą wiejską hołotą.

AGNES Mnie to nie przeszkadza.

CHRIS O, Boże, Aggie, sama wiesz, jak bardzo lubiłam tańczyć.

AGNES *(do Kate)* A co ty na to?

KATE *(do Chris)* Masz siedmioletniego syna – zapomniałś?

AGNES *(do Chris)* Mogłabyś włożyć tę moją niebieską suknię – będzie na ciebie w sam raz i pasuje ci do koloru oczu.

CHRIS Pozwolisz mi ją włożyć? O, Boże, Aggie, mogłabym tańczyć całą noc, cały tydzień, cały miesiąc!

KATE A kto się zajmie ojcem Jackiem?

AGNES *(do Kate)* Tobie jest świetnie w tej perkalowej sukni, którą kupiłaś w zeszłym roku na konfirmację. Pięknie w niej wyglądasz.

KATE Co to za głupie gadanie...

AGNES *(do Kate)* I weź moje brązowe pantofle z paskami na krzyż.

KATE Przestańcie pleść. Nie możemy iść, Agnes. Jak byśmy mogli iść, sama powiedz.

ROSE Maggie też z nami pójdzie?

CHRIS Pytanie! Pierwsza poleci!

KATE O, Boże, Agnes, co ty na to?

AGNES Idziemy.

KATE Naprawdę?

ROSE Idziemy! Idziemy!

KATE Chyba powariowałyśmy. Czy myśmy aby nie zwariowały?

CHRIS Wstęp kosztuje cztery szylingi sześć pensów.

AGNES Mam pięć funtów oszczędności. Zabiorę was. Wszystkie pójdziemy.

KATE Czekaj, moment...

AGNES Ileż to lat nie byliśmy na tańcach na święto plonów? – W ogóle na jakichś tańcach? Nie obchodzi mnie, że to wyrostki, że się popijają, że są brudni i spoceni.

Kate, ja chcę tańczyć. To Lughnasa. Mam dopiero trzydzieści pięć lat. Chcę tańczyć.

KATE *(zgnębiona)* Wiem, Agnes, wiem, wiem. Ale mimo wszystko... och, Boże... nie wiem, czy...

AGNES Załatwione. Idziemy; panny Mundy idą na tańce, całą piątką.

CHRIS Jak dawniej.

AGNES Jak dawniej.

ROSE Uwielbiam cię, Aggie! Uwielbiam cię nawet bardziej niż herbatniki w czekoladzie! *(spontanicznie całuje Agnes, wyrzuca ręce nad głowę, zaczyna śpiewać „Abisynię” i wykonuje pierwsze kroki dziwaczного, żywiołowego tańca)*

KATE *(widok Rose wprawia ją w panikę)* Nie, nie, nie! Nigdzie nie pójdziemy!

CHRIS Jeśli wszystkie chcemy...

KATE Spójrzcie na siebie! Tylko popatrzcie na siebie! W naszym wieku? Tańce są dla młodych, dla tych, co nie mają żadnych obowiązków, a za to w głowie tylko przyjemności.

AGNES Kate, myślę, że...

KATE Chcesz, żeby w całej okolicy się z nas śmiali? Kobiety w naszym wieku? – Stare baby, tańców im się zachciewa! Co was napadło? Przecież to jest dom ojca Jacka. – Należy o tym zawsze pamiętać – zawsze! Nie, nie pójdziemy na żadne tańce.

ROSE Ale przed chwilą powiedziałaś, że...

KATE Koniec dyskusji. Sprawa skończona. Nie chcę więcej o tym słyszeć. Cisza.

Maggie tylnymi drzwiami znów wychodzi do ogrodu. Ma przewieszzone przez łokieć wiadro z jedzeniem dla kur, a ręce trzyma przed sobą ze złączonymi dłońmi, jakby w nich niosła coś bardzo delikatnego. Podchodzi do materiałów przeznaczonych do robienia latawców.

MAGGIE Lis wrócił.

CHŁOPIEC Widziała go ciocia?

MAGGIE Wygryzł dziurę w drzwiach od kurnika.

CHŁOPIEC Widziała go ciocia?

MAGGIE Pogadaliśmy sobie. Pytał o ciebie.

CHŁOPIEC Ha, ha. Co tam ciocia ma?

MAGGIE Co? Pstro!

CHŁOPIEC Ale co?

MAGGIE Pod jałowcem siedziało i czekało.

CHŁOPIEC Niech ciocia pokaże.

MAGGIE Powiedz ładnie „proszę” – trzy razy.

CHŁOPIEC Proszę-proszę-proszę.

MAGGIE W suahili.

CHŁOPIEC Pokaże mi ciocia czy nie?

MAGGIE (*kuca przy nim*) Teraz, synuś, przyłóż tu ucho i posłuchaj. Ciii. Słyszysz?

CHŁOPIEC Chyba... chyba tak.

MAGGIE I co słyszysz?

CHŁOPIEC Coś.

MAGGIE Na pewno?

CHŁOPIEC Na pewno. Niech mi ciocia pokaże.

MAGGIE Dobrze. Jesteś gotowy? Cofnij się odrobinę. Jeszcze odrobinę. Gotowy?

CHŁOPIEC Tak.

Maggie nagle rozwiera dłonie i jej oczy śledzą gwałtowny, wyimaginowany lot czegoś, co wzbilo się w niebo i znikło z zasięgu wzroku. Maggie nadal wpatruje się w punkt, gdzie to coś znikło. Pauza.

CHŁOPIEC I co to było?

MAGGIE Widziałeś?

CHŁOPIEC Chyba tak, zdaje mi się, że tak.

MAGGIE Piękne, prawda?

CHŁOPIEC Czy to był ptak?

MAGGIE Jakie precudne kolory! (*podnosi się*) Najgorsze, że mignie i koniec, i już po wszystkim. Nie wolno tego momentu przegapić, bo inaczej... (*rusza w stronę tylnego wejścia do kuchni*)

CHŁOPIEC Ale co to było, ciociu Maggie?

MAGGIE Nie wiesz? Widziałeś to, co chciałeś widzieć. Jesteśmy kwita.

KATE (*rozpakowuje torby*) Herbata... mydło... mąka kukurydziana... galaretka...

MAGGIE (*wchodzi do kuchni*) Mam dosyć tego twojego białego koguta, Rosie. Też masz ulubieńca! Patrz, jak mnie dziobnął w rękę, jakiego mi zrobił siniaka!

ROSE Widać nie umiesz z nim rozmawiać.

MAGGIE Już ja sobie z nim pogadam – tym buciorem. Chrissie, dorzuć trochę torfu pod kuchnię, dobrze? Będę piekła chleb. (*myje ręce i zabiera się do robienia ciasta*)

ROSE (*pod nosem*) Uwaga, znów ją coś ugryzło.

KATE Maggie, masz swoje „Żeglarskie”. Dziesięć sztuk.

MAGGIE Cudownie. Aż mnie skręca, żeby zapalić.

ROSE (*pod nosem*) Najważniejsze cię ominęło.

MAGGIE Co mnie ominęło?

ROSE Miałymy się wybrać na tańce na święto plonów, całą piątką, jak dawniej. A wtedy Kate...

KATE Rose, twoje buty. Szewc nie może się nadziwić, co ty masz za nogi. Zawsze ścierasz zelówki tylko od środka.

ROSE A to źle?

KATE Ani źle, ani dobrze. Takie dziwactwo... jak wszystko u ciebie.

Rose wykrzywia się za plecami Kate.

KATE Mąka kartoflana... sól... tapioka – nie wiedzieć czemu podróżowała o pensa... Cukier na dżem z czarnych jagód – o ile nazbieramy jagód.

Agnes i Rose wymieniają spojrzenia.

MAGGIE (*po cichu, do Rose*) Popatrz na te „Żeglarskie”, które mi kupiła.

ROSE A bo co?

MAGGIE W paczce jest tylko dziewięć. Pewnie jednego nie upilnowała i pozęgłował w świat.

Śmieją się ukradkiem.

CHRIS Maggie, czy Jack do ciebie też mówi Okawa?

MAGGIE Tak. A co to znaczy?

CHRIS Podobno tak miał na imię jego boy.

AGNES Maggie!

MAGGIE O, tego właśnie nam brakuje – boya.

KATE I nowa bateria. W sklepie powiedzieli, że w całym Ballybeg nikt nie zużywa baterii tak szybko, jak my.

CHRIS Zdolne jesteśmy! (*bierze baterię i kładzie ją koło Marconiego*)

KATE Spotkałam proboszcza. Zupełnie nie wiem, o co mu chodzi. Odkąd wrócił ojciec Jack, unika mojego spojrzenia.

MAGGIE Bo robisz do niego oko.

CHRIS Zawsze miał humory.

KATE Może i tak... Papier... świece... zapalki... Podobno z tym chłopakiem od Sweeneyów z gór jest niedobrze. Wieczorem przyjął ostatnie namaszczenie.

MAGGIE Nie wiedziałam, że umiera.

KATE Jest cały poparzony.

AGNES A co się stało?

KATE Wyprawiali w górach jakieś bezceństwa. Biedak, zdaje sobie sprawę, że umiera. Leży tylko i jęczy.

CHRIS Jakie bezceństwa?

KATE Skąd mam wiedzieć?

CHRIS A co mówią w mieście?

KATE Wiem tylko to, co powiedziałam.

Pauza.

ROSE (*cichu, rzeczowo*) To się stało w zeszłą niedzielę, w pierwszy wieczór Lughnasy; robili w górach to samo, co każdego roku.

KATE Lughnasa! Co za...

ROSE Najpierw rozpalają ognisko przy źródelku. Potem tańczą wokół niego. Potem przepędzają bydło przez płomienie, żeby wygnać z niego diabła.

KATE Wygnać...! Nie masz zielonego pojęcia o...

ROSE Tego roku zeszło się wyjątkowo dużo młodzieży. Rozochocili się, bo już mieli porządnie w czubie, i spodnie Sweeneya zajęły się od ogniska. Zapalił się jak pochodnia. Tak to się stało.

KATE Kto ci naopowiadał takich bredni?

ROSE Każdego roku to robią. Mówię ci. I tak to było, tak.

KATE (*bardzo rozsierdzona, niemal krzyczy*) Dzikusy! Znam tych z gór! Uczyłam ich! Dzikusy! Zwyczajne dzikusy! A ich pogańskie obrzędy to nie nasza sprawa – nie mamy z tym nic wspólnego! Przykro słuchać takich rzeczy w chrześcijańskim domu, w domu katolickim! Jedno ci powiem, Rose: jestem na ciebie oburzona i wstyd mi, że powtarzasz takie brednie.

ROSE (*spokojnie, kategorycznie*) Kiedy tak właśnie było. Mówię wam.

Pauza.

MAGGIE W każdym razie dobrze by było mieć tu małego boya; zimą by chodził karmić kury: „cip, cip, cip, ciiip...”.

Drzwiami od podwórza wchodzi ojciec Jack. Widać, że jest słabowity, wygląda na więcej niż swoje pięćdziesiąt trzy lata. Ma czarny kapelusz z szerokim rondem, grube szare palto, wełniane spodnie nieszczęśliwie nawet do kostek, grube czarne buty z cholewkami, grube wełniane skarpety. Nie nosi koloratki. Chodzi szybkimi drobnymi kroczkami, z rękami założonymi za plecy. Sprawia wrażenie człowieka zagubionego i zdezorowanego. Mówi z lekkim akcentem irlandzkim.

JACK Przepraszam... pomyliłem mieszkania... najmocniej przepraszam...

KATE Wejź, Jack, chodź do nas.

JACK Można?

MAGGIE Dobrze wyglądasz, Jack.

JACK Tak? Myślałem, że tymi, no, tamtymi... wejdę do swojego pokoju... brakuje mi – potrzebuję... miałem w kieszeni chusteczkę do nosa i zdaje się...

CHRIS (*bierze chusteczkę ze sterty bielizny do prasowania*) Masz chusteczkę, proszę.

JACK Dziękuję, jestem ci zobowiązany. To osobliwe: nie pamiętam... architektury?... budowy...? planowania...? co to za słowo...? rozkład! Nie przypominam sobie rozkładu tego domostwa... To osobliwe, nieprawdaż? Wydawało mi się, że frontowe drzwi są tam. (*do Kate*) Chodziłaś do wioski czynić sprawunki, Agnes?

KATE Kate. Tak. Mnóstwo osób się o ciebie pyta.

JACK Pamiętają mnie?

KATE Oczywiście. A kiedy się lepiej poczujesz, urzędzą ci wielkie, uroczyste powitanie – ze sztandarami, orkiestrą, przemówieniami i tak dalej!

JACK Z jakiej racji?

KATE Bo się cieszą, że wróciłeś.

JACK Co, proszę?

KATE Bo się cieszą, że tu jesteś.

JACK Obawiam się, że ja ich nie pamiętam. Nie potrafiłbym chyba wymienić nazwisk dziesięciu mieszkańców Ballybeg.

CHRIS Wszystko sobie przypomnisz, zobaczysz. Nie martw się.

JACK Tak myślisz?

AGNES Na pewno.

JACK Być może.... Taki tu chłód... przepraszam...

AGNES Może chciałbyś się trochę położyć?

JACK Tak, chyba pójść się położyć... dziękuję... bardzo się o mnie troszczysz...

Wychodzi. Pauza. Niezręczna atmosfera, prawie zażenowanie.

KATE (*dziarsko*) Trochę to potrwa, ale wszystko będzie dobrze. Jabłka... masło... margaryna... mąka... I – słuchaj! A na poczcie – Maggie, słuchasz mnie? Wiesz, kogo spotkałam?

MAGGIE No, kogo?

KATE Nie dasz wiary – twoją przyjaciółkę z dawnych lat, Bernie O'Donnell! Przyjechała aż z Londynu, żeby odwiedzić stare kąty. Pierwszy raz po dwudziestu latach!

MAGGIE Bernie...

KATE Wygląda przepięknie. Figurę ma jak panienka. Wystrojona od stóp do głów. A włosy! – Czarne, w lokach, dokładnie takie, jak w dniu, w którym stąd wyjechała. Powiadam ci – jak gwiazda filmowa!

MAGGIE Bernie O'Donnell...

KATE A z nią dwie prześliczne córeczki. Bliźniaczki. Za miesiąc kończą czternaście lat.

Wyglądały jak trzy siostry – słowo daję!

MAGGIE Bliźniaczki.

KATE Podobne do siebie jak dwie krople wody.

MAGGIE Identyczne.

KATE Nora i Nina.

ROSE Mama zawsze mówiła, że bliźniaki to podwójne błogosławieństwo.

MAGGIE Bernie O'Donnell. Mój Boże...

KATE I wyobraź sobie – mają włosy jak len! Więc się jej pytam: „Na miłość boską, skąd ci się wzięły takie blondyneczki?”. „W ojca się wdały. W Eryka – powiedziała. – On jest ze Sztokholmu.”

AGNES Ze Sztokholmu!

ROSE Aggie, gdzie jest Sztokholm?

KATE No i proszę. Bernie O'Donnell wyszła za Szweda. Własnym oczom nie wierzyłam. Ale nic a nic się nie zmieniła, pełna życia, roześmiana, wesoła Bernie. Wypytała mnie o wszystkich po kolei.

Maggie podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz, tak żeby siostry nie widziały jej twarzy. Ręce ubrudzone mąką trzyma z dala od ciała.

CHRIS I pamięta nas wszystkie?

KATE Wiedziała wszystko o Michaelu, nawet ile ma lat – co do miesiąca. Pytała, czy Agnes nadal robi na drutach najszybciej w całym Ballybeg? I czy żadna z nas nie wybiera się za męża. Pochwaliła nas, że mądrze robimy!

ROSE A mnie też pamięta?

KATE „Rose miała taki uroczy uśmiech.”

ROSE O!

KATE Ale przede wszystkim wypytywała o ciebie, Maggie; jak ci się wiedzie – co porabiasz – jak wyglądasz – czy jesteś taka pogodna jak dawniej? Ile razy o tobie pomyśli, zaraz sobie przypomina, jak we dwie chowałyście się za stertą torfu, paliłyście na spółkę papierosa i naśmiewałyście się z jakiegoś chłopaka – nie pamiętam, jak mu było? – Curly jakoś tam.

MAGGIE Curly McDaid. Wariat z mokrą głową. Miał siedemnaście lat, a był łysy jak kolano. Bernie O'Donnell... mój Boże...

Pauza.

AGNES Długo zostanie?

KATE Jutro wyjeżdża.

AGNES Więc się nie zobaczymy. Szkoda.

CHRIS Ładne imiona, prawda? Nina i Nora.

KATE Mnie się podoba Nora. Ładne imię. Czuję się w nim siłę.

AGNES Nina już mniej. *(do Chris)* Podoba ci się imię Nina?

CHRIS Nina? Nie, nie za bardzo.

KATE Może istnieje jakaś święta Nina, ale w mojej książeczce do nabożeństwa chyba jej nie ma.

AGNES Pewnie to jakaś szwedzka święta.

KATE Święci w Szwecji! Czego to ludzie nie wymyślą?

ROSE Mama zawsze mówiła, że bliźniaki to podwójne błogosławieństwo.

KATE *(ostro)* Nie mędrkuj. Już raz to słyszałyśmy.

Pauza.

CHRIS Maggie, uwaliałaś sobie nos mąką.

MAGGIE Pamiętam raz, miałam wtedy szesnaście lat, wymknęłam się z domu w niedzielę wieczorem. Było to o tej samej co teraz porze roku – początek sierpnia. Spotkałyśmy się z Bernie przy bramie ochronki i dalej – na tańce do Ardstraw. Miałam wtedy absztyfikanta, Tim Carlin się nazywał, ale mnie... ale mnie interesował na-

prawdę Brian McGuinness. Pamiętacie Briana? Miał takie bielutkie ręce i rzęsy jak lalka. Ale on – ma się rozumieć – szalał za Bernie. W każdym razie ci dwaj chłopcy mieli rowery, wzięli nas na ramię i pojechaliśmy we czwórkę na tańce do Ardstraw – pięć mil w jedną stronę. Niechby się tatuś o tym dowiedział, świeć, Panie, nad jego duszą...

Na zakończenie tańców odbył się konkurs na najlepsze wykonanie two–steпа. Do finału stanęły trzy pary: jakichś dwoje z Ardstraw, Mały Timmy i ja – sięgał mi najwyżej dotąd; i Brian z Bernie...

Wyglądali razem przepięknie, tak szykownie, oczu nie można było od nich oderwać. Ludzie zatrzymywali się w tańcu, żeby na nich popatrzeć...

I kiedy sędziowie ogłosili werdykt – musieli być zupełnie pijani – okazało się, że zwyciężyła para miejscowa; Timmy i ja zajęliśmy drugie miejsce; a Brian z Bernie dostali trzecie.

Biedną Bernie dosłownie zamurowało. Nie mogła uwierzyć. Zaniemówiła. Do końca wieczoru się do nas nie odezwała. Nawet nie chciała z nami wracać do domu na rowery. I słusznie, bo to im się należała wygrana; byli tak niesamowicie piękną parą... Wtedy właśnie po raz ostatni widziałam Briana McGuinnessa...

Pamiętacie Briana, miał takie...? Później się dowiedziałam, że wyjechał do Australii... Bernie miała rację, że się tak rozgniewała. To nie było sprawiedliwe – wcale to nie było sprawiedliwe. Sędziowie musieli być pijani, zupełnie pijani...

Maggie stoi nieruchomo, wygląda przez okno; patrzy niewidzącym wzrokiem. Pozostałe kobiety wracają do swoich zajęć: Rose i Agnes robią na drutach; Kate odkłada na miejsce zakupy; Chris podłącza do radia baterię.

Paуza.

KATE I co, Chris, działa?

CHRIS O co pytasz?

KATE O Marconiego.

CHRIS Marconi? Chyba tak... powinien... (włącza radio i wraca do prasowania)

Muzyka, początkowo ledwie słyszalna, to irlandzka melodia taneczna – „The Mason’s Apron” w wykonaniu kapeli ludowej. Jest bardzo szybka z bardzo silnie wybijanym rytmem. Początkowo słychać tylko rytm, potem, gdy natężenie dźwięku stopniowo narasta, dociera do nas także melodia. Przez jakieś dziesięć sekund, zanim dźwięk staje się wyraźny, kobiety pozostają przy swoich czynnościach. Potem Maggie odwraca się. Głowę przechyliła ku muzyce, ku rytmowi. Oddycha głęboko, gwałtownie. Jej twarz się ożywia, jest w niej bunt i agresja, i prymitywna radość. Przez kilka sekund stoi nieruchomo, nasłuchuje, chłonie rytm, ze zbuntowaną miną przygląda się siostrze. Rozczapierza białe od mąki palce, odgarnia włosy z twarzy, przejeżdża dłońmi po policzkach, czyniąc ze swojej twarzy maskę. Równocześnie otwiera usta i wydawczy z siebie dziki, ochryply okrzyk „Yaaaaaa!”, natychmiast zaczyna tańczyć, wyrzucając na boki ręce, nogi. Włosy wirują jej wokół głowy, długie sznurowadła powiewają w rytm tańca. Tańcząc nuci, śpiewa, krzyczy i woła: „Chodźcie tańczyć, tańczcie! Chodźcie! Chodźcie!”, Tańczy z dziesięć sekund – jest jak derwisz o białej twarzy. Siostry jej się przyglądają. Nagle twarz Rose się rozpromienia. Gwałtownie odrzuca robótkę, zrywa się na nogi, wydaje okrzyk, chwytając Maggie za rękę. Tańczą i krzyczą, i śpiewają razem; kalosze Rose wybijają własny, chaotyczny rytm. Po kolejnych pięciu sekundach Agnes rozgląda się na boki, zrywa się i przylacza się do Maggie i Rose. Spośród wszystkich sióstr właśnie Agnes porusza się z największym wdziękiem i najbardziej zmysłowo. Po chwili Chris, która zajęta była składaniem komży Jacka, wciąga ją na siebie przez głowę i przylacza się do tańca. W chwili, kiedy wrzuca na siebie komżę, Kate karci ją: „Christina!”, ale jej protest zagłusza muzyka. Agnes i Rose, Chris i Maggie wykonują teraz taniec, który jest niemal rozpoznawalny: schodzą się i rozchodzą, robią koło i młynek. Niemniej ich ruchy wciąż wydają się karykaturalne, dźwięk jest zbyt głośny, a rytm zbyt szybki, i ten niemal rozpoznawalny taniec sprawia

groteskowe wrażenie, ponieważ, na przykład, zamiast trzymać się za ręce, siostry obejmują się mocno za szyję albo w pasie. Wreszcie Kate, która dotychczas obserwowała tę scenę z niepokojem i przerażeniem, nagle zrywa się, odrzuca głowę do tyłu, wydaje głośny okrzyk „Yaaaaa!”. Kate tańczy sama, całkowicie skupiona, skoncentrowana na sobie; w jej ruchach jest zarazem opanowanie i gwałtowność; wykonuje ciąg skomplikowanych kroków, które prowadzą ją najpierw szybko wokół kuchni, potem mimo sióstr przez drzwi do ogrodu, dookoła ławki, z powrotem do kuchni; jej zachowanie nie pasuje do postaci, ale też wskazuje na jakieś groźne, głęboko skrywane emocje. Podczas tańca Rose, Maggie, Agnes i Chris pokrzykują, nawołują się, śpiewają. Kate natomiast nie wydaje z siebie najmniejszego dźwięku. Zbyt hałaśliwa muzyka, łomoczący rytm, krzyki, nawoływania i śpiewy: w tym parodystycznym kręgu wyczuwa się rozmyślnie burzenie istniejącego ładu, widać, że kobiety w sposób świadomy i brutalny dokonują autokarykatury, że ocierają się o granice hysterii. Muzyka urywa się nagle, w pół taktu. Siostry robią jednak tyle hałasu, że tego nie zauważają i tańczą jeszcze przez kilka sekund. Nagle Kate się orientuje, że muzyka umilkła, i przestaje tańczyć. Potem Agnes. Potem Chris i Maggie. I tylko Rose podryguje nadal bez wdzięku. Wreszcie ona również zdaje sobie sprawę, że muzyka ustała, i nieruchomieje. Cisza. Przez jakiś czas wszystkie stoją tam, gdzie się zatrzymały. Panuje zupełna cisza, słychać tylko ich głośne oddechy i krótkie trzaski dobiegające z radia. Spoglądają jedna na drugą, nie podnosząc wzroku, na ustach półuśmiech zażenowania; czują się trochę zawstydzone, a przy tym nieco buńczuczne. Chris robi pierwszy ruch. Podchodzi do radia.

CHRIS Znowu się zepsuło – durne stare pudło. Spróbuj, Aggie, czasem się ciebie słucha.

AGNES Dotknij z góry. Ciepłe?

CHRIS Parzy!

AGNES Wyłącz, niech ostygnie.

CHRIS (wyłącza radio i uderza je dłonią na płask) Cholerny szmelc!

KATE Christina, to nie powód, żebyś się wyrażała jak andrus.

AGNES Musi być jakaś przyczyna, że się tak przegrzewa.

CHRIS Przegrzewa się, bo to cholerna kupa szmelcu, ot co.

ROSE Cholerna kupa szmelcu.

KATE Rose, czy w taki dzień musisz chodzić w kaloszach?

ROSE Nie mam nic innego, tylko kalosze i pantofle od święta. A chyba dzisiaj nie jest święto, co?

KATE No proszę, cóż za logiczne rozumowanie – naraz.

MAGGIE (zapalając papierosa) Słuchajcie, panny, coś wam powiem: ta wasza Ginger Rogers pamięta lepsze czasy.

KATE To papierosy tak ci szkodzą.

MAGGIE (wypuszczając dym) Cudowne „Żeglarskie”! Prawie tak wspaniałe, jak prawdziwi żeglarze! Kitty, chcesz się zaciągnąć?

KATE Idź i umyj twarz, Maggie. I na miłość boską, zawiąż sobie sznurówki.

MAGGIE Dobrze, pani nauczycielko. Chrissie, gdzie jest Michael?

CHRIS A nie robi tych swoich latawców?

MAGGIE Tam go nie ma. Gdzieś znikł.

CHRIS Daleko nie pójdzie.

MAGGIE Widziałam go jeszcze dziesięć minut temu.

CHRIS Nic mu nie będzie.

MAGGIE Ale gdyby poszedł do starej studni...

CHRIS Daj mu spokój, choć raz, dobrze?

Maggie wzrusza ramionami i wychodzi drzwiami od podwórza.

Pauza.

KATE Kto dziś robi podwieczorek?

AGNES A kto zawsze robi podwieczorek?

- CHRIS (*przy radiu*) Chyba wszystko kontaktuje.
- KATE Christina, bądź tak dobra, zdejmij tę komżę.
- CHRIS Może jakaś lampa się przepaliła? Gdybym tylko wiedziała, jak taka lampa wygląda.
- KATE Czy ty już całkiem wstydu nie masz?
- CHRIS Według mnie powinniśmy je wyrzucić.
- AGNES Też tak uważam. To rupieć, nie radio.
- ROSE Cholerna kupa szmelcu.
- KATE (*do Agnes*) A ty pójdziesz i kupisz nowe, tak?
- AGNES Od początku było do niczego.
- KATE Kupisz nowe radio z pieniędzy za rękawiczki, tak? A mnie się zdawało, że to, co obie z Rose dostajecie za rękawiczki, ledwie starcza wam na odzież.
- AGNES Nie jesteś u siebie w klasie, Kate.
- KATE Bo jakoś nie zauważyłam, żebyście cokolwiek dawały na dom.
- AGNES Kate, proszę cię...
- KATE A tu okazuje się, że starczyłoby wam na nowe radio. To wspaniale!
- AGNES Przez okrągły tydzień – piątek, świątek – przygotowuję każdy twój posiłek.
- KATE Więc może ja też powinnam dziergać rękawiczki?
- AGNES Piorę wszystko, co nosisz – i bieliznę, i ubranie, glansuję ci buty. Ścieleę ci łóżko. Obie z Rose to robimy. Malujemy dom. Czyścimy komin. Kosimy trawę. Zbieramy torf. Masz tu dwie bezpłatne służące.
- ROSE A wiesz, jak cię przezywają w szkole? Gąsior! Wszyscy mówią na ciebie Gąsior!
- Maggie wpada na scenę i podbiega prosto do okna.*
- MAGGIE Chodźcie zobaczyć! Patrzenie, kto tu idzie!
- AGNES Kto?
- MAGGIE Mignął mi tylko, ale jestem niemal pewna, że to...
- AGNES Kto? Powiedz, kto?
- MAGGIE (*do Chris*) Chrissie, to Gerry Evans.
- CHRIS Chryste Panie.
- MAGGIE Jest za zakrętem.
- CHRIS Jezu kochany, Chryste Panie.
- Wiadomość wywołuje kompletne zamieszanie. Tylko Chris stoi jak skamieniała, zbyt przejęta, by się ruszyć. Agnes bierze do ręki robótkę i pracuje w przesadnym skupieniu. Rose i Maggie zmieniają obuwie, wszystkie biegają tam i z powrotem – oglądają się w kawałku lusterka, wpadają na siebie, wyglądają przez okno, czeszą się. Podczas całej tej gorączkowej krzątaniny rozmawiają ze sobą i kręcą się wokół zupełnie nieruchomej Chris. Kwestie nakładają się na siebie.*
- KATE Że ten Evans ma czelność tu przychodzić!
- MAGGIE Chce zobaczyć swojego syna, nie?
- KATE Ta kreatura nie jest tu mile widziana.
- AGNES Kto mi schował wyjściowe pantofle?
- MAGGIE Trzeba będzie poczęstować go podwieczorkiem.
- KATE Nie widzę powodu.
- MAGGIE A w domu nic nie ma.
- KATE I po co on tu przychodzi – tylko nas denerwuje!
- ROSE Masz rację, Kate. Ja go nienawidzę!
- MAGGIE Czy ktoś ma zapasowe sznurówki?
- KATE Spójrzcie, jak ta podłoga wygląda.
- MAGGIE A może przyszedł, bo chce poznać ojca Jacka.
- KATE Już ojciec Jack sobie porozmawia z tym całym Evansem. (*o prasowaniu*) Pocho-
waj te ubrania, Agnes.
- Agnes jest tak zajęta robótką na drutach, że tego nie słyszy.*
- MAGGIE Moje papierosy! Gdzie są moje papierosy?
- ROSE On tu nie zostanie na noc, prawda, Kate?

KATE Z całą pewnością nie będzie tu nocował!

MAGGIE Aggie, nie masz przypadkiem kawałka sznurka? Nie macie kawałka tasiemki?

KATE Zachowujcie się normalnie. Trzeba zachować spokój i godność. Rosie, przestań wyglądać!

ROSE (*przy oknie*) Nie widać, żeby ktoś szedł.

Cisza. Po chwili Agnes odkłada robótkę, podbiega do okna, odpycha Rose i wygląda na zewnątrz.

AGNES Daj popatrzeć.

ROSE Przywidziało ci się, Maggie.

CHRIS O, Boże.

ROSE Wcale go tam nie ma.

AGNES (*cicho*) Jest. Maggie ma rację. Idzie tu.

ROSE Pokaż.

KATE Ma laseczkę?

ROSE Tak.

KATE I słomkowy kapelusz?

ROSE Tak.

KATE Więc to rzeczywiście Evans.

AGNES Tak, to on.

CHRIS Słodki Boże – patrzcie, jak ja wyglądam – co mu powiem? Szybko tu będzie!

ROSE Za nic nie spojrzę mu w twarz. Nienawidzę go – nienawidzę!

KATE Tak nie wolno mówić, Rose. To nie po chrześcijańsku. (*gdy Rose wybiega*) Uwważaj, jeszcze cię Pan Bóg pokarze.

CHRIS Spójrz na moje ręce, Kate – cała się trzęsę.

KATE (*chwytając ją za ramiona*) Wcale się nie trzęsiesz. Jesteś spokojna i pięknie wyglądasz, i posłuchaj, co masz robić. Spotkasz się z nim przed domem. Powiesz mu, że jego syn jest zdrowy i szczęśliwy. Potem go odprawisz – ty i Michael doskonale sobie bez niego radzicie.

Chris nie rusza się z miejsca. Jest bliska płaczu. Kate bierze ją w ramiona.

KATE Już dobrze, zaprosz go do środka i poczęstuj drania podwieczorkiem. I niech zanocuje, jeśli chce. (*znowu ostro*) Ale na stryżku. I sam. Taak. Przywiozłam gazetę. Nie wiecie, co zrobiłam z gazetą?

Chris podbiega do lusterka, poprawia fryzurę i ubranie.

CHRIS Gdzie on jest, Maggie?

MAGGIE W ogrodzie.

KATE Agnes, nie widziałaś, gdzie wetknęłam gazetę?

MAGGIE Leży na skrzyni z torfem.

Kate czyta – albo udaje, że czyta – gazetę. Agnes siedzi koło radia i robi na drutach całkowicie tym zajęciem pochłonięta. Maggie stoi przy oknie wychodzącym na ogród. Gerry Evans wchodzi z lewej, stąpa podrygując, wywija laseczką, słomkowy kapelusz ma zsunięty na tył głowy. Wie, że go obserwują. Wprawdzie czuje się bardzo niepewnie, ale uśmiech nie schodzi mu z twarzy. Chris wychodzi do ogrodu, gdzie się spotykają. Gerry mówi z angielskim akcentem.

GERRY Jak się masz, Chrissie? Miło cię widzieć.

CHRIS Witaj, Gerry.

GERRY Jak ci się żyło przez te sześć miesięcy?

CHRIS Trzymaście.

GERRY Trzymaście miesięcy? To niemożliwe!

CHRIS Od lipca zeszłego roku, od siódmego lipca.

GERRY Jej, jej, jej. Jak ten czas szybko leci. Trzymaście miesięcy? Coś takiego! Najmniej dziesięć – skąd – dwadzieścia razy już, już się wybierałem, tylko zawsze coś takiego wypadło, że nie mogłem się wyrwać.

CHRIS Ale wreszcie jesteś.

GERRY Jak najbardziej. Zresztą miałem nieprawdopodobne szczęście. Wczoraj wieczorem w barze w Sligo. Napatoczył się jeden gość z nowiutkim morrisem cowleyem. Wspomniał, że rano jedzie do Ballybeg. Ballybeg? Jakaś znajoma nazwa! No i jestem. We własnej osobie. Miałem szczęście, nieprawda? Gdyby się ktoś pytał.

CHRIS Tak.

GERRY Tylko wspomniał, no i jestem. Poszczęściło mi się, sama powiedz!

CHRIS Właśnie.

Pauza.

MAGGIE Biedak, jaki wystraszony.

KATE Wystraszony! Akurat!

MAGGIE Chodź tu, Aggie, to go zobaczysz.

AGNES Nie w tej chwili.

MAGGIE Na pewno chętnie by sobie podjadł.

KATE Daję mu trzy minuty. A potem albo ona go pogoni, albo ja to zrobię.

GERRY Ślicznie wyglądasz, Chrissie. Naprawdę uroczo.

CHRIS Mam siano, nie włosy.

GERRY Mnie się podobają.

CHRIS Maggie obiecała mi dziś umyć głowę.

GERRY A jak tam Maggie?

CHRIS Dobrze.

GERRY A Rose i Kate?

CHRIS Świetnie.

GERRY A Agnes?

CHRIS Wszyscy mają się dobrze, dziękuję.

GERRY Powiedz jej, że o nią pytałem – o Agnes.

CHRIS Zaprosiłabym cię do środka, tylko że mamy w domu...

GERRY Nie, nie, innym razem; ale dziękuję. Dzisiaj trochę kuso u mnie z czasem. Ten gość, który mnie tu przywiózł, powiedział, że ojciec Jack wrócił.

CHRIS Tak, jest dopiero od kilku tygodni.

GERRY Prosto z Afryki.

CHRIS Tak.

GERRY Cały i zdrowy.

CHRIS Tak.

GERRY Wspaniale.

CHRIS Tak.

GERRY Szczęściarz.

CHRIS Tak.

GERRY (*wymachuje laseczką jak kijem golfowym*) Powiniennem uprawiać jakieś sporty.

Przybieram na wadze.

KATE Jeszcze nie poszedł?

MAGGIE Nie.

KATE Co on tam tak długo robi, na miłość boską?

MAGGIE Rozmawia.

KATE Czy ktoś potrafi mi wyjaśnić, co oni mają sobie do powiedzenia?

MAGGIE Kate, przecież on jest ojcem Michaela.

KATE Dotychczas ten Evans jakoś się tym nie przejmował.

CHRIS Koło Wielkanocy jakiś komiwojażer był u Kate w szkole. Podobno widział się z tobą w Dublinie. Naopowiadał niestworzonych rzeczy, że niby dajesz lekcje tańca.

GERRY Zgadza się.

CHRIS Nie żartuj!

GERRY Jak babcię kocham.

CHRIS Prawdziwe lekcje?

GERRY Całą zeszlą zimę.

CHRIS Jakiego tańca?

GERRY Towarzyskiego, ma się rozumieć. To idealne zajęcie dla ciebie – zawsze tańczyłaś lepiej ode mnie. Nie pamiętasz? (*wykonuje szybki krok i piruet*) Było miło, aż się skończyło. Za to frajdę miałem kolosalną!

CHRIS I ludzie przychodzili, żebyś ich uczył?

GHERRY Nie dziw się tak! Każdy chce tańczyć. Miałem mnóstwo uczniów – tysiące, miliony!

CHRIS Gerry...

GERRY Pięćdziesięciu trzech. Nie, kłamię. Pięćdziesięciu. A gdy tylko nastała ładna pogoda, wszyscy znikli. Szkoda, bo miło było. Ale mam już całkiem nowe zajęcie, gdyby się ktoś pytał. Jak żyję, nie miałem tyle roboty. Sprzedaję gramofony. Jestem agentem na cały kraj. Tak, moja pani – na cały kraj. „Kto rozsądkiem się kieruje, ten gramofon Minerva kupuje.”

CHRIS Brzmi niezłe.

GERRY Fenomenalna sprawa. Muszę tylko zbierać zamówienia i przekazywać je do Dublina. To wielkie przedsięwzięcie, Chrissie; o, tak, gigantyczne przedsięwzięcie.

CHRIS I dobrze ci idzie?

GERRY Nieprawdopodobnie. Hurtownik wprost nie nadąza z dostawami. Spójrz dookoła. Cały kraj oszalał na punkcie gramofonów. Dam ci przykład. Przedwczoraj byłem na zachód od Oughterard. Zobaczyłem taki mały domek na zboczu góry. Pomyślałem: mam to, czego szukam. Ten domek miał w sobie coś takiego, że – no wiesz? Więc zsiadam z roweru, stukam. Otwiera mi rudowłosa olbrzym – z czego się śmiejesz?

CHRIS Gerry...

GERRY Słowo honoru. Pokazuję mu ulotki; dziesięć minut gadamy o gramofonach, a potem, ni z tego, ni z owego gość bierze aż cztery – dla siebie i dla trzech zameężnych córek.

CHRIS Wziął cztery gramofony?

GERRY Cztery ulotki!

Oboje śmieją się.

GERRY Ale on kupi. Głowę dam, że kupi. Coś ci powiem, Chrissie: kiedy wynaleziono radio, ludzie myśleli, że to już będzie koniec gramofonów. Tymczasem nic podobnego.

Z mojego doświadczenia wynika... Nie odwracaj się; obserwuje nas zza tamtego krzaka.

CHRIS Kto? Michael?

GERRY Udawaj, że nie widzisz. Zachowuj się jakby nigdy nic. To jego?

CHRIS Robi latawce, wyobraź sobie!

GERRY Nieprawdopodobnie. Mignął mi, jak skręcałem na ścieżkę. Wielki chłopak z niego.

CHRIS Już chodzi do szkoły, wiesz?

GERRY Nie może być! Jej, jej, jej. Od kiedy to?

CHRIS Od Bożego Narodzenia. Kate go zapisała wcześniej.

GERRY Wspaniale. I co? Podoba mu się?

CHRIS Niewiele mówi.

GERRY Na pewno kocha szkołę. Uwielbia. Teraz wszystkie dzieciaki uwielbiają szkołę.

I będzie się wspaniale uczył. Nawiasem mówiąc, zamierzałem mu przywieźć jakiś drobiazg...

CHRIS Nie, nie; ciotki tak go...

GERRY Jakiś drobiazg, symbol, żeby miał pamiątkę. Gdyby się ktoś pytał, w zeszlą poniedziałek oglądałem w Kilkenny rower. Niestety, mieli tylko niebieski, a ja pomyślałem, że czarny byłby bardziej – no wiesz – męski. Zapisali sobie moje nazwisko i w ogóle. Jak znów tam będę, wstąpię do tego sklepu. A ty – dużo masz pracy?

CHRIS Tyle, co w domu – i koło panicza.

GERRY Wspaniale.

CHRIS Czasami robię na drutach, żeby trochę pomóc Agnes i Rose. Coś tam uszyję.

Szkoda, że nie sprzedajesz maszyn do szycia.

GERRY To jest myśl! Mógłbym jedno z drugim połączyć! Zrobiłbym majątek. Masz fenomenalną głowę do interesów, Chrissie. W życiu czegoś takiego nie widziałem!

Chris śmieje się.

GERRY Z czego się śmiejesz?

MAGGIE Spójrz tylko, jak ona na niego patrzy – jak w obraz, jakby to był księżę z bajki.

KATE Jaki tam księżę z bajki? Oszust! Bęcwał! Ladaco!

MAGGIE Owszem, też. Ona to wie.

KATE Jakie „też”? To wszystko, co można o nim powiedzieć.

MAGGIE Chodź ich zobaczyć, Agnes.

AGNES Nie teraz.

GERRY Nie zgadniesz, co widziałem teraz po drodze. To dopiero szczęśliwa wróżba!

Krowę z jednym rogim na samym środku czoła.

CHRIS Nieprawda!

GERRY Bóg mi świadkiem. Szła sobie sama, samiusienka. Nikogo przy niej nie było.

CHRIS Gerry...

GERRY A kiedy ją mijałem, stanęła i spojrzała mi prosto w oczy.

CHRIS To nie była krowa, Gerry, tylko jednorożec.

GERRY Możesz sobie drwić ze mnie, proszę cię bardzo. Jednorożec wygląda jak koń. A to była krowa – najzwyczajniejsza w świecie brązowa krowa, tyle, że miała ten róg – o tutaj. Czy ja bym ci kłamał?

Chris śmieje się.

GERRY Śmieję się! Proszę cię bardzo. Ale ja, tak czy tak, ją widziałem. A cóż to, jak nie szczęśliwa wróżba?

CHRIS Tak myślisz?

GERRY Krowa z jednym rogim? Musi to być dobry omen. Ile takich krów w życiu widziałeś?

CHRIS Tysiące. Miliony.

GERRY Przestań! Głowę dam, że to jedyna taka krowa w Irlandii; a może nawet na świecie. A ja ją spotkałem na drodze z Ballybeg. W dodatku zrobiła do mnie oko.

CHRIS Nic o tym nie mówiłeś.

GERRY O czym?

CHRIS Że puściła do ciebie oko.

GERRY Niemożliwe. Przecież dlatego to takie niezwykle. Tak, to z pewnością dobry omen. Może sprzedam wreszcie jakiś gramofon, albo dwa.

CHRIS A ja myślałam, że...?

GERRY Patrz! Sroka, i to jedna! Fatalny znak. Zapowiedź zmartwień. (*celuje z laski jak z karabinu*) Bum! Pudło. (*udając powagę*) Gdzie moja krowa szczęścia? Wracaj, ruda krowo, wracaj!

Oboje śmieją się.

KATE Nie powiesz mi, że oni wciąż gadają?

MAGGIE Śmieją się. Ona się cały czas śmieje. Słyszysz ich, Aggie?

AGNES Tak.

KATE Śmieją się? Nie potrafię tego pojąć.

AGNES Nie tylko tego, Kate.

KATE Jeszcze dwie minuty i już ja sobie z tym Evansem pogadam! Śmieją się? Coś podobnego!

GERRY Chyba na jakiś czas wyjadę.

CHRIS Dokąd to?

GERRY Ale przedtem wpadnę się pożegnać.

CHRIS Wracasz do siebie, do Walii?

GERRY W Walii już nie jestem u siebie. Mój dom jest tutaj... to znaczy w Irlandii. Jadę do Hiszpanii, gdyby się ktoś pytał. Na króciutko.

CHRIS Sprzedawać gramofony?

GERRY Uchowaj Boże! (*śmieje się*) Nie uwierzysz... jadę powojować. W Brygadach Międzynarodowych. Za kilka tygodni wyrusza grupa. To idiotyczne, nie? Ale znasz starego Gerry'ego, gorąca krew – bum! bum! bum! – za każdym razem pułdo.

CHRIS Mówisz serio?

GERRY Sam się sobie dziwię, gdyby się ktoś pytał.

CHRIS A co wiesz o Hiszpanii?

GERRY Niewiele. Troszeczkę. Ale wystarczy, być może. Tak, wiem dostatecznie dużo. I pomyślałem, że powinienem choć raz, dla odmiany, zaangażować się w jakiś szlachetny cel. Daj Evansowi wielką sprawę, a zobaczysz, że nie sprawi ci zawodu. Tylko w codziennych, przyziemnych sprawach idzie mu nienadzwyczajnie. W każdym razie jeszcze się nie zaciągnąłem... Wciąż się nam przygląda. Myśli, że go nie widzimy. Chętnie bym z nim porozmawiał.

CHRIS Jest dość nieśmiały.

GERRY To normalne. A ja w samej rzeczy jestem dla niego obcy. Wie, jak się nazywam?

CHRIS Oczywiście że tak.

GERRY To dobrze. Dziękuję. No, może to nie jest tak dobrze. Bardzo ładny z niego chłopak. Ma twoje oczy. Szczęściarz.

Z radia rozbrzmiewa cicho „Dancing in the Dark”.

MAGGIE Brawo, Aggie. Jak to zrobiłaś?

AGNES Nawet się do niego nie dotknęłam.

KATE Wyłącz to, Aggie.

Agnes nie wyłącza radia.

GERRY Macie gramofon! Ja bym wam sprzedał po cenie hurtowej.

CHRIS Nie, to radio.

GERRY Oooo, klasa!

CHRIS Zazwyczaj nie działa. Aggie mówi, że to kupa szmelcu.

GERRY Nie znam się na radiach, ale mogę do niego zajrzeć, jeśli...

CHRIS Innym razem, jak znów przyjedziesz.

Pauza.

GERRY A z Agnes wszystko dobrze? Zdrowa?

CHRIS Tak, wszystko dobrze.

GERRY Z twoich sióstr ona chyba najmniej się na mnie boczyła. Powtórz jej, że o nią pytałem.

CHRIS Powtórzę.

Sluchają muzyki.

GERRY Ładna melodia. (*nagle obejmuje ją ramieniem i zaczyna tańczyć*)

CHRIS Gerry...

GERRY Nic nie mów.

CHRIS Co ty wyrabiasz?

GERRY Ani słowa.

CHRIS O, Boże, Gerry...

GERRY Ciii...

CHRIS Patrzą na nas.

GERRY Kto?

CHRIS Maggie i Aggie. Z okna w kuchni.

GERRY Mam nadzieję. I Kate też.

CHRIS I ojciec Jack.

GERRY Jeszcze lepiej. Fantastycznie! (*nagle zawija nią, kręci się z nią wokół i prowadzi w tańcu lekko, elegancko przez cały ogród. Śpiewa jej przy tym słowa piosenki*)

MAGGIE (*cicho*) Tańczą.

KATE Co!

MAGGIE Oni tańczą.

KATE Boże, zlituj się!

MAGGIE Objął ją.

KATE Niemożliwe! Co za bydle! (*odrzuca gazetę i podchodzi do okna, przy którym stoi*

Maggie)

MAGGIE Wiesz, Aggie, tańczą po całym ogrodzie.

KATE O, Boże, cóż to za idiotka.

MAGGIE Ależ on cudnie tańczy, nie?

KATE Maggie, on ją znowu sprowadzi na manowce.

MAGGIE Spójrz na jej twarz – chętnie za nim idzie. Aggie, chodź zobaczyć.

AGNES Jestem zajęta! Na miłość boską, nie widzisz, że jestem zajęta?

Maggie odwraca się i patrzy na nią ze zdumieniem.

KATE Ten łajdak Evans zawsze świetnie tańczył. Tylko tyle potrafi. (*pauza*) A ona – co za idiotka. Popatrzcie tylko, co za skończona idiotka. Aż jej się twarz zmieniła ze szczęścia. (*pauza*) Pięknie tańczą razem. Piękna z nich para. Ona jest tak piękna jak Bernie O'Donnell, prawda?

Maggie odsuwa się powoli od okna i siada sztywno.

GERRY Znasz słowa?

CHRIS Nigdy nie znam słów piosenek.

GERRY Ja też nie. Ale nie szkodzi. Jest coś ważniejszego. (*pauza*) Wyjdź za mnie, Chrissie. (*pauza*) Słyszysz?

CHRIS Słyszę.

GERRY Wyjdiesz za mnie, gdy przyjadę za dwa tygodnie?

CHRIS Chyba nie.

GERRY Szaleję za tobą. Wiesz o tym. Zawsze za tobą szalałem.

CHRIS Kiedy jesteś przy mnie.

GERRY Rzuć ten dom i jedź ze...

CHRIS Przecież znów byś mnie zostawił. Nie masz takiego zamiaru, ale byś mnie zostawił, bo taki już jesteś i nic na to nie poradzisz.

GERRY Nie tym razem, Chrissie. Tym razem będzie...

CHRIS Już nic nie mów, nie trzeba słów. Chodź, przetańczmy ścieżką aż do drogi i wtedy sobie pójdziesz.

GERRY Wierz mi, Chrissie; tym razem spotykam same szczęśliwe wróżby. Fantastycznie dobre!

Tańcząc, oddalają się. Po ich wyjściu muzyka brzmi jeszcze przez kilka sekund, a potem milknie nagle w pół taktu. Maggie podchodzi do odbiornika, uderza go ręką, w końcu wyłącza.

KATE (*odchodzi od okna*) Już ich nie widać. Odtanńczyli w siną dal.

MAGGIE Nie wiem, co mu jest, ale za każdym razem pogra chwilę i milknie. Pewnie się przegrzewa.

KATE No, to pan Evans znikł nam z oczu. Pewnie z rok sobie poczekamy, aż znów zechce mu się nas odwiedzić.

AGNES Pan Evans ma jakieś imię.

KATE A tymczasem cierpi Christina. Znowu serce jej pęka i o to mam do niego żal. A krew mnie zalewa na myśl, że ten drań nie ma za grosz poczucia odpowiedzialności. Czy on się kiedykolwiek zastanowił, jak ona sobie radzi? Przecież musi Michaela nakarmić i ubrać. Czy on ją o to pyta? Czy jego to w ogóle obchodzi?

AGNES (*wstaje i idzie do tylnych drzwi*) Wyjdę na dwór, przewietrzę się. Od samego rana pobolewa mnie głowa.

KATE Chyba zwierzęta okazują więcej troski swojemu potomstwu niż ta kreatura.

AGNES Szkoda, że sama siebie nie słyszysz! Ale z ciebie podła jędza, ty świętoszko z zasadami. A w ogóle, to on ma na imię Gerry – Gerry! – Gerry! (*bliska płaczu wybiega*)

KATE O co jej chodzi?

MAGGIE Kto to może wiedzieć?

KATE Czy ja niby nie wiem, że on ma na imię Gerry? Przecież nie mówię o nim: „Święty Patryk”.

MAGGIE Ona też się martwi o Chris.

KATE No właśnie, widzisz, co robi taka kreatura jak ten Evans? Pojawia się znikąd i zatruwa atmosferę całego domu – niech Bóg przebaczy temu łajdakowi. O, właśnie – niech i mnie Pan Bóg przebaczy!

Maggie znów wkłada sznurowane buty z cholewkami. Podśpiewuje przy tym bez większego zapatu, ledwo słyszalnie.

MAGGIE

Pamiętasz Capri i nasze poznanie,
Wycieczki łodzią, spacerzy wśród palm,
W mojej pamięci ten obraz zostanie,
A w mym sercu tęsknota i żal.

KATE Żebyś słowa pacierza знаła tak dobrze, jak te bezbożne piosenki...! Ona ma rację: jestem „podłą jędzą i świętoszką”, prawda?

MAGGIE

Pamiętasz Capri, tę wyspę kochanków,
Gdzie nasza miłość skończyła się już,
W srebrze wieczorów i w złocie poranków,
Piękne Capri wśród słońca i róż.

(wstaje, patrzy na swoje stopy) No, kto zatańczy fokstrota?

KATE Człowiek haruje jak wół. Próbuje jakoś prowadzić ten dom. Stara się jak najlepiej wypełniać obowiązki – no, bo się do obowiązków poczuwa, jest odpowiedzialny, chce utrzymać jakiś ład. Aż tu nagle, nagle dostrzega siateczkę drobnych pęknięć, wszędzie widzi rysy, widzi, że wszystko wymyka mu się z rąk, że się rozpada, że jest tak kruche, że już się długo nie da utrzymać w całości. Maggie, lada chwila wszystko się rozsypie.

MAGGIE (*znużona*) Nic się nie rozsypie, Kate.

KATE Z tym chłopakiem od Sweeneyów z gór – tym, który przyjął ostatnie namaszczenie – wcale nie było tak, jak powiedziała Rose, nie zajęły mu się spodnie. Wyczyniali jakieś bezeceństwa, jakieś czary mary z kozą – składali ofiarę z okazji święta Lughnasy; a Sweeney był tak pijany, że się potknął i wpadł w ognisko. Nie wiem, dlaczego mi to akurat teraz przyszło do głowy...

MAGGIE Kate... (*podchodzi do niej i przysiadła się*)

KATE Evans zniknie na rok, a za tydzień czy dwa Christina znów wpadnie w depresję. Pamiętasz, co się działo zeszłej zimy? Te szlochy, te lamenty w środku nocy. Drugi raz już bym tego nie zniosła. A doktor mówi, że z ojcem Jackiem to wcale nie tak, wcale mu się w głowie nie pomieszało, tylko jego przełożeni nie bardzo wiedzieli, jak sobie z nim poradzić, więc odesłali go do domu. Nie wiem, co on właściwie miał na myśli, Maggie. I ksiądz proboszcz rozmawiał ze mną dzisiaj. Powiedział, że jest coraz mniej uczniów i od jesieni być może nie będzie dla mnie pracy. To nieprawda, Maggie, że uczniów jest coraz mniej. Więc dlaczego on mnie okłamuje? Dlaczego chce się mnie pozbyć? I dlaczego nigdy nie przyszedł odwiedzić ojca Jacka? (*próbuje się śmiać*) Jeśli mnie zwolni, wszystkie będziemy siedziały w domu i od rana do nocy będziemy mogły tańczyć przy Marconim.

Zaczyna płakać, Maggie obejmuje ją ramieniem. Po lewej stronie sceny pojawia się Michael.

KATE Ale najbardziej martwię się o Rose. Jeśli umrę – jeśli stracę pracę – jeśli ten dom się rozleci – to co będzie z naszą Rosie?

MAGGIE Ciiiiii.

KATE Muszę pokładać ufność w Bogu, prawda, Maggie? Przecież Bóg jej nie opuści? Co? Wierzysz w to, prawda?

MAGGIE Kate... Kate... Kate, kochana...

KATE Ja też w to wierzę... Wierzę, że... Wierzę, że...

Maggie obejmuje ją i kołysze; Chris wchodzi szybko, z rękami założonymi tak, jakby sama siebie obejmowała. Widzi chłopca zajętego latawcami i siada przy nim na ziemi. Mówi do niego żarliwie, z podnieceniem, jakby mu powierzała ważną tajemnicę.

CHRIS No! Przyjrzałeś mu się dokładnie, i co? Podoba ci się? Pamiętasz go?

CHŁOPIEC (*znudzony*) Nigdy przedtem go nie widziałem.

CHRIS Ciii. Właśnie że tak; z pięć, sześć razy. Tylko zapomniałeś. A on cię widział na końcu dróżki. Mówi, że się wyciągnąłeś. I że jesteś bardzo ładny!

CHŁOPIEC Ciocia Kate kupiła mi bączka, ale on wcale nie chce się kręcić.

CHRIS Przystojny! Prawda, że przystojny?

CHŁOPIEC Niech mama da spokój.

CHRIS Zdradzę ci sekret. Tylko żeby nikt się o tym nie dowiedział. Ma wspaniałą nową pracę! I doskonale mu idzie!

CHŁOPIEC A co robi?

CHRIS Ciii. I kupił ci rower – czarny męski rower i przywiezie ci go – jak znów przyjedzie. (*nagle obejmuje go i przytula do siebie*)

CHŁOPIEC Przyjedzie niedługo?

CHRIS (*z zamkniętymi oczami*) Być może – być może. Tak! Przyjedzie!

CHŁOPIEC Niedługo – znaczy kiedy?

CHRIS Za tydzień – za dwa – niedługo – niedługo – niedługo! Tak, masz przystojnego ojca. Szczęściarz z ciebie, a ja też jestem bardzo, bardzo szczęśliwa. (*wstaje, potem schyla się i całuje go lekko*) Jeszcze jedna dobra wiadomość, mój szczęściarzu, masz oczy po matce! (*śmieje się, zalotnie kręci przed nim pirueta, tańcząc, wchodzi do kuchni*) A co tutaj słyhać dobrego?

MAGGIE Co tutaj słyhać dobrego...? Ano, że – jak świat światem nie paliliśmy tak podniecającym torfem!

KATE Gerry jeszcze nie poszedł, co?

CHRIS Poszedł. Przed chwileczką.

Wchodzi Agnes drzwiami od podwórza. Niesie kilka róż.

CHRIS Mówiłam, że może zostać na noc. Kazał ci podziękować.

KATE Skorzysta następnym razem, jak się pojawi.

CHRIS Będzie za tydzień, może dwa – zależnie, jak mu trasa wypadnie.

KATE Proszę bardzo, jeśli stryzynek będzie akurat wolny.

CHRIS I serdecznie was pozdrawia, wszystkie. A zwłaszcza ciebie, Aggie, posyła ci taaakiego całusa.

AGNES Mnie?

CHRIS Tak, tobie!

MAGGIE (*szybko*) Jakie śliczne, Aggie. Może by zanieść kilka Jackowi do pokoju? Można by je postawić na oknie z karteczką „róże” – niech biedaczysko nie łamie sobie głowy, jak się to nazywa. A teraz, panienki, nasz codzienny problem: co na podwieczorek?

CHRIS Maggie, pozwól mi dziś zrobić podwieczorek.

MAGGIE Razem go zrobimy. Może jakieś pyszne danie z pomidorami? Mamy chyba aż dwa. Albo, jeśli poczekacie, to upiekę chleb.

AGNES Ja robię podwieczorek, Maggie.

CHRIS Pozwól mi, proszę. Tylko dzisiaj.

AGNES (*niemal agresywnie*) Codziennie robię podwieczorek, prawda? Więc dlaczego dzisiaj ma być inaczej?

MAGGIE Nie ma najmniejszego powodu. Aggie jest szefem kuchni. (*śpiewa ochryple*) Wszyscy już tę sztuczkę znają, sztuczkę znają, sztuczkę znają.

W nosie dłubią i zjadają, i zjadają, hej!

KATE Maggie, proszę cię!

MAGGIE Gdyby ona tak dobrze знаła słowa pacierzy, jak tych przeklętych bezbożnych piosenek.... (*teraz do radia*) Marconi, mój przyjacielu, obudź się, jeszcze nie pora spać!

Wchodzi ojciec Jack. Drepcze szybko przez całą kuchnię, trzymając ręce założone za plecami i wbijając wzrok w ziemię, jakby był zaabsorbowany jakąś inną, odległą sprawą. Nagle uświadamia sobie obecność pozostałych.

JACK Gdyby mnie ktoś szukał, to będę nad rzeką przez resztę... (*urywa i rozgląda się wkoło, dociera do niego, gdzie jest. Uśmiecha się*) Przepraszam was bardzo. Myślami byłem... Ty jesteś Kate.

KATE Kate.

JACK A to jest Agnes. I Margaret.

MAGGIE Jak się masz, Jack?

JACK A to jest...?

CHRIS Chris – Christina.

JACK Wybacz, Chris. Byłaś maleńka, kiedy wyjeżdżałem. Pamiętam, jak cię matka uniosła do góry, gdy pociąg ruszył ze stacji, jak chwyciła cię za rączkę i machała nią do mnie. Byłaś malutka i miałaś włoski jak meszek, ale mama zdołała ci przyczepić maleńką różową... maleńką różową... jak się to nazywa? – kokardkę! – kokardkę! – o, tutaj, mniej więcej; i gdy tak machała do mnie twoją rączką, kokarda ci spadła. To tak, jakbym miał... obrazek...? obrazek aparatu? – fotografię! – jak bym miał fotografię w mózgu.

CHRIS Nadal mam marne włosy.

JACK I pamiętam także, Maggie, że płakałaś.

MAGGIE Naprawdę?

JACK Tak. Miałaś buzię zaczerwienioną od płaczu.

MAGGIE Ale głowę dam, że śliczną, jak zawsze.

JACK (*do Agnes*) Ty i Kate stałyście z prawej strony mamy, między wami Rose, którą trzymałyście za rączki. Twarz mamy – pamiętam – była zupełnie bez wyrazu. Często się później nad tym zastanawiałem.

CHRIS Wiedziała, że cię widzi ostatni raz w życiu.

JACK Wiem. W tym, ale nie w drugim. Czyżby to było możliwe, że mama nie wierzyła w duchy przodków?

KATE Duchy przodków! Co ty pleciesz, Jack? Mama była bogobojna i wiedziała, że trafi prosto do nieba. A przy okazji: nie zapomnij znowu zażyć na noc lekarstwa. Powinieneś je przyjmować trzy razy dziennie.

JACK Jeden z naszych kapłanów zażywał tyle chininy, że wpadł w nałóg i omal nie umarł. Niemiecki kapłan; ojciec Sharpeggi. Odwieziono go natychmiast do szpitala w Kampali, ale lekarze byli bezradni. Więc przywieźliśmy go z Okawą do naszego szamana i Karl Sharpeggi dożył osiemdziesięciu ośmiu lat. Kiedy się dziś obudziłem, na parapacie u mnie siedział jakiś dziwny biały ptak.

AGNES To kogut Rosie. Trzymaj się od niego z daleka.

MAGGIE Patrz, co mi zrobił w rękę. Któregoś dnia łeb mu ukręcę.

JACK Tak właśnie robimy w Ryanga, kiedy chcemy duchom okazać cześć albo je przebłagać: zabijamy koguta czy kozłatko. To niebywale interesująca wystawa – nie, to nie to słowo, prawda? – popis? – nie – widowisko? Nie, nie, nie mogę znaleźć słowa.

Co to za słowo? Przedstawienie? Nie, też nie to. Takie słowo na coś tajemnego i świętego...? (*powoli, rozważnie*) Jest rytualna rzeź. Składa się ofiarę. Są tańce i śpiewy. Jak się coś takiego nazywa... Przepadło. Nie ma. Słowa mnie odeszły. Trudno... Nie szkodzi... Chyba powinienem się ciepłej ubrać...

Pauza.

MAGGIE Czy cały czas mówiłeś tam w suahili?

JACK Tak, z miejscowymi w suahili. Kiedy przyjeżdżają Europejczycy, mówimy po angielsku. Albo jeśli mamy, mamy – wizytę? – wizytację! komisarza okręgowego. Obecny komisarz zna suahili, ale nie chce mówić. To uparty człowiek. Kłócimy się z nim, ale go lubię. Mówi o mnie „irlandzki wyrzutek”. Zawsze mnie zaprasza do siebie do Kampali na weekend – żebym, jak powiada, się do reszty nie „stubyłczył”. Może po powrocie skorzystam z zaproszenia. Anglicy, jeśli się z nimi współpracuje, dają dużo pieniędzy na świątynie, szkoły i szpitale. A on się na mnie strasznie gniewa, że nie chcę brać od niego pieniędzy. W zeszłym roku powiadomił o tym przełożonych; bardzo się na mnie rozgniewali, oj, bardzo. Ale lubię go. Kiedy się z nim żegnałem – uważał, że to strasznie zabawne! – podarował mi kapelusz ostatniego gubernatora, ceremonialny kapelusz – ceremonia! Właśnie! O to słowo mi chodziło! Jak mogłem go zapomnieć? Ofiara, rytuał, tańce – ceremonia! Takie proste słowo. Co to ja mówiłem?

AGNES Komisarz dał ci prezent na pożegnanie.

JACK Tak, wspaniały trójgraniasty kapelusz z trzema wielkimi białymi strusimi piórami. Mam go w jednym z kufrów. Później go wam pokażę. Ceremonia! Jak to dobrze, że mi się przypomniało. Wiecie, co mnie zdziwiło? Na statku, po drodze, miałem takie dni, że nie mogłem sobie przypomnieć nawet najprostszych słów. Nikt zresztą tego nie zauważył. A w ogóle zawsze można pokazać palcem, prawda, Margaret?

MAGGIE Albo na migi.

JACK Albo na migi.

MAGGIE Albo zatańczyć.

KATE Musisz teraz jak najwięcej czytać – książki, czasopisma, gazety, wszystko. Co wieczór czytam z małym Michaeliem. Bardzo mu się od tego wzbogaciło słownictwo.

JACK Z pewnością masz rację, Kate. Zrobię, jak mi radzisz. (*do Chris*) Agnes, nie widziałem dzisiaj twojego małego Michaela.

KATE To jest Christina, Jack.

JACK Daruj, mnie się...

CHRIS Gdzieś tu jest. Robi latawce.

JACK I nie poznałem jeszcze twojego męża.

CHRIS Nie mam męża.

JACK Aha.

KATE Ojciec Michaela niedawno tu był... Gerry Evans... Pan Evans jest Walijszczykiem... choć to oczywiście nie ma żadnego...

JACK I nigdy nie byłaś zameżna?

CHRIS Nigdy.

MAGGIE Żadna z nas nigdy nie wyszła za męża. Liczymy, że ruszysz na łowy i upolujesz nam po mężu.

JACK (*do Chris*) Czyli Michael jest dzieckiem miłości?

CHRIS Ja – tak – chyba tak...

JACK Wspaniały chłopak.

CHRIS Udał się.

JACK Masz szczęście, że go masz.

AGNES To nasze wspólne szczęście.

JACK W Ryanga kobietom bardzo zależy na dzieciach miłości. Im więcej jest dzieci miłości, tym więcej szczęścia w domu. Tak uważają. Masz może więcej dzieci miłości?

KATE O, nie, Jack! Może cię to zdziwi, ale ani Agnes, ani Rose, ani Maggie, ani ja, żadna z nas nie ma dzieci miłości. W Ryanga niech sobie będzie jak chce, ale teraz jesteś u siebie, w Donegal. Tutaj dzieci miłości bardzo się kocha, ale nie powiem, żeby ktokolwiek szczególnie o nie zabiegał. A doktor ostrzega, że jeśli się nie będziesz ruszał, to nogi zaczną ci odmawiać posłuszeństwa. Więc przejdziemy się razem do głównej drogi i z powrotem – trzy razy, potem dostaniesz podwieczorek, potem przeczytasz gazetę od deski do deski, potem przyjmiesz lekarstwo, a potem pójdziesz spać. I tak samo zrobimy jutro i pojutrze, i popojutrze, aż odzyskasz siły. Idź już, zaraz cię dogonię. Gdzie jest mój sweter?

Jack wychodzi do ogrodu. Kate idzie po sweter.

MICHAEL Niektóre przewidywania cioci Kate okazały się całkiem trafne. Co więcej, niektóre sprawdziły się jeszcze przed końcem Lughnasy.

Miała rację co do wuja Jacka. Przełożeni odesłali go do domu wcale nie dlatego, że w głowie mu się pomieszało, lecz z przyczyn, które coraz wyraźniej zaczęły się ujawniać pod koniec lata.

Miała też rację, że straci pracę w miejscowej szkole. Proboszcz nie zatrudnił jej w nowym roku szkolnym, choć wiązało się to bardziej z ojcem Jackiem niż z malejącą liczbą uczniów.

Słusznie też niepokoiła się o Rose. Gdyby więcej wiedziała, martwiłaby się także o Agnes. Nie mogła jednak przewidzieć, że dom rozpadnie się aż tak szybko i że na początku września pewnego ranka odkryje, iż Agnes i Rose wyjechały na zawsze.

W tym momencie monologu Michaela ojciec Jack bierze do rąk dwa drewnianki – elementy latawca – i uderza nimi o siebie. Jest zadowolony z efektu. Powtarza czynność raz, po chwili znowu. Z wyraźną przyjemnością zaczyna wystukiwać regularny rytm. Gdy Michael ciągnie swój monolog, Jack zaczyna dreptać–tańczyć w takt swojego grania – ciało ma lekko pochylone, oczy wbite w ziemię, stopy poruszają się rytmicznie. Tańczy–drepcze, a przy tym mamrocze – śpiewa – wydaje nieartykułowane i ledwie słyszalne dźwięki. Kate wychodzi do ogrodu i stoi nieruchomo, przyglądając się Jackowi. Wchodzi Rose. Teraz obserwują go wszystkie – Rose, Maggie i Agnes – jedne z drzwi frontowych, inne przez okno. Tylko Chris ma oczy zamknięte, twarz uniesioną i wargi lekko rozchylone; wspomina. Michael kontynuuje monolog – nie czyniąc żadnych przerw.

MICHAEL Myliła się jednak co do mego ojca. Przypuszczam, że ulepiani byli z tak różnej gliny, że co do niego w każdej sprawie musiała się mylić. Ojciec, bowiem, spełnił swoją obietnicę i pojawił się po paru tygodniach. Wprawdzie nie doszło między nim a moją matką do formalnych zaślubin, ale znów zatańczyli razem, obserwowani z ukrycia przez siostry. Tym razem był to taniec bez muzyki; zataczali rytualne kręgi po podwórzu, potem ruszyli dróżką aż do głównej drogi i z powrotem; powoli, uroczyście, lekko, ale z powagą. Matka miała głowę odrzuconą do tyłu, przymknięte oczy, wargi lekko rozchylone. Mój ojciec trzymał ją na taką odległość, by mógł patrzeć w jej uniesioną twarz. Bez śpiewu, bez muzyki, bez słów. Słychać było tylko szelest i szmer ich stóp na trawie.

Przyglądałem się ceremonii z za tego krzaka. Ale tym razem byli świadomi tylko siebie i swojego tańca. A kiedy ojciec wyruszył na wojnę walczył w Brygadach Międzynarodowych, matka rozpaczała jak każda świeżo poślubiona panna młoda. Ale tym razem nie było szlochów, lamentów i napadów depresji.

Kate podchodzi do Jacka i delikatnie odbiera mu drewnianki. Kładzie je na ziemi.

KATE Odłożymy patyczki na miejsce. To nie nasze patyczki, tylko małego Michaela. (bierze go pod ramię i wyprowadza) A teraz pójdziemy na spacer.

Pozostali patrzą za nimi z twarzami całkowicie pozbawionymi wyrazu.

AKT II

Początek września; trzy tygodnie później. Na stole jest kałamarz i jakieś papiery. Dwa gotowe już latawce stoją oparte o ławkę ogrodową – nadal nie widać ich twarzy. Michael stoi na przodzie sceny po lewej, słucha śpiewu nadchodzącej Maggie. Maggie wchodzi z lewej strony, niosąc dwa ocynkowane wiadra pełne wody. Ubrana jest tak samo jak w akcie pierwszym. Śpiewa, jak zwykle, nieco parodystycznie:

MAGGIE

Graj, Cyganie! Graj, Cyganie! Noc krótko trwa...

Graj, bracie! Graj mi aż do dnia.

Dziś, bracie, graj rzewnie, graj śpiewnie i serce zbudź!

Na jedną noc mi szczęście wróć!*

(wchodzi do kuchni i wodą z wiader napełnia stojący na płycie czajnik i garnek. Patrzy na rozłożone na kuchennym stole przybory do pisania) Zbierasz już rzeczy do szkoły?

CHŁOPIEC Szkoła zaczyna się dopiero za dziesięć dni.

MAGGIE Boże, zawsze nienawidziłam szkoły. *(nuci następną linijkę piosenki; nagle przypomina sobie)* Mamy drobny interes do załatwienia. Słyszysz, synuś?

CHŁOPIEC Nie słyszę.

MAGGIE Jesteś mi winien pieniądze.

CHŁOPIEC Wcale nie.

MAGGIE A wcale tak. Trzy tygodnie temu założyłam się z tobą o pensa, że te twoje durne latawce nie pofrzną. I nie pofrnęły.

CHŁOPIEC Bo wiatr był słaby.

MAGGIE Słaby wiatr! Słyszał to kto? Nawet huragan by nie poderwał tych twoich latawców. Tak czy owak – dług to dług. Pensa proszę, jeśli łaska. Albo spłatę w naturze: jednego „Żeglarskiego”. *(śpiewa)*

Ty jeden łzy i smutki znasz,

ty mi szczerze grasz...

(tańczy z przesadą swój taniec przez całą kuchnię do stołu; przesuając się obok Chłopca, mierzwi mu włosy)

CHŁOPIEC Niech mi ciocia da spokój.

MAGGIE

Gdy twe skrzypce weźmiesz w ręce

Prawdę powiesz w twej piosence...

Graj, Cyganie! Graj, Cyganie, do świtu dnia.

Graj, Cyganie! Noc tak krótko trwa.

CHŁOPIEC Niech ciocia zobaczy, co mi ciocia narobiła. Mam teraz pełno kleksów!

MAGGIE Powiedz, synku, ale szczerze: czy ja się nadaję do cygańskiego życia?

CHŁOPIEC Niech mi ciocia da święty spokój! Chcę skończyć ten list.

MAGGIE Do kogo? Wiem, ale nie powiem! W każdym razie musi to być ktoś bardzo inteligentny; byle głęb tych bazgrołów nie odczyta. *(wraca do swoich wiader)*

CHŁOPIEC Do Świętego Mikołaja.

MAGGIE We wrześniu? No tak, lepiej zdążyć przed całym tłumem. O co go prosisz?

CHŁOPIEC O dzwonek.

MAGGIE O dzwonek.

CHŁOPIEC Do mojego roweru.

MAGGIE Do twojego roweru.

CHŁOPIEC Do tego, co mi tato kupił – niemądra!

MAGGIE Tato ci kupił rower?

* Aria z *Hrabiny Maricy* Imre Kálmana, słowa J. Brumer i A. Grünwald, przekład A. Feil, W. Krzemiński i A. Tur. (Przyp. tłum.)

CHŁOPIEC Dzisiaj mi powiedział. Kupił go w Kilkenny. Żeby ciocia wiedziała, że mi kupił.

MAGGIE *(zachowuje się inaczej. Wraca do stołu; mówi cicho)* Tak ci tato powiedział?

CHŁOPIEC Niech go ciocia sama zapyta. Będzie tu za tydzień. Kupił mi czarny – męski.

MAGGIE Szczęściarz z ciebie, syneczku.

CHŁOPIEC Przywiozą mi go tu, do domu. Obiecał mi.

MAGGIE No, skoro ci obiecał... *(bardzo wesoło)* Hm! Kto cię nauczy jeździć?

CHŁOPIEC A ja już umiem!

MAGGIE Nie umiesz.

CHŁOPIEC Nauczyłem się w szkole w zeszłym roku na Wielkanoc. O! Za to ty nie umiesz jeździć.

MAGGIE Właśnie że umiem.

CHŁOPIEC A ja wiem, że nie umiesz.

MAGGIE Sama, być może, nie potrafię. Ale, wiesz, synku, jak mnie ktoś weźmie na ramię – to ho, ho!

CHŁOPIEC Ciociu Maggie, nigdy w życiu nie jeździła ciocia na ramie!

MAGGIE Właśnie że tak, Michael. Oj, tak. Jeździłam na ramie. *(zбирая papiery)* A teraz zmykaj. Innym razem napiszesz do Świętego Mikołaja. W taki dzień powinieneś być na dworze, biegać po polach jak żreback. Czeka, mam dla ciebie nową zagadkę.

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Na jabłonce są dwa jabłka. Ogrodnik nie zerwał jabłek, ale też jabłek na jabłonce nie zostawił. Co zrobił ogrodnik?

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Ale pomyśl.

CHŁOPIEC Poddaję się.

MAGGIE Skoro nie wiesz, to ci powiem. Zerwał jabłko! Rozumiesz? Jedno. Nie zerwał jabłek, bo zerwał tylko jedno. I nie zostawił jabłek, też dlatego, że zostało jedno.

CHŁOPIEC O, Boże!

MAGGIE Jak bym gadała z workiem torfu.

Wchodzi Jack. Wygląda znacznie zdrowiej i silniej, jest także przytomny i ożywiony.

Nie ma na sobie ani palta, ani kapelusza, tylko bury – zapewne siostrzany – sweter.

Jest ubrany jeszcze bardziej dziwnie niż przedtem.

JACK Czyżbym słyszał dzwony kościelne?

MAGGIE Mamy dziś wspaniały, wielki ślub.

JACK Ale nie któreś z moich siostr?

MAGGIE Tak dobrze to nie jest. Pan Austin Morgan żeni się z jedną panną z Carrickfad.

JACK Austin Morgan – czy powinienem znać to nazwisko?

MAGGIE Chyba nie. Morganowie mają w mieście magazyn „Pod Arkadami”. Jak się dzisiaj miewasz?

JACK Tak jak co dzień, Maggie, marzną. I jak zwykle z tego powodu kwękam.

Michael wychodzi.

MAGGIE To kwękaj dalej, nikt ci nie broni. A robi się coraz chłodniej. Ale z dnia na dzień wyraźnie nabierasz sił.

JACK I czuję się silniejszy. No! Ruszam na ostatnią rundkę dzisiaj.

MAGGIE Rundka numer trzy?

JACK Cztery! Mijam sznur na bieliznę; przechodzę przez strumyk; okrążam starą studnię; potem w górę przez łąkę. A kiedy to wykonam, Kate nie będzie musiała mnie sekować – sekować? sekować? – dziwnie to brzmi – coś mi tu nie pasuje – sekować? – nie ma takiego słowa, co?

MAGGIE Jest. Sekować to znaczy stale kogoś ostro napominać.

JACK Tak? Sekować. Dobrze. Więc przypominają mi się różne słowa. Znakomicie. Sekować. Wciąż mi to brzmi jakoś dziwnie.

Wchodzi Kate z naręczem bielizny, którą zdjęła ze sznura.

KATE Pora na kolejny spacer, Jack.

JACK Właśnie się wybierałem na czwartą rundkę. I dziękuję, że nie przestajesz mnie napominać.

KATE Rose i Agnes jeszcze się nie zjawily?

MAGGIE Obiecywały wrócić na podwieczorek. *(do Jacka)* Poszły na jagody.

KATE *(do Jacka)* Ty też chodziłeś na jagody, pamiętasz?

JACK Koło starego kamieniołomu?

MAGGIE O, właśnie.

JACK Chodziliśmy we dwójkę z mamą; co roku podczas Lughnasy. Oczywiście że pamiętam. A potem robiła przepyszny dżem. Przez calutką zimę dostawaliśmy do szkoły na drugie śniadanie kawałek chleba z dżemem z jagód.

MAGGIE Ale bez masła.

JACK Chyba że była jakaś szczególna okazja i dostawaliśmy po rogaliku. Nie wiedzieć czemu rogalik zawsze był z masłem. Muszę kiedyś przespacerować się do tego starego kamieniołomu.

Słodsza jesteś niż jagoda

i prześliczna twa uroda.

Nimfo, czarem swym olśniewasz,

Księżycowy blask przyćmiewasz...

(śmieje się) Na miłość boską, a to skąd mi się przypomniało? Widzisz, Kate, powolutku wszystko mi się przypomina.

KATE Więc wkrótce zaczniesz znowu odprawiać mszę?

JACK Oczywiście.

MAGGIE Tutaj, w domu?

JACK Czemu nie? Zacznę może w przyszły poniedziałek. Sąsiedzi by też wzięli udział, prawda?

KATE Pewnie. Wiele osób już się dopytywało.

JACK A jak ich zawiadomimy?

MAGGIE Niech cię o to głowa nie boli. Wiadomości bardzo szybko się rozchodzą.

JACK No bo Okawa – znacie Okawę, prawda?

MAGGIE Twojego boya?

JACK Mojego przyjaciela – nauczyciela – mentora – oraz, w rzeczy samej, mojego boya; w każdym razie u nas Okawa zwołuje ludzi waleniem w wielki żelazny gong. Kate, słyszałaś rano te dzwony weselne?

KATE Tak.

JACK Gong Okawy niósłby cztery razy dalej. Ale gdy mamy jakąś większą ceremonię, Okawa cały dzień krąży po okolicznych wioskach i gra na olbrzymim flecie, który sam skonstruował.

MAGGIE Wszyscy schodzą się u ciebie w kościele?

JACK Schodzili się, póki miałem kościół. Teraz zbieramy się na placu na środku wioski. Jeśli to ważna ceremonia, to schodzi się nawet trzysta, czterysta osób.

KATE Aż tyle osób przychodzi uczestniczyć we mszy świętej?

JACK Być może. A może po to, by złożyć ofiarę Obi, naszej Wielkiej Bogini Ziemi, żeby plony były obfite. Czy może po to, by nawiązać kontakt z duchami przodków, skorzystać z ich rady i mądrości. A może, by podziękować duchom naszego plemienia, jeśli były nam przychylne, czy też przebłagać je, jeśli się na nas gniewają. Żalę się Okawie, że z każdym rokiem przybywa nam różnych obchodów. Teraz jest w Ugandzie pora zbiorów – mamy dwie wspaniałe ceremonie: święto Nowego Jamsu i święto Słodkiej Kasawy; oba na cześć naszej Wielkiej Bogini Obi...

KATE Ale to nie są uroczystości chrześcijańskie?

JACK Nie, nie. Mieszkańcy Ryangi zawsze byli wierni swoim wierzeniom, więc zachowali te dwa święta, o których wspominałem. To doprawdy niezwykle, wspaniałe ceremonie. Nie opowiadałem jeszcze o nich, co?

KATE Mnie nie.

JACK No więc zaczynają się bardzo uroczyście i poważnie na brzegu rzeki od złożenia rytualnej ofiary z ptaka domowego, kozy lub cielęcia. Potem odbywa się uroczyste cięcie i namaszczenie pierwszych jamsów i pierwszej kasawy; podajemy je sobie w drewnianych misach. Potem następują zaklęcia – właściwie rodzaj zaśpiewu, którym wyrażamy wdzięczność. Stanowi on także rytm czy też tło dla rytualnego tańca. A potem, po dziękczynieniu, taniec trwa nadal. Ciekawe, że w sposób naturalny ceremonia przeobraża się w uroczystość świecką. Niemal niepostrzeżenie kończy się obrzęd religijny, a zaczyna się święto miejscowej społeczności. I to dopiero jest widowisko. Na obrzeżu placu rozpalamy ogniska; i malujemy twarze barwnymi glinkami; śpiewamy miejscowe pieśni; pijemy wino palmowe. A potem tańczymy – i tańczymy – i tańczymy – dzieci, mężczyźni, kobiety, większość to trędowaci, wielu ma kończyny zniekształcone, innym brak ręki lub nogi – i tańczą, wierzcie lub nie, przez cały dzień, a nieraz i kilka dni! To przewspaniały widok! (*śmieje się*) A to wino palmowe! Ciągną je z rogów! Traci się poczucie czasu...! Taak, mieszkańcy Ryangi są niezwykli: w ich kulturze nie istnieje podział na życie religijne i świeckie. I oczywiście potrafią się cieszyć, śmiać, bawić, płatać figle – mają takie otwarte serca! Pod pewnymi względami są tacy jak my. Byłabyś nimi zachwycona, Maggie. Powinnaś się zabrać ze mną, gdy będę wracał! Ale po co ja o tym wszystkim mówię? Nie pozwalajcie mi snuć tych opowieści. Pora na spacer! Będę z powrotem za dziesięć minut; a jeszcze przed tygodniem czwarta rundka zajmowała mi pół godziny. Wspaniale się spisałaś, Kate. Więc sekuj mnie dalej. (*rusza i po chwili zatrzymuje się*) To chyba nie jest z Gilberta i Sullivana, co?

KATE Nie wiem, o co ci chodzi.

JACK O ten cytat.

KATE Jaki „ten”?

JACK

Słodsza jesteś niż jagoda

I prześliczna twa uroda...

Nie, to nie z Gilberta i Sullivana. Ale przypomnę sobie. Zobaczysz. Wszystko sobie w końcu przypominam. (*ponownie rusza do wyjścia*)

KATE Jack.

JACK Co?

KATE Wrócisz do odprawiania mszy świętej?

JACK Już uzgodniliśmy, że zacznę od przyszłego poniedziałku, prawda? Prawda, Maggie?

MAGGIE Tak.

JACK O brzasku. Gdy tylko biały kogut Rose zapieje. Uroczystość na cześć płonów. Kate, musisz gdzieś znaleźć jakiś wielki gong.

Wychodzi. Pauza. Kate i Maggie patrzą na siebie zaniepokojone i zmartwione. Rozmawiają przyciszonym głosem.

KATE Mówiłam ci – nie chciałaś mi wierzyć – mówiłam ci.

MAGGIE Ciii.

KATE I co o tym myślisz?

MAGGIE Nie minął jeszcze miesiąc, jak wrócił.

KATE Wczoraj się dowiedziałam, jak to ich szaman wskrzesił zmarłą...

MAGGIE To musi potrwać.

KATE Za to dziś rano było o „duchach plemienia”! A widziałaś, jakie robił uniki, kiedy go zapytałam o mszę świętą?

MAGGIE Przecież obiecał, że w najbliższy poniedziałek odprawi mszę.

KATE Nie licz na to. Wiesz, że nic z tego nie będzie. On się zmienił.

MAGGIE Jeszcze z miesiąc i na pewno będzie...

KATE Zmienił się zupełnie. To już nie jest nasz Jack. Przeraża mnie ta zmiana.

MAGGIE Mnie nie.

KATE Szkoda, że nie widzisz swojej miny... oczywiście, że cię przeraża... Och, Boże, Boże...

Maggie idzie do płyty kuchennej. Kate podchodzi do stołu i z przesadną energią wyciera go wilgotną ścierką. Nagle jej ożywienie znika, osuwa się ciężko na krzesło i zasłania twarz rękami. Maggie przygląda się jej, potem podchodzi bliżej. Staje za nią i bierze ją za ramiona. Kate chwytając leżące na jej ramionach ręce Maggie.

MAGGIE Tak czy inaczej, Kitty, myślę, że nie miałabym ochoty tego oglądać.

KATE Czego?

MAGGIE Jak to stado trędowatych podryguje w fokstrocie.

KATE Niech ci Bóg przebaczy! Ci nieszczęśnicy mają takie samo prawo do... *(urywa, ponieważ rozlega się śmiech Chris. Kate zrywa się na równe nogi)* Maggie! Ani słowa na ten temat nikomu. Żeby to nie wyszło poza te cztery ściany! Koniecznie! Żeby jedno słowo nie wydostało się na zewnątrz, słyszysz? Ani jedno słóweczko!

Chris i Gerry wchodzi z lewej. Gerry wchodzi tyłem, ciągnąc Chris, która uczepiła się jego laski. Przez całą scenę Gerry usiłuje ją objąć, Chris stale mu się wymyka.

GERRY Po co ten fałszywy wstyd? Ślicznie tańczysz i doskonale o tym wiesz.

CHRIS Wcale nie.

GERRY Powinnaś być tancerką.

CHRIS Głupstwa gadasz.

GERRY Zatańczmy jeszcze raz dookoła ogrodu.

CHRIS Już tańczyliśmy po całym ogrodzie, przetańczyliśmy całą dróżkę – tam i z powrotem – bez muzyki. Na jeden dzień wystarczy. Opowiedz mi, jak się zaciągnąłeś. Naprawdę to było w kościele?

GERRY Powiadam ci, to było nieprawdopodobne.

CHRIS W prawdziwym kościele?

GERRY W katolickim, gdyby się ktoś pytał.

CHRIS Nie wierzę.

GERRY Czy ja bym cię okłamywał? A na samym końcu – w prezbiterium? – byli trzej mężczyźni. Dwaj w trenczach, a pośrodku, za taką jakby mównicą, stał trzeci, maleńki facecik, w czymś jak czapka wojskowa. Mówił z takim akcentem, że ledwo go rozumiałem. Rzecz jasna pomyślałem, że to Hiszpan. Okazało się, że jest z Armagh.

CHRIS Założę się, że on ciebie też ledwie rozumiał.

GERRY Przedstawił się jako oficer werbunkowy. „Wierzcie mi, towarzyszu, nikt nie wstępuje do brygad bez mojej akceptacji.”

CHRIS *(śmieje się i unika objąć Gerry'ego)* Aż dziw, że cię przyjął.

GERRY „Czy wyrażacie gotowość służenia Frontowi Ludowemu – wiernie, lojalnie i ofiarnie?”

CHRIS Co to jest Front Ludowy?

GERRY Rząd hiszpański, któremu pomogę utrzymać się przy władzy. „Rozumiem, że jesteście syndykalistą?” „Nie”. „Anarchistą?” „Nie.” „Marksistą?” „Nie.” „Republikaninem, socjalistą, komunistą?” „Nie”. „Mówicie po hiszpańsku?” „Nie”. „Czy umiecie robić materiały wybuchowe?” „Nie”. „Umiecie jeździć na motorze?” „Tak”. „Bierzemy was. Podpiszcie tutaj.”

CHRIS Więc będziesz łącznikiem?

Gerry udaje, że jedzie na motocyklu.

CHRIS I wyjeżdżasz w sobotę?

GERRY Przy pierwszym odpływie.

CHRIS Jak długo cię nie będzie?

GERRY Tak długo, jak będzie trzeba.

CHRIS Ale poważnie.

GERRY Pewnie parę miesięcy. Wszyscy mówią, że do Bożego Narodzenia będzie po wszystkim.

- CHRIS Zawsze się mówi, że do Bożego Narodzenia będzie po wszystkim. Nadal nie wiem, po co się tam wybierasz.
- GERRY Ja chyba też nie. Na co komu sprzedawcy, którzy nic nie sprzedają? A o tę sprawę na pewno w jakimś sensie warto walczyć, prawda? Przynajmniej jest gdzie pojechać, nie? Może dla mężczyzny właśnie to się najbardziej liczy: mieć jakiś konkretny cel, jakiś określony cel, jak demokracja, Ballybeg, niebo. Kobiece złudzenia jest znacznie trudniej zaspokoić – kobiety łatwiej się poddają biegowi wydarzeń. (*śmieje się*) W każdym razie podał mi pióro, żebym się podpisał, i dopiero, kiedy składałem podpis na formularzu, spojrzałem za mównicę i zobaczyłem skrzynkę.
- CHRIS Jaką znów skrzynkę?
- GERRY Stał na skrzynce. Ten facecik to karzeł!
- CHRIS Gerry!
- GERRY Miał z metr wzrostu – najwyżej.
- CHRIS Gerry, ja...
- GERRY Daję ci słowo honoru! Kiedy potem poszliśmy do baru, powiedział, że jako mistrz kamuflażu jest w brygadach wprost niezastąpiony. Nikt tak jak on nie potrafi zmieniać swojego wyglądu.
- CHRIS Panie Evans, proszę nie robić ze mnie...
- GERRY Chodźmy do starej studni.
- CHRIS Nigdzie nie pójdziemy. Wejdz i rzuć okiem na to radio. Gra i milknie, kiedy chce.
- GERRY Już ci mówiłem: nie znam się na radiach.
- CHRIS A ja im powiedziałam, że radia to twoja specjalność.
- GERRY Chrissie, nie wiem nawet, jak...
- CHRIS Możesz chyba spróbować? Chodź. Michaelowi bardzo się cknę bez radia. (*wbiega do kuchni, Gerry podąża za nią*) Szkoda, że nie widziałyście Jacka, jak maszeruje po łące. To nie ten sam człowiek!
- KATE (*do Gerry'ego*) Rozmawiał pan z nim?
- GERRY Chce, żebyśmy się wymienili kapeluszami – ja bym mu dał ten, a on da mi w zamian jakieś trójganiaste cudo z pióropuszem, które dostał od komisarza okręgowego. Chyba to uczciwa transakcja.
- MAGGIE Chrissie mówi, że doskonale się znasz na radiach.
- GERRY Rzucę na nie okiem – czemu nie?
- MAGGIE To na pewno nie bateria, bo wczoraj kupiłam nową.
- GERRY Na początek sprawdzę antenę. Bardzo często wszystkiemu jest winna antena. Potem obejrzę sobie starter i świece zapłonowe. Zdajcie się na Gerry'ego. (*wychodząc frontowymi drzwiami i na prawo, robi oko do Chris*)
- MAGGIE Widać, że zna się na rzeczy.
- CHRIS Może to być coś, czego nie zdoła zreperować.
- KATE Wiem, Christina, że nie ponosisz odpowiedzialności za decyzje Gerry'ego. Ale dla spokoju własnego sumienia muszę ci powiedzieć, że jestem zdecydowanie przeciwna tej całej awanturze z Brygadami Międzynarodowymi. Smutny dzień nastał. Kto to widział, by synowie Irlandii szli walczyć w Hiszpanii o bezbożny komunizm?
- CHRIS O demokrację, Kate.
- KATE Nie będę się sprzeczać. Chcę tylko mieć czyste sumienie.
- CHRIS Oczywiście, to najważniejsze. Już masz czyste.
Wbiega Gerry.
- GERRY (*wołą przez okno*) Chrissie, włącz radio!
- MAGGIE Jest włączone.
- GERRY Dobra. (*znów wybiega*)
- CHRIS Wracając z miasta, spotkaliśmy Verę McLaughlin, pośredniczkę. (*cicho*) Agnes i Rose jeszcze nie wróciły?
- MAGGIE Nie, ale wkrótce będą.

- CHRIS Powiedziała, że wstąpi jutro i sama im powie. Jest bardzo zafrasowana, biedaczka.
- KATE Co takiego chce im powiedzieć?
- CHRIS Że już nie będzie kupowała ręcznie robionych rękawiczek.
- MAGGIE Dlaczego?
- CHRIS Mówi, że za drogo jej wychodzi.
- KATE Za drogo! Takie nędzne grosze im płaci!
- CHRIS W Donegal uruchomili nową fabrykę. Robią wełniane rękawiczki znacznie prężej i o wiele taniej. Kupcy, którym Vera dostarczała towar, zaopatrują się teraz bezpośrednio w fabryce.
- MAGGIE To straszna wiadomość, Chrissie.
- CHRIS Powiedziała, że podstawiają autobusy, które codziennie dowożą ludzi do pracy i potem ich odwożą. Większość dawnych chałupników zgłasza się do pracy w fabryce. Też chciała, ale jej nie przyjęli, bo jest za stara. Ma czterdzieści jeden lat. Biedulka, aż mówić nie mogła.
- MAGGIE O, Boże... biedna Aggie... biedna Rose... co teraz z nimi będzie?
- Agnes wchodzi do ogrodu; Kate ją zauważa.*
- KATE Cii. Wróciły. Niech spokojnie zjedzą podwieczorek. Później im powiemy.
- Zajmują się, każda swoją robotą. Agnes niesie dwa wiaderka pełne jagód; stawia je na zewnątrz domu przy drzwiach. W chwili gdy zamierza wejść do środka, zatrzymuje ją głos Gerry'ego.*
- GERRY (*zza sceny*) Co to za niewiasta precudnej urody?
- AGNES (*rozgląda się zdezorientowana*) Gerry?
- GERRY Spójrz do góry!
- AGNES Gdzie?
- GERRY Na czubek jaworu.
- AGNES (*dostrzega go wreszcie. Widzowie go nie widzą*) O, Matko święta!
- GERRY Chodź tu do mnie!
- AGNES Co ty tam robisz?
- GERRY Stąd widać przyszłość!
- AGNES Gerry, to słabe drzewo! Złaź stamtąd, proszę.
- GERRY Chodź na górę zobaczyć, co cię czeka!
- AGNES Gerry, to sucha gałąź. Naprawdę.
- Gałąź zaczyna się kołysać.*
- GERRY Jak myślisz, wzięliby mnie do cyrku? Jej, jej, jej, jej!
- AGNES Gerry!
- GERRY (*śpiewa*) Niczym ptak wysoko lata – Iiiiiiiii!
- AGNES (*przeżona zasłania oczy rękami*) Przestań, Gerry! Przestań, przestań!
- GERRY Dzielny młody akrobata...
- AGNES Zlecisz! Nie chcę tego widzieć! Nie będę patrzeć! (*wbiega do domu*) Ten błazen siedzi na samym czubku jaworu. Chrissie, każ mu natychmiast zejść.
- MAGGIE Naprawia antenę.
- AGNES Kark sobie skręci, ot co – tyle tego będzie!
- MAGGIE Niech tylko przedtem naprawi radio.
- KATE Agnes, jak tam jagody?
- AGNES Ociupinkę przejrzałe. Z tydzień temu były w sam raz.
- CHRIS Chyba poplamiałaś sobie kabacik.
- AGNES Tak, wiem. Ledwie zaczęłam zbierać, wpadłam w kępę jeżyn. Spójrz na moje ręce – całe podrapane. Rosie nawet mnie nie pożałowała. Aż się turlała ze śmiechu.
- Jak ona się czuje? (*pauza*) Jeszcze nie wstała?
- CHRIS Jak to nie wstała?
- AGNES Żle się czuła. Wróciła, żeby się położyć. (*pauza*) Jest w domu, prawda?
- Maggie wybiega do pokoju Rose.*

KATE Nie widziałam jej. (*do Chris*) A ty?

CHRIS Nie.

KATE Kiedy się rozstałyście?

AGNES Już dawno – nie wiem dokładnie – prawie zaraz potem, jak doszliśmy do starego kamieniołomu. Powiedziała, że czuje się niewyraźnie.

CHRIS I poszła sama?

AGNES Tak.

KATE Miała wrócić do domu?

AGNES Tak powiedziała.

Wraca Maggie.

MAGGIE W łóżku jej nie ma.

AGNES O, Boże, gdzież ona mogła...

KATE Agnes, zacznij od początku. Opowiedz dokładnie, co się wydarzyło.

AGNES Nic się nie „wydarzyło” – zupełnie nic. Wyszliśmy razem – która to była? – zaraz po pierwszej.

CHRIS Więc już ponad trzy godziny jej nie ma.

AGNES Poszliśmy razem do kamieniołomu. Całą drogę trajkotała po swojemu. Ja niosłam te dwa wiadra, a ona...

KATE I co dalej...

AGNES Jak tylko doszliśmy na miejsce, zaczęła się skarżyć, że źle się czuje. Kazałam jej usiąść na słońcu i powiedziałam, żeby nie zwracała sobie głowy jagodami. Usłuchała mnie...

KATE Długo tak siedziała?

AGNES Bo ja wiem? Z pięć, dziesięć minut. Potem wpadłam w te jeżyny, a ona zaczęła się śmiać. Potem powiedziała mi – powiedziała – nie pamiętam dokładnie, co powiedziała – coś, że głowa ją boli i w brzuchu ją kręci, więc najchętniej by wróciła, żeby się położyć. (*do Maggie*) Jesteś pewna, że nie leży w łóżku?

Maggie kręci głową.

KATE I co było dalej?

AGNES (*zaczyna płakać*) Gdzie ona jest? Co się stało z naszą Rosie?

KATE W którą stronę poszła?

AGNES W którą stronę?

KATE Przestań się mazać! Czy poszła w stronę domu?

AGNES Chyba... tak... Nie wiem... Maggie –

MAGGIE Mogła się wybrać do miasta.

CHRIS Nie poszłaby do miasta w kaloszach.

AGNES Była w wyjściowych pantoflach.

KATE Jesteś pewna?

AGNES Tak; w niebieskim rozpinanym sweterku i wyjściowej spódnicy. Powiedziałam jej – powiedziałam: „Z taką damą jeszcze na jagody nie chodziłam”. A ona się roześmiała. „Ale ze mnie hrabiania, no powiedz, Aggie, prawdziwa hrabiania!”

MAGGIE Zabrała butelkę z mlekiem?

AGNES Chyba tak – tak – miała butelkę w jednej z baniek.

MAGGIE A jakieś pieniądze miała?

AGNES Pół korony. To cały jej majątek.

MAGGIE (*cicho*) Danny Bradley.

KATE Co? Kto?

MAGGIE Danny Bradley... Lough Anna... w górach.

CHRIS O, Boże, nie.

KATE Co? O co chodzi? Co wy mówicie o górach?

CHRIS Ubzdurała sobie coś na temat tego nicponia Bradleya. Jest przekonana, że się w niej zakochał. Twierdzi, że dostała od niego podarunek na Gwiazdkę.

KATE (*do Agnes*) Co wiesz o tej historii z Bradleyem?

AGNES Tyle, co Chris...

KATE Nieraz widziałam, jak coś sobie z Rose szepczecie. Co to były za konszachty z tym Bradleyem?

AGNES Żadne konszachty... Kate, proszę cię...

KATE Kłamiesz, Agnes! Coś przede mną ukrywasz! Chcę znać prawdę!

AGNES Przysięgam na Boga, nic więcej nie wiem, tylko to, co ci Chris...

KATE Chcę usłyszeć wszystko, co wiesz! Natychmiast! Chcę...

MAGGIE Dostyc tego, Kate! Przestań! I to już! (*spokojnie*) Mogła pójść do miasta. Może właśnie jest w drodze powrotnej. Idąc z kamieniołomu, mogła zmylić drogę. Znajdziemy ją. (*do Chris*) Idź przeszukać pola powyżej ścieżki. (*do Agnes*) Ty się rozejrzyj w dół od ścieżki, aż do głównej drogi. (*do Kate*) Ty idź popatrzeć koło starej studni. A ja pójdę do miasta powiadomić policję.

KATE Nie pójdziesz na żadną policję. Jeśli Rose zadała się z tym łajdakiem Bradleyem, to nie zamierzam tego rozgłaszać po całej okolicy.

MAGGIE Idę na policję, a ty zrobisz, co ci kazałam.

CHRIS Jest! Patrzcie, patrzcie! Znalazła się!

Zobaczyła Rose przez okno i już chce wybiec jej naprzeciw. Maggie chwytą ją za rękę i powstrzymuje. Wszystkie cztery siostry patrzą, jak Rose przechodzi przez ogród – Chris i Kate przez okno, Maggie i Agnes przez drzwi. Rose nie zdaje sobie sprawy, że jest bacznie obserwowana. Ubrana jest w opisane przez Agnes „wyjściowe” ubranie, które bardzo zmieniło jej wygląd. Na dobrą sprawę ktoś, kto nie widział Rose w pierwszym akcie, nie mógłby się domyślić, że jest w jakiś sposób ułomna. Zrazu można by ją wziąć za zwykłą wiejską dziewczynę, starannie ubraną, całkiem niebrzydka, która w letni dzień wraca z długiego spaceru. Zbliża się do domu powoli, trochę jak lunatykczka. Z jej prawej ręki zwisa kwiat maku, zerwany po drodze mimochodem. Jej twarz niczego nie zdradza, ale też nie stara się niczego ukryć. Widzi zostawione przez Agnes wiaderka z jagodami. Zatrzymuje się i patrzy na nie. Potem sięga do jednego z wiaderek, bierze garść owoców i wrzuca je sobie do ust. Potem ociera usta rękawem i grzbietem ręki. Żując owoce, patrzy na poplamione palce. Wyciera je o spódnicę. Kiedy zatrzymuje się, je, ociera twarz – nie robi tego jakby była w jakimś transie, ale spokojnie i naturalnie. Teraz podchodzi do domu. Gdy jest już przy drzwiach, Agnes wypada na powitanie. Zamiast ją objąć, tak jak by chciała, chwytą ją za rękę.

AGNES Rosie, kochanie, już się o ciebie martwiłyśmy.

ROSE Bardzo dobre, Aggie, słodziuteńkie. Aż dwa wiaderka uzbierałaś.

AGNES (*prowadzi ją do domu*) Brzuch ci już nie dokucza?

ROSE Jaki brzuch?

AGNES Źle się czułaś. Nie pamiętasz? Jak byłyśmy przy kamieniołomie?

ROSE A, tak. Nie, nic mi nie jest, dziękuję.

AGNES Zostawiłaś mnie tam i powiedziałaś, że idziesz do domu się położyć. Nie pamiętasz?

ROSE Tak.

CHRIS Ale nie poszłaś do domu.

ROSE Nie.

AGNES Martwiłyśmy się o ciebie.

ROSE No... ale jestem.

CHRIS Byłaś w mieście?

AGNES Dlatego tak się wystroiłaś, powiedz?

CHRIS Poszłaś do Ballybeg, prawda?

Pausa. Rose patrzy raz na jedną, raz na drugą.

MAGGIE (*energicznie*) Jest w domu, cała i zdrowa, i tylko to się liczy. Nie wiem, jak wy, moje panienki, ale nasz biedny kurczaczek na pewno umiera z głodu. Słuchajcie tylko, co szef kuchni dzisiaj poleca. Z napojów, jak zwykle, oferujemy gorącą, słodką

herbatę. Następnie mamy do wyboru chleb z kminkiem albo bułkę – jedno i drugie prosto z pieca. Wreszcie dochodzimy do kwestii najtrudniejszej – otóż mamy tylko trzy jajka, a jest nas siedmioro. Rosie, wiele bym dała, żeby ten twój biały kogut zaczął znosić jajka. Spróbuj go namówić.

CHRIS Jest nas ośmioro, Maggie.

MAGGIE Jak to? Ano tak; zapomniałam o tym junaku na czubku jawora! Skromna spiżarnia to dla mnie wielkie wyzwanie: Proponuję... Jajka à la Ballybeg, czyli jajecznicę na grzankach z chleba z kminkiem. A na zakończenie – dla amatorów – wyborny papieros „Żeglarski”. Co wy na to?

CHRIS Cudownie, Maggie!

MAGGIE Załatwione.

Rose zdjęła jeden pantofel i niezwykle wnikliwie mu się przygląda.

AGNES Rosie, w przyszłą niedzielę znów pójdziemy na jagody.

ROSE Dobrze.

AGNES Pamiętasz te bańki, które miałaś? Miałaś dwie blaszane bańki na jagody – pamiętasz? Wzięłaś je ze sobą?

ROSE Dokąd?

AGNES Do miasta... no, tam, gdzie byłaś...

ROSE Schowałam je w kamieniołomie za murkiem. Nie zginą. Pójdę po nie później. Czy ktoś wie, gdzie jest mój fartuch?

MAGGIE Leży na twoim łóżku. I trzeba, żebyś przyniosła trochę torfu.

ROSE Tylko się przebiorę.

MAGGIE Ale pośpiesz się.

CHRIS Ile grzanek mam zrobić?

MAGGIE Z całego bochenka. Tylko nie rozpędzaj się z masłem, bo to wszystko, co mamy. Dobra. Pietruszka. I ździebko bazylii. Zbyt wiele sobie nie obiecujcie, moje panienki, ale musicie wiedzieć, że naszło mnie wielkie natchnienie.

Rose idzie do drzwi od pokoju sypialnego. Już ma wyjść, gdy odzywa się Kate.

KATE Chcę wiedzieć, gdzie byłaś, Rose.

Rose zatrzymuje się. Pauza.

KATE Nie było cię przez całe popołudnie. Masz mi powiedzieć, gdzie się podziewałaś.

AGNES Później, Kate, po...

KATE Gdzie się podziewałaś przez ostatnie trzy godziny?

ROSE (*ledwo słyszalnie*) Lough Anna.

KATE Nie dostyszałam, co powiedziałaś.

ROSE Lough Anna.

CHRIS Kate, zostaw –

KATE Poszłaś z kamieniołomu do Lough Anna?

ROSE Tak.

KATE Z kimś się tam spotkałaś?

ROSE Tak.

KATE Byłaś tam umówiona?

ROSE Umówiłam się z Dannym Bradleyem. Zabrał mnie na przejażdżkę niebieską łodzią swojego ojca. (*do Maggie*) Maggie, nie chce mi się jeść. Miałam ze sobą butelkę mleka i paczkę herbatników w czekoladzie. Zrobiliśmy sobie piknik na jeziorze. (*do Agnes*) A potem poszliśmy w góry. Pokazał mi, gdzie były ogniska na święto Lughnasy. W niektórych jeszcze się tli. (*do Kate*) Przeszliśmy koło domu młodego Sweeneya – wiesz, tego chłopaka, co się poparzył – tego, co mówiłaś, że umiera. Więc poprawiło mu się – Danny tak powiedział. Zostaną mu na nogach blizny, ale wydobrzeje. (*do wszystkich*) Tam w górach taki spokój. Żywej duszy nie było – tylko Danny i ja. (*do Agnes*) Mówi na mnie „moja Różyczka”, wiesz, Aggie. Już ci to mówiłam, prawda? (*do wszystkich*) Potem mnie odprowadził aż do bramy ochronki i dalej poszłam sama. (*do Kate*) Nic

więcej nie powiem. (*do wszystkich*) Więcej słowa ze mnie nie wyciągniecie. (*wychodzi z pantoflami w jednej ręce i z makiem w drugiej*)
Wchodzi Michael.

KATE Co się w tym domu wyprawia? Matko boska, czy my jeszcze kiedyś będziemy mogli spojrzeć ludziom w oczy...?

Pauza.

MICHAEL Następnego wieczoru przyszła Vera McLaughlin i wyjaśniła Agnes i Rose, dlaczego nie może kupować od nich rękawiczek. Większość jej chałupniczek już podjęła pracę w nowej fabryce i radziła Agnes i Rose, żeby też się tam zgłosiły, i to czym prędzej. Do Ballybeg dotarła wreszcie rewolucja przemysłowa.

One nie zgłosiły się jednak do pracy w fabryce, choć nie miały żadnego innego sposobu zarobkowania i nigdy nie rozmawiały z siostrami o swojej sytuacji. Być może Agnes zdecydowała za obie, wiedząc, że Rose i tak by nie dostała pracy. Albo może, jak sądzi Kate, dlatego, że Agnes była zbyt uparta i niezależna, by pracować w fabryce. Albo może obie po prostu chciały wreszcie... się wyrwać z domu.

W każdym razie w dniu rozpoczęcia roku szkolnego, kiedy weszliśmy do kuchni na śniadanie, znaleźliśmy opartą o dzbanek z mlekiem kartkę: „Wyjechałyśmy na zawsze. Tak jest najlepiej dla nas wszystkich. Nie próbujcie nas odnaleźć”. Napisane to było zdecydowaną ręką Agnes.

Oczywiście pozostałe siostry próbowały je odnaleźć. Policja zresztą też. Szukali ich ponadto sąsiedzi – korzystając z sieci rozlicznych krewnych i znajomych w całej Anglii i w Ameryce. Ale Agnes i Rose znikły bez śladu. A kiedy ćwierć wieku później wytropiłem je wreszcie w Londynie – Agnes już nie żyła, a Rose dogorywała w hospicjum dla ubogich w Southwark.

O tym, co się z nimi działo przez te lata, zdołałem zebrać tylko szczątkowe informacje. Trudno z nich złożyć spójny obraz. Często zmieniały miejsce pobytu. Pracowały a to jako sprzątaczkę w szaletach publicznych, a to w fabrykach, a to w me-trze. Potem, kiedy Rose nie mogła już dostać pracy, Agnes sama usiłowała zapewnić im utrzymanie – ale nie dawała rady. Od tego momentu – jak przypuszczam – poddały się. Zaczęły pić; nocowały w parkach, w bramach, na nabrzeżu Tamizy. Wreszcie Agnes umarła z wycieńczenia. Dwa dni po tym, jak w tym ponurym hospicjum odnalazłem Rose – nie poznała mnie, rzecz jasna – i ona też odeszła z tego świata; we śnie.

Ojciec Jack szybko odzyskał zdrowie, a wraz z nim wróciło mu nie tylko całe słownictwo, ale także dawna energia. W następny poniedziałek nie odprawił jednak mszy, a sąsiedzi przestali się o niego dopytywać. Jego nazwisko już nigdy nie pojawiło się na łamach miejscowej gazety. Oczywiście, nie urządzono mu też uroczystego powitania z orkiestrą, sztandarami i przemówieniami.

On zaś nigdy nie zrezygnował z powrotu do Ugandy. Wciąż z pasją opowiadał o swoim życiu wśród trędowatych. A każda opowieść przynosiła nowe rewelacje. A każda nowa rewelacja zdumiewała – zaskakiwała – wręcz szokowała biedną ciocię Kate. Aż wreszcie wynalazła formułkę, która ją samą uspokajała: „Jego osobliwe poszukiwania duchowe”. „Płasał dookoła ogniska i składał w ofierze kurczaka jakiemś Uka, Ito czy czemuś tam, o czym milczy religia, której mnie uczono i którą znam – mówiła potrząsając buńczucznie głową – ale w końcu Jack ma prawo do swoich osobliwych poszukiwań duchowych.” Gdy zmarł nagle na atak serca – w rok po swoim powrocie, w wigilię następnego święta La Lughnasa – moja matka i Maggie bardzo po nim rozpaczały. Ale Kate przez wiele jeszcze miesięcy pogrążona była w żalu.

Tej soboty ojciec wyruszył do Hiszpanii. Ostatni raz go widziałem, jak oddalał się dróżką: tańczył niczym Fred Astaire, wywijając laseczką, był w trójgraniastym kape-luszu wuja Jacka, nasuniętym zawadiacko na lewe oko. Gdy dotarł do głównej drogi, zatrzymał się, odwrócił i obiema rękami posłał mamie i mnie kilkanaście teatralnych pocałunków.

Został ranny w Barcelonie – spadł z motoru – więc do końca życia utykał. Kalectwo go nie unieruchomiło, ale z tańcem musiał się już pożegnać, co było dla niego niebywale przykre. Wspaniale się czuł, odgrywając rolę weterana i inwalidy wojennego, ale i to nie mogło mu wynagrodzić braku tańca.

Nadal pojawiał się od czasu do czasu, mniej więcej raz na rok. Za każdym razem już, już był o włos od zrobienia wielkiej kariery. I za każdym razem oświadczał się mamie, a mnie obiecywał rower. Potem, w 1939 roku, wybuchła wojna; jego odwiedziny stały się coraz rzadsze, aż wreszcie w ogóle przestał się zjawiać. W połowie lat pięćdziesiątych dostałem list z jakiejś wioski w południowej Walii; było tam kilka słów od młodego mężczyzny, mojego rówieśnika. Zresztą nazywał się tak samo jak ja: Michael Evans. Moje imię i nazwisko, a także adres znalazł w papierach po swoim ojcu – Gerrym Evansie. Przedstawił się jako mój przyrodni brat i zawiadamił, że Gerry Evans, nasz ojciec, w zeszłym tygodniu odszedł spokojnie z tego świata. Stało się to w jego rodzinnym domu. W chorobie pielęgnowała go żona i trójka dorosłych dzieci, które mieszkają i pracują w tej samej wiosce. Moja matka nigdy się o tym liście nie dowiedziała. To byłem prawie zdecydowany, że jej powiem, to znów wycofywałem się. Podobnie jak ojciec całymi latami się wahałem; aż wreszcie, słusznie czy niesłusznie, zachowałem tę informację dla siebie.

Maggie, Chris, Kate i Agnes wracają do swoich zajęć.

CHRIS No, wreszcie jakaś dobra wiadomość.

MAGGIE Jaka?

CHRIS Że ten chłopak Sweeneyów z gór wyżyje.

MAGGIE Rzeczywiście dobra wiadomość.

CHRIS (*podchodzi do drzwi i woła*) Michael! Gdzie jesteś? Trzeba przynieść torfu! (*wychodzi z domu i woła w górę do Gerry'ego; tymczasem Michael wychodzi*) Jeszcze tam jesteś?

GERRY (*z za sceny*) Odejdź! Jeszcze ci zlecę na głowę!

CHRIS Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

GERRY (*z za sceny*) Chodź tu do mnie, na górę.

CHRIS Już się rozpędziłam.

GERRY (*z za sceny*) Nigdy się nie kochaliśmy na czubku jawora.

CHRIS (*rozgląda się niespokojnie, czy siostry przypadkiem nie usłyszały*) Gdybyś zleciał i skręcił kark, to i tak byłby zbytek łaski boskiej. (*wchodzi do domu*) Co za gagatek z tego Michaela – gdy tylko jest potrzebny, znika jak kamfora.

MAGGIE (*do Agnes*) Wiesz, Aggie, dzisiaj rano przyszedł mi do głowy genialny pomysł. Wymyśliłam – czego w Ballybeg potrzeba, a nie ma?

AGNES To zagadka? Poddaję się.

MAGGIE Krawcowej! Więc Agnes Mundy, która ma taki talent w rękach, mogłaby się zająć krawiectwem. I co ty na to?

AGNES Talent w rękach!

MAGGIE (*rozgląda się za papierosami*) Miałaby mnóstwo zamówień. Klientki zjeżdżałyby się z całej okolicy. Zrobiłaby majątek.

AGNES Rzeczywiście – majątek w Ballybeg.

MAGGIE Nie tylko miałaby interesujące zajęcie, ale na dodatek nie psułaby sobie oczu wgapieniem się w burą włóczkę po osiem godzin dziennie. Zauważyłaś, że Rose ostatnio mruży oczy, żeby cokolwiek zobaczyć? To dla ciebie wymarzone zajęcie, Aggie; powiadam ci. Boże święty, dziewczyny, tylko nie mówcie, że fajki mi się skończyły! To niemożliwe!

Chris podchodzi do kominka i podnosi do góry jednego papierosa.

MAGGIE Chrissie, jesteś genialna. Patrz, Kate. (*robi smętną minę*) Rozpacz. (*zapala papierosa*) Szczęście! Chcesz się zaciągnąć?

KATE Czy my się wreszcie doczekamy tych wyśmienitych jajek à la Ballybeg?

MAGGIE Gdybym miała do wyboru: jeden „Żeglarski” albo mężczyzna – powiedzmy – pięćdziesiątka z hakiem – wdowiec – z brzuszkiem – na co bym się zdecydowała? Powiedz, Kate? Na tłuszczoszka, co? Boże, chyba to już szczyt desperacji.

Jack wchodzi z ogrodu.

MAGGIE Powiedz, Jack, może powinnam pojechać z tobą do Ryangi?

JACK Wiem, że tego nie zrobisz, ale też wiem, że bardzo by ci się tam podobało.

MAGGIE Znalazłbyś męża dla każdej z nas?

JACK Aż czterech mężczyzn nie mógłbym obiecać, ale jednego męża dla wszystkich mógłbym zagwarantować.

MAGGIE A my byśmy się na coś takiego zgodziły?

CHRIS On jeden i my cztery?

JACK Taki jest u nas system i funkcjonuje bez zarzutu. Jedna byłaby pierwszą żoną i mieszkałaby z nim w największej chacie...

MAGGIE To ty, Kate.

KATE Przestań, Maggie!

JACK Pozostałe trzy mieszkałyby w jego zagrodzie. Byłoby mniej więcej tak, jakbyście żyły na jednej farmie.

MAGGIE Całkiem sympatycznie, panienki, nieprawda? (*do Jacka*) A jak by... Właściwie jakie miałybyśmy obowiązki?

JACK Szycie, gotowanie, pomoc przy zbiorach, pranie – zwyczajne prace domowe.

MAGGIE To wszystko i tak robimy.

JACK I zajmowałybyście się dziećmi.

MAGGIE Jego i Kate.

KATE Maggie!

JACK Jego i was wszystkich! Dlatego właśnie ten system tak dobrze funkcjonuje, że mężczyzna wraz ze swymi żonami i dziećmi tworzą małą społeczność, w której wszyscy wszystkim pomagają i wszyscy się o wszystkich troszczą. Bardzo to popieram.

KATE Być może ten system doskonale funkcjonuje, a ty możesz go sobie popierać, wątpię jednak, czy tak właśnie Papież Pius XI rozumie święty sakrament małżeństwa. Może też byłoby lepiej dla ciebie, gdybyś więcej uwagi poświęcał Ojcu Świętemu, a nieco mniej Wielkiej Bogini... Iggie.

Melodia „Anything Goes” dobiega cicho z radia.

CHRIS Słyszycie!

MAGGIE Jack, a kury też tam są?

JACK Jeszcze ile!

MAGGIE Zastanówcie się, dziewczyny. To ma swoje zalety. Pisziesz się na to, Kate?

KATE Maggie, daj mi wreszcie spokój.

CHRIS Gerry je naprawił!

MAGGIE Powiedz, Jack, jak jest „ciip, cip, ciiiip” w suahili?

JACK Klimat też by ci odpowiadał.

KATE Nie będę tego słuchać!

Wbiega Gerry.

GERRY No jak? Działa?

CHRIS Posłuchaj.

GERRY Aha. Co fachowiec to fachowiec.

JACK Mam coś dla ciebie, Gerry.

GERRY Co takiego?

JACK Kapelusz z pióropuszem – ceremonialny kapelusz – pamiętasz? Mieliśmy dokonać zamiany. Zaraz wracam. (*wychodzi do sypialni*)

MAGGIE Brawo, Gerry!

GERRY Myślałem, że to może być antena. No i po kłopotcie. (*ślucha. Śpiewa linijkę piosenki*) Zatańcz ze mną, Agnes.

AGNES Panie Evans, co to za pomysły?

GERRY Zatańcz ze mną. Proszę. Chodź.

MAGGIE Zatańcz, Aggie.

GERRY (*śpiewa*)

Wstydziły się dawniej panienki

Nosić krótkie sukienki...*

Daj rękę.

MAGGIE No, Aggie.

AGNES Komu by się chciało tańczyć o tej porze...

GERRY (*ściąga ją z krzesła i obejmuje ramieniem; śpiewa*)

...Noszą co chcą.

Poeci nie przeklinali,

Sonety układali.

A dzisiaj co?

Piszą byle co.

Muzyka z radia brzmi teraz głośniej. Elegancko i z wdziękiem tańczą dookoła kuchni a potem, dalej tańcząc, wychodzą do ogrodu. Gerry śpiewa jej słowa piosenki prosto w twarz:

Skoro więc

Wypić lubisz,

Pęd auta lubisz,

I filmy lubisz,

Całować lubisz,

Kochać się lubisz –

Odrzuć głupi wstyd!

Odmieniła się dziś moda,

Liczy się swoboda.

Tak już jest

Robisz, co chcesz.

Są teraz w najdalszym kącie ogrodu.

GERRY Świetnie tańczysz, Aggie.

AGNES Nieprawda.

GERRY Doskonale tańczysz.

AGNES Nieprawda.

GERRY Powinnaś być tancerką.

AGNES Już za późno.

GERRY Mogłabyś uczyć tańca w Ballybeg.

AGNES Akurat. Tylko tego tam brakuje.

GERRY Może właśnie tak! (*odchyła się i całuje ją w czoło*)

Wszystko to widzi – ale nie słyszy tego – Chris, która stoi przy oknie kuchennym.

Pocałowawszy Agnes, Gerry natychmiast podejmuje znów piosenkę, obraca Agnes gwałtownie cztery, pięć razy i w tańcu prowadzi ją z powrotem do kuchni.

GERRY No, odstawiłem damę bezpiecznie na miejsce.

MAGGIE Chciałabym tańczyć tak jak ty, Aggie.

AGNES Brak mi tchu.

GERRY Ma tyle wdzięku w tańcu, prawda?

MAGGIE Nasza Aggie zawsze pięknie tańczyła.

GARRY Nieprawdopodobne. To co, Chrissie – teraz my.

CHRIS (*ostro*) Nie teraz. Ciekawe, gdzie się podział Michael?

GARRY Chodź, Chrissie, tylko raz dookoła.

CHRIS Nie teraz, powiedziałam. Nie rozumiesz, co mówię?

* Cole Porter *Anything Goes*.

MAGGIE Ja z tobą zatańczę, Gerry! (*kopnięciem zrzuca kalosze*) Pokazać ci prawdziwą klasę?

GERRY Ma się rozumieć.

MAGGIE Odsuńcie się, dziewczyny. Zrobić miejsce dla Shirley Temple.

GERRY Jej, jej, jej, jej!

MAGGIE Trzymaj mnie mocno, Gerry. Te stare nożyska mogą mi splatać figła!

Oboje z Gerrym tańczą i śpiewają.

Wstydziły się dawniej panienki

Nosić krótkie sukienki

Dzisiaj co?

Noszą, co chcą.

Chris nagle włącza radio.

CHRIS Mam tego dość!

GERRY Co się stało?

MAGGIE O co ci chodzi, Chrissie?

CHRIS Tylko się bateria zużywa; nowej nie będzie przed końcem przyszłego tygodnia.

MAGGIE Trudno, Gerry, nie było nam pisane. Kiedyś to sobie odbijemy.

GERRY Trzymam cię za słowo. (*podchodzi do Chris stojącej przy odbiorniku*) Niczego sobie to radyjko.

KATE Dzięki Bogu, wreszcie trochę spokoju. Wie pan, do czego to urządzenie doprowadziło? Ludzie przestali ze sobą rozmawiać po chrześcijańsku.

CHRIS (*do Agnes, lodowato*) Vera McLaughlin zapowiedziała, że jutro wpadnie. Chce porozmawiać z tobą i z Rose.

AGNES O czym?

KATE (*szybko*) Nie mówiłam ci? Jej córka się zaręczyła!

MAGGIE Która?

KATE Ta mała smarkula, co powiedziała: „Panno Mundy, w tym roku tańce z okazji święta plonów będą wprost nadzwyczajne”.

MAGGIE Sophia. Myślałam, że ona jeszcze chodzi do szkoły?

KATE W zeszłym roku przestała. Ma piętnaście lat. A pan młody szesnaście.

MAGGIE Boże miłosierny. Dziewczyny, pora umierać.

KATE To nieprzyzwoite, słowo daję. Piętnaście i szesnaście lat! Przecież to nieprzyzwoite. Nikt mnie nie przekona, że nie. Żal mi tej biednej matki.

AGNES O czym ona chce z nami rozmawiać?

CHRIS (*łagodnieje*) Pewnie o włóczęce. Chyba to nic ważnego. Może wcale nie przyjdzie. (*włącza ponownie radio – radio milczy. Do Maggie*) No, mieliście tańczyć – tańczcie!

MAGGIE Artystki tej klasy, co Margaret Mundy, nie mogą produkować się na zawołanie. Musimy wprzód nawiązać kontakt z innymi mocami, prawda, Gerry?

GERRY Ma się rozumieć. A co z muzyką?

KATE Maggie, doczekamy się wreszcie tego podwieczorku?

MAGGIE Oczywiście, i to na świeżym powietrzu. Jajka à la Ballybeg al fresco. Dziewczyny, trzeba korzystać, Lughnasa się kończy, ciepłych wieczorów już nie będzie.

KATE Świetna myśl, Maggie.

AGNES Przyniosę nakrycia.

GERRY (*z Chris przy radiu*) Nic ci nie jest?

CHRIS Znowu się popsuło?

GERRY Zrobiłem coś nie tak?

CHRIS Tylko je włączyłam – nic więcej nie robiłam.

MAGGIE Gerry, wynieś na dwór te krzesła.

GERRY A co ze stołem?

MAGGIE Rozłożymy obrus na trawie. (*wychodzi na dwór z obrusem i rozpościera go pośrodku ogrodu*)

- GERRY (*całuje Chris lekko w kark*) Przynajmniej wiadomo, że to nie antena.
- CHRIS Według ciebie.
- GERRY Jeśli to nie antena, to w następnej kolejności trzeba sprawdzić zapłon.
- CHRIS Zapłon! Co za hochsztapler!
- GERRY Hochsztapler? (*do przechodzącej obok Agnes*) Słyszałaś, jak ona mnie nazwała?
To niesprawiedliwe. No powiedz, Agnes.
Agnes uśmiecha się i wzrusza ramionami.
- GERRY Trzeba zajrzeć do środka, co się tam dzieje.
Rose wchodzi do ogrodu od tyłu domu. Początkowo nikt jej nie zauważa. Ubrana jest tak jak w akcie I. W prawej ręce niesie za łapy martwego koguta. Jego pióra są zmierzwiłone i poplamione krwią. Rose jest spokojna, niemal rzeczowa. Agnes dostrzega ją pierwsza i podchodzi do niej. Chris i Gerry dołączają do pozostałych w ogrodzie.
- AGNES Rosie, co się stało, Rosie?
- ROSE Mój kogut nie żyje.
- AGNES Och, Rosie...
- ROSE (*unosząc zdechłego ptaka*) Patrz. Nie żyje.
- AGNES Co mu się stało?
- ROSE Pewnie go lis zadusił.
- AGNES Biedna Rosie...
- ROSE Maggie mnie ostrzegęła, że lis znów się tu kręci. (*do wszystkich*) Nie ma już mojego koguta. Lis go dopadł. Miałaś rację, Maggie. (*kładzie go delikatnie na obrusie pośrodku ogrodu*)
- MAGGIE Do kur też się dobrał?
- ROSE Chyba nie.
- MAGGIE Drzwi były otwarte?
- ROSE Nic im nie jest. Są bezpieczne.
- MAGGIE Przynajmniej tyle.
- AGNES Kupimy ci innego białego koguta.
- ROSE Nieważne.
- MAGGIE I od małego go wytresuję.
- ROSE Nie chcę innego.
- MAGGIE (*obejmuje ją gwałtownie*) Biedna Rosie. (*odsuwa się od Rose*) Teraz już z pewnością nie będzie nam znosił jajek...
- CHRIS Gdzie się ten gałgan podział? Michael! Doskonale słyszy, że go wołam. Głowę dam, że gdzieś tu się przyczaił i cały czas nas obserwuje. Michael!
Rose siada na ławce ogrodowej.
- MAGGIE Ładnie, panienki, czego tu jeszcze brakuje? Noże, widelce, talerze – (*widzi Jacka wchodzącego z kuchni*) Jezus, Maria, Józefie święty!
Jack ubrany jest w bardzo wybrudzony i wymiętoszony biały mundur – ten sam, w którym był na samym początku. Jeden z epoletów jest urwany i zwisa na nitce, a guziki są zmatowiały. Mundur jest o wiele za duży, jak ze starszego brata: rękawy zachodzą na dłonie, a nogawki ciągną się po ziemi. Na głowie Jack ma trójgraniasty kapelusz; który – podobnie jak mundur – był kiedyś biały, ale jest teraz wyszmelcowany, a pióropusz wyleniały i połamany. Jack zachowuje postawę wojskową i laseczkę trzyma pod pachą.
- JACK Gerry, mój przyjacielu, gdzie jesteś?
- GERRY Tutaj, Jack, w ogrodzie.
- JACK A, jesteś. (*do wszystkich*) Włożyłem galowy mundur, żebyśmy dokonali formalnej wymiany. Wierzcie lub nie, ale ten mundur kiedyś na mnie pasował. Wspaniały, prawda?
- GERRY Nieprawdopodobny. Przydałby mi się na Hiszpanię.
- JACK Nosilem go jako kapelan w armii brytyjskiej podczas Wielkiej Wojny.
- KATE Jack, my doskonale wiemy, co to za mundur.
- JACK Imponujący, nieprawdaz? No, był imponujący. Przydałoby się go nieco odświeżyć. Okawa stale w nim paraduje. Powinienem mu go podarować.

KATE Nie nadaje się do noszenia w tym klimacie.

JACK Masz rację, Kate. Włożyłem go na samą ceremonię – i zaraz potem się przebiorę.

No więc u nas, kiedy dokonujemy jakiejś wymiany, robimy tak. To coś, co należy do mnie, kładę na ziemi...

Obaj z Gerrym odgrywają ten rytuał.

JACK No, Gerry. *(o kapeluszu)* Połóż go na trawie – byle gdzie, może być tu, gdzie stoisz. Teraz odejść od niego, zrób trzy kroki – tak? – symbolicznie oddaliłeś się od swojej własności. Dobrze. Teraz obróć się raz – o tak! – tak, zrób pełny obrót – w ten sposób formalnie odrzucasz coś, co do ciebie należało – już nie masz do tego żadnych praw. Teraz ja przechodzę tam, gdzie ty stoisz – dobra? A ty idziesz tam, gdzie stałem ja. Tak. Znakomicie. Dopelniono aktu wymiany w sposób formalny i nieodwracalny. To jest mój słomkowy kapelusz. A to jest twój kapelusz trójgraniasty. Włóż go. Doskonale! Dobrze ci w nim! Prawda, że mu w nim dobrze?

CHRIS Ma za dużą głowę.

GERRY *(poprawiając kapelusz)* Jak teraz? *(do Agnes)* Teraz lepiej?

AGNES Jesteś prześlizgnięty.

Gerry przemierza ogród krokiem Chaplina z rozstawionymi stopami i wywijając la-sieczką. Śpiewa przy tym.

GERRY

Wstydzily się dawniej panienki

Nosić krótkie sukienki...

JACK *(poprawiając sobie kapelusz)* Jak teraz? A może tak? Albo bardziej na bakier?

MAGGIE Patrzcie tylko! Puszą się jak dwa pawie! A teraz czas na podwieczorek!

AGNES Zrobię herbatę.

MAGGIE Od jutra – proszę bardzo. Ale póki trwa Lughnasa – ja robię herbatę. Chrissie, włącz Marconiego.

CHRIS Chyba znów się popsuł.

AGNES Przecież Gerry go zreperował. *(do Gerry'ego)* Czy mi się zdaje?

GERRY Tak, ale potem Chrissie znów się do niego dotknęła.

CHRIS Diabeł w niego wstąpił, ot co.

KATE Nie mów tak, proszę cię. To słońce jeszcze bardzo silnie grzeje.

MAGGIE Wspaniała pogoda na żniwa.

KATE Uwielbiam wrzesień.

MAGGIE *(nie ruszając się z miejsca)* Dziewczyny, czas wziąć się do gotowania.

KATE Posiedź chwilkę, Maggie. Naciesz się tą resztką ciepła.

AGNES *(przysuwa się do Rose)* Więc, w przyszłą niedzielę, tak?

ROSE Co w przyszłą niedzielę?

AGNES Wybierzemy się znowu na jagody.

ROSE Tak. Tak. Co tylko chcesz, Aggie.

GERRY *(ogląda latawce)* Całkiem niezłe jak na siedmiolatka. Bardzo starannie to wykonał.

KATE Spójrz, co tu namalował.

GERRY Jej, jej, jej, jej! To nieprawdopodobne!

KATE Wciąż powtarzam Chris, że ma bardzo zdolnego syna.

CHRIS I co pan na to, panie Evans?

GERRY Wszystkie panie już to widziały?

MAGGIE Wyjątkowe paskudztwo.

GERRY A według mnie są wspaniałe. Spójrz, Jack.

Po raz pierwszy widzimy twarze latawców. Na każdym z nich widnieje surowa, okrutna twarz wykrzywiona uśmiechem, prymitywnie naszkicowana i pomalowana jaskrawymi farbami.

GERRY Jedno jest pewne – ten chłopak nie zostanie sprzedawcą gramofonów.

CHRIS Michael! Ten hultaj zawsze znika, gdy jest jakaś robotą.

MAGGIE Mam dla was zagadkę. Dlaczego gramofon jest jak papuga?

KATE Maggie!

MAGGIE Ponieważ... ponieważ zawsze... ponieważ papuga... Boże, zapomniałam!

Maggie idzie do kuchni. Wchodzi Michael. Postacie są teraz ustawione mniej więcej tak jak na samym początku sztuki, ale nie identycznie: Agnes i Gerry siedzą na ławce ogrodowej. Jack stoi sztywno, na baczność, obok Agnes. Jeden z latawców, odwrócony dumnie twarzą do widzów, stoi między Agnes a Gerrym; drugi między Agnes a Jackiem. Rose jest w głębi sceny po lewej. Maggie znajduje się przy oknie kuchennym. Kate zaś na przodzie sceny po prawej. Chris jest przy drzwiach frontowych. Podczas kwestii Michaela Kate płacze cichutko. Gdy Michael zaczyna mówić, scenę oświetla bardzo łagodne złociste światło, tak że żywy obraz, który oglądamy, wydaje się niemal przesłonięty mgiełką.

MICHAEL Jak już powiedziałem, ojciec Jack zmarł przed upływem roku od swego powrotu. Gdy zabrakło jego, i Agnes, i Rose – dom jakby stracił duszę.

Maggie przejęła obowiązki Agnes i Rose i udawała, że wierzy, że nic się nie zmieniło. Moja matka spędziła resztę życia w fabryce dziewiarskiej – nienawidząc serdecznie każdego dnia w niej spędzonego. Kate zaś – po kilku latach bezczynności – dostała pracę jako guwernantka u Austina Morgana, tego od magazynu „Pod Arkadami”. Ale w ich życiu już nie było tej radości i werwy, co dawniej; a gdy przyszła pora, bym się usamodzielniał, z typowym dla młodych mężczyzn egoizmem czym prędzej uciekłem.

Bardzo cicho, ledwie słyszalna muzyka – „It’s Time to Say Goodnight” – nie z głośnika radiowego. Michael kontynuuje, a wszyscy leciuteńko kołyszają się na boki – nawet uśmiechnięte latawce też. Ruch jest tak delikatny, że nie ma pewności, czy istotnie wszyscy się kołyszają, czy jest to tylko gra wyobraźni.

MICHAEL A więc, gdy sięgam pamięcią do tego lata 1936 roku, różne mnie nachodzą wspomnienia. Tamto święto Lughnasy wiąże się jednak z pewnym konkretnym wspomnieniem, które wraca do mnie szczególnie często. W tym wspomnieniu najbardziej fascynuje mnie to, że nie dotyczy ono faktów. Jego atmosfera jest bardziej realna niż fakty, a wszystko jest zarazem realnością i złudzeniem. W tym wspomnieniu nastrój nostalgii tworzy także muzyka lat trzydziestych. Sączy się ona gdzieś, z daleka – złudzenie dźwiękowe – muzyka z marzeń jest słyszalna, a zarazem tylko wyobrażona, zdaje się, że jest melodią, a jednocześnie jej echem; dźwięk jest tak urzekający, memeryzujący, że całe popołudnie wydaje się zaczarowane, a może nawet z powodu tego dźwięku lekko niesamowite. Dziwne w tym wspomnieniu jest również i to, że wszyscy jakby unoszą się na tych słodkich dźwiękach, poruszają się rytmicznie, poswiście, tańcząc dla siebie, bez kontaktu z innymi, reagują bardziej na nastrój muzyki niż na jej rytm. Gdy mi się to przypomina, myślę o tańcu. O tańcu z półprzymkniętymi oczami, bo gdyby je otworzyć – czar by prysł. O tańcu takim, jakby słowa zastąpił ruch – jakby ten rytuał, ta pozbawiona słów ceremonia stała się teraz rozmową, sposobem wyznawania sobie rzeczy intymnych i świętych, sposobem nawiązywania kontaktu z innym światem. O tańcu takim, w którym samą istotę życia i wszystkie nadzieje odnajduje się w tych kojących tonach, w stłumionych rytmach i w tym hipnotycznym, bezgłośnym ruchu. O tańcu takim, jakby język przestał istnieć, gdyż słowa stały się zbędne...

Powoli muzyka narasta. Powolne wyciemnienie.

K o n i e c

BRIAN FRIEL

(ur. w Omagh w 1929)

Najważniejszy irlandzki dramatopisarz ostatnich trzech dekad dwudziestego stulecia, przez wielu uważany za spadkobiercę Seana O'Caseya. Faktycznie, jednym z najczęściej poruszanych tematów w twórczości Friela, zwłaszcza w pierwszym okresie jego twórczości, były polityczne i społeczne uwarunkowania Irlandczyków, żyjących między Wielką Brytanią, postrzeganą zwykle jako zagrożenie dla tożsamości zielonej wyspy, a Stanami Zjednoczonymi, celem nieustającej emigracji (tej kwestii dotyczyła pierwsza sztuka Friela, która odbiła się szerokim echem, *Philadelphia, Here I Come* (Filadelfio, nadchodzę!, 1964).

Po serii sztuk politycznych i historycznych (najważniejsza z nich to *Przekłady* z 1980, dramat, w którym historyczna fabuła o stacjonowaniu angielskich wojsk w Irlandii w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku stała się trampoliną do rozważań o współczesnym społeczeństwie irlandzkim), Friel zwrócił się w stronę sztuk eksplorujących problematykę rodzinną, często inspirowanych poetyką czechowowską. Pisarz jest zresztą autorem cenionych adaptacji rosyjskiego dramatopisarza, zaś w jednej z ostatnich jego sztuk, *Afterplay* z 2002, występują bohaterowie Czechowa.

Drukowane w tej antologii *Tańce w Ballybeg*, łączące irlandzką tradycję, rodzinną tematykę i pytania o kulturowe wyobcowanie były największym sukcesem Briana Friela na scenie. Premiera odbyła się w Abbey Theatre w 1990. „Dialog” drukował sztukę w numerze 4/1993 i w tym samym roku odbyła się jej polska prapremiera w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Reżyserowała ją córka autora, Judy Friel.

Martin McDonagh

KALEKA Z INISHMAAN

Przełożyła Małgorzata Semi

OSOBY:

KATE, sześćdziesiąt kilka lat

EILEEN, sześćdziesiąt kilka lat

JOHNNYPATEENMIKE, sześćdziesiąt kilka lat

BILLY, siedemnaście-osiemnaście lat; kaleka

BARTLEY, szesnaście-siedemnaście lat

HELEN siedemnaście-osiemnaście lat; ładna

BABBYBOBBY, po trzydziestce; przystojny, muskularny

LEKARZ, po czterdziestce

MAMMY, po dziewięćdziesiątce

Miejsce akcji: wyspa Inishmaan, około 1934 roku.

Scena 1

Wiejski sklepik na wyspie Inishmaan, około 1934 roku. Na ścianie po prawej znajdują się drzwi. Wzdłuż tylnej ściany stoi lada, za nią na ścianie wiszą półki zastawione puszkami z żywnością, głównie z zielonym groszkiem. Na prawo od półek wisi stary, zakurzony parciany worek, a po lewej znajdują się drzwi na zaplecze, którego nie widać. Na ścianie po lewej wisi lustro, a w odległości kilku metrów od niego stoi stół i kilka krzeseł. Gdy sztuka się zaczyna, Eileen Osbourne ustawia na półkach puszkę. Jej siostra Kate wchodzi z zaplecza.

KATE Billy jeszcze nie wrócił?

EILEEN Jeszcze nie wrócił.

KATE Strasznie się martwię, jak Bill tak długo nie wraca.

EILEEN Z tego całego zmartwienia o Billa walnęłam się w rękę.

KATE W tę chorą?

EILEEN Nie, w tę zdrową.

KATE Byłoby ci gorzej, jakbyś się walnęła w tę chorą.
 EILEEN Byłoby mi gorzej, ale i tak mnie boli.
 KATE No to masz teraz dwie ręce chore.
 EILEEN Mam jedną chorą i jedną spuchniętą.
 KATE Opuchlizna ci zejdzie.
 EILEEN Opuchlizna mi zejdzie.
 KATE I zostanie ci tylko jedna ręka chora.
 EILEEN I z nią już zostanę.
 KATE Aż sama zejdziesz.
 EILEEN A pomyśl o biednym Billu, co ma chore i ręce, i nogi.
 KATE Bill ma całą gromadę kłopotów.
 EILEEN Bill ma sto kłopotów.
 KATE O której on ma to spotkanie z McSharrym, to spotkanie co do płuc?
 EILEEN Nie wiem, o której ma spotkanie.
 KATE Strasznie się martwię o Billa, jak tak długo nie wraca, wiesz, że się martwię?
 EILEEN Już drugi raz to mówisz.
 KATE To co? Jak się martwię, to już nie mogę drugi raz powiedzieć?
 EILEEN Możesz.
 KATE (*po chwili*) Przez te swoje nogi mógł wpaść do jakiejś dziury.
 EILEEN Bill ma dość oleju w głowie, żeby nie wpaść do dziury. Do dziury to by już prędzej wpadł Bartley McCormick.
 KATE Pamiętasz, jak Bartley McCormick wpadł do dziury?
 EILEEN Straszny gamoń z tego Bartleya McCormicka.
 KATE Może gamoń, a może nie patrzy pod nogi jak trzeba. (*chwilę milczy*) Był już chłop od jajek?
 EILEEN Był, ale bez jajek.
 KATE To po co na darmo przychodził?
 EILEEN Dobrze, że przyszedł, bo inaczej byśmy na darmo czekały na jajka.
 KATE Szkoda, że Bill też tak samo nie robi. Nie z jajkami, ale mógłby wrócić, prędko, żebyśmy się nie zamartwiały.
 EILEEN Może przystanął, żeby się na krowę popatrzeć, jak kiedyś.
 KATE To strata czasu i głupota gapić się na krowy.
 EILEEN A czy to komu wadzi? Jak ma z tego przyjemność, to niech się gapi. Taki młody kawaler mógłby robić sto gorszych rzeczy niż się gapić na krowy. Takie rzeczy, co by go prosto do piekła zaprowadziły, rzeczy o wiele gorsze niż spóźnianie się na podwieczorek.
 KATE Panny całować.
 EILEEN Całować panny.
 KATE (*po chwili*) Tylko że na to biedny Bill nie ma co liczyć.
 EILEEN Biednego Billa żadna nigdy nie pocałuje. Chyba że jakaś ślepa.
 KATE Ślepa albo przygłupia.
 EILEEN Albo Jima Finnegana córka.
 KATE Ta to i byle co pocałuje.
 EILEEN Wyleniałego osła na przykład.
 KATE Wyleniałego osła tak, ale naszego Billa to już nie. Biedny Billy.
 EILEEN Wielka szkoda.
 KATE Wielka szkoda, bo nasz Bill jest nawet całkiem całkiem. Na buzi. Byle nie zważać na resztę.
 EILEEN Właściwie to nie jest.
 KATE Na buzi jest całkiem ładny.
 EILEEN Wcale nie, Kate.
 KATE Ale oczy. Ma całkiem ładne oczy.

EILEEN Krzywdzić go nie chcę, ale tak po prawdzie to koza ma oczy ładniejsze. Żeby choć miał miłe usposobienie, to by się powiedziało trudno. Ale nasz Bill lubi tylko na krowy się gapić.

KATE Muszę go kiedyś zapytać, co też on ma z gapienia się na krowy.

EILEEN Z gapienia się na krowy i z czytania książek.

KATE Żadna za niego nie wyjdzie. Do samej śmierci się od niego nie uwolnimy.

EILEEN Tak. *(pauza)* Mnie to nie przeszkadza, że się od niego nie uwolnimy.

KATE Mnie też to nie przeszkadza, że się od niego nie uwolnimy. Jak by nie te krowy, to dobry chłopak z naszego Billa.

EILEEN Żeby tylko te wiadomości od McSharry'ego to nie były złe wiadomości.

KATE Żeby tylko on już niedługo wrócił i żebyśmy mogły przestać się zamartwiać. Strasznie się martwię, jak Billy długo nie wraca.

Otwierają się drzwi sklepiku i wchodzi Johnnypateenmike, mniej więcej rówieśnik obu kobiet.

EILEEN Johnnypateenmike.

KATE Johnnypateen.

JOHNNY No jak tam? Johnnypateen ma dla was dzisiaj trzy nowiny...

KATE Nie widziałeś gdzie po drodze naszego kaleki?

JOHNNY *(pauza; zirytowany)* Ja tu nowiny opowiadam, a ty mi przerywasz. A trzecia z moich dzisiejszych nowin to bardzo ważna nowina. Ale jak wolisz mi przerywać głupimi pytaniami, to niech będzie. Właśnie że widziałem po drodze waszego kalekę. Widziałem go, jak siedział na miedzy, na samym końcu pola Darcy'ego.

KATE A po co on tam siedział na tej miedzy?

JOHNNY Po to, co zwykle, nie? Gapił się na krowę. Chcecie dalej mnie pytać i mi przerywać?

KATE *(ze smutkiem)* Nie.

JOHNNY No to wam powiem swoje trzy nowiny. Najlepszą zostawię na sam koniec, żebyście jej wyczekiwały. No więc – po pierwsze, mam taką nowinę, że jeden gość z Lettermore wykradł z domu drugiego gościa książkę i wziął ją do morza szurnął.

EILEEN Też mi nowina.

JOHNNY Może to nie taka wielka nowina, tylko że ten, co ukradł, jest bratem tego, któremu on to ukradł, a ta książka to Biblia. No i co wy na to?

KATE Boże, zmiłuj się!

JOHNNY Może to nie jest nowina? No?

EILEEN A jakże, Johnnypateen. To jest nowina, wielka nowina.

JOHNNY Dobrze wiem, że to wielka nowina, i jak tu będą wątpić w moje nowiny, to zaraz pójdę sobie gdzieś, gdzie je bardziej cenią.

KATE Cenimy nowiny, które przynosisz, Johnnypateen.

EILEEN Nigdy nie wątpimy, że twoje nowiny to są ważne nowiny.

JOHNNY Po drugie, mam taką nowinę, że gęś Jacka Ellery uszczypnęła kota Pat Brennan w ogon i mu go poharatała, a Jack za swoją gęś nawet nie przeprosił i teraz Patty Brennan nie chce słyszeć o Jacku Ellery, a przecież Patty i Jack byli w wielkiej przyjaźni. O, tak.

EILEEN *(po pauzie)* I to ma być cała nowina?

JOHNNY To jest cała nowina.

EILEEN W rzeczy samej to bardzo, bardzo ważna nowina. O, tak. *(wznosi wzrok do nieba)*

JOHNNY To jest strasznie ważna, sensacyjna nowina. Z tej gęsi może wyniknąć kłótnia dwóch rodzin. Niechby ta gęś wywołała wielką kłótnię. Bardzo to lubię.

KATE Niechby Patty i Jack o tym zapomnieli i się pogodzili. Czy ja się mylę, czy oni w dzieciństwie chodzili ze sobą za rączkę do szkoły?

JOHNNY O, o, babskie gadanie! Co by to była za nowina, gdyby tak jeden drugiemu zaraz wszystko zapominał? Nijakiej nowiny by z tego nie było. Musi być jakaś awantura, żeby chociaż ktoś szurnał Biblię albo żeby było coś takiego jak ta moja trzecia nowina. Bo to jest najważniejsza, największa nowina, jaką Johnnypateenmike w swoim życiu przyniósł...

Wchodzi Billy, siedemnastolatek. Ma niesprawną jedną rękę i jedną nogę. Wyraźnie utyka.

BILLY Ciociu Kate, ciociu Eileen, przepraszam za spóźnienie.

JOHNNY Ja tu nowiny opowiadam, a ty, kulasie, mi przerywasz.

KATE Co ci doktor powiedział?

BILLY Powiedział, że mam płuca zdrowe, tylko mi w nich trochę świszczy i nic więcej, tylko mi trochę świszczy.

JOHNNY Nic żem nie wiedział, że chłopakowi coś świszczy. Dlaczego Johnnypateen nic o tym nie wie?

KATE Dlaczegoś tak późno wrócił, Billy? Bardzośmy się martwiły.

BILLY A, tak sobie siadłem na słońcu na polu Darcy'ego.

KATE Siadłeś sobie i co żeś robił?

BILLY Siadłem sobie i nic żem nie robił.

KATE W ogóle nic żeś nie robił?

BILLY W ogóle nic żem nie robił.

KATE (*do Johnny'ego*) No i masz!

BILLY Nic w ogóle, tylko się patrzyłem na kilka krów, co przyszły.

Kate odwraca się od niego.

JOHNNY (*do Kate*) Sama „No i masz!”.

EILEEN Nie możesz choć raz zostawić krów w spokoju?

BILLY Tylko się na nie patrzyłem.

JOHNNY Przepraszam, ale chyba to ja mówiłem...?

KATE W krowach nie ma nic do oglądania! Jesteś dorosły!

BILLY Kiedy ja się lubię patrzeć na ładne krowy, i niech mi nikt nie mówi, że mam tego nie robić.

JOHNNY (*krzyczy*) Jak nie chcecie słuchać moich nowin, to sobie idę! Gadać o krowach z przeklętym półgłówkiem!

BILLY Przekłety półgłówek, tak?

EILEEN Opowiedz nam teraz tę swoją nowinę.

JOHNNY A skończyliście wreszcie z tym krowim gadaniem? No to wam opowiem moją nowinę, chociaż smażone flądry by mnie lepiej słuchały.

KATE My bardzo dobrze słuchamy...

EILEEN Bardzo dobrze słuchamy...

BILLY Nie podlizujcie mu się.

JOHNNY Coś ty, kaleko, powiedział? Że się podlizują?

BILLY I nie nazywaj mnie kaleką.

JOHNNY Dlaczego nie? A co ty jesteś, jak nie kaleka?

BILLY A czy ja na ciebie mówię „Zanudziarz”? Albo „Johnnypateenmike – roznościel nowin tak nudnych, że by zdechła pszczoła na śmierć zanudził”?

JOHNNY Nudne nowiny, tak? A co powiesz na taką nudną nowinę...

BILLY Dobrze chociaż, że sam przyznajesz, że to nudne.

JOHNNY (*po chwili*) Przyjeżdżają tu z Hollywoodu, w Kalifornii, z Ameryki, z takim jednym Jankesem, Robert Flaherty się nazywa, jeden z najbogatszych Amerykanów, sławny na całą Amerykę. Przyjeżdżają tu, do Inishmore przyjeżdżają. A po co przyjeżdżają, co? Powiem wam, po co. Żeby tu zrobić film, kinowy film przyjeżdżają zrobić za milion dolarów, albo więcej, i będą go pokazywać na całym świecie, żeby wszędzie zobaczyli, jak się żyje na wyspach, i zrobią gwiazdy

ze wszystkich, co ich do filmu wybiorą, i zabiorą ich ze sobą do Hollywoodu i będą tam sobie żyli i już nie będą musieli harować nigdy, a tylko będą grać albo robić takie inne rzeczy, co wcale nie mogą być zaliczone jako robota, bo to tylko gadanie. Colemana Kinga, mojego znajomego, już wybrali do tego grania i dostanie po sto dolarów za tydzień, a jeśli Coleman King może grać w filmie, to każdy może grać w filmie, bo Coleman King jest okropnie szpetny. Coleman King jest tak szpetny jak pieczony krowi placek za przeproszeniem i każdy to potwierdzi, bo to prawda. Johnnypateenmike przypuszcza, że odbędzie się mały eksodus, że na wielką wyspę ruszą wszystkie chłopaki i panny, co mają jaki taki wygląd, żeby mogły zostać gwiazdami filmowymi i zasłynąć w Ameryce. To oczywiście wyklucza wszystkich w tym domu, chyba że potrzebują tam kalek i niewdzięczników. Mnie za młodych lat na pewno by wzięli, z tymi moimi błękitnymi oczami i bujną jasną czupryną, i nawet jeszcze dziś pewnie by mnie wzięli, bo mówić to ja umiem, jestem o całe niebo lepszy od tych wszystkich i każdego z osobna, co występują na scenie w Dublinie, tylko że nie mógłbym, bo muszę się opiekować moją biedną mamusią pijaczką. „Człowiek z Aran” będzie się ten film nazywał i widać Irlandia to wcale nie takie najgorsze miejsce na ziemi, jeśli ci Amerykanie tu przyjeżdżają filmy robić.

Billy siada na bocznym stoliku i zamyśla się.

JOHNNY I to była moja trzecia nowina, a teraz mi powiedz, sucha nóżko, czy to była nudna nowina?

BILLY To nie była nudna nowina, tak ciekawej nowiny w życiu nie słyszałem.

JOHNNY No, to skoro się zgodziliśmy co do wielkości mojej nowiny... wiem, że „wielkość” to nie jest dobre słowo, ale nie chce mi się specjalnie dla was innego wymyślać... no to pobiorę swoje wynagrodzenie w naturze, a tym razem będzie to tuzinek jaj, bo naszła mnie dziś chęć na omlecek.

EILEEN Ooo!

JOHNNY Co za „Ooo”?

EILEEN Chłop od jajek był, ale bez jajek.

JOHNNY Nie ma jajek? To ja wam opowiedziałem swoją największą nowinę, no i jeszcze dwie mniejsze, ale też całkiem, całkiem niezłe nowiny, a wy nie macie jajek?

EILEEN Powiedział, że kury się nie niosą, a Narwana Helen wzięła i upuściła te kilka jajek, co było.

JOHNNY To co macie dla mnie na podwieczorek?

EILEEN Groszek w puszkach mamy.

JOHNNY Groszek! Co chłopu z groszku na podwieczorek? Dajcie mi ten kawałek boczku, co tam macie. O, tamten.

EILEEN Który? Ten chudy?

JOHNNY Ten chudy.

EILEEN Słowo daję, Johnnypateenmike, ta twoja wielka nowina nie była znowu aż taka wielka.

Johnny patrzy na nie wzrokiem pełnym nienawiści i wściekły wychodzi.

EILEEN Co za człowiek!

KATE Nie powinnyśmy go do siebie zrażać. Bez niego jak będziemy wiedziały, co słycać na świecie?

EILEEN To przecież pierwsza porządna nowina, jaką nam przyniósł. Od dwudziestu lat pierwsza.

KATE Tak, ale następna może nas teraz ominąć.

EILEEN Co tydzień przychodzi i wyludza od nas jajka.

BILLY To była bardzo ciekawa nowina, o tak.

KATE (*podchodzi do niego*) Zazwyczaj nowinki Johnny’ego wcale cię nie interesują.

BILLY Nie interesują mnie, jak są o tym, że się żaba potknęła. Ale jak są o filmach albo o wyrwaniu się z Inishmaan, to co innego.

KATE Chyba nie myślisz znowu o swojej biednej mamie i biednym tatusiu, co?

BILLY Nie, nie w tej chwili. Po prostu myślę sobie o różnych takich rzeczach w ogóle.

EILEEN Co, on się znowu pograżył?

KATE (*wzdychając*) Tak.

EILEEN Pograżył się w myślach?

KATE Nigdy się ten chłopak nie nauczy.

EILEEN Jak ci doktor badał płuca, nie zbadał ci też głowy, co?

BILLY (*głosem bez wyrazu*) Nie.

EILEEN Myślę, że to następne, co mu trzeba sprawdzić. Teraz przyszła kolej, żeby mu sprawdzić głowę.

KATE Myślę, że to następne, co nas czeka, tak.

Drzwi do sklepu otwierają się z łoskotem. Johnny wsadza głowę do środka.

JOHNNY (*gniewnie*) Jak nie biegniecie, żeby mnie zatrzymać, to wezmę chociaż ten przeklęty groszek i tyle!

Eileen daje Johnny'emu puszkę z groszkiem. Johnny zatrzaskuje drzwi za sobą. Billy wcale tego nie zauważa, kobiety stoją zdumione.

Wyciemnienie.

Scena 2

Bartley, lat szesnaście, stoi przy ladzie i przygląda się słodyczom za pensa w dwóch prostokątnych pudełkach, które Eileen pochyla w jego stronę, by mógł lepiej widzieć.

Billy siedzi na krześle i czyta.

BARTLEY (*po chwili*) A nie ma pani „Mintiosów”?

EILEEN Mamy tylko to, co widać, Bartley.

BARTLEY W Ameryce to mają „Mintiosy”.

EILEEN To jedź do Ameryki.

BARTLEY Ciocia Mary przysłała mi z Ameryki w paczce aż siedem „Mintiosów”.

EILEEN To ładnie ze strony twojej cioci.

BARTLEY Z Bostonu w Massachusetts.

EILEEN Z Bostonu w Massachusetts, no-no.

BARTLEY Ale pani nie ma „Mintiosów”?

EILEEN Mamy tylko to, co widać.

BARTLEY Powinna się pani postarać o „Mintiosy”, naprawdę, bo „Mintiosy” są bardzo dobre. Powinna pani je zamówić. Powinna pani załatwić sobie kogoś w Ameryce, żeby je pani przysyłał. W paczce. Muszę sobie jeszcze raz popatrzeć.

EILEEN Popatrz sobie jeszcze raz.

Bartley znowu ogląda zawartość pudełek. Billy uśmiecha się do Eileen, która wznosi oczy do nieba i odpowiada Billy'emu uśmiechem.

BARTLEY (*po chwili*) A ma pani „Żelki-melki”?

EILEEN (*po chwili*) Mamy to, co widać.

BARTLEY A w Ameryce mają „Żelki-melki”.

EILEEN Ach, tak. I pewnie Ciocia Mary przysłała ci je w paczce?

BARTLEY Nie. Przysłała mi je na zdjęciu, w paczce. Z cukierków przysłała mi tylko „Mintiosy”. (*pauza*) Byłoby lepiej, jakby mi przysłała „Mintiosów” tylko cztery i dołożyła trzy „Żelki-melki”, żeby miał wybór. Albo trzy „Mintiosy” i cztery „Żelki-melki”. Tak. Ale i tak żem się ucieszył, jak dostałem te siedem „Mintiosów”. „Mintiosy” są bardzo dobre. Chociaż na zdjęciu te „Żelki-melki” bardzo mnie zaciekały. (*pauza*) Ale tu ich nie ma, co?

EILEEN „Żelków-melków”?

BARTLEY Tak.

EILEEN Nie.

BARTLEY Aha.

EILEEN Mamy tylko to, co widać.

BARTLEY Muszę sobie jeszcze raz popatrzeć. Chcę mieć coś do ssania. Na drogę, wie pani?

BILLY Na jaką drogę?

Drzwi otwierają się z loskotem i wchodzi Helen, ładna dziewczyna, mniej więcej siedemnastoletnia. Krzyczy do Bartleya.

HELEN Idziesz ty wreszcie, cholerniku jeden?

BARTLEY Wybieram sobie cukierki.

HELEN Ty i te twoje cholerne cukierki!

EILEEN Żeby dziewczyna tak przeklinała!

HELEN Tak, przeklina, a co ma nie przeklinać?! Jak się godzinę czeka na durnego brata. Kaleka – jak się masz?

BILLY Cześć, Helen.

HELEN Co, znowu jakąś książkę czytasz?

BILLY Tak.

HELEN Bez przerwy nic tylko czytasz.

BILLY Tak. Właściwie to nie; z przerwami.

EILEEN Podobno upuściłaś wszystkie jajka chłopca od jajek. I potłukłaś je, co do jednego.

HELEN Wcale ich nie upuściłam. Cisnęłam nimi w ojca Barratta. I go cztery razy trafiłam w samą jadaczkę.

EILEEN Cisnęłaś nimi w ojca Barratta?

HELEN Tak. Pani mnie małpuje?

EILEEN Cisnąć jajkami w księdza to prawie tak, jakby podnieść rękę na Pana Boga, nie?

HELEN Może i tak, ale gdyby mnie Pan Bóg macał po dupie na chórze, to bym w niego też cisnęła.

EILEEN Ojciec Barratt... macał cię... po poślądkach na chó...

HELEN Po żadnych poślądkach, cholera. Macał mnie po dupie, proszę pani, po dupie mnie macał.

EILEEN Za grosz ci nie wierzę.

HELEN Mam gdzieś, czy mi pani wierzy, czy nie.

BILLY Słuchaj, Helen...

BARTLEY Najgorzej, że się jajka marnuje, bo dobre jajko nie jest złe.

HELEN Wtrącasz się, cholera. Włazisz z nosem do mojej jajecznicy czy kupujesz te swoje cukierki?

BARTLEY *(do Eileen)* A całuski czekoladowe pani ma?

EILEEN *(po chwili)* Dobrze wiesz, co ci odpowiem, prawda?

BARTLEY Że jest tylko to, co widać.

EILEEN Zaczynamy robić postępy.

BARTLEY Jeszcze raz sobie popatrzę.

Helen wzdycha, podchodzi do Billa, bierze od niego książkę, patrzy na okładkę, krzywi się i oddaje mu ją.

BILLY Wyjeżdżasz gdzieś, Bartley mówił?

HELEN Płyniemy do Inishmore, żeby być w tym filmie, co go tam kręca.

BARTLEY Widać Irlandia to nie taki najgorszy kraj, jeśli Amerykanie przyjeżdżają tu robić filmy.

HELEN Ze wszystkich krajów na świecie wybrali Irlandię.

BARTLEY W Rosmuck mieszka teraz jeden Francuz, wiecie?

EILEEN Naprawdę?

BARTLEY I co ten Francuz tam robi w Rosmuck? Coś śmiesznego, nie?
 HELEN Jest dentystą.
 BARTLEY Dentysta. Chodzi i rozmawia do wszystkich po francusku, a wszyscy się tylko z niego śmieją. Za plecami, wiecie?
 HELEN Widać w Irlandii nie jest tak źle, jeśli Francuzi tu przyjeżdżają mieszkać.
 BILLY I kiedy jedziesz do tego filmowania?
 HELEN Jutro, z porannym odpływem.
 BARTLEY Nie mogę się już doczekać tego filmowania.
 HELEN Cholera, wybierasz czy gadasz?
 BARTLEY Gadam i wybieram.
 HELEN Będziesz wybierał i gadał, i dostaniesz kopa w tyłek, jak nie przestaniesz mi pyskować, smarku jeden.
 BARTLEY Ach, tak?
 BILLY Właściwie dlaczego myślisz, że cię wezmą do tego filmowania?
 HELEN W końcu – jestem ładna czy nie? Jestem dość ładna, żeby mnie ksiądz podszczypywał, to i z tymi filmowcami dam sobie radę.
 BARTLEY Wielkie mi co, że cię ksiądz podszczypuje. Dla nich nie uroda się liczy. Już prędzej to, że jesteś sama jedna i mała.
 HELEN Jakby się liczyło, że ktoś jest mały i sam, toby na okrągło Billa po dupie macali.
 BARTLEY A wcale nie wiesz, czy go nie macali.
 HELEN Powiedz, Billy, ksiądz cię kiedyś macał po dupie?
 BILLY Nie.
 HELEN No widzisz.
 BARTLEY Widać są dla nich jakieś granice.
 HELEN A ty. Jesteś mały, no nie? I często jesteś sam. Czy ksiądz cię kiedyś macał po dupie?
 BARTLEY (*cicho*) Po dupie to nie.
 HELEN No widzisz?
 BARTLEY (*do Eileen*) A ma pani może „Frip-frapy”?
Eileen wbija w niego wzrok, stawia pudełka na ladzie i wychodzi na zaplecze.
 BARTLEY Gdzie pani idzie? A moje cukierki?
 HELEN No, to dograłeś się.
 BARTLEY (*do Billa*) Nerwowa ta twoja ciotka.
 HELEN Pani Osbourne nie jest żadną ciotką Billa. To tylko przyszywana ciotka. Tak samo jak ta druga. Nie tak, Billy?
 BILLY Tak.
 HELEN Wzięły go do siebie. Billa tata i mama poszli i się utopili, i się wtedy okazało, że Bill jest od urodzenia felerny. Że to kaleka.
 BILLY Wcale nie poszli i się utopili.
 HELEN Tak, tak, tak...
 BILLY Tylko przy wysokiej fali wypadli za burzę.
 HELEN Aha. To po co wypływali przy wysokiej fali, a w ogóle, nie było to aby w środku nocy?
 BILLY Chcieli się dostać do Ameryki, na stały ląd.
 HELEN Wcale że nie! Od ciebie chcieli uciec. Czy śmierć, czy ty, im było wszystko jedno.
 BILLY A niby skąd ty to możesz wiedzieć? Byłaś tak samo smarkata jak ja.
 HELEN Dałam raz Johnny’emu kartofli z serem i wszyscyutko mi powiedział. Wreszcie to on został z tobą na rękach, tam nad wodą – nie tak?
 BILLY A skąd on może wiedzieć, co im chodziło po głowie? W tej łodzi go nie było.
 HELEN A nie mieli oni worka z kamieniami, co go między sobą przywiązali?
 BILLY To jakieś koszałki opałki, że mieli worek z kamieniami, co go między sobą przywiązali, i nawet Johnny to potwierdzi...

BARTLEY Może miał teleskop.

HELEN (*po pauzie*) Może kto miał teleskop?

BARTLEY Może Johnnpateenmike miał teleskop.

HELEN A gdyby miał, to co z tego?

Bartley myśli, a potem wzrusza ramionami.

HELEN Mam dość tych twoich zakichanych teleskopów. Zawsze, do każdej rozmowy wtrącasz te swoje zakichane teleskopy.

BARTLEY A w Ameryce mają teraz huk nowych teleskopów. Można glistę na kilometr zobaczyć.

HELEN A po co by ktoś glistę na kilometr oglądał?

BARTLEY Żeby zobaczyć, co porabia.

HELEN A co zazwyczaj glisty porabiają?

BARTLEY Się wiją.

HELEN Się wiją. A ile kosztuje teleskop?

BARTLEY Dobry – ze dwanaście dolarów.

HELEN To byś dał dwanaście dolarów, żeby się przekonać, że glisty się wiją?

BARTLEY (*po pauzie*) Tak. Bym dał.

HELEN Ty nie masz nawet dwunastu włosków na jajkach, a co dopiero mówić o dwunastu dolarach.

BARTLEY No nie. Masz rację. Na jajkach na pewno nie mam dwunastu dolarów. To by nie miało sensu.

Helen zbliża się do niego.

BARTLEY Nie, Helen...

Helen uderza go mocno w brzuch.

BARTLEY Walnęłaś mnie w żebra.

HELEN Chrzanię twoje żebra! Będziesz się do mnie tak ordynarnie odzywał, tak? (*pauza*) Te, kulas, o czym to mówiliśmy? Aha, o twojej nieboszczce mamusi i nieboszczyku tatusiu.

BILLY Oni wcale nie poszli się utopić przeze mnie. Oni mnie kochali.

HELEN Kochali cię? A czy ty byś kochał siebie, gdybyś nie był sobą? Przecież ty ledwo ledwo siebie kochasz, chociaż jesteś sobą.

BARTLEY Billy Kaleka przynajmniej nie wali innych po żebrach.

HELEN A wiesz dlaczego? Bo za słaby jest. Chuchro. Mógłby co najwyżej plasnąć jak mokra gęś skrzydłem.

BARTLEY (*podniecony*) Słyszeliście, że gęś Jacka Ellery dziabnęła kota Patty Brennan w ogon i mu ten ogon poharatała...

HELEN Słyszeliśmy.

BARTLEY Aha. (*pauza*) I Jack za tę swoją gęś nawet nie przeprosił i teraz Patty...

HELEN Do diabła, powiedziałam, że słyszeliśmy, nie?

BARTLEY Myślałem, że może Billy nie słyszał.

HELEN Billowi teraz co innego w głowie. Billowi teraz w głowie mamusia i tatuś, co mu utonęli. Nie potrzebuje twoich odgrzewanych gęsich nowin. Prawda, Billy, że masz głowę zajętą mamusią i tatusiem, co ci utonęli?

BILLY Tak.

HELEN I nigdy, od kiedy się utopili, nie byłeś na morzu, prawda? Za bardzo się boisz?

BILLY Za bardzo się boję.

HELEN Ale z niego trzęsidupa, co nie, Bartley?

BARTLEY Jak ktoś ma rozum, to się musi choć trochę bać morza.

HELEN Ja się w zupełności morza nie boję.

BARTLEY No właśnie.

Billy śmieje się.

HELEN No co? Chciałeś mi ubliżyć?

BARTLEY Jak? Że powiedziałem, że się morza nie boisz?

HELEN To dlaczego Bill Kaleka się tak roześmiał?

BARTLEY Bill Kaleka się roześmiał, bo on jest w ogóle dziwadło. Prawda, Billy?

BILLY To prawda. Jestem po prostu zwyczajne dziwadło.

Helen milknie zdeorientowana.

BARTLEY To prawda, żeś dostał prawie sto funtów z ubezpieczenia, kiedy ci się mamusia i tatuś utopili?

BILLY Prawda.

BARTLEY O rany! I wciąż je masz?

BILLY Nie. Przecież wszystko poszło na doktorów, nie?

BARTLEY Nawet ćwiarteczka ci nie została?

BILLY Nie. A bo co?

BARTLEY Bo gdybyś jeszcze miał ćwiarteczkę, to pewnie byś mógł kupić całkiem niezły teleskop, wiesz? Na pewno byś mógł.

HELEN Musisz do wszystkiego pakować te swoje zakichane teleskopy, co?

BARTLEY Nie muszę, ale chcę! Zejdź ze mnie, ty krowo!

Bartley wybiega ze sklepu, by uciec przed atakiem Helen. Pauza.

HELEN Bezczelny! Widzieliście go! Jaki bezczelny!

BILLY *(po chwili)* Jak popłyniecie do Inishmore? Przecież nie macie łodzi.

HELEN Babbybobby Bennett zawiezie nas swoją.

BILLY Płacicie mu za to?

HELEN Dam mu tylko parę całusów, potrzymam za rączkę. W każdym razie mam nadzieję, że tylko za rączkę. Choć podobno byłoby za co. Jima Finnegana córka mi powiedziała, a już ona dobrze wie, co kto ma. Chyba rejestr prowadzi.

BILLY Mnie w nim nie ma.

HELEN Mówisz tak, jakbyś się miał czym chwalić. Jesteś taki felerny, to pewnie pomyślała, że go w ogóle nie masz.

BILLY *(ze smutkiem)* Mam.

HELEN No to gratuluję, ale wiesz, może zachowaj go dla siebie. Pod każdym względem. *(pauza)* Bo ja to widziałam tylko księżowskie. Nie wiedzieć czemu co i raz mi pokazuje. Ale jakieś toto mało wyglądne, brązowe takie. *(pauza)* A coś tak zmarmotniał?

BILLY Bo ja wiem. Może przez to, coś mi napomknęła, że tatuś i mamusia woleli się utopić niż być ze mną.

HELEN Nic nie napomknęłam. Ja ci to wprost powiedziałam.

BILLY *(cicho)* Skąd wiesz, co im tam chodziło po głowie.

HELEN Noo? A ty wiesz?

Billy ze smutkiem zwiesza głowę. Pauza. Helen pstryka go mocno w policzek i odsuwa się.

BILLY Powiedz, czy Babbybobby dałby mi się zabrać z wami do Inishmore?

HELEN A jak byś mu się odwdzieczył? Ciebie za suchą rączkę nie będzie chciał trzymać.

BILLY A Bartley jak mu się odwdzieczy? Też się z wami zabiera przecież.

HELEN Bartley obiecał, że pomoże wiosłować. A ty byś mógł pomóc wiosłować?

Billy znowu zwiesza głowę.

HELEN A w ogóle, to po co byś miał jechać?

BILLY *(wzruszając ramionami)* Żeby być w filmie.

HELEN Ty? *(śmieje się i powoli rusza ku drzwiom)* Nie powinnam się z ciebie śmiać. Nie powinnam... ale nie wytrzymam.

Śmiejąc się wychodzi. Pauza. Z zaplecza wraca Eileen i uderza Billa w głowę.

BILLY Za co?!

EILEEN Niedoczekanie twoje! Po moim trupie pojedziesz do Inishmore do tego filmu!

BILLY Tak tylko sobie głośno myślałem.

EILEEN To przestań głośno myśleć! Przestań głośno myśleć na głos i po cichu też przestań myśleć! Przez ciebie w tym domu jest w ogóle za dużo myślenia! Widziałeś kiedyś, żeby Najświętsza Panienka głośno myślała?

BILLY Nie.

EILEEN No właśnie. I całkiem dobrze jej było! *(wraca na zaplecze)*

Pauza. Billy wstaje, kuśtyka do lusterka, przez chwilę przygląda się sobie, a potem ze smutkiem człapie z powrotem do stołu. Bartley otwiera drzwi do sklepu i wsuwa głowę do środka.

BARTLEY Powiedz swojej ciotce, czy też tam niby-ciotce, że przyjdę po „Mintiosy” trochę później, albo może nie po „Mintiosy”, tylko w ogóle po cukierki.

BILLY Dobrze, powiem.

BARTLEY Siostra mi właśnie powiedziała, coś ty wymyślił, że chcesz z nami wystąpić w filmie, i uśmiełem się jak nie wiem co. Ty to umiesz fajnie żartować!

BILLY Już dobrze, Bartley.

BARTLEY Może cię potem nawet wezmą do Hollywoodu. Zrobią z ciebie gwiazdę.

BILLY Być może.

BARTLEY Kaleka za gwiazdę! To co, przypomnisz ciotce, że przyjdę później po „Mintiosy” albo może nie po „Mintiosy”, tylko...

BILLY W ogóle po cukierki.

BARTLEY W ogóle po cukierki. A jak nie później, to jutro rano.

BILLY Do widzenia, Bartley.

BARTLEY Cześć. *(wychodzi)*

Billy odдыcha ciężko, kładzie rękę na piersi.

BILLY *(cicho)* Nic mi nie jest.

Pauza. Wyciemnienie.

Scena 3

Brzeg morza nocą. Babbybobby naprawia swoją łódź. Wchodzi Johnny lekko podchmielony, podchodzi do niego i przez chwilę mu się przygląda.

JOHNNY Widzę, że łódź szykujesz.

BOBBY Tak.

JOHNNY *(po chwili)* To co, szykujesz łódź, tak?

BOBBY Chyba powiedziałem, że łódź szykuję, nie?

JOHNNY No tak żeś powiedział. *(po chwili)* Więc szykujesz sobie łódź. *(po chwili)* Pucujesz ją i glansujesz. *(po chwili)* Pięknie ją sobie wyszykujesz. *(po chwili)* Będzie pewnie gotowa do jakiejś podróży, nie? *(po chwili)* To ładna łódź. Tak, ładna. Ładna łódka na przejażdżkę. Tym ładniejsza, że ją tak ładnie sobie wyszykowałeś. *(po chwili)* Wyszykowana i gotowa.

BOBBY Masz do mnie jakieś pytanie, to nie krętaj-mętaj, tylko pytaj wprost, nie rób podchodów jak jakiś głupi idiota.

JOHNNY Nie mam do ciebie żadnego pytania. Jak Johnnypateenmike ma jakieś pytanie, to przychodzi i pyta wprost. Johnnypateen nigdy nie robi żadnych podchodów. O nie. *(po chwili)* Mówię tylko, że masz ładną tę swoją łódź. Nic więcej. *(po chwili)* Pięknie ją wyszykowałeś. *(po chwili)* Pięknie ją wyszykowałeś do podróży, na przykład. *(po chwili; gniewnie)* Jak mi nie powiesz, gdzie się wybierasz, to pójdę sobie!

BOBBY A idź sobie, idź!

JOHNNY Pójdę sobie. Po takim traktowaniu!

BOBBY Czy ja cię traktuję?

JOHNNY Tak. Nigdy się ze mną nie podzieliśz nowinami. W tamtym roku twoja żonka zmarła na suchoty, a kto się dowiedział ostatni? Ja, ja się dowiedziałem ostatni. Dowiedziałem się dopiero w ten sam dzień, co umarła, a przecież ty wiedziałeś długo naprzód i żeś nawet nie pomyślał, co ja czuję...

BOBBY Właściwie trzeba ją było wykopać z domu, żeby cię uprzedziła. I wiesz co? Do tej pory żałuję, żeś tego nie zrobił.

JOHNNY Jeszcze raz powiadam. Więc szykujesz sobie łódź. Wyszykowałeś ją sobie pięknie na podróż czy co?

BOBBY Zapytaj mnie wprost, Johnnypateen, to ci chętnie odpowiem.

Johnny przez chwilę wpatruje się w Bobby'ego, a potem wściekły odchodzi. Bobby dalej zajmuje się łodzią.

BOBBY (*cicho*) Ty pieprzony głupi kretyne. (*po chwili; woła gdzieś na lewo*) Kto tam szmyra po kamieniach?

BILLY (*zza kulis*) To ja, Billy Claven.

BOBBY Mogłem się domyślić. Kto inny by tak szmyrał?

BILLY (*wchodząc*) Pewnie nikt.

BOBBY Cioteczki się nie zmartwią, że o tak późnej porze nie ma cię w domu?

BILLY Zmartwiłyby się pewnie, gdyby wiedziały, ale ja się wymknąłem.

BOBBY Nie powinienes się cioteczkom wymykać, chociaż to takie śmieszne cioteczki.

BILLY Też myślisz, że moje cioteczki są śmieszne?

BOBBY Sam widziałem, jak twoja ciotka Kate gada do kamienia.

BILLY A na mnie krzyczy, że się na krowy gapię.

BOBBY Po mojemu gapienie się na krowy takie całkiem normalne nie jest.

BILLY Przecież ja się na te krowy gapię tylko po to, żeby na chwilę się od ciotek oderwać. Nie gapię się dla przyjemności gapienia się. Gapienie się na krowy to żadna przyjemność. One tylko stoją jak jakie głupie i się gapią na człowieka.

BOBBY Nigdy w nie niczym nie ciskasz? Może by się choć trochę ożywiły.

BILLY Ja bym nie chciał im krzywdy zrobić.

BOBBY Masz za dobre serce, kulasie, wiesz? I w tym cały kłopot. Krowom to nie szkodzi, że czymś tam w nie szmajtniesz. Kiedyś szmajtnąłem w krowę cegłą, a ta nawet nie zamuczała, a w sam zad ją trafiłem.

BILLY To nic nie znaczy. Może to była krowa niemowa.

BOBBY Może. A w ogóle to nie mówię, żebyś zaraz ciskał w krowy cegłami. Byłem wtedy napity. Mówię tylko, że może, gdybyś się znudził.

BILLY Przeważnie biorę ze sobą książkę. I bym nie chciał stworzenia krzywdzić.

BOBBY Byś mógł szmajtnąć w krowę książką.

BILLY Wiesz, książkę wolę sobie czytać.

BOBBY Na gust i smak towarzyszy brak.

BILLY Święta racja. (*po chwili*) Szykujesz swoją łódź?

BOBBY Wygląda na to, że wszyscy się dzisiaj zrobili strasznie spostrzegawczy.

BILLY Szykujesz ją, żeby zawieźć Helen i Bartleya do filmu?

Bobby patrzy na Billa przez chwilę, wychodzi na prawo, żeby sprawdzić, czy Johnny na pewno sobie poszedł, i wraca.

BOBBY Skąd wiesz, że Helen i Bartley się gdzieś wybierają?

BILLY Helen mi powiedziała.

BOBBY Helen ci powiedziała. Rany, a ja Helen powiedziałem, że jej spuszczę manto, jeśli chociaż słówko piśnie.

BILLY I podobno za tę przejażdżkę ci zapłaci całusami.

BOBBY A tak. Ja nie chciałem zapłaty. W zupełności. Ale ona się uparła, że mi tak zapłaci.

BILLY To ty byś nie chciał pocałować Helen?

BOBBY Nieraz się jej trochę boję. Straszna jędba z tej Helen. *(po chwili)* A co, ty byś chciał ją pocałować?

BILLY *(wzrusza ramionami, smutno)* Myślę, że Helen pewnie by nie chciała pocałować kogoś takiego jak ja. A ty, jak myślisz?

BOBBY *(po chwili)* Chyba nie.

BILLY *(po chwili)* Więc byś wziął McCormicków bez żadnej zapłaty w ogóle?

BOBBY Bym wziął. Sam chętnie sobie popatrzę na to całe filmowanie. Co mi szkodzi zabrać pasażerów?

BILLY A mnie byś wziął za pasażera?

BOBBY *(po chwili)* Nie.

BILLY A dlaczego nie?

BOBBY Nie mam miejsca.

BILLY Masz mnóstwo miejsca.

BOBBY Kaleka na łódce to Jonasz. Każdy to wie.

BILLY Od kiedy to?

BOBBY Od kiedy Larry Bimbrownik wziął kalekę i mu łódź zatoneła.

BILLY W życiu nie słyszałem większej bredni.

BOBBY A nawet jak nie był kaleką, to nogę chorą miał na pewno.

BILLY Po prostu masz uraz na punkcie kalek i tyle.

BOBBY Nie mam żadnego urazu na punkcie kalek. Raz jeden pocałowałem dziewczynę, co była kaleką. I nie dość, że była kaleką, to jeszcze na dodatek oszpecona. Miałem w czubie i było mi wszystko jedno. W Antrim się nie roi od ładnych dziewczyn.

BILLY Nie zmieniaj tematu.

BOBBY Miała wielkie zielone zęby. Jakiego tematu?

BILLY Tematu, żebyś mnie zabrał na filmowanie.

BOBBY Myślałem, że ten temat już skończyliśmy.

BILLY Ledwie żeśmy go zaczęli.

BOBBY A po co ty chcesz jechać do tego filmowania? Przecież oni kaleki nie zechcą.

BILLY Przecież nie wiesz, co oni mogą chcieć.

BOBBY Rzeczywiście, chyba nie wiem. Tak, masz rację. Widziałem kiedyś jeden film, w którym był taki jeden, co nie dość, że nie miał rąk i nóg, ale na dodatek był kolorowy.

BILLY Kolorowy? Nigdy nie widziałem żadnego kolorowego, a co dopiero kolorowego kaleki. Nie wiedziałem, że takie coś w ogóle może być.

BOBBY Byś się przestraszył, jak byś takiego zobaczył.

BILLY Kolorowego? Są tacy groźni?

BOBBY Są mniej groźni, jak nie mają rąk i nóg, ale i tak są groźni.

BILLY Podobno w tamtym roku jeden kolorowy przyjechał do Dublina. Na tydzień przyjechał.

BOBBY Widać Irlandia to nie takie najgorsze miejsce, jeśli kolorowi chcą tu przyjeżdżać.

BILLY Widać tak. *(pauza)* Ach, Babbybobby, zacząłeś gadać o tych kolorowych, żeby mnie znów odciągnąć od tematu.

BOBBY Billy, żaden kaleka tą łódką nie popłynie. Może kiedyś, za rok albo dwa. Jak ci się nogi trochę wyprostują.

BILLY Za rok albo dwa to mi po nic.

BOBBY Dlaczego?

Billy wyjmuje list i podaje go Bobby'emu, który zaczyna go czytać.

BOBBY Co to jest?

BILLY To jest list od doktora McSharry'ego i przysięgnij, że nikomu słowa o tym nie piśniesz.

W połowie lektury Bobby nagle smutnieje. Patrzy na Billa, a potem czyta dalej.

BOBBY Kiedyś to dostał?

BILLY Dopiero co, wczoraj. *(pauza)* To co, dasz mi pojechać?

BOBBY Twoje cioteczki bardzo się tym zdenerwują.

BILLY W końcu to jest ich życie czy moje? Napiszę do nich stamtąd. A zresztą, może mnie nie będzie tylko dzień albo dwa. Strasznie łatwo się nudzę. *(po chwili)* Weźmiesz mnie?

BOBBY Bądź tu jutro o dziewiątej rano.

BILLY Dziękuję. Będę.

Bobby oddaje Billowi list, Billy go składa i chowa.

Wchodzi Johnny – szybko, z wyciągniętą ręką.

JOHNNY Nie, nie, zaczekaj. Co jest w tym liście?

BOBBY Odwal się, Johnnypateen, dobrze? Zjeżdżaj do domu, co?

JOHNNY Pokaż ten swój list, kulasie.

BILLY Nie pokażę ci swojego listu.

JOHNNY Jak to mi listu nie pokażesz? Jemu pokazałeś. Daj no mi go, i to już.

BILLY Johnnypateenmike, czy nikt ci nigdy nie mówił, że jesteś trochę nieuprzejmy?

JOHNNY Ja nieuprzejmy? Ja nieuprzejmy? Stoicie we dwóch i chowacie przede mną list, i to list od doktora, a to są najciekawsze listy na świecie, i ty masz czelność mi mówić, że jestem nieuprzejmy? Powiedz temu kalece, żeby mi dał list, i to już, bo jak nie, to różne takie rzeczy, co tu dzisiaj usłyszałem, już nie będą żadną tajemnicą.

BOBBY Jakie rzeczy na przykład?

JOHNNY Na przykład takie, że parę uczniów przeprawisz do Inishmore i że całowałeś się z lafiryndami w Antrim. I takie różne rzeczy. Nie żebym cię straszył, żebym ci szantaż urządził czy coś, albo tak, właśnie, że cię straszę i zrobię ci szantaż, ale jak ktoś się nowinami zajmuje, to musi je zdobywać każdym żywym sposobem.

BOBBY Ach tak? Każdym żywym sposobem? To jak ci się taki sposób podoba?

Bobby chwytą Johnny'ego za ramię i wykręca mu je.

JOHNNY Aaaa! Puszczaj mi rękę, ty bandyto skończony! Naślę na ciebie policję!

BOBBY Kładź się na piasku, ty! *(zmusza Johnny'ego, żeby się położył)*

JOHNNY Leć po policję, kulasie, no już, na jednej nodze!

BILLY Ani mi się śni. Będę tu stał i się patrzył.

JOHNNY To będziesz współnikiem.

BILLY Dobra.

JOHNNY Stary jestem, oj stary.

Bobby staje Johnny'emu na pośladkach.

JOHNNY Aaaaa! Zejdź mi z tyłka!

BOBBY Billy, przynieś no parę kamieni.

BILLY *(nosząc kamienie)* Dużych?

BOBBY Takich średnich.

JOHNNY Po co ci kamienie?

BOBBY Żeby ci w łeb walić, aż przysięgniesz, że nie roztrąbisz tego po mieście.

JOHNNY Nie zmusisz mnie, żebym coś takiego przysięgał. Każdą torturę wytrzymam. Jestem jak Kevin Barry.

Bobby rzuca kamień na głowę Johnny'ego.

JOHNNY Aaaa! Przysięgam, przysięgam.

BOBBY Przysięgasz na Chrystusa?

JOHNNY Przysięgam na Chrystusa.

BOBBY Opór nie trwał długo. *(schodzi z pośladków Johnny'ego)*

JOHNNY *(podnosi się i otrzępuje)* W Anglii by mnie tak nie zażyli! Teraz mam pełno pachu w uszach.

BOBBY Zabieraj sobie ten piach do domu i pokaż go swojej pijanej mamusi.
 JOHNNY Nie mieszaj do tego mojej pijanej mamusi.
 BOBBY I pamiętaj, coś przysiągł!
 JOHNNY Pod przymusem przysiągłem.
 BOBBY Choćbyś pod psim ogonem przysiągł, to masz dotrzymać!
 JOHNNY *(po chwili)* Pierdoleńcy, cholera! *(wypada wygrażając pięścią)*
 BOBBY Od piętnastu lat chciałem mu przywalić w łeb kamieniem.
 BILLY Ja bym się nigdy nie zdobył na odwagę, żeby w niego walnąć kamieniem.
 BOBBY Myślę, że to nie wypada ciskać w takiego starego kamieniami, ale w końcu sam mnie do tego doprowadził, nie? *(po chwili)* Tak czy siak, zdobyłeś się na odwagę, żeby popłynąć do Inishmore, a wiadomo, że boisz się morza.
 BILLY Bałem się. *(pauza)* Spotkamy się jutro o dziewiątej.
 BOBBY Lepiej o ósmej, kaleko, na wypadek, gdyby Johnnypateen zaczął paplać.
 BILLY Aż tak mu nie ufasz?
 BOBBY Ufam mu tak samo jak i tobie, że mi kufel piwa przyniesiesz i kropli nie rozlejesz.
 BILLY To nie było miłe, co powiedziałaś.
 BOBBY Mam zły charakter.
 BILLY Nie masz złego charakteru, wcale nie. Masz bardzo dobry charakter.
 BOBBY *(po chwili)* Moja żona Annie na to samo umarła, wiesz, na suchoty. Ale przynajmniej rok z nią przeżyłem. Trzy miesiące to strasznie krótko.
 BILLY Nawet nie doczekam lata. *(po chwili)* Pamiętasz, jak mi Annie zrobiła roladę biszkoptową, kiedy miałem wietrzną ospę? I jak się wtedy do mnie uśmiechnęła?
 BOBBY Dobra była... ta rolada?
 BILLY *(z ociąganiem)* Nie za bardzo.
 BOBBY No właśnie. Biedna Annie – żeby nie wiem jak chciała, to za żadne skarby świata nie potrafiła upiec dobrego biszkoptu. Ach, wciąż mi jej brakuje, takie okropieństwa piekła. *(pauza)* Cieszę się, że ci się przysłuży, kaleko – w tym krótkim czasie, jaki ci pozostał.
 BILLY Mógłbyś mi zrobić przyjemność, Babbybobby? Może nie mów na mnie „kaleka”, co?
 BOBBY To jak mam na ciebie mówić, co?
 BILLY Po prostu Billy.
 BOBBY Niech będzie Billy.
 BILLY A ty byś nie wolał, żebym mówił do ciebie Bobby, a nie Babbybobby?
 BOBBY Dlaczego?
 BILLY Bo ja wiem.
 BOBBY Lubię, jak się mnie nazywa Babbybobby. Co w tym złego?
 BILLY Pewnie nic. No, to zobczymy się rano, Babbybobby.
 BOBBY No, to do rana, kaleko, nie, Billy, do rana, Billy.
 BILLY Dopiero żem cię prosił, nie?
 BOBBY Zapomniałem, Billy. Przepraszam.
Billy kiwa głową i kuśtykając odchodzi.
 BOBBY Aha, słuchaj...
Billy ogląda się. Bobby macha do niego ręką.
 BOBBY Przepraszam.
Billy kiwa głową, i zaraz ją nisko opuszcza. Wychodzi na prawo. Po chwili Bobby dostrzeżę coś, co przyniosła fala, pochyla się i podnosi Biblię, przygląda się jej przez moment, a następnie wrzuca z powrotem do wody i wraca do oporządzania łodzi.
Wyciemnienie.

Scena 4

Sypialnia Mammy O'Dougal, dziewięćdziesięcioletniej matki Johnny'ego. Mammy leży w łóżku, doktor McSharry bada ją stetoskopem; Johnny krąży w pobliżu.

DOKTOR Czy odstawiła pani alkohol?

JOHNNY Nie słyszał pan, co pytałem?

DOKTOR Słyszałem, co pytałeś, ale usiłuję zbadać twoją mamusię i nie potrzebuję do tego twoich głupich pytań.

JOHNNY Głupich pytań, tak?

DOKTOR Pytałem, czy odstawiła pani alkohol?

MAMMY (*czka*) Odstawiłam alkohol, albo jakoś tak mniej więcej odstawiłam.

JOHNNY Od czasu do czasu golnie sobie kufelek portera. Przecież to nic złego.

MAMMY Nic złego.

JOHNNY To bardzo dobrze robi.

DOKTOR Grunt, żeby się na kufelku portera kończyło.

MAMMY Tak, grunt to kufelek, a do tego żdziebko whisky od wielkiego dzwonu.

JOHNNY Przecież ci mówiłem, tępoto jedna, żebyś o whisky nie pisała.

DOKTOR Od wielkiego dzwonu, to znaczy jak często?

JOHNNY Oj, bardzo rzadko.

MAMMY Od wielkiego dzwonu i jeszcze czasem do śniadania.

JOHNNY „Do śniadania” – O, Boże święty...

DOKTOR Johnnypateenmike, nie wiesz, że starszej pani nie podaje się whisky do śniadania?

JOHNNY Kiedy ona tak lubi i dzięki temu nie rozrabia.

MAMMY Lubię sobie wypić żdziebko whisky, o tak.

JOHNNY Sam pan widzi.

MAMMY Chociaż wolę bimberek.

DOKTOR Ale bimbru pani nie dostaje?

MAMMY Nie, bimbierku nie dostaję.

JOHNNY Teraz.

MAMMY Tylko od święta.

DOKTOR A co się zalicza do świąt?

MAMMY No, piątki, soboty, niedziele.

DOKTOR Johnnypateenmike, kiedy twoja mamusia dokona żywota, wyjmę jej wątrobę i ci ją pokażę, żebyś na własne oczy zobaczył, jakie szkody wyrządziła twoja troskliwa opieka.

JOHNNY Ani mi się śni oglądać mamusi wątrobę. Ledwie mogę znieść jej facjatę, a co dopiero mamusia od środka.

DOKTOR Ładnie to mówić takie rzeczy przy mamusi?

MAMMY Nie takie rzeczy słyszałam.

JOHNNY Niech pan już da mamusi spokój, niech jej pan nie magluje. Przez sześćdziesiąt pięć lat próbowała się zapić na śmierć – i nie dała rady, więc nie ma co się teraz o nią martwić. Przez sześćdziesiąt pięć lat, cholera, niczego nie zrobiła porządnie.

DOKTOR Dlaczego chce się pani zapić na śmierć?

MAMMY Ckni mi się za moim mężem, Dougalem. Rekin go zjadł.

JOHNNY W tysiąc osiemset siedemdziesiątym pierwszym rekin go zjadł.

DOKTOR To już powinna się pani jakoś z tym pogodzić.

MAMMY Próbowałam, doktorze, ale mi nie wychodzi. Cudowny był z niego człowiek. A życie pod jednym dachem z tym gąsiorem... On mi się wciąż przypomina.

JOHNNY Kogo nazywasz gąsiorem, ty wąsata krowo? Może nie stanąłem na głowie, żeby ci tu sprowadzić doktora McSharry'ego?

MAMMY Tak, ale tylko po to, żeby wywęszyc, co z tym kaleką, Billem Clavenem.

JOHNNY Nie... nie... nie... Zawsze wszystko wypaplesz, ty... ty purchawo.

MAMMY Jestem uczciwą kobietą, Johnnypateen.

JOHNNY Ty, uczciwa? Nie rozśmieszaj mnie!

MAMMY I za mało mnie upiłeś.

Doktor pakuje swoją torbę.

DOKTOR Jeśli mnie tu ściągnięto pod jakimś fałszywym pretekstem...

JOHNNY Żaden fałszywy pretekst. Z mamusią było naprawdę marnie... Mamusiu, pokaż, jak kaszlesz...

Mammy kaszle.

JOHNNY Chyba najgorsze już minęło, ma pan rację, ale jak już pan przyszedł, to co to właściwie jest z tym naszym Billem Kaleką? Nie jest bardzo chory, co? A może to jakaś śmiertelna choroba, co? Musi to być coś bardzo poważnego, jeśli pan do niego listy pisze.

DOKTOR *(po chwili)* O tajemnicy lekarskiej... nie słyszałeś?

JOHNNY Jakże nie? Słyszałem i myślę, że to coś wspaniałego. Niech mi pan powie, co jest temu biednemu Billowi?

DOKTOR Któregoś pięknego dnia otworzę ci czaszkę i okaże się, że w środku nic nie ma.

JOHNNY Niech pan nie zmienia tematu. Niech mi pan powie, co jest... aaa, pewnie to była wskazówka, co? On ma coś w głowie nie tak? Guza na mózgu? Ma guza na mózgu!

DOKTOR Nie przypuszczałem...

JOHNNY Niech mi pan powie, on ma guza na mózgu. Och, to by była nowina. Ale nowina!

DOKTOR Idę, dziękuję za zmarnowanie mojego cennego czasu, ale zanim sobie pójdę, jedno ci powiem. Nie wiem, skąd tym razem masz nowinę o Billu, bo zazwyczaj masz wiadomości prawdziwe, ale...

JOHNNY Polio, polio. On ma polio.

DOKTOR ...ale, o ile mi wiadomo, to oprócz wrodzonego kalectwa, nic mu nie dolega i lepiej, żebyś nie rozgłaszał głupich plotek na jego temat.

JOHNNY *(po chwili)* Gruźlica. Gruźlica. To na pewno gruźlica.

Doktor wychodzi.

JOHNNY Gdzie pan idzie? Samolub skończony! Co lepsze nowiny trzymadła siebie!

Doktor wyszedł.

JOHNNY Dziad jeden! Czy Billy jest tak zdrowy, że wiosłowanie aż do Inishmore w mroźny poranek mu nie zaszkodzi? Co?

Pauza. Doktor wraca, jest zamyślony.

JOHNNY Ale się szybko wrócił!

MAMMY Jak kot z glistą w tyłku.

DOKTOR Billy popłynął do Inishmore?

JOHNNY A tak, popłynął. Z McCormickami, a zabrał ich Babbybobby. Swoją łodzią ich zabrał. Babbybobby, co jak tylko wróci, pójdzie do paki za poważne uszkodzenie ciała. Za uszkodzenie głowy w każdym razie, bo to moją głowę mi poważnie uszkodził.

DOKTOR Pojechali patrzeć, jak filmują?

JOHNNY Patrzyć, jak filmują, albo się dać sfilmować.

DOKTOR Przecież filmowanie już skończyli. Wczoraj. Dzisiaj już tylko sprzątają kamery i tak dalej.

JOHNNY *(po chwili)* Pewnie mieli od kogoś nieprawdziwe wiadomości.

MAMMY Tak, pewnie od tego gąsiora.

JOHNNY Powiedziałem, żebyś mnie nie nazywała gąsiorem!

MAMMY Przynies mi coś do picia, gąsiorku.

JOHNNY Cofnij tego gąsiora, to ci przyniosę coś do...

MAMMY Cofam gąsiora.

Johnny nalewa dużą whisky. Doktor jest przerażony.

DOKTOR Niech... niech... (z gniewem) To ja przez cały dzień do siebie gadałem, czy jak?!

JOHNNY (po chwili) A pan się nie napije? Dobrze panu zrobi po tych moich nowinach o Billu. Zaskoczyłem pana, co?

DOKTOR Mam gdzieś twoje gówniane nowiny!

JOHNNY Zobaczymy pańską minę, jak Billy wróci do domu sztywny, a wszystko dlatego, że pan się uparł nic nie mówić, i wyrzucą pana z izby lekarskiej, i do końca życia będzie pan wyskrobywał krowom łożyska, bo zresztą i tak do niczego innego się pan nie nadaje, o czym wszyscy doskonale wiemy.

DOKTOR Billy nie wróci sztywny, bo nic mu nie jest, ma tylko lekką zadyszkę.

JOHNNY Idzie pan w zaparte, panie doktorze nic-nie-warty, co?

DOKTOR Mam ci to jeszcze raz powtórzyć, głąbie jeden? Billowi Clavenowi nic nie dolega. Jasne?

Doktor wychodzi.

JOHNNY Rak! Rak! Ee, niech pan wraca! Może to rak, co? Niech pan powie, na jaką literę się zaczyna. Na „R”? Co? Może na „P”?

MAMMY Gadasz do lampy, baranie!

JOHNNY (wola) Tak czy siak, dojdę prawdy, McSharry! Prośbą albo groźbą! Dobry dziennikarz nie daje się zbyć! Nigdy!

MAMMY Tak, tylko się daje obrzucać kamieniami.

JOHNNY Zostawmy te kamienie. Już ze dwadzieścia razy ci to mówiłem. Jak nie, to ci skopię tyłek na czarno. (siada na łóżku i czyta gazetę)

MAMMY Ty i te twoje gówniane nowiny!

JOHNNY Moje nowiny wcale nie są gówniane. Moje nowiny to wspaniałe nowiny. Słyszałaś, że geś Jacka Ellery i kot Patty Brennan tydzień temu zaginęły? Podejrzewam, że spotkało je coś straszego. Właściwie m a m n a d z i e j e, że spotkało je coś straszego.

MAMMY Jesteś moim rodzonym synem, Johnnypateen, ale ci powiem, że z ciebie najnudniejszy stary palant w całej Irlandii. A pod tym względem jest tu cholernie duża konkurencja!

JOHNNY Tu, w Kerry, jest owca bez uszu, muszę to sobie zapamiętać.

MAMMY Jak się masz zajmować niedorobionymi owcami, to lepiej daj mi butelkę.

Johnny daje jej butelkę whisky.

JOHNNY Felerna owca, to bardzo ciekawa wiadomość. To najlepszy rodzaj wiadomości. Ma się rozumieć, jeśli nie liczyć takich rzeczy jak ciężka choroba. (pauza) I żeby mi do podwieczorku połowa butelki była pusta.

MAMMY Biedny Billy Kaleka. Cóż ten dzieciak miał za życie. Z tą swoją mamą i ojcem i ich workiem z kamieniami...

JOHNNY Daj spokój z tym workiem z kamieniami.

MAMMY A teraz jeszcze to. Chociaż spójrz też na moje życie. Najpierw biedny Donal, przegryziony na pół, a potem ty, co mi ukradłeś te sto funtów, które on przez całe życie szparował, i przeputałeś je w pubach. I do tego jeszcze ta przekłeta buraczana paella, którą mi co wtorek pichcisz...

JOHNNY A czego ty chcesz od buraczanej paelli? I nie powiesz, że przez ostatnie sześć lat co najmniej połowa tej forsy nie poszła w twoje gardło, ty stara ropucho!

MAMMY Biedny Billy. Już za dużo pogrzebów się w życiu naogładałam.

JOHNNY Pij, pij, być może ten już cię ominie.

MAMMY Czekam, bo chcę pierwszej ciebie w trumnie zobaczyć, Johnnypat. To dopiero będzie radosny dzień, co?

JOHNNY Zabawne, nie? Bo ja bym ciebie też chętnie w trumnie zobaczył; tak samo jak ty mnie. Żebyśmy tylko znaleźli trumnę dość dużą, żeby wcisnąć do niej twój tłusty zewłok. Kto wie, może ci trzeba będzie urznąć kawał zadka. Chyba nawet na pewno.

MAMMY Strasznieś mnie rozstroił tymi docinkami, Johnnypateen. Strasznie. *(pauza)* Ty skończony głąbie. *(pauza)* Jak jest coś porządnego w gazecie, to mi przeczytaj. Tylko nie o żadnych owcach.

JOHNNY Jest tu o takim jednym, co teraz rządzi w Niemczech. Ma okropnie pocieszny wąsik.

MAMMY Pokaż mi ten pocieszny wąsik.

Johnny pokazuje jej fotografię.

MAMMY Ależ pocieszny ten wąsik.

JOHNNY Już by lepiej zapuścił porządny wąs albo zgolił ten smętny farfocel.

MAMMY Chyba jest w strasznej rozterce.

JOHNNY Eee, wygląd ma całkiem sympatyczny, nawet z tym pocieszny wąsikiem.

Bóg z nim. *(po chwili)* Jest jeden Niemiec, co teraz mieszka w Connemarze, wiesz. W bok od Leenane.

MAMMY Widać Irlandia to wcale nie najgorsze miejsce, jeśli Niemcy przyjeżdżają tu mieszkać.

JOHNNY Wszyscy się zjeżdżają do Irlandii: Niemcy, dentyści, wszyscy.

MAMMY Ciekawe dlaczego?

JOHNNY Bo w Irlandii człowiek dla człowieka ma więcej życzliwości.

MAMMY Pewnie tak.

JOHNNY Nawet na pewno. Każdy to wie. Wreszcie słyniemy z tego, nie? *(długa pauza)* Założę się o co tylko mam, że to rak. *(kiwa głową, wraca do czytania gazety)*

Wyciemiennie.

Scena 5

W sklepie. Na ladzie leży stos jaj.

KATE Ani słowa. *(po chwili)* Ani słowa, ani słowa, ani słowa, ani słowa, ani słowa, ani słowa. *(po chwili)* Ani słowa.

EILEEN Ile razy jeszcze powtórzysz „ani słowa”?

KATE A co? Nie mogę już powiedzieć „ani słowa”? A ja się tak martwię o Billa, jak on się gdzieś po świecie pałęta.

EILEEN Wolno ci powiedzieć „ani słowa” – raz albo dwa razy, ale nie dziesięć.

KATE Z Billem będzie tak samo jak z jego tatusiem i mamusią, zejdzie z tego świata, nim dożyje dwudziestki.

EILEEN Czy bywa, że patrzysz na świat z optymizmem?

KATE Patrzę na świat z optymizmem, ale się boję, że już nie zobaczę Billa żywego.

EILEEN *(po chwili)* Mógł nam chociaż zostawić liścik, że się wybiera na Inishmore, a nie żebyśmy się dowiedziały od starego Johnnypateena.

KATE Ani słowa. Ani słowa. Ani słowa. Ani słowa. Ani słowa.

EILEEN A Johnnypateen z lubością rozpowiada swoje historie, bąka coś o listach i lekarzach.

KATE Boję się, że Johnnypateen wie o Billu coś, czego nie mówi.

EILEEN Od kiedy to Johnnypateen coś wie i nie mówi? Johnnypateen rozpowiada nawet, jak koń wiatry puszcza.

KATE Tak myślisz?

EILEEN Wiem.

KATE I tak się martwię o Billa.

- EILEEN Jeśli McSharry ma rację z tym filmowaniem, że się skończyło, to już tylko patrzeć, jak Billy będzie z powrotem, z całym towarzystwem.
- KATE Powiedziałas tak w zeszłym tygodniu, a póki co wciąż ich nie ma.
- EILEEN Może zostali podziwiać widoki.
- KATE Na Inishmore? Jakie widoki? Kurę na płocie?
- EILEEN Może się jakaś krowa nawinęła i Billy się zagapił?
- KATE A bo to dużo czasu trzeba, żeby na krowę popatrzeć?
- EILEEN Jeśli mnie pamięć nie myli, ty potrafiłaś całymi godzinami gadać do kamienia.
- KATE Z kamieniami to było wtedy, jak miałam kłopoty nerwowe. Dobrze o tym wiesz. Przecież uzgodniłyśmy, że o kamieniach nigdy nie będziemy wspominać!
- EILEEN Tak, uzgodniłyśmy i przepraszam, że coś powiedziałam. Wypsnęły mi się te kamienie, bo się martwię tak samo jak ty.
- KATE Jak ktoś mieszka w szklanym domu, to niech lepiej nie rzuca kamieniami.
- EILEEN O co ci chodzi? Ja, w szklanym domu?
- KATE W pudełku z cukierkami miałyśmy wczoraj dwadzieścia „Żelków-melków”, a dzisiaj nie ma ani jednego. Jakim cudem mamy zarobić, jeśli zjadasz wszystkie nowe słodczyce, nim je ktoś zdąży zobaczyć?
- EILEEN Och, Katie, bo z tymi „Żelkami” jest tak, że jak się je zacznie jeść, to nie można przestać.
- KATE To samo słyszałam przy „Mintiosach”. Spróbuj tylko dotknąć „Frip-frapów”, jak przyjdą, to ci nogi powyrywam.
- EILEEN Przepraszam, Kate. Ale jak się zamartwiam o Billa, to jest jeszcze gorzej.
- KATE Wiem, Eileen. Wiem, że jak się martwisz, to się opychasz. Ale tym razem postaraj się opanować.
- EILEEN Postaram się. *(pauza)* W każdym razie Babbybobby to porządny gość i zaopekuję się Billem. Jestem pewna.
- KATE Jeśli z niego taki porządny gość, to dlaczego wziął Billa? Co to, nie wiedział, że jego ciotki się będą zamartwiać?
- EILEEN Nie wiem, czy wiedział.
- KATE Chętnie bym mu dała w zęby.
- EILEEN Myślę, że on...
- KATE Cegłą.
- EILEEN Myślę, że mógł chociaż powiedzieć Billowi, żeby wysłał karteczkę.
- KATE Ani słowa. Ani słowa. *(pauza)* Ani słowa. Ani słowa. Ani słowo...
- EILEEN Och, Kate, tylko nie zaczynaj znowu z tym „ani słowa”.
- Kate przez chwilę przygląda się, jak Eileen układa jajka.*
- KATE Widzę, że był chłop od jajek.
- EILEEN Był. Ma znacznie więcej jajek, odkąd Narwana Helen mu nie pomaga.
- KATE Nie wiem, dlaczego on ją w ogóle trzyma.
- EILEEN Myślę, że się jej boi. Albo się w niej kocha.
- KATE *(po chwili)* Myślę, że na domiar złego Billy się kocha w Helen.
- EILEEN Też myślę, że on się w Helen kocha. To się skończy płaczem.
- KATE Płaczem albo śmiercią.
- EILEEN Trzeba patrzeć na świat z optymizmem.
- KATE Płaczem, śmiercią albo czymś jeszcze gorszym.
- Wchodzi Johnny.*
- EILEEN Johnnypateenmike.
- KATE Johnnypateenmike.
- JOHNNY Johnnypateenmike ma dla was dzisiaj trzy nowiny.
- KATE Opowiadaj tylko dobre nowiny, bo nam dzisiaj smutnawo.
- JOHNNY Mam dzisiaj wiadomość o tych, co się wyprawili na Inishmore, ale zachowam ją na sam koniec.

KATE Czy Billowi nic się nie stało? Johnny, zacznij od tego.

EILEEN Tak, Johnny, opowiedz nam to na początek.

JOHNNY Jak będziecie mi tu rozporządzać, co mam mówić i w jakiej kolejności, to się obrócę na pięcie i sobie pójdę!

KATE Nie idź, Billy! Nie idź!

JOHNNY Ha!?

EILEEN Opowiadaj nam w jakiej chcesz kolejności. Wreszcie, kto jak kto, ale ty chyba wiesz najlepiej, w jakiej kolejności sprzedawać swoje nowiny.

JOHNNY Wiem to najlepiej. Wiem, że wiem to najlepiej. Widzę, że macie mnóstwo jajek.

EILEEN A tak.

JOHNNY Moja pierwsza nowina jest taka, że w Kerry urodziła się owca, co nie ma uszu, w zupełności.

EILEEN *(po chwili)* To nadzwyczajna nowina.

JOHNNY Nie pytajcie mnie, jakim cudem ona słyszy, bo nie wiem i wcale mnie to nie interesuje. Moja druga nowina, to że znalazł się kot Patty Brennen, ale już nieżywy i znalazła się gęś Jacka Ellery, ale też już nieżywa i nikt w całym mieście nic nie widział, ale dwa i dwa dodać nietrudno, choć nikt tego na głos nie powie, bo wiadomo, jaki z tego Jacka Ellery straszny zbój.

KATE To smutna nowina, bo wygląda na to, że zaczęła się jakaś awantura.

JOHNNY Zaczęła się awantura i wiadomo, że się nie skończy, dopokąd któreś z tych dwojga nie zginie. Dobra. Wezmę sześć jajek na omlet, co go dwa tygodnie temu mamusi obiecałem.

EILEEN A ta trzecia nowina?

JOHNNY Wspomniałem mamusię moją i nikt nawet nie spyta, jak ona się miewa. Taka tu w naszych stronach uprzejmość.

KATE Jak się miewa twoja mamusia?

JOHNNY Mamusia ma się dobrze, chociaż się staram jak mogę.

EILEEN Wciąż próbujesz wykończyć mamusię wódką?

JOHNNY Tak, ale nic z tego. Wydałem już majątek na wódkę dla tej wiedźmy. Ona nigdy nie umrze. *(pauza)* A teraz poproszę jajka. Już wam powiedziałem swoje dwie nowiny. Chyba już na dzisiaj skończyłem.

KATE A... a trzecia nowina?

JOHNNY Ach, trzecia nowina. Bym zapomniał! *(po chwili)* A trzecia nowina jest taka, że Babbybobby właśnie wyciągnął swoją łódź na piasek i wypuścił na ląd młodych podróżników. W każdym razie wypuścił na ląd dwójkę młodych podróżników, Helen i Bartleya. Na łodzi nie było ni śladu, ni popiołu po Billu Kalece. *(pauza)* Idę załatwić aresztowanie Babbybobby'ego za to, że kamieniami we mnie rzucał. Dziękuję za jajka.

Johnny wychodzi. Pauza. Kate smutna tuli do siebie stary wór wiszący na ścianie, potem siada przy stole.

KATE On odszedł od nas, Eileen, odszedł od nas.

EILEEN Wcale nie wiemy, czy od nas odszedł.

KATE Czuję to w kościach, Eileen. Od chwili, kiedy pojechał, wiedziałam. Billy Kaleka umarł i przepadł.

EILEEN Przecież doktor nas z pięć razy zapewniał, że Billowi nic nie jest.

KATE Tak nas zapewniał tylko dlatego, żeby nam oszczędzić przykrości. A Johnny-pat od samego początku wiedział, jak jest naprawdę, tak samo, jak z tatusiem i mamusią Billa, też wiedział, jak było naprawdę.

EILEEN O, Boże, Babbybobby tu idzie, jest przy furgcie.

KATE Jaką ma minę? Ponurą?

EILEEN Ma ponurą minę, ale on zawsze ma taką.

KATE Ma bardziej ponurą minę niż zawsze?

EILEEN *(po pauzie)* Tak.

KATE Ojej!

EILEEN A teraz zdjął czapkę.

KATE To okropnie zły znak, jak się zdejmuje czapkę.

EILEEN A może po prostu chce być grzeczny?

KATE Kto? Babbybobby? Przecież on rzuca w krowy cegłami!

Wchodzi Babbybobby, z czapką w rękę.

BOBBY Eileen. Kate.

EILEEN Babbybobby.

BOBBY Eileen, usiądź sobie może na chwilkę. Mam dla was wiadomość.

Eileen siada przy stole.

BOBBY Właśnie przywiozłem małych McCormicków i miałem też waszego Billa przywieźć, ale nie mogłem waszego Billa przywieźć, bo... bo go zabrali do Ameryki na próbne zdjęcia do tego filmu, co robią o jednym kalece. Albo... to znaczy nie wiem, czy cały ten film będzie o kalece. Kaleka to tylko mała rola. Tak. Ale i tak to jest dobra rola, wiecie? *(po chwili)* Chociaż na świecie są ważniejsze rzeczy niż dobre role w hollywoodzkich filmach o kalekach. Ważniejsze jest być blisko z rodziną i przyjaciółmi, i próbowałem to Billowi wytłumaczyć, ale on za nic nie chciał mnie słuchać, żebym nie wiem co mówił i nie wiem jak długo. Popłynęli statkiem dziś rano. Billy napisał ten list i prosił, żebym go wam dał. *(pauza)* Najmarniej licząc dwa albo trzy miesiące mu się zejdzie w tej Ameryce, tak mi powiedział. *(po chwili)* I powiedział do mnie jeszcze, że to jest jego życie. Myślę, że tak to teraz jest naprawdę. Oby mu tam było dobrze. *(pauza)* I to wszystko. *(pauza)* Do widzenia.

EILEEN Do widzenia, Babbybobby...

KATE Do widzenia, Babbybobby.

Babbybobby wychodzi. Kate otwiera list.

EILEEN Co to za jakieś próbne zdjęcia? Co mu będą na próbę zdejmować?

KATE Nie mam pojęcia.

EILEEN Może będzie napisane w tym liście.

KATE Ależ on bazgrze, jak kura pazurem.

EILEEN Zawsze tak bazgrał.

KATE „Kochane ciotcie, na pewno nie zgadniecie”. Właśnie, że zgadniemy. „Jadę do Hollywoodu na próbne zdjęcia do filmu, który kręca, i jeśli im się spodoba, to mi kontrakt dadzą, a potem będę aktorem”. Ale wcale nie mówi, co to są te próbne zdjęcia.

EILEEN Chociaż tyle wciąż myśli.

KATE O co tu chodzi? Nic nie rozumiem z tego zdania, tak tu nagryzmołone... „Jeśli będzie duży sukces... to może się zdarzyć, że za dwa, trzy miesiące będę tak strasznie zajęty aktorstwem, że nie będę miał czasu za często się do was odzywać... więc jeśli nie usłyszycie ode mnie po lecie... to się o mnie wcale nie martwcie. Będzie to znak tego, że jestem szczęśliwy i zdrowy, i dobrze sobie żyję w Ameryce. Że robię coś, z czego i wy, i tatuś, i mamusia by mogli być dumni. Pozdrówcie ode mnie wszystkich na wyspie, tylko nie Johnnypateena, i uważajcie na siebie, moje cioteczki. Ubieram was... Uwielbiam was”. Wygląda zupełnie jak „ubieram”. *(pauza)* „Wasz kochający... Billy Claven”. Odwrócił się od nas, Eileen.

EILEEN *(z płaczem)* A myśmy się tak o niego zamartwiały.

Eileen podchodzi do lady i zaczyna ostrożnie wylawiać z pudełka ze słodyczami swoje ulubione cukierki.

KATE Po tym, cośmy dla niego zrobiły przez te wszystkie lata.

EILEEN Dbałyśmy o niego nie patrząc, że to kaleka.

KATE Chociaż tyle wstydu nam przyniósł tym gapieniem się na krowy. A teraz tak się nam odwdzięcza.

EILEEN Niechby ten statek zatonał, nim go dowiedzie do Ameryki.

KATE Niechby się utopił tak samo jak jego mamusia z tatusiem.

EILEEN *(po pauzie)* Może jesteśmy dla niego zanadto surowe?

KATE *(z płaczem)* Jesteśmy dla niego za surowe, ale to dlatego, że tak bardzo się o niego martwimy. Co ty jesz?

EILEEN Och, „Żelki-melki”. I przestań się mnie czepiać.

KATE Myślałam, żeś już zjadła wszystkie „Żelki-melki”.

EILEEN Odłożyłam kilka na wszelki wypadek.

KATE Jedz sobie.

EILEEN Chcesz jedną?

KATE Nie. Nic dziś nie mogę przełknąć. A słodyczy to już w żadnym wypadku.

EILEEN *(po chwili)* Jeszcze go kiedyś zobaczymy, co, Kate?

KATE Boję się, że prędzej zobaczymy Jima Finnegana córkę w habicie niż naszego Billa Kalekę. *(pauza)* Wcale nie wiem, czy chcę jeszcze kiedyś zobaczyć Billa Kalekę.

EILEEN Ja też wcale nie wiem, czy chcę jeszcze kiedyś zobaczyć Billa Kalekę. *(pauza)* Chcę zobaczyć Billa Kalekę.

KATE I ja chcę jeszcze kiedyś zobaczyć Billa Kalekę.

Pauza. Wyciemnienie.

Przerwa.

Scena 6

Sklep, lato, cztery miesiące później. Na ścianach wisi kilka transparentów reklamujących film „Człowiek z Aran”, wyświetlany w sali parafialnej. Na ladzie leży pudełko ze słodyczami i kamień. Przy ladzie stoi Bartley, który głupawo wydyma wargi i robi różne inne głupie rzeczy, żeby wypełnić czas oczekiwania na powrót Kate. Wchodzi Helen, niosąc kilka tuzinów jaj.

HELEN Na co czekasz?

BARTLEY Poszła poszukać dla mnie „Frip-frapów”.

HELEN Och, ty i te twoje piekielne „Frip-frapy”.

BARTLEY „Frip-frapy” to pyszne cukierki.

Helen układa jajka na ladzie.

BARTLEY Widzę, że przyniosłaś jajka.

HELEN Jakiś ty spostrzegawczy.

BARTLEY Myślałem, że przynoszenie jajek należy do chłopa od jajek.

HELEN Należało do chłopa od jajek, ale dałam mu dziś kopa w tyłek i nie bardzo miał chęć.

BARTLEY Dlaczego kopnęłaś chłopa od jajek?

HELEN Bo coś napomykał, że to ja zabiłam gęś Jacka Ellery i kota Patty Brennan.

BARTLEY Przecież faktycznie to ty zabiłaś kota Patty Brennan i gęś Jacka Ellery.

HELEN No tak, ale jak się wszyscy o tym dowiedzą, to nigdy nie dostanę swojej zapłaty.

BARTLEY A ile masz dostać?

HELEN Osiem funtów za gęś i dziesięć za kota.

BARTLEY Dlaczego kota liczysz drożej?

HELEN Musiałam zapłacić Rayowi Darcy za wypożyczenie siekiery. Widzisz, gęś to mogłam zadeptać. Ale żeby kota ukatrupić, nie wystarczy deptanie.

BARTLEY Deską mogłaś kota ukatrupić, to byś się obeszła bez pożyczania siekiery.

HELEN Chciałam robotę wykonać porządnie, fachowo. Deseczka jest dobra dla dzieci.

Ja bym się deseczką nie zamachnęła nawet na muchę z niebieską dupą.

BARTLEY A czym byś się zamachnęła na muchę z niebieską dupą?

HELEN Niczym. Za załatwienie muchy z niebieską dupą nikt grosza nie da.

BARTLEY Jima Finnegana córka zabiła kiedyś dwanaście dżdżownic.

HELEN O, tak, wystarczyło, że na nie chuchnęła.

BARTLEY Nieprawda, wbiła im w oczy szpilki.

HELEN To dopiero amatorszczyzna. *(po chwili)* Nie wiedziałam nawet, że dżdżownice mają oczy.

BARTLEY Po tym, jak się za nie wzięła Jima Finnegana córka, to już nie.

HELEN Co ten kamień tu robi?

BARTLEY Nakryłem panią Osbourne, jak do niego gada.

HELEN I co mu mówiła?

BARTLEY Mówiła „Jak się masz, kamieniu?” A potem go sobie przyłożyła do ucha, że niby jej ten kamień odpowiada.

HELEN To strasznie dziwne zachowanie.

BARTLEY A potem pytała kamień, jak sobie jej kaleka radzi w Ameryce.

HELEN I co jej kamień odpowiedział?

BARTLEY *(po chwili)* Kamień nic jej nie odpowiedział, bo kamienie nie mówią.

HELEN A ja myślałam, że pani Osbourne odpowiadała głosem kamienia.

BARTLEY Nie, pani Osbourne tylko własnym głosem mówiła.

HELEN Może by jej schować kamień? Ciekawe, czy się załamie nerwowo.

BARTLEY Za bardzo po chrześcijańsku by to nie było.

HELEN Może nie po chrześcijańsku, ale bardzo śmiesznie.

BARTLEY Dajmy sobie spokój z kamieniem pani Osbourne. I tak ma moc utrapień przez to, że się martwi o biednego Billa Kalekę.

HELEN Trzeba by powiedzieć ciotkom Billa, że on jest chory albo nawet umierający, a nie, żeby czekały na list od niego, który i tak nie przyjdzie. Co im po wiadomościach od Babbybobby’ego? A w ogóle, to nic nie wiadomo, może się zdarzyć jakiś cud i się okaże, że Billy wcale w Hollywoodzie nie umarł. Możemy go źle wyliczyli na trzy miesiące. *(po chwili)* Bodajby ten kaleka umarł w tym Hollywoodzie za to, że zajął tam miejsce, co się słusznie należało jakiejś ładnej dziewczynie, a on i tak wiedział, że niedługo wykorkuje.

BARTLEY Ładnej dziewczynie? A co by ładna dziewczyna robiła w roli kaleki?

HELEN Ja bym wszystkim mogła zagrać. Niechby mi tylko dali okazję.

BARTLEY Słyszałem.

HELEN Co żeś słyszał?

BARTLEY Słyszałem, że w Hollywoodzie aż się roi od ładnych dziewczyn. Za to na gwałt potrzebują kalek.

HELEN No i czemu ty bronisz tego kulasa? Nie obiecał ci aby przysłać w paczce „Żelków-melków”, co ich w życiu nie kosztowałeś?

BARTLEY Może biedny Billy umarł, nim zdążył mi wysłać „Żelki-melki”?

HELEN To dobra wymówka, ty tłomoku.

BARTLEY Ale śmierć to jest usprawiedliwienie, że się nie wysłało obiecanych ciasteczek.

HELEN Masz w sobie za dużo wyrozumiałości. Nieraz aż się wstydzę przyznać, że ty i ja to rodzina.

BARTLEY Jak się ma za dużo wyrozumiałości, to nie boli.

HELEN Aha. A może to boli? *(szczypie Bartleya w ramię)*

BARTLEY *(boli go)* Nie.

HELEN *(po chwili)* A to boli? *(robi mu „szczypa z zakrętasem”)*

BARTLEY *(boli go)* Nie.

HELEN *(po chwili)* A to boli? *(bierze jajko i rozbija je na czole Bartleya)*
 BARTLEY *(z westchnieniem)* Lepiej, żebym powiedział, że tak, bo nie wiadomo, co jeszcze wymyślisz.
 HELEN Gdybyś miał trochę oleju w głowie, to byś powiedział, że tak, kiedy cię uszczypnęłam.
 BARTLEY Trzeba mi było powiedzieć, że tak, ale ty i tak byś mi rozbiła jajko na głowie.
 HELEN Tego się już nigdy nie dowiemy.
 BARTLEY Jak masz pod ręką jajka, to już tylko ratuj się kto może!
 HELEN Lubię rozbijać jajka na chłopakach.
 BARTLEY Nawet się tego domyśliłem.
 HELEN A czy ciebie można uznać za chłopaka? Nie jest to aby przesada?
 BARTLEY Zauważyłem, że wcale nie tłuksłaś jajek na Babbybobbym, jak nie chciał twoich całusów.
 HELEN Byliśmy na łódce, o milę od brzegu. Skąd bym jajko wzięła?
 BARTLEY A nie chciał, bo tak jędzowato wyglądałaś.
 HELEN Nie chciał całusów, bo tak się przejął Billem Kaleką, a w ogóle to lepiej uważaj z tym „jędzowatym wyglądem”.
 BARTLEY Jak to jest, że surowe jajka nie śmierdzą, a gotowane śmierdzą?
 HELEN Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi.
 BARTLEY Nie chciał całusów, bo zobaczył, że wyglądasz jak taka żałosna wdowa, co sterczy na skale i stęskniona czeka na powrót kogoś, kto za żadne skarby nie wróci.
 HELEN Strasznie dużo „es” w tym jednym zdaniu.
 BARTLEY Były w nim też obelgi, nie tylko „eski”.
 HELEN Strasznie jesteś zadziorny z tą jajecznicą na głębie.
 BARTLEY Każdy Irlandczyk daje kiedyś odpór ciemierzcom.
 HELEN Kto to powiedział? Michael Collins?
 BARTLEY Jeden z tych tłustych w każdym razie.
 HELEN To co, gramy w wojnę Anglii z Irlandią?
 BARTLEY Nie wiem, jak się w to gra.
 HELEN Stań tam i zamknij oczy. Będziesz Irlandią.
Bartley staje twarzą do niej i zamyka oczy.
 BARTLEY A ty co będziesz robiła?
 HELEN Ja będę Anglią.
Helen bierze z lady trzy jajka i pierwsze rozbija Bartleyowi na czole. Bartley otwiera oczy, żółtko ścieka mu po twarzy, patrzy na Helen ze smutkiem. Helen rozbija mu na czole drugie jajko.
 BARTLEY To nieładnie.
 HELEN Jeszcze nie skończyłam. *(rozbija Bartleyowi na czole trzecie jajko)*
 BARTLEY To bardzo nieładnie, Helen.
 HELEN To była lekcja historii Irlandii.
 BARTLEY Nie potrzebuję lekcji historii Irlandii. *(krzyczy)* W każdym razie nie lekcji jajecznej, jak dopiero co umyłem głowę!
 HELEN Czekają nas gorsze cierpienia niż jajecznicą na głowie, nim się Irlandia znów wybije na niepodległość.
 BARTLEY A mój najlepszy sweter! Popatrz tylko!
 HELEN Jest cały w jajku.
 BARTLEY Wiem, że jest cały w jajku! Dobrze o tym wiem! Miałem zamiar go włożyć jutro na pokaz filmu, ale ty żeś się postarała, żeby mi zrobić wbrew, co?
 HELEN Cieszę się na ten jutrzejszy pokaz.
 BARTLEY Też się cieszyłem na jutrzejszy pokaz, dopókiś mi swetra nie utyłała.

HELEN Myślę, że jutro będę ciskała jajkami na filmie. „Człowiek z Aran”! Mogą mnie gdzieś pocałować! „Dziewczyna z Aran”, albo „Piękna dziewczyna z Aran” – to rozumiem. A nie jakieś tam gówno o głupich facetach, co łowią gówniane ryby.

BARTLEY Czy ty już zawsze i wszędzie musisz ciskać jajkami?

HELEN Dumna jestem z mojego jajczarstwa. Czy ta klempa przyjdzie tu wreszcie zapłacić mi za jajka? (*wołą*) Eee, pani kamieniowa!

BARTLEY Poszła po te moje „Frip-frapy” i przepadła.

HELEN Młodość mi przemija, a ja tu sterczę i czekam na to skąpiradło! Nie będę. Weź, co mi się należy za jajka, i daj po drodze chłopu od jajek.

BARTLEY Dobrze.

Helen wychodzi.

BARTLEY Niedoczekanie twoje, ty zołzo jedna, ty raszplo, ty flądno, ty...

Helen wsuwa głowę.

HELEN I nie daj się wykiwać! Ma ci zapłacić za te cztery, coś potłukł na sobie.

BARTLEY Dobrze.

Helen znów znika.

BARTLEY (*z westchnieniem*) Och, te kobiety.

Z zaplecza wolno wchodzi Kate, jest pogrążona w myślach i dopiero po chwili zauważa Bartleya.

KATE Dzień dobry, Bartley. Co sobie życzysz?

BARTLEY (*po chwili; rozbawiony*) Poszła pani na zaplecze rozejrzeć się za „Frip-frapami”?

Kate pogrąży się w zadumie, potem powoli wraca na zaplecze. Bartley głośno jęczy z bezradnej złości i opiera głowę o ladę. Krótka pauza. Wraca Kate i bierze swój kamień.

KATE Wezmę sobie swój kamień.

Znów wychodzi na zaplecze. Bartley chwytą drewniany tłuczek i rozbija nim wszystkie jajka na ladzie, po czym wychodzi trzaskając drzwiami. Wyciemnienie.

Scena 7

Gdy się rozjaśnia, słychać świszczący oddech Billa. Billy siedzi na krześle w obskurnym hollywoodzkim pokoju hotelowym; wstrząsają nim dreszcze. Przez całą scenę oddychając poświstuje.

BILLY Mamusiu? Chyba nie jestem już dla tego świata, mamusiu. Czyż nie słyszysz z tak wielkiego oddalenia, jak dobiega mnie zew wilkołaków? Wzywają mnie do powrotu na jałową wyspę. Wyspa jałowa, ale jaka dumna, a przy tym hojna, a jednak odwróciłem się od ciebie, by skończyć w samotności w tandetnym hoteliku, bez matki, która by mi zimny pot z czoła otarła, bez ojca, który by przeklinał Boga za moją śmierć, i bez dziewczyny pięknej, która by roniła łzy nad moim martwym ciałem. Ciało martwe, ale jakże szlachetne i nieugięte. Irlandczyk! (*pauza*) Tylko Irlandczyk. Silny duchem, o niezłomnym sercu i mocnej głowie, którego nie załamało sto lat głodu i ucisku! Duch silny, o tak... (*kasze*) ale ciało wątłe i płuca zniszczone, i po prawdzie serce złamane. Przez dziewczynę, która nie poznała prawdy o jego uczuciach, a teraz już pewnie jej nigdy nie pozna. Co mówisz, mamusiu?

Patrzy na arkusz papieru leżący na stole.

BILLY Napiszę do niej, niech pozna moje uczucia. Już późno, mamusiu. Czy nie wystarczy, jak to zrobię jutro?

Wstaje i podchodzi do lusterka po lewej, śpiewa cicho „The Croppy Boy”.

BILLY Żegnaj, ojczu, żegnaj, matko, siostrzo Mario żegnaj też

Jeno wyście mi zostali na tym świecie pełnym łez,

Brat jedyny, co mi został, na Angoli się sposobi.

Potyka się, jest chory, gramoli się na łóżko, dyszy ciężko i patrzy na fotografię na toalecie.

BILLY Mamo, jak jest w niebie? Podobno bardzo tam pięknie, jeszcze piękniej niż w Irlandii, ale jeśli nawet, to uroda tego miejsca nie może się równać z twoją urodą. Ciekaw jestem, czy kaleki do nieba wpuszczają. Moglibyśmy je oszpecić, nie?

Stawia fotografię z powrotem na toalecie.

BILLY I w starej Irlandii chłopczyzna ten zmarł,

I w starej Irlandii jest jego mogiła.

Przechodniu szlachetny, westchnij choć raz,

By łaska boża na niego spłynęła.

Och, mamusiu, kiepsko dzisiaj z moimi płucami. Chyba dobrze mi zrobi, jak sobie pośpię. Bo jutro czeka mnie bardzo dużo roboty na kolei. *(pauza)* Co takiego, mamusiu? Pacierz? Wiem. Jak mógłbym zapomnieć to, czego mnie uczyłaś? *(żegna się)*

Panie,

Do snu ciało me układam,

Prosząc, byś mą duszą władał.

Gdyby sen to był na wieki,

Weź ja, Boże, w swą opiekę.

Gdyby sen to był na wieki... na wieki... proszę Cię, Boże, proszę Cię Boże... *(przez łzy)* Boże, proszę Cię... *(pauza, opanowuje się; uśmiecha się)* Nie martw się, mamusiu, tylko idę spać. Tylko spać.

Billy kładzie się. Oddycha coraz ciężiej i coraz bardziej go boli, aż nagle z westchnieniem milknie. Zamyka oczy, odwraca głowę na bok i leży nieruchomo.

Wyciemnienie.

Scena 8

Sala parafialna pogrążona w półmroku. Bobby i Mammy (z butelką w ręku), Johnny, Helen, Bartley, Eileen i Kate siedzą. Wszyscy patrzą w górę na ekran, gdzie wyświetlany jest film „Człowiek z Aran”. Obraz zbliża się do końca, jego ścieżka dźwiękowa jest albo bardzo cicha, albo wcale jej nie słychać.

MAMMY Co się tam teraz dzieje?

JOHNNY A jak ci się wydaje?

BARTLEY Nie wydaje się pani, że łowią rekina, i to dużego?

MAMMY Naprawdę?

JOHNNY Zamknij się i pij!

MAMMY Dobrze, gęgaczu.

BOBBY Mam nadzieję, że w tej butelce jest tylko woda.

JOHNNY Jasne, że tylko woda. *(pauza)* Mamo, staraj się nie chuchać na Babby-bobby'ego.

MAMMY Dobrze.

JOHNNY I uważaj z tym „gęgaczem”.

BOBBY Czy synalek znowu podkrada pani oszczędności całego życia?

JOHNNY Nigdy w życiu nie podkradałem mamusi oszczędności całego życia. Zdarzało mi się tylko coś tam pożyczyć, i to na krótki termin.

MAMMY W tysiąc dziewięćset czteremastym ten sukinkot pożyczył je sobie na krótki termin.

JOHNNY U mnie to jest krótki termin.

KATE *(po chwili)* Ale duża ryba.

EILEEN To rekin.

KATE Co to jest?

EILEEN Rekin, to rekin!

HELEN Już nie tylko gada pani do kamieni. Zapomniała pani, co to jest rekin?

BARTLEY Rekiny są najczęściej u brzegów Ameryki, całe ławice i czasami pod-
pływają do brzegu tak blisko, że nawet teleskopu nie trzeba, żeby je zobaczyć,
wcale...

HELEN O, Boże, on znowu z tym teleskopem...

BARTLEY Przy brzegach Irlandii bardzo rzadko są rekiny. To pierwszy rekin, ja-
kiego widzę koło Irlandii.

JOHNNY Widać w Irlandii nie jest tak najgorzej, jeśli rekiny chcą tu być.

BARTLEY (*po chwili*) Babbybobby, wcale cię długo nie trzymali na policji za to
ciskanie kamieniami w łeb Johnnypateena. Jakim cudem?

BOBBY Policjant tylko się zaśmiał, jak usłyszał o ciskaniu kamieniami w Johnny'ego.
„Następnym razem walnij cegłówką – powiedział. – Przestań się bawić kamykami”.

JOHNNY Ten policjant sam się prosi, żeby go wywalili ze służby. A już na pewno
o to, żeby rozpowiadać o nim brzydkie rzeczy.

BOBBY I nawet wiadomo, kto się tym zajmie.

JOHNNY Wiecie, że on tłucze żonę pogrzebaczem?

HELEN To pewna wiadomość? Jak ktoś nie tłucze żony pogrzebaczem, to go do
policji nie przyjmą.

BOBBY To bezcelne kłamstwo, że on tłucze żonę pogrzebaczem. (*pauza*) Gumową
rurką ją tłucze.

KATE (*po chwili*) Ani słowa. Ani słowa od niego.

HELEN Kamieniowa znów swoje zaczyna?

EILEEN Tak.

HELEN Hej, pani kamieniowa!

EILEEN Daj jej spokój, Helen, co?

HELEN (*po chwili*) Nigdy nie złowią tego gównianego rekina. Już dobrą godzinę się
z nim wożą.

BARTLEY Aha. Chyba raczej trzy minuty.

HELEN Gdyby mnie w tym filmie dali rolę, tyle czasu by się to nie ciągnęło. Przyło-
żyłabym mu – raz a dobrze i moglibyśmy spokojnie iść do domu.

BARTLEY Siekierą od Raya Darcy'ego byś mu pewnie przyłożyła.

HELEN Daj spokój z siekierą.

BARTLEY Ale chyba znacznie trudniej ukatrupić rekina niż zarząbać kota, nie?

JOHNNY Coż to Johnnypateen słyszy?

Helen chwyta Bartleya za włosy i okręca mu głowę. Johnny coś sobie zapisuje.

HELEN Czekaj no, jak tylko wrócimy do domu... Czekaj no tylko...

BARTLEY To boli, Helen, to boli...

HELEN Jasne że boli. Ma boleć.

BOBBY Zostaw Bartleya, Helen.

HELEN Odpieprz się, Babbybobby. Nie chciałeś moich całusów, tak? Wyjdź ze mną
na dwór.

BOBBY Nie mam ochoty.

HELEN To się zamknij.

BOBBY W każdym razie nie mam ochoty, jakby chodziło o całowanie.

Helen gwałtownie puszcza Bartleya.

JOHNNY Johnnypateen zrobił sobie notateczkę. Jak nic będę miał z tego ćwiartkę
jagnięcia od Patty Brennan albo od Jacka Ellery. Echech...

HELEN Spróbuj tylko to roztrąbić, zanim Jack i Pat mi zapłacą, to będziesz ze skre-
conym karkiem jadł to jagnię.

JOHNNY Aha.

BARTLEY *(po chwili)* Patrzenie, jaki ten gość ma wielgachny nos. *(pauza)* Powiedziałem – patrzcie, jaki ten gość ma wielgachny nos.

KATE Bartley, nie wpadłeś ostatnio do jakiejś dziury, przypadkiem?

BARTLEY Miałem z siedem lat, jak wpadłem do tej piekielnej dziury, nie? Musi mi to pani co roku wywlekać?

HELEN *(po chwili)* Wciąż jeszcze nie złapali tego cholernego rekina! A bo to takie trudne? *(rzuca jajkiem w ekran)*

BOBBY Nie ciskaj więcej jajek na film. Chyba wystarczy te pięć, coś je na początku cisnęła w tę kobiecinę?

HELEN A skąd! Ani razu nie trafiłam jej w głowę. Suka jedna. Wciąż się wierci.

BOBBY W każdym razie zniszczysz prześcieradło chłopca od jajek.

HELEN Prześcieradło chłopca od jaj i tak jest zawsze całe zajajczone.

BARTLEY Skąd wiesz, że jego prześcieradło jest zawsze zajajczone?

HELEN Eee, Jima Finnegana córka mi powiedziała.

MAMMY *(po chwili)* Dlaczego oni nie zostawią tego biednego rekina w spokoju? On nikomu nie wadził.

JOHNNY A co by to była za historia? Kto widział, żeby zostawić rekina w spokoju! Rekin musi być martwy.

BOBBY Właśnie, martwy rekin albo rekin bez uszu.

JOHNNY Tak, martwy rekin albo rekin, którego pocałowała lafirynda z Antrim.

BOBBY Chcesz pasem oberwać, ty, za tę lafiryndę?

JOHNNY Wciąłeś się do mojej i mamusi rozmowy o rekinach.

MAMMY Niechby raz temu rekinowi przyłożyli pasem i dali biedakowi spokój.

JOHNNY Coś ty się tak nagle zakochała w rekinach? Przecież to rekin zjadł tatusia, nie?

MAMMY Tatusia zjadł rekin, ale Jezus kazał przebaczać i zapominać.

JOHNNY Nie rekinom. Wcale nie kazał przebaczać i zapominać rekinom.

BARTLEY *(po chwili)* Od tego trzeba zacząć, że rekiny uszu nie mają.

Pauza. Wszyscy patrzą na niego.

BARTLEY Babbybobby mówił o rekinie bez uszu. *(pauza)* Od tego trzeba zacząć, że rekiny w ogóle uszu nie mają.

JOHNNY Jużśmy skończyli gadać o uszach, ty głąbie.

BARTLEY A o czym jest teraz?

JOHNNY O Jezusie i przebaczeniu rekinom.

BARTLEY No tak, to dopiero temat do rozmowy.

HELEN Zawsze wołałam Poncjusza Piłata od Jezusa. Jezus to mi się zawsze wydawał zarozumiały.

BARTLEY Jezus kiedyś poprowadził tysiąc świń do morza, słyszeliście o tym?

Wszystkie się potopiły. W szkole zawsze się jakoś nad tym prześlizgują.

KATE Nie wiedziałam, że Jezus umiał prowadzić.

HELEN Proszę pani? Ma pani fioła, co? Proszę pani?

KATE Nie, nie mam fioła.

HELEN Właśnie że tak. Pani kamień mi to powiedział.

KATE Co powiedział mój kamień?

HELEN Słyszałeś, Bartley? „Co powiedział mój kamień?”

JOHNNY Jasne że dostała fioła. I trudno się dziwić po tym, jak ten hultaj, co go szesnaście lat wychowywała i kochała, wołał zabrać swoje suchoty do Hollywoodu i tam wykorkować, niż tutaj znosić jej towarzystwo.

Eileen staje z rękami uniesionymi do góry, trzyma je przy skroniach i odwraca się do Johnny'ego; to samo robi Babbybobby.

EILEEN *(porażona)* Co? Co?

JOHNNY Hmm, opla...

Bobby chwytą gwałtownie Johnny'ego i unosi go w górę.

BOBBY Przecież ci mówiłem! Przecież ci mówiłem!

JOHNNY Chyba mają prawo wiedzieć o swoim przybranym dziecku, że umiera, że zadało im cios w plecy wyjeżdżając bez pożegnania?

BOBBY Nie umiesz żadnej tajemnicy dotrzymać?

JOHNNY Johnnypateenmike nie jest od dotrzymywania tajemnic.

BOBBY Na dwór, i to już! Zobaczymy, czy to, co ci zrobię potrafiysz utrzymać w tajemnicy.

JOHNNY Przestraszysz moją mamusię, Bobby, przestraszysz mi mamusię...

MAMMY Nie przestraszysz mnie, Bobby, ani trochę. Przylej mu porządnie.

JOHNNY To był ostatni omlot, jaki jadłaś w moim domu, ty wiedźmo!

MAMMY Omloty z marchwi i tak są niejadalne.

JOHNNY Nie lubisz eksperymentów!

Bobby wywleka Johnny'ego na zewnątrz. Wrzaski Johnny'ego oddalają się. Eileen stoi przed Bartleyem, nadal trzyma ręce przy skroniach.

EILEEN Cóż to powiedział Johnnypateen o...

BARTLEY Czy może mi pani zejść z obrazka. Nic nie widzę.

Eileen przechodzi do Mammy.

HELEN Jakby tam było co oglądać. Kilku kolejnych facetów w okropnych mokrych swetrach!

EILEEN Pani O'Dougal, co takiego powiedział Johnny?

MAMMY *(po chwili)* Suchoty... ponoć twój Billy Kulawiec ma suchoty.

EILEEN Nie...!

MAMMY A w każdym razie miał. Cztery miesiące temu. Tego się Bill dowiedział i dowiedział się też, że tylko trzy miesiące życia mu zostały.

BARTLEY To znaczy, że pewnie będzie już z miesiąc, jak nie żyje. Tak wychodzi z odejmowania. Trzy od czterech.

EILEEN Ach, to tylko plotki Johnnypateenmike'a. Nie wierzę...

MAMMY Jakby to były plotki Johnnypateena, to by nie było czym się przejmować, ale to są wiadomości od Babbybobby'ego. Billy Kulawiec pokazał mu list od doktora McSharry'ego wieczorem przed tym dniem, co popłynęli. Babbybobby w życiu by nie wziął Billa do łódki, tylko że się nad nim ulitował. W końcu jego Annie chyba na to samo umarła?

EILEEN Tak, i w strasznych mękach umierała. Och, Billy Kaleka, a ja go tak wyklinałam za to, że do nas nie pisze. Jak on niby miał pisać?

HELEN Jeśli leżał dwa metry pod ziemią, to mu było piekielnie trudno.

EILEEN Ale... ale doktor McSharry... z pięć albo sześć razy go pytałam i nie mówił, że Billowi coś jest. McSharry mówił, że z Billem wszystko jest w porządku.

MAMMY Na pewno chciał ci nie robić przykrości, tak samo jak wszyscy. *(pauza)* Przykro mi, Eileen.

Helen i Bartley wstają i przeciągają się – film właśnie dobiega końca. Eileen siada cała zapłakana.

HELEN Dzięki Bogu ten gówniany film się skończył. Jedna wielka kupa gówna.

BARTLEY I żadnego teleskopu.

Końcówka filmu nawija się na szpulę i ekran jest już biały. Z tyłu za ekranem zapala się światło i „wyświatla się” na nim sylwetka Billa. Widzi ją tylko Kate, która wstaje i wpatruje się w nią.

MAMMY *(odjeżdżając samodzielnie na wózku)* I co, Helen, złapali w końcu tego rekina?

HELEN To nawet nie był rekin. To był wysoki gość w szarej kurtce.

MAMMY Skąd wiesz?

HELEN A co? W końcu dostał ode mnie kilka całusów, żeby mi dał rolę w następnym filmie, a potem go skopałam, kiedy się okazało, że nieprawdę mi obiecał.

MAMMY I tyle zawracania głowy przez jednego faceta w szarej kurtce?

HELEN Teraz długo już nie zagra żadnego rekina, po tym jak mu spuściłam manto.

Helen i Mammy wychodzą. Bartley stoi i wpatruje się w sylwetkę Billa, którą właśnie zauważył. Eileen, płacząca, stoi do niej tyłem. Kate odsuwa prześcieradło i ukazuje się za nim Bill – cały i żywy.

HELEN (za sceną, woła) Idziesz, ty fuजारo?

BARTLEY Za minutę!

BILLY Nie chciałem wam przeszkadzać podczas filmu.

Eileen odwraca się, dostrzega go. Kate upuszcza swój kamień i rzuca się Billowi na szyję.

BARTLEY Cześć, Billy.

BILLY Cześć, Bartley.

BARTLEY Co, wróciłeś właśnie z Ameryki, tak?

BILLY Tak.

BARTLEY Noo. (pauza) „Żelki-melki” mi przywiozłeś?

BILLY Nie przywiozłem.

BARTLEY Obiecałeś mi, cholera!

BILLY Mieli tylko „Frip-frapy”. (rzuca Bartleyowi paczkę cukierków)

BARTLEY O jejku, „Frip-frapy” też mogą być. Dzięki, kaleko.

KATE Nie umarłeś, Billy, co?

BILLY Nie, ciociu.

KATE To dobrze.

BARTLEY Więc jak to było, Billy? Ten list od doktora sam napisałeś, tak? Żeby

Babbybobby się zgodził zabrać cię swoją łódką, a naprawdę, to nic ci nie jest, co?

BILLY Tak, Bartley.

BARTLEY Jesteś diabelnie sprytny, jak na kalekę. Wziąłeś pomysł z „Biggles goes to Borneo”, nie?

BILLY Nie, sam wymyśliłem.

BARTLEY No bo wiesz, tam było bardzo podobnie.

BILLY I tak sam wymyśliłem.

BARTLEY No toś bardziej sprytny, niż myślałem. Balona żeś zrobił ze wszystkich na Inishmaan. Co do jednego. Wszyscyśmy myśleli, żeś wykorkował. Jak idioci tak myśleliśmy, i ja też żem tak myślał. Fajnie to wykombinowałeś, nie ma co.

EILEEN Nie wszyscy na Inishmaan. Niektórzy myśleli, żeś tylko uciekł, a uciekłeś dlatego, że nie mogłeś znieść widoku tych, co cię wychowały.

BILLY To nieprawda, ciociu. Czy nie dlatego wróciłem, że nie mogłem dłużej znieść rozłąki z wami? Przecież już więcej niż miesiąc temu skończyłem próbne zdjęcia i Amerykanie mi powiedzieli, że dostałem rolę. Czy nie tak? Ale musiałem im odmówić, choćby nie wiem ile mi zapłacili, bo teraz już wiem, że Hollywood to nie jest dla mnie miejsce. Tylko tutaj, na Inishmaan, wśród tych, co mnie kochają i których ja też kocham.

Kate całuje go.

BARTLEY Widać Irlandia to wcale nie najgorsze miejsce na świecie, jeśli kaleki rezygnują dla niej z Hollywoodu.

BILLY Powiem ci, Bartley, że to nie było nic wielkiego zrezygnować z Hollywoodu, a już tym bardziej z tymi głupawymi rzeczami, które mi kazali czytać: „Czyż nie słyszę, jak z oddalenia dobiega mnie zew wilkołaków. Wzywają mnie do powrotu na jałową wyspę”.

Bartley śmieje się.

BILLY „Jestem Irlandczykiem, krucafiks! Mego serca ni ducha nie złamały setki lat uciemnienia...” Kupa gówna. I kazali mi śpiewać „Croppoy Boy”.

KATE Byłby z niego kawał aktora, nie uważasz Eileen?
 BARTLEY Strasznie śmieszne to, co ci kazali mówić. Powtórz to jeszcze raz.
 KATE Wracam do domu, Billy, przewietrzyć ci pokój.
 BARTLEY Zapomniała pani swojego kamienia. Nie chce sobie pani z nim pogadać po drodze?
 KATE Aa, tu go zostawię. Mam teraz swojego Billa. Z nim mogę pogadać.
 BILLY Tak, ciociu.
Kate wychodzi.
 BILLY Ona znowu zaczęła z tymi swoimi cholernymi kamieniami?
 BARTLEY Tak. Gada do nich dniami i nocami, i wszyscy się z niej śmieją. Ja też.
 BILLY Nie wypada śmiać się z cudzego nieszczęścia, Bartley.
 BARTLEY (*zdezorientowany*) Dlaczego?
 BILLY Nie wiem dlaczego. Nie wypada i tyle.
 BARTLEY Kiedy to jest strasznie śmieszne.
 BILLY I tak nie wypada.
 BARTLEY Akurat się z tobą nie zgadzam, ale przywiozłeś mi „Frip-frapy”, więc nie będę się z tobą sprzeczał. Opowiesz mi potem, kulasie, jaka wielka jest ta Ameryka?
 BILLY Tak, Bartley.
 BARTLEY A jak żeś tam był, to żeś widział jakieś teleskopy?
 BILLY Nie.
 BARTLEY (*rozczarowany*) Ooo. A moją ciocię Mary w Bostonie, w Massachusetts? Widziałeś się z nią? Ma takie śmieszne rude włosy.
 BILLY Nie, Bartley.
 BARTLEY Aha. (*pausa*) Ale i tak się cieszę, żeś nie umarł. (*wychodzi*)
 BILLY (*po chwili*) Bartley chce się tylko jednego dowiedzieć – jaka wielka jest Ameryka.
 EILEEN A nie jest?
 BILLY Tak naprawdę jest taka sama jak Irlandia. Pełno w niej tłustych kobiet z brodami.
Eileen podchodzi do Billa i uderza go lekko po głowie.
 BILLY Aaaa! Za co?
 EILEEN Zapomnij o tłustych kobietach z brodami! Co by się straszego stało, gdybyś przez ten czas, co tam byłeś, chociaż jeden list napisał? Nic by się nie stało, byś nie umarł. Ale ty ani słowa. Ani jednego słowa!
 BILLY Och, ciociu, byłem strasznie zajęty.
 EILEEN Byłeś za bardzo zajęty, żeby napisać do swoich cioteczek, które umierały ze strachu, że stało ci się coś złego. Ale nie byłeś za bardzo zajęty, żeby kupować „Frip-frapy” dla tego durnego bęcwała i się popisywać, jaki to jesteś wielki.
 BILLY Kupić „Frip-frapy” to tylko minuta. Czy to jest ekwiwalentne?
 EILEEN Nie zagaduj mnie trudnymi słowami, skoro wiesz, że źle zrobiłeś.
 BILLY „Ekwiwalentne” to nie jest żadne trudne słowo.
 EILEEN Mój wielki i potężny panie Amerykaninie – po mojemu jest.
 BILLY A w dodatku amerykański system pocztowy był jakiś taki okropnie skomplikowany.
 EILEEN To wymówka. Nie myśl sobie, że ja też tak szybko przebaczę i zapomnę. Ona ci przebaczyła i zapomniała tylko dlatego, że od zawsze ma kompletnego kręcka na twoim punkcie. Ze mną ci tak łatwo nie pójdzie!
 BILLY Ciociu, nie bądź taka!
 EILEEN (*wychodząc*) Będę t a k a. Właśnie, że t a k a będę!
Długa pauza. Billy zwiesza głowę. Eileen wtyka głowę z powrotem.
 EILEEN I domyślam się, że chciałbyś na podwieczorek placki kartoflane?
 BILLY Tak, ciociu.
 EILEEN Taaa!

Znów wychodzi. Pauza. Billy patrzy na ekran/prześcieradło, zasuwając je tak, że znajduje się ono w poprzednim położeniu, i stoi przed nim zamyślony, wpatruje się w nie i lekko je gładzi. Z prawej cicho wchodzi Bobby. Billy zauważa go dopiero po chwili.

BILLY Babbybobby. Muszę ci coś wyjaśnić.

BOBBY Nic mi nie trzeba wyjaśniać.

BILLY Ale ja chcę, Bobby. Widzisz, nigdy nie myślałem, że nadejdzie taki dzień, że będę musiał wyjaśniać. Miałem nadzieję, że zniknę na zawsze w Ameryce. I bym tam znikł, gdyby oni mnie tam chcieli. Gdyby mnie tam chcieli do tego filmu. Ale mnie nie chcieli. Jakiegoś blondynka z Fort Lauderdale wzięli zamiast mnie. I to żaden kaleka, ale Amerykanin powiedział, że lepiej wziąć normalnego gościa, co umie zagrać kalekę, niż kalekę, co nic nie umie zagrać. Tylko że powiedział to znacznie dosadniej. *(pauza)* Myślałem, że całkiem dobrze mi idzie to granie. Godzinami ćwiczyłem w pokoju hotelowym. I wszystko na nic. *(pauza)* Ale w każdym razie spróbowałem. Musiałem spróbować. Musiałem się stąd wyrwać. Babbybobby. Za każdą cenę, tak jak tatuś i mamusia, musiałem się stąd wydostać. *(pauza)* Kiedy tu byłem, często myślałem, żeby pójść i się utopić, tylko po to... tylko po to, żeby już przestali się ze mnie śmiać, i żeby mi nie dokuczali, i żeby już skończyć z tym ciągłym kuśtykaniem do lekarza i kuśtykaniem z powrotem, i wertowaniem w kółko tych samych książek, i wyszukiwaniem nowych sposobów, żeby jakoś przeżyć jeszcze jeden dzień. Jeszcze jeden dzień kpinek, poklepywania mnie po głowie, jakbym był jakimś debilem. Większa sierota. Więjski kaleka, i tyle. Tu jest więcej takich kalek jak ja, czy nawet gorszych, tylko że tego kalectwa z zewnątrz nie widać. *(po chwili)* Ale rzecz w tym, Babbybobby, że ty nie byłeś jednym z nich, i to nigdy. Ty masz dobre serce. Myślę, że dlatego tak łatwo cię nabrałem na ten list o suchotach, ale przez to było mi tak przykro, że cię wtedy nabrałem i przez to jest mi tak przykro teraz. Tym bardziej że cię nabrałem na coś, na co umarła twoja żonka. Po prostu pomyślałem, że to lepiej podziała. Ale na dłuższą metę pomyślałem, albo miałem nadzieję, że to lepiej, jeśli dasz się na chwilę oszukać, niż żebym ja ze sobą skończył, bo może gniew ci przejdzie i będziesz wolał dalej być oszukiwany. Nie miałem racji, Babbybobby? Powiedz, nie miałem racji?

Bobby wolno podchodzi do Billa, staje tuż przed nim i z rękawa wysuwa ołowianą rurkę.

BOBBY Tak. *(unoszą rurkę)*

BILLY Nie, Bobby, nie...

Billy zasłania się przed ciosami rurką.

Wyciemnienie. Słychać okrzyki bólu Billa i zadawane raz po raz ciosy.

Scena 9

W sklepie. Późno wieczorem. Doktor opatruje pobitą, pokrwawioną twarz Billa. Kate jest przy ladzie, Eileen przy drzwiach, wygląda na zewnątrz.

EILEEN Johnnypateenmike już lata po całej wyspie z nowiną, że Billy do nas wrócił.

KATE To dzień bogaty w nowiny.

EILEEN Ma bochen chleba w ręce i pod każdą pachną jagnięcy udziec.

KATE Wrócił Billy, Babbybobby poszedł do więzienia, a Jima Finnegana córka do klasztoru. To już największa niespodzianka ze wszystkich.

EILEEN Siostrzyczki muszą mieć mało chętnych, jeśli przyjęły Jima Finnegana córkę.

KATE Siostrzyczki musiały obniżyć kryteria.

BILLY A dlaczego Jima Finnegana córka by nie miała iść do klasztoru? To tylko plotki, że Jima Finnegana córka jest puszczalska.

DOKTOR Nie. Jima Finnegana córka jest puszczalska.

BILLY Naprawdę?

DOKTOR Tak.

BILLY Skąd pan wie?

DOKTOR Możesz mi wierzyć na słowo.

EILEEN Przecież to doktor, nie?

BILLY (*po chwili*) Po prostu nie lubię, jak się o kimś plotkuje. Tych plotek o mnie mam już potąd.

DOKTOR Większość z nich to twoja własna robota, nie? Jak sfałszowałeś listy ode mnie? Jeszcze mi za to odpowiesz.

BILLY Przepraszam za te listy, panie doktorze, ale czy ja miałem jakąś alternatywę?

EILEEN Słyszałaś? Teraz z kolei ma „alternatywy”!

KATE Jak wracają z Ameryki, zawsze rzucają mądrymi słowami.

EILEEN Alternatywy. Bo ja wiem.

BILLY Ciociu Kate, ciociu Eileen, pan doktor pewnie napiłby się herbaty. Może byście mu zrobiły herbatki?

EILEEN Chcesz, żebyśmy sobie poszły, to powiedz wprost.

BILLY Tak, chcę, żebyście sobie poszły.

Eileen patrzy na niego przez chwilę i obie, nadąsane, wychodzą na zaplecze.

DOKTOR Nie powinieneś tak się do nich odzywać.

BILLY One potrafią tak w kółko bez przerwy.

DOKTOR Wiadomo, jak to kobiety.

BILLY Pewnie tak. (*pauza*) Powie mi pan coś, panie doktorze? Jaka była moja mamusia i mój tatuś? Pamięta pan?

DOKTOR Dlaczego pytasz?

BILLY Aaa, bo jak byłem w Ameryce, to często sobie o nich myślałem, co by robili, gdyby tam dopłynęli. Bo to tam chcieli dopłynąć tej nocy, kiedy utonęli, no nie?

DOKTOR Podobno. (*pauza*) Jeśli ich dobrze pamiętam, to nie byli zbyt sympatyczni. Tatuś był starym ochlapusem i rozrabiaką. Bez przerwy rwał się do bicia.

BILLY Podobno mamusia była piękna.

DOKTOR Gdzie tam! Szpetna była okropnie.

BILLY Naprawdę?

DOKTOR Tak, nawet świnia by się jej przestraszyła. Chociaż w sumie, mimo tego wyglądu, była dość miła. Za to chuch miała taki, że z nóg zwałało.

BILLY Podobno tatuś stłukł mamusię, jak mnie pod sercem nosiła, i przez to jestem, jaki jestem.

DOKTOR Jesteś, jaki jesteś, przez chorobę. Wcale nie przez bicie. Nie dramatyzuj.

Billy kaszle, w płucach mu poświstuje.

DOKTOR Wciąż ci świszczesz w płucach, jak widzę.

BILLY Tak, wciąż mi trochę świszczesz.

DOKTOR Coś ci długo nie przechodzi to świstanie. (*przez stetoskop słucha oddechu Billa*) Od wyjazdu jest teraz lepiej czy gorzej? Wciągnij powietrze.

BILLY Może żdziebko gorzej.

Doktor przykłada stetoskop do pleców Billa.

DOKTOR Ale z krwią nie kaszlesz, co?

BILLY Jest odrobinka krwi. (*pauza*) Od czasu do czasu.

DOKTOR Wydech. Od czasu do czasu, to znaczy – jak często?

BILLY (*po chwili*) Prawie codziennie. (*pauza*) To suchoty, prawda?

DOKTOR Będę ci musiał zrobić badania.

BILLY Ale wygląda na suchoty?

DOKTOR Wygląda na suchoty.

BILLY (*cicho*) Zbieg okoliczności.

Johnny wchodzi bezszelestnie – podśluchiwał pod drzwiami. W ręku ma bochen chleba, a pod pachami po baraniam udźcu. Tak będzie do końca sceny.

JOHNNY Więc to w końcu suchoty, co?

DOKTOR Och, Johnnypateen, czy ty nigdy nie przestaniesz podsłuchiwać pod drzwiami?
JOHNNY Panie, zlituj się. Głowę dam, że te suchoty zesłał pan Bóg za to, że Billy powiedział, że ma suchoty, chociaż wcale suchot nie miał, i przez to wyglądało, że Johnnypateen roznosi nieprawdziwe wiadomości.

DOKTOR Pan Bóg nie zsyła na ludzi gruźlicy.

JOHNNY Pan Bóg zsyła na ludzi gruźlicę.

DOKTOR Wcale nie.

JOHNNY A nie zesłał na Egipcjan wrzodów, które były tak samo okropne?

DOKTOR Wrzody to zupełnie coś innego niż gruźlica, Johnnypateen, a w ogóle to wcale nie zesłał na Egipcjan wrzodów.

JOHNNY W czasach egipskich.

DOKTOR Nie, Johnny.

JOHNNY Ale coś im zrobił, tym pieprzonym Egipcjanom!

BILLY Zabił im pierworodnych synów.

JOHNNY Zabił im pierworodnych synów i zesłał na nich plagę żab. No, chłopak zna Pismo Święte. Czy cioteczki już wiedzą, że masz gruźlicę?

BILLY Nie, nie wiedzą, i masz im tego nie mówić.

JOHNNY Mam obowiązek im powiedzieć.

BILLY Wcale nie masz obowiązku im mówić, a w ogóle to jak na jeden dzień chyba ci wystarczy nowin. Choć raz w życiu mógłbyś mi zrobić przysługę?

JOHNNY Raz w życiu, tak? (*wzdycha*) No to im nie powiem.

BILLY Dziękuję ci, Johnnypateen.

JOHNNY Johnnypateen ma dobre serce, chrześcijańskie.

DOKTOR Słyszałem, Johnnypateen, że dzisiaj, podczas filmu, połeś swoją mamę bimbrem.

JOHNNY Nie mam pojęcia, skąd ona wystraszyła ten bimber. Sam pan wie, że to wcielona diablina.

DOKTOR A gdzie jest teraz twoja mama?

JOHNNY W domu. (*pauza*) Leży sobie na dole przy schodach.

DOKTOR I co ona tam robi przy tych schodach?

JOHNNY Ano nic, leży sobie. Jest jej całkiem dobrze. Ma piwko.

DOKTOR A jakim cudem znalazła się na dole przy schodach?

JOHNNY Ano zleciała z nich! Normalnie.

DOKTOR I tak ją tam zostawiłeś?

JOHNNY A co, mam obowiązek ją podnosić?

DOKTOR Właśnie tak!

JOHNNY Co to, innych zajęć nie miałem? Może nie musiałem podzielić się ze wszystkimi nowinami? Czy ja nie mam nic lepszego do roboty jak zbierać mamuszkę z podłogi? Nie widzi pan tych dwóch udźców i tego bocheneczka na dodatek? To wielki dzień!

Doktor, wstrząśnięty, pakuje swoją czarną torbę, gdy tymczasem Johnny podziwia swoją zdobycz.

DOKTOR Billy, idę do Johnny'ego do domu, sprawdzić, czy jego matka żyje, czy umarła. Wpadniesz do mnie jutro na te badania?

BILLY Tak, wpadnę.

Nie przestając wpatrywać się w Johnny'ego, Doktor wychodzi. Johnny siada przy Billu.

JOHNNY Mamusia wcale nie leży na podłodze przy schodach. Po prostu nie mogę ścierpieć tego nudziarza.

BILLY Ale ładnie się nie zachowałeś.

JOHNNY Za to ty, Kaleko, się najlepiej znasz na ładnym zachowaniu, co?

BILLY Raczej nie bardzo.

JOHNNY I co się wielkiego stało? Rób, co chcesz, i chraźń wszystko. To zasada Johnnypateenmichaela.

BILLY Słyszałeś, co doktor McSharry mówił o mojej mamusi – jak podsłuchiwałaś pod drzwiami?

JOHNNY Troszeczkę.

BILLY I co? Prawdę powiedział?

Johnny wzrusza ramionami.

BILLY No tak, na ten temat zawsze trzymasz gębę na kłódkę, chociaż o wszystkim innym, czy jak chodzi o awanturę o gęś, czy jak jakiś facet molestuje kozy, kłapiesz dziobem jak najęty. Usta ci furkoczą, jak liście kapusty od wiatru.

JOHNNY O, właśnie, awantura o gęś – słyszałeś najnowszą nowinę?

Billy wdycha.

JOHNNY Wszyscy myśleliśmy, nie, że Jack Ellery i Patty Brennan skoczą sobie do oczu przez tę zabita gęś i zarąbanego kota, ale wiesz co? Jeden dzieciak widział ich dziś rano w stodole, jak się całowali do nieprzytomności. Nic już z tego nie rozumiem. Całują się, a przecież wcale się nie lubią.

BILLY *(po chwili)* Zmieniłeś temat, Johnny.

JOHNNY Jestem bardzo dobry w zmienianiu tematów. A jaki był temat? Aha, twoja mamusia i tatuś, co się utopili.

BILLY Czy jak powiedział McSharry, byli naprani?

JOHNNY Wcale nie byli naprani.

BILLY Nie? Ale i tak mnie zostawili, jak wypłynęli.

Eileen wraca z kubkiem herbaty.

EILEEN Przyniosłam doktorowi herbatę.

BILLY Doktor poszedł.

EILEEN I nawet się nie napił herbaty?

BILLY Ewidentnie.

EILEEN Tylko nie zaczynaj mi tu znowu rzucać mądrymi słowami.

JOHNNY Chętnie wypiję doktorową herbatę, jeśli dzięki temu unikniemy kłótni rodzinnej.

Eileen daje mu herbatę.

JOHNNY Johnnypateen aż wychodzi ze skóry, żeby ludziom pomóc, a pani nie ma aby jakichś herbatniczków?

BILLY Znowu zmieniasz temat, co?

JOHNNY Nie zmieniam tematu. Chcę herbatnika.

EILEEN Nie mamy herbatników.

JOHNNY Głowę dam, że macie furę herbatników. Co tam trzymacie za puszkami z groszkiem?

EILEEN Puszki z groszkiem.

JOHNNY Zamawiacie za dużo groszku. Przecież nikt nie będzie zagryzał herbaty groszkiem. Chyba że ma popieprzone w głowie. *(poprawia sobie udziec pod pachą)* A przecież nikt nie powie, że Johnnypateen ma popieprzone w głowie. O nie.

BILLY Johnnypateen. Moja mamusia i tatuś. Jak wypłynęli.

EILEEN Och, to stare dzieje, Billy. Daj sobie z tym spokój...

JOHNNY Jak chłopak chce usłyszeć, to niech usłyszy. W końcu jest już dorosły i dosyć się najeździł po świecie, żeby usłyszeć.

EILEEN Chyba mu nie powiesz, co?

Johnny patrzy na nią przez chwilę.

JOHNNY Na plaży ich spotkałem, w ten wieczór, stali i gapili się w czarną przestrzeń, fale ryczały i w ogóle bym się nad tym nie zastanawiał, gdyby nie to, że zobaczyłem worek pełen kamieni, który przywiązali sobie do rąk, kiedy dźwignę-

li go na łódź. Wielki, stary, jutowy worek, jak ten tam. Potem podali mi ciebie i zaczęli wiostłować.

BILLY Więc jednak zabili się przeze mnie?

JOHNNY Zabili się, to prawda, ale nie przez to, co myślisz. Myślisz, że dlatego, że chcieli od ciebie uciec?

BILLY A jak nie, to dlaczego?

JOHNNY Powiedzieć mu?

Eileen kiwa głową.

JOHNNY Tydzień wcześniej się dowiedzieli, że umrzesz, jeśli cię nie oddadzą do szpitala i nie zaczniesz brać różnych leków. Ale to leczenie miało kosztować ze sto funtów. A oni tych stu funtów nie mieli. Wiem, że wiesz, że na twoje leczenie, na uratowanie cię, poszły pieniądze z ich ubezpieczenia na życie. Wykupili polisę właśnie tego dnia, kiedy ich spotkałem na plaży.

BILLY *(po chwili)* Więc to dla mnie się zabili?

JOHNNY Pieniądze z polisy wypłacono w tydzień później, i nie minął miesiąc, jak cię wypuścili ze szpitala.

BILLY Więc jednak mnie kochali mimo wszystko?

EILEEN Nie, Billy, kochali cię ze względu na wszystko.

JOHNNY I czyż to nie jest nowina?

BILLY To jest nowina, to jest wspaniała nowina. Dziękuję ci, Johnnypateen.

Podają sobie ręce; Billy siada.

JOHNNY Proszę cię bardzo, Kaleko.

BILLY Billy.

JOHNNY Billy. *(pauza)* No, to lecę do domu, do mamusi. Jeśli dobrze poszło, to jak się doktor zjawił, była już martwa i wyjdzie na to, że na nas obu spadły dziś dobre nowiny. *(pauza)* Pani Eileen, czy nie ma pani jakiegoś wynagrodzenia dla Johnnyn'ego za dzisiejszą dobrą nowinę, wynagrodzenia, co by nie było zielonym groszkiem?

EILEEN Mam „Żelki-melki”.

JOHNNY *(patrzac na paczkę)* A to – co to jest takiego?

EILEEN To są karmelkowe żelki.

JOHNNY *(po chwili zastanowienia)* To ja chyba dziękuję.

Johnny wychodzi, długa pauza.

BILLY Trzeba mi było to powiedzieć.

EILEEN Nie wiedziałam, jak to przyjmiesz.

BILLY I tak trzeba mi było powiedzieć. Prawda jest zawsze nie tak straszna, jak się wydaje.

EILEEN Przepraszam, Billy.

Billy pozwala jej się przez chwilę przytulić.

BILLY I przepraszam, że powiedziałem do ciebie „ewidentnie”.

EILEEN A jest za co, żebyś wiedział. *(z uśmiechem uderza go lekko w twarz)*

Wchodzi Helen.

EILEEN Dzień dobry, Helen. Co ci podać?

HELEN Nic. Przyszedłam tylko zobaczyć rany Billa. Podobno są głębokie.

BILLY Cześć, Helen.

HELEN Strasznie głupio wyglądasz w tym wszystkim.

BILLY Pewnie tak. Coś okropnie szumi, ciociu; to czajnik się zagotował? Na zapleczu?

EILEEN Co? Nie. Aha. Tak. *(wychodzi na zaplecze)*

Helen odchyła bandaż, żeby obejrzeć rany.

BILLY Trochę boli, wiesz, jak tak szarpiesz.

HELEN Oj, nie bądź taka cholerna baba. Jak było w Ameryce?

BILLY Dobrze, całkiem dobrze.

HELEN A widziałeś tam dziewczyny takie ładne jak ja?

BILLY Ani jednej.

HELEN Albo prawie takie ładne jak ja?

BILLY Ani jednej.

HELEN Albo chociaż ze sto razy mniej ładne niż ja?

BILLY No, może kilka.

Helen trąca go mocno w twarz.

BILLY (*obolały*) Aaaa! Nie, ani jednej.

HELEN Uważaj, Billy. Radzę ci, uważaj!

BILLY Musisz do wszystkiego używać siły?

HELEN Muszę, żeby mi nikt nie zrobił krzywdy. Dlatego muszę.

BILLY Przecież od siódmego roku życia nikt ci krzywdy nie zrobił.

HELEN Już prędzej od szóstego. Jak miałam sześć lat, podbiłam oko wikaremu.

BILLY To może byś sobie trochę odpuściła. Spróbuj może być miłą dziewczyną.

HELEN Masz słuszną rację, mogłabym spróbować. A następnego dnia mogłabym wsadzić sobie sprychnę w tyłek. (*pauza*) Właśnie straciłam pracę u chłopca od jajek.

BILLY Dlaczego straciłaś pracę u chłopca od jajek?

HELEN Wiesz, co ci powiem? Ni cholery nie wiem dlaczego. Może przez to, że jestem taka niepunktualna. Albo przez to, że mu potłukłam wszystkie jaja. Albo że co i raz dawałam mu porządnego kopa. Ale nikt nie powie, żeby to były poważne powody.

BILLY No nie, nikt tak nie powie.

HELEN Albo przez to, że mu żonę oplułam. Też nikt nie powie, że to poważny powód.

BILLY Dlaczego oplułaś żonę chłopca od jajek?

HELEN Och, po prostu jej się należało. (*pauza*) A w ogóle to jeszcze nie dałam ci kopa za to, że zająłeś miejsce w Hollywoodzie, co się słusznie mnie należało.

W końcu musiałam pocałować czterech reżyserów w Inishmore, żeby sobie zająć miejsce, co ty je w końcu dostałeś, chociaż nikogo ani razu nie całowałeś.

BILLY Przecież w Inishmore był tylko jeden reżyser. Ten Flaherty. I ani razu cię przy nim nie widziałem.

HELEN W takim razie kogo ja całowałam?

BILLY Myślę, że głównie chłopców stajennych, co potrafili mówić z amerykańską.

HELEN Dranie jedno! Nie mogłeś mnie chociaż uprzedzić?

BILLY Chciałem cię uprzedzić, ale wyglądało na to, że się świetnie bawisz.

HELEN Chłopcy stajenni dobrze całują, to prawda. Pewnie bym nawet z którymś z nich chodziła, gdyby nie to świńskie łajno, którym zajeżdżają.

BILLY Więc z nikim teraz nie chodzisz?

HELEN Nie.

BILLY (*po chwili*) Mnie nikt nigdy nie pocałował.

HELEN Jasne, że cię nikt nigdy nie pocałował. Pocieszy kaleka z ciebie.

BILLY (*po chwili*) To śmieszne, będąc w Ameryce próbowałem myśleć, za czym bym tęsknił, gdybym musiał w Ameryce zostać. Czy bym tęsknił za widokami? Za kamiennymi ogrodzeniami, za miedzami, za zielenią i za morzem? Nie. Za tym bym nie tęsknił. Czy bym tęsknił za jedzeniem? Groszek, pyry, groszek, pyry, groszek i pyry? Nie, za tym bym nie tęsknił. Czy bym tęsknił za ludźmi?

HELEN Długo jeszcze będziesz tak gadał?

BILLY Już prawie skończyłem. (*pauza*) Przy czym to ja byłem? Zbiłaś mnie z tropu...

HELEN „Czy bym tęsknił za ludźmi?”

BILLY Czy bym tęsknił za ludźmi? No, za ciotkami bym tęsknił, albo bym trochę tęsknił za ciotkami. Nie tęskniłbym za Babbybobbym i jego gazurką, ani za Johnnypateem i jego nowinami. Ani za wszystkimi chłopakami, co się ze mnie w szkole naśmiewali, ani za dziewczynami, co, jak tylko do nich zagadałem, to zaraz beczały. Jak tak pomyślę, to gdyby Inishmaan jutro zapadła się w morze, a wszyscy mieszkańcy wyspy potonęli, to za nikim bym bardzo nie tęsknił. Za nikim, tylko za tobą.

HELEN (*po chwili*) Byś tęsknił za krowami, na które się gapisz.

BILLY Z tymi krowami to wszyscy przesadzają. A ja prowadziłem do tego...

HELEN To ty do czegoś prowadziłeś?

BILLY Tak, ale bez przerwy mi przerywasz.

HELEN No to prowadź dalej.

BILLY Prowadziłem do... że każdego w życiu nachodzi taka chęć, by wziąć serce w swoje ręce i czegoś spróbować. I chociaż wie, że ma tylko jedną szansę na milion, że dostanie to, czego pragnie, to i tak próbuje. Bo inaczej po co w ogóle żyć? Więc się zastanawiałem, Helen, czy kiedyś, jak nie będziesz za bardzo zajęta... to może... wiem, że jestem niewyględny, ale myślałem sobie, zastanawiałem się, czy byś może zechciała kiedyś się ze mną umówić na spacer wieczorem. Wiesz, za tydzień albo za dwa?

HELEN (*po chwili*) A po co bym się miała umawiać z kaleką? Co by to był za spacer? Szuranie jakiegoś, nie spacer, bo ty chodzić nie potrafisz. Bym musiała co chwila stawać i czekać na ciebie.

BILLY Dla towarzystwa.

HELEN Dla towarzystwa?

BILLY I...

HELEN I?

BILLY I po to, żebyśmy byli jak zakochani.

Helen patrzy na niego przez sekundę, a potem cicho, powoli zaczyna się śmiać. Chichocze, wstaje i zmierza do drzwi. Przy drzwiach odwraca się, jeszcze raz patrzy na Billa, znów wybucha śmiechem i wychodzi. Billy stoi ze wzrokiem wbitym w podłogę; z zaplecza cicho wchodzi Kate.

KATE Zresztą, to nie jest miła dziewczyna, Billy.

BILLY Słuchałaś, ciociu?

KATE Nie słuchałam. No, dobrze, słuchałam, tak troszkę słuchałam. (*pauza*) Zaczekaj, aż się pojawi jakaś naprawdę miła dziewczyna. Dziewczyna, której twój wygląd nie będzie przeszkadzał, która potrafi zobaczyć twoje serce.

BILLY Ciociu, a jak ja długo będę czekał, aż się taka dziewczyna pojawi?

KATE Wcale nie tak długo. Może z rok, albo dwa. Góra pięć.

BILLY Pięć lat...

Billy kiwa głową, oddycha poświstując i wychodzi na zaplecze. Kate zaczyna porządkować wszystko w sklepie przed zamknięciem. Wchodzi Eileen i pomaga jej w tych czynnościach. Od czasu do czasu w wnętrza domu dochodzi pokasywanie Billa.

EILEEN Dlaczego Billy ma taką smętną minę?

KATE Billy zaprosił Narwaną Helen na przechadzkę, a Helen powiedziała, że już prędzej by poszła spacerować z małpą, co ma ćwierć mózgu.

EILEEN Nie posądzałam Narwanej Helen o takie barwne określenie.

KATE Ciut je podbarwiłam.

EILEEN Tak myślałam. (*pauza*) Nie dla psa kiełbasa. Billy nie powinien tak wysoko mierzyć.

KATE Billy powinien mierzyć znacznie niżej.

EILEEN Już lepiej, żeby się nastawiał na szpetne dziewczyny. Szpetne i głupie, a dopiero potem mierzył coraz wyżej.

KATE A tak naprawdę to Billy powinien pojechać na Antrim. Tam by sobie coś znalazł. *(pauza)* Ale Billy pewnie nie gustuje w szpetnych i głupich pannach.

EILEEN Więc się go nie zadowoli, tego naszego Billa.

KATE Ano nie.

EILEEN *(po chwili)* Nie słyszałaś, co tu Johnnypateen naopowiadał, jak to tatuś i mamusia Billa przywiązali sobie do rąk worek pełen kamieni i się utopili, żeby uratować Billa za swojej polisy.

KATE Och, te bajdy Johnnypateena. Kiedy to właśnie biednego Billa do tego worka włożyli i byłby tam dotąd na dnie morza, gdyby Johnnypateen nie popłynął i go nie wyratował. A potem doprowadził swojej mamusi sto funtów, żeby zapłacić za jego leczenie w szpitalu.

EILEEN Powinnyśmy kiedyś opowiedzieć Billowi prawdę.

KATE Ta historia by tylko Billa zasmuciła i tyle.

EILEEN Tak myślisz? Jeszcze jest mnóstwo czasu, żeby mu to opowiedzieć.

KATE Tak.

Kończą zamykanie sklepu; Eileen zamyka drzwi na klucz, Kate przykręca lampę.

KATE Pierwszy raz od wielu miesięcy porządnie się wyśpię.

EILEEN Wiem. Skończyłaś już te swoje głupoty z kamieniami?

KATE O tak. To mnie dopada tylko, jak się dużo martwię, i wiesz, wiem że ja to dobrze ukrywam, ale strasznie się martwię o Billa, jak jest gdzieś daleko.

EILEEN Ja też się strasznie martwię, jak Billy jest gdzieś daleko, ale staram się nie mieszać do tego kamieni.

KATE Zapomnijmy o kamieniach. Nasz Billy znów jest z nami.

EILEEN Billy znów jest z nami. I to na dobre.

KATE Wrócił na dobre.

Uśmiechają się i trzymając się pod rękę wychodzą na zaplecze. Po chwili z zaplecza wchodzi Billy, pociągając nosem; podkręca płomień lampy naftowej; w świetle ukazują się jego podbiegnięte krwią oczy i mokre od łez policzki. Cichutko zdejmuje ze ściany worek, wkłada do niego puszkę z groszkiem, aż worek staje się ciężki, i przywiązuje go sobie do nadgarstka. Zrobiwszy to, zastanawia się przez moment, a potem człapie do drzwi. Słychać stukanie do drzwi. Billy ociera policzki, chowa rękę z workiem za drzwiami, a następnie je otwiera. Helen wtyka głowę.

HELEN *(kategorycznie)* No już dobra, pójdę się z tobą przejść, ale tylko gdzieś, gdzie nas nikt nie zobaczy, i po ciemku, i nie zgadzam się na żadne całusy ani obłapianie, bo nie chcę, żebyś mi popsuł reputację.

BILLY Aha, no dobrze.

HELEN W każdym razie nie będziemy się dużo migdalić.

BILLY Może być jutro?

HELEN Skąd! Nie może być jutro. Przecież jutro są urodziny Bartleya.

BILLY Naprawdę? I co masz dla niego?

HELEN Mam dla niego... w głowę zachodzę, dlaczego mu to kupiłam. I tak gada o tym jak najęty, aż mu pięścią w zęby przywalę i nawet wtedy pewnie nie przestanie... W każdym razie kupiłam mu teleskop.

BILLY To strasznie ładnie z twojej strony.

HELEN Widać z wiekiem łagodnieję.

BILLY Też tak myślę.

HELEN Naprawdę?

BILLY Tak.

HELEN (*wstydliwie*) Naprawdę, Billy?

BILLY Tak.

HELEN Aha! Myślisz, że złagodniałam, tak? (*szturcha go palcem w zabandażowaną twarz*)

BILLY Nie, nie, wcale nie!

HELEN No to dobra. Zobaczmy się pojutrze, na tej cholерnej przechadzce.

BILLY Dobrze.

Helen całuje Billa, puszcza do niego oko i wychodząc zamyka za sobą drzwi. Billy stoi oniemiały, potem przypomina sobie o worku, który ma przywiązany do ręki. Pauza. Odwiązuje worek, odstawia puszki na półki i odwiesza worek na ścianę; gładzi go przez moment. Kuśtyka w stronę zaplecza, uśmiecha się, ale zatrzymuje się przed wyjściem. Kaszle mocno, zasłaniając ręką usta. Gdy kaszel ustaje, odejmuje rękę od ust i patrzy na nią przez chwilę. Jest pokryta krwią. Uśmiech Billa gaśnie. Billy przykręca lampę i wychodzi na zaplecze.

Wyciemnienie.

© Copyright 1997 by Martin McDonagh.

MARTIN MCDONAGH

(ur. w Londynie 1970)

Jako dziecko irlandzkich emigrantów mieszkających w Londynie, ale wciąż utrzymujących bliskie relacje z pierwszą ojczyzną, Martin McDonagh jest autorem zakotwiczonym w dwóch kulturach – irlandzkiej rodziny, z której się wywodzi, i stolicy Wielkiej Brytanii, w której się wychował. Stąd też dwoistość jego twórczości – bliskie są mu doświadczenia realistycznego dramatu brytyjskiego ostatnich trzech dekad dwudziestego stulecia, ale także twórczość klasyków dramatu irlandzkiego, w szczególności Yeatsa i Synge’a. Jednak McDonagh nie tyle kontynuuje rozwiązania swoich poprzedników, ile – poprzez ich stylistyczne, często wręcz pastiszowe powtórzenie – poddaje krytycznej analizie. Podstawowe pytanie stawiane w tych eksperymentach (nie tylko formalnych, bo McDonagh często bierze na warsztat także tematy najchętniej opisywane przez największych twórców z zielonej wyspy) dotyczy możliwości uwolnienia się od tradycji i jej krytycznej oceny. Jest to pytanie o rolę kulturowych stereotypów dziś.

W kluczowej dla jego twórczości *Trylogii z Leenane* (1996-1999) z jednej strony słycać echo językowych (zwłaszcza poetyckich i gwarowych) poszukiwań Yeatsa, z drugiej zaś strony zostają one zderzone z doświadczeniem współczesnego McDonaghowi języka brutalistów. W pierwszej części tego cyklu, *Królowej Piękności z Leenane*, powraca, znana z twórczości Synge’a i Friela, analiza relacji między wartościami społecznymi a rodzinnymi i indywidualnymi, ale przedstawiona jest ona z bezpośredniością graniczącą z groteskowym przerysowaniem. W ten porządek wpisuje się także drukowany w tej antologii *Kaleka z Inishmaan* (1997), w którym McDonagh – pisząc o jednym bohaterze – pyta między innymi o wiarygodność i zasadność „zirlandczenia” sposobu obrazowania problemu całego współczesnego społeczeństwa irlandzkiego. W ten sposób historia zatacza koło, bowiem to, co było postulatem fundatorów współczesnego dramatu irlandzkiego (stylistyczna i tematyczna definicja irlandzkości), zostaje podane przez McDonaghę w wątpliwość.

„Dialog” drukował *Kalekę...* w numerze 5/1998, a rok później polską prapremierę tego utworu w Teatrze Powszechnym w Warszawie przygotowali Agnieszka Glińska i Władysław Kowalski.

Conor McPherson

TAMA

Przełożyła Klaudyna Rozhin

OSOBY:

JACK, po pięćdziesiątce
BRENDAN, po trzydziestce
JIM, po czterdziestce
FINBAR, grubo po czterdziestce
VALERIE, po trzydziestce

Rzecz dzieje się współcześnie, w irlandzkiej wiosce, może to być w Northwest Leitrim albo w Sligo. Na scenie: wnętrze małego, wiejskiego pubu.

Na lewo: lada baru z trzema kranikami do piwa. Butelki z alkoholami nie są podwieszane, stoją na półce. Przy barze trzy wysokie stolki.

Na prawo we wnęce: żeliwny piecyk. Obok niski stolik, dokoła niego stolki. Tuż przy piecyku duży, wygodny fotel. Na przodzie sceny jeszcze jeden stolik, przy nim jeden lub dwa stolki.

Na tylnej ścianie stare, czarno-białe fotografie: ruiny opactwa, grupa ludzi pozujących przy nowo wybudowanej tamie, miasteczko w kotlinie otoczonej wzgórzami. Stary telewizor umocowany w rogu pod sufitem. Na półeczce za barem mały odbiornik radiowy.

Drzwi na prawo stanowią główne wejście do baru. Drzwi z tyłu prowadzą do toalet i na podwórze.

Bar jest częścią domu będącego częścią farmy.

Drzwi na prawo otwierają się. Wchodzi Jack. Ma na sobie za duży garnitur i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Na garnitur narzucił brudną ortalionową kurtkę. Zdejmuje ją i wieszka na wieszaku na drzwiach. Energicznie wyciera buty o wycieraczkę.

Przechodzi za bar, bierze szklankę, odkręca kranik i próbuje nalać sobie guinnessa. Nic nie leci. Próbuje jeszcze raz – bez skutku. Zagląda pod ladę. Odwraca się, bierze z półki butelkę piwa i otwiera ją niewprawnie. Nalewa piwa do szklanki i stawia na

barze, żeby się ustąpiło. Odwraca się do kasy, którą otwiera pewnym ruchem. Bierze leżący obok cennik, który studiuje, włożywszy na chwilę okulary. Wkłada pieniądze, bierze resztę.

W tym samym czasie otwierają się tylne drzwi. Wchodzi Brendan. Ma na sobie sweter, spodnie z grubego sztruksu, na nogach – klapki. W ręku wiaderko z brykietami torfu. Podchodzi do piecyka, nie zatrzymując się, by przywitać się z Jackiem.

BRENDAN Jack.

JACK Brendan. *(podnosząc szklankę)* Co z guinnessem?

BRENDAN *(dokłada brykietów do ognia)* Nie wiem. Coś z ciśnieniem. Beczka niby nowa...

JACK A ten od harpa działa?

BRENDAN Działa.

JACK No to czego nie zamienisz, żeby się mógł człowiek porządnego piwa napić?

BRENDAN A co z tymi, co piją harpa?

JACK *(drwiąc)* A kto pije harpa?

BRENDAN Facet ma przyjść rano naprawić. Weź sobie butelkowe.

JACK Wziąłem. *(pauza)* I nie powiem, żebym się specjalnie z tego cieszył.

Śmieją się.

BRENDAN Nie marudź.

JACK *(pije)* Ohyda. Dobrze na robaki.

BRENDAN No to dla ciebie jak znalazł.

Śmieją się. Pauza. Brendan prostuje się, wyciera ręce.

BRENDAN Wieje.

JACK Wieje.

BRENDAN Ciężko ci było iść.

JACK *(wychodzi zza baru)* No. Całą drogę w twarz. Dopiero za wzgórzem zelżało.

Brendan przechodzi za bar. Porządkuje, wyciera szklanki.

BRENDAN Z północy idzie, zaraza.

JACK Mm. Ale nie zimny wcale.

BRENDAN Ano nie. Dość ciepły nawet. *(pauza)* Dość ciepły.

JACK Byłeś dziś w Carrick?

BRENDAN Nie, dziś nie. Siostry przyjechały. Na inspekcję.

JACK Doglądają swego.

BRENDAN A tak! Same, kurna, nie wiedzą, czego chcą! Tylko tak, żeby... no, wiesz.

JACK Żeby cię trochę podenerwować.

BRENDAN A żebyś wiedział. *(pauza)* Chcą, żebym sprzedał to pole na wzgórzu.

JACK Za często go nie używasz.

BRENDAN Ano nie. Za duży kłopot. Pędzić stado pod górę. Ale one patrzą na to pole i jedno, co widzą, to nowe fury dla swoich mężusiów.

JACK Mm. A czy ty im czasem nie robisz na złość? Co?

BRENDAN A gdzie tam! Ja tylko tak... To ładne miejsce... Zresztą, sam nie wiem...

Krótką pauza.

JACK Przyjechały na cały dzień?

BRENDAN Nie. Najpierw zatrzymały się w Carrick na lunch. Tu dotarły gdzieś koło drugiej. Wyłuszczyły jasno, o co im idzie i o wpół do piątej już ich nie było.

JACK Nie mają przywiązania do tego miejsca, co?

BRENDAN Ano nie. Rozglądają się dookoła i tylko... Aaa! Sam wiesz.

Śmieją się przez chwilę.

BRENDAN Szkoda gadać.

JACK Mmm.

BRENDAN A ty byłeś w Carrick?

JACK Byłem. Tylko na chwilę. Zajechałem gdzieś koło jedenastej, zrobiłem szybki zakładzik, a potem spotkałem Jimmiego i poszliśmy na jedno małe.

BRENDAN Co u niego? Jak się mama czuje?

JACK Jimmy, jak to Jimmy. Ma wpaść dziś wieczorem. On to ma nosa! Wygraliśmy jedenaście do czterech.

BRENDAN Nauczyłeś się słuchać, co?

JACK A żebyś, kurna, wiedział. Nic mi ostatnio nie szło. Już całkiem nie wiedziałem, co robić. Każdego bym posłuchał.

BRENDAN Daj sobie z tym spokój.

JACK Co to, to nie. Nie zawsze się udaje, to prawda, ale dziś dobrze mi poradził i się udało. Przerwałem złą passę.

BRENDAN Jesteś nałogowiec.

JACK (*śmieje się*) Bywają gorsi.

BRENDAN Pewnie tak.

JACK Słuchaj no, powiem ci, co mi Jimmy mówił. Chyba że już wiesz. O domu Maury Nealon.

BRENDAN Nie wiem.

JACK No więc Jim mówi, że spotkał Finbara w spożywczym, i ten powiedział, że wreszcie udało mu się ten dom sprzedać czy wynająć. Ile to lat stał pusty?

BRENDAN Ze cztery czy z pięć?

JACK Jim mówi, że pięć będzie w tym miesiącu. Finbar mało się nie zesra, jaki to interes zrobił. Sam się po plecach klepie, taki z siebie zadowolony, i opowiada o tej nowej lokatorce. Mówi, że niezła kobitka. Samotna. Z Dublina i te rzeczy. Prawie już żonę zostawia, żeby z tą nową szczęścia spróbować. Tak tylko bajeruje. Ale ma ją tu wieczorem przyprowadzić na drinka. Bo tu jej najbliższej od Maury. Zapoznać ją z miejscowymi.

BRENDAN Stary zbereźnik. Nie życzę sobie, aby w moim pubie takie się rzeczy działy. Żonaty chłop!

JACK Eee tam! Mocny to on jest w gębie. Nie miałby odwagi. Przyszpanować chce i tyle. Wiesz, w czym rzecz. Że to on z nią przychodzi. Właśnie on. On będzie z nią, może nie w tym sensie, w jakim by chciał, ale zawsze. On ją tu przyprowadza. Do nas: do ciebie, do mnie, do Jimmiego. Do nas – samotnych kawalerów. On, żonaty. I mówi: Patrzcie! Coś z wami widać jest nie tak. Kawalery, a żaden panny nie umie tu sprowadzić. A ja, proszę! Stateczny chłop, żonaty, a się opędzić nie mogę.

BRENDAN Taak. Takie dupki jak on zawsze się tak zachowują. „Chamstwo i brak manier.”

JACK Szczeniactwo i tyle. Wiesz co?

BRENDAN Mmm.

JACK Niechby sama przyszła.

BRENDAN Jasne. Tak by było lepiej. Miałoby to, kurna, większy sens.

JACK Wszystko jedno... (*krótka pauza*) Tak właściwie to nie wiem, czy zostanie.

BRENDAN Mmm.

Pauza. Jack kończy piwo i stawia szklanę na barze.

JACK Jeszcze jedno.

Brendan bierze szklanę i nalewa mu kolejną butelkę.

JACK Nie chcę zostawiać Jimmiego. No wiesz. Na pastwę Finbara Macka i jego wielkich interesów.

Śmieją się przez chwilę.

BRENDAN Niech mnie... Już widzę, jak Jimmy z Finbarem o męskich sprawach gada.

JACK Nigdy nie wiadomo. Jimmy ma tu (*pokazuje na głowę*) więcej oleju niż się wszystkim wydaje.

BRENDAN Kto mówi, że nie ma?

JACK No.

BRENDAN Dobrze wiemy, że ma.

Jack odlicza pieniądze i kładzie je na barze.

JACK Daj mi jeszcze paczkę silk cutów, Brendan.

BRENDAN Czerwonych?

JACK Czerwonych.

Brendan kładzie papierosy na barze.

JACK Bóg zapłać.

Pauza. Jack czeka, aż Brendan skończy liczyć pieniądze.

JACK Zgadza się?

BRENDAN Prawie. Dzięki.

JACK Na zdrowie.

Bierze dużego łyka. Pauza.

JACK Wiem, że nie lubisz, jak o tym mówię, ale ja będę mówił, aż do skutku.

BRENDAN O czym?

JACK Nie udawaj, że nie wiesz.

BRENDAN Aha.

JACK Taki młody chłopak. A i tu by się przydała kobieca ręka.

BRENDAN A wiesz, że czasem sobie o tym myślę.

JACK Myśleć nie wystarczy.

BRENDAN Ty lepiej na siebie popatrz, zamiast mnie pouczać.

JACK A daj ty mi spokój. Ja już za stary jestem na takie rzeczy!

BRENDAN Raz byś posłuchał mądrzejszego.

JACK Iii tam! Ja jestem wolny człowiek i dobrze mi z tym!

BRENDAN I mnie też!

Pauza.

JACK Może i masz rację. Nie ma to jak stan kawalerski.

BRENDAN Ano nie ma.

Pauza.

JACK Cokolwiek by gadać.

BRENDAN Mmm. *(pauza)* Mmm.

JACK Na zdrowie.

BRENDAN Na zdrowie.

Jack bierze dużego łyka. Otwierają się drzwi wejściowe, wchodzi Jim. Zdejmuje kurtkę, pod którą ma elegancki sweter zapinany z przodu na guziki. Jack udaje, że go nie widzi.

JACK *(puszcza oko do Brendana)* Tak, tak, Brendan, czekaj cierpliwie, a i do ciebie się los uśmiechnie. Ja dzisiaj miałem swój dzień. Szepnąłem Jimmiemu, na co postawić – i proszę! Wygraliśmy. Powinien mnie częściej słuchać.

JIM Zacznę sobie chyba potrącać procent za każdą podpowiedź.

JACK O, James! Czego się napijesz?

JIM To cię nauczy wdzięczności. Przydałoby mu się, nie Brendan? Dla mnie whisky.

BRENDAN Jedna whisky.

JACK Słyszałeś, Brendan? Jimmy będzie mnie wdzięczności uczył!

BRENDAN Zapomnij, Jimmy. Nie ma szans.

JACK Dobrze mówi. Nie ma szans... Wiatr ustał?

JIM Nie. Ale przynajmniej ciepły.

JACK Właśnie mówiliśmy.

BRENDAN Ciepły. Chociaż z północy.

JIM Z zachodu.

BRENDAN Coś ty?

JIM No. Z zachodu wieje.

JACK Musiało się odkręcić.

JIM Mmm.

Pauza. Jim podchodzi do baru.

JIM Dzięki.

JACK Na zdrowie.

JIM Na zdrowie.

BRENDAN Na zdrowie.

JACK (*odlicza pieniądze, kładzie je na barze*) Zgadza się?

Brendan liczy pieniądze i popycha jedną monetę w stronę Jacka.

BRENDAN (*zgarbiając resztę pieniędzy*) Teraz się zgodza. Co ty, za dużo masz, że rozdajesz?

JACK Jakoś mi się tak... (*do Jima*) Robisz coś jutro?

JIM O której?

JACK Muszę pojechać do Conora Bolanda. Coś mu traktor nawala. No i ten wrak ojca Donala stoi już od wtorku. Powiedziałem, że zmienię olej, ale nie miałem kiedy. Może byś wpaść mu to zrobić, to ja wtedy skoczę do Bolanda.

JIM Najwyżej rano, bo potem matkę odwożę do Sligo.

JACK Kiedy ci tam pasuje.

JIM W porządku. Jeszcze po jednym?

JACK Dla mnie nie. Ale ty się nie krepuj.

JIM (*do Brendana*) Dla mnie duże. (*do Jacka*) Ty dziś na butelkowym?

Brendan bierze szklankę, nalewa Jimowi duże piwo z działającego kranika.

JACK Kuracja odwykowa.

JIM Co?

BRENDAN Kranik się spieprzył.

JIM No bo już zacząłem sobie myśleć: co on, kurna, zgłupiał czy jak?

BRENDAN A kto go tam wie. Może chłopu odbiło i teraz już tylko butelkowe będzie pił.

(do Jacka) Nie, Jack?

Jack siada, wzdychając ciężko. Jim i Brendan śmieją się. Pauza. Jack kręci głową.

BRENDAN Jak się ma mamusia?

JIM Jak zwykle.

JACK Muszę wpaść ją odwiedzić. Ciągłe sobie obiecuję.

JIM (*tonem: nie ma pośpiechu*) Zapraszamy – jak będziesz miał wolną chwilę.

BRENDAN No i co, myślałeś już, co zrobisz?

JIM Z czym?

BRENDAN Z domem i ze wszystkim. Jak zostaniesz sam.

JIM Siedział będę, jak siedzę. A gdzie mi tam wędrować? Gadałem z Finbarem Mackiem. Mógłbym dostać dwadzieścia koła za wszystko – jakby dobrze poszło. Daleko z tym nie zawędruję. (*krótka pauza*) No nie?

JACK Z ziemią?

JIM Tak, za wszystko... Za wszystko.

JACK A co, tu ci źle czy jak? Robota zawsze jakaś podejdzie.

JIM Niby racja.

JACK Nie ma to jak na swoim.

Pauza.

BRENDAN Jack mówił mi o Finbarze. I tej nowej, jak jej tam....

JIM Mmm, tak. Ode mnie usłyszał.

JACK Akurat!

JIM Widziałem ją.

BRENDAN Coś ty?

JIM Tak. W samochodzie Finbara. Jechali w stronę klifów.

Jack i Brendan wymieniają spojrzenia.

BRENDAN A niech mnie!

JACK Myślałby kto, że para zakochanych albo co.

JIM Pokazuje jej okolice.

JACK O Jezu! „Okolicę”. Ten idiota!

JIM W Carrick wszyscy już mają ich na językach.

JACK Co on, kurwa, kombinuje?

JIM Ona jest nowa. To jedyny pub w okolicy.

JACK (*kręcąc głową*) Daj spokój, Jim. Sama potrafiłaby znaleźć drogę.

BRENDAN No nie wiem. Jeśli to biznes albo taki „akt... dżentelmeństwa”, to nie ma sprawy, niech mu tam. Ale jak się za tym kryją jakieś kombinacje, to ja się zdaję na was. Mnie tu zza baru nie wypada się wtrącać. Wy się z nim rozmówcie.

JACK Po to tu jesteśmy.

JIM To pewnie nic takiego.

Krótką pauza.

JACK Ile ona może mieć lat, Jim?

JIM Czy ja wiem? Widziałem ją tylko przez chwilę. Może mieć... (*pauza*) trudno powiedzieć, byli w samochodzie. Gdzieś koło trzydziestki. Bardzo ładna.

Pauza.

JACK Miastowa.

JIM Z Dublina.

Krótką pauza.

BRENDAN Nikogo tu nie ma w okolicy?

JIM Nie... Tak sobie przyjeżdża, no wiecie.

JACK Mmm. (*pauza*) Taak.

JIM No to zdrowie. (*pije*)

JACK Na zdrowie. (*pije*)

BRENDAN Zdrowie, chłopaki.

JACK Jeszcze tydzień czy dwa, a zaczną się zjeżdżać Niemcy.

BRENDAN Mmm. Będę miał co robić wieczorami.

JACK Nie myślałeś, żeby dać jedno z pól na kemping?

BRENDAN Eee.

JACK To na wzgórzu.

BRENDAN Za bardzo odsłonięte. Okropny wygwizdów.

JIM A wiesz, co mógłbyś zrobić? Paść owce na górze, a kemping zrobić tu na dole.

BRENDAN Eee tam. (*krótka pauza*) Szwaby i tak przyliżą. Nie trzeba im kempingu urządzać. Sam wiesz, jak to z nimi jest.

JIM Ano wiem.

JACK Zawsze by ci parę groszy wpadło.

BRENDAN Dość mam roboty i bez tego!

JIM Wystarczy, że się tu będą pętać całe lato.

BRENDAN Niech Finbar kempingi urządza. On jest w tym dobry.

JACK Finbar! Ten to nie przepuści okazji, żeby zarobić.

Śmieją się.

BRENDAN Oj tak, oj tak. Biedaczek. Nie przelewa mu się.

JACK Mmm.

Pauza.

BRENDAN Jakby człowiek miał tu te... rodziniki na wakacjach. Te dzieciaki i cały chłam. To by na nowo docenił piękno życia... Jak zaczęliby wyjeżdżać. Teraz wydaje ci się, że jest cicho. Ale wtedy to by cię ta cisza, stary, pora-kurwa-ziła. (*krótka pauza*) No nie?

Pauza.

JACK Mmm.

JIM Whisky, Jack?

JACK Czemu nie?

JIM Dwie whisky, Brendan.

BRENDAN Sie robi.

Nalewa. Jim kładzie pieniądze na barze.

JACK Napijesz się z nami?

BRENDAN Tak się właśnie zastanawiam: napić się czy nie.

JACK Napij się. Co ci zależy.

BRENDAN A niech tam. *(nalewa sobie szklaneczkę whisky)*

JACK To rozumiem. *(kładzie pieniądze na barze)* Nie przelewa mu się, co? *(śmieją się)*

Hmm.

Wyjmuje papierosy.

JACK Jim?

JIM Dzięki, Jack. *(bierze jednego)*

JACK Brendan?

BRENDAN Papieroski?

JACK Pał, to na zdrowie.

BRENDAN *(bierze jednego)* A niech tam.

Wszyscy odpalają papierosy od jednej zapalki, którą zapala Jack. Przez chwilę zaciągają się w milczeniu.

JIM *(podnosząc szklanke)* No to na rozgrzewkę.

JACK Na rozgrzewkę. Zdrowie.

BRENDAN Zdrowie.

JIM Zdrowie.

Piją.

JACK Dobrze.

JIM Słyszycie samochód?

Pauza.

BRENDAN Nie.

JIM To Finbar.

Pauza.

JIM Zaparkował.

JACK Nie widziałem świateł.

JIM Wyjechał z za wzgórza.

Słychać głos Finbara.

FINBAR *(zza sceny)* Bywały czasy, że cała okolica się tu schodziła.

JACK No to mamy...

Drzwi otwierają się, wchodzą Finbar i Valerie.

FINBAR Dotarliśmy.

Ma na sobie kremowy garnitur i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Valerie ubrana jest w dżinsy i sweter. W ręku trzyma żakiet.

FINBAR Panowie. Pozwólcie, że wam przedstawię. To jest Valerie. Valerie wprowadziła się właśnie do starego domu Maury Nealon.

JACK *(podaje jej rękę)* Jack.

VALERIE Valerie.

FINBAR To jest Jack Mullen. Jack ma warsztat, tam za wzgórzem.

VALERIE Miło mi.

JACK *(kłania się lekko)* Mnie też.

FINBAR To jest Jim Curran. Pracuje u Jacka.

Valerie i Jim podają sobie ręce.

VALERIE Miło mi.

JIM Mnie też.

FINBAR A to jest Brendan. Brendan Byrne.

VALERIE Miło mi.

Podają sobie ręce.

BRENDAN Mnie też.

FINBAR To jego pub. I cała ziemia, którą ci pokazywałem. Wszystko, hen, aż za tamto wzgórze. To jego farma.

VALERIE Ach tak. Bardzo tu pięknie.

BRENDAN Ano ładny kawałek ziemi... na spacerzy czy coś. W dół klifów.

FINBAR Taak. Malownicza okolica. Czego się napijecie?

BRENDAN Nie, nie. Ja stawiam. Co kto pije? Finbar?

FINBAR Jak tak, to dla mnie duży harp.

Jack patrzy na Finbara. Finbar odpowiada mu skinieniem głowy.

FINBAR Jack.

JACK Finbar.

BRENDAN Co dla ciebie, Valerie?

VALERIE Eee. Dla mnie może... jeśli macie... kieliszek białego wina.

Pauza.

BRENDAN *(wychodząc)* Pójdę poszukać na górze.

VALERIE Oj nie, nie. Proszę nie robić sobie kłopotu.

BRENDAN Żaden kłopot. Gdzieś powinienem mieć butelkę. *(wychodzi)*

FINBAR Przyniesie pewnie jakiegoś sikacza, co mu jeszcze ze świąt został!

JACK Wina to się tu u nas za często nie pija.

VALERIE No to teraz już mi jest całkiem głupio.

FINBAR Co się przejmujesz? Siedź tu sobie i nic się nie stresuj. W ogóle uwagi nie zwracaj na tych wieśniaków.

JACK Znalazł się miastowy. Jeszcze nie tak dawno co wieczór tu z nami pił.

FINBAR *(puszcza oko)* To zazdrość z nich wyłazi, Valerie. Że pojechałem do miasta robić pieniądze. A oni siedzą na tym zadupiu i drapią się po tyłkach.

JACK Specjalnie żeś się nie dorobił. Wystarczyło zajrzeć do testamentu starego Finbara.

FINBAR Jaki tam testament? Inwestycje, chłopie. Dobre inwestycje.

JACK Pewnie sobie słono policzył za tę Maury chałupę.

VALERIE Muszę powiedzieć, że wręcz przeciwnie.

FINBAR Dobra dziewczyna.

VALERIE Tu w okolicy ceny nie są chyba zbyt wygórowane, prawda?

FINBAR Raczej nie. Wiesz...

Krótką pauza.

JACK Dużo tam do roboty?

FINBAR Nic prawie.

VALERIE Parę desek w podłodze trzeba by wymienić. Ściany pomalować.

JACK *(wskazując na Jima)* To jest twój człowiek. Wszystko zrobi. Prawdziwa złota rączka.

VALERIE Naprawdę?

JIM Wpadnę, zobaczę co tam trzeba. Znam ten dom.

FINBAR Tylko żebyś tam za dużo sobie nie zaśpiewał, pamiętaj.

JIM Dobra, dobra.

Brendan wraca z butelką wina.

FINBAR Ulgowa taryfa się dziewczynie należy... Po sąsiedzku.

JIM Dobra.

JACK Słyszeliście go? „Po sąsiedzku”. Pół, kurwa, miasta tak „po sąsiedzku” wykupił. Za pół darmo!

FINBAR Pół miasta! *(puszcza oko do Valerie)* Całe miasto! Trzeba umieć robić interesy.

JACK Interesy!

FINBAR *(do Brendana)* Ile to lat stało? Schowane w kredensie?

BRENDAN *(otwierając butelkę korkociągami)* Oj, długo... musiałem je dostać w prezencie czy coś... *(patrzy na naklejkę)* Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt. Dobry rocznik, co? *(śmieją się)* Chyba się jeszcze nadaje?

VALERIE Na pewno. I tak nie poczułabym różnicy.

Patrz, jak Brendan otwiera butelkę. Nalewa pełną szklanę, podnosi do światła, wacha.

BRENDAN Chyba dobre.

FINBAR A dajże się wreszcie kobiecie napić. Widzisz, że język jej na brodę wylał.

Patrz, jak Valerie bierze szklanę.

VALERIE Dziękuję.

Patrz, jak pije.

VALERIE Znakomite. Nie żartuję. Naprawdę, pyszne.

FINBAR To dobrze.

BRENDAN Włożę butelkę do lodówki, żeby się trochę schłodziło. *(wkłada)*

Pauza. Finbar posyła Valerie pokrzepiające spojrzenie.

FINBAR *(do Jacka i Jima)* Jak tam dziś wam poszło, chłopaki?

JACK A idź tam! Jak mogło pójść? Z nim? Jedenaście do czterech było. Zeszło do sześciu do czterech.

FINBAR Na Ognistą Piękność stawialiście?

JACK Taa. Kenny, ten sukinsyn. Tylko obczai, na co stawiamy, i zaczyna machloje robić.

JIM *(wskazując na Jacka)* Gdyby on mnie tylko chciał słuchać!

JACK Ej tam!

FINBAR Bo on taki honorny, widzisz Jimmy. Nie przyzna się, że mu coś podszeptać trzeba.

JACK *(z powagą)* Ja tam mam... swoje metody. I swoje zasady. Jimmy, owszem, nie powiem, czasem ma nosa. Nie zawsze, Valerie, ale czasem. Czasem nasz Jimmy ma nosa.

FINBAR Czasem?! *(do Valerie)* Jimmy ma zawsze rację!

Brendan stawia piwo na barze.

FINBAR Dzięki. *(sięga do kieszeni w poszukiwaniu pieniędzy)*

JACK Nie zawsze.

Brendan odmawia gestem ręki.

FINBAR Dzięki, stary. *(do Valerie)* Zawsze.

JACK Co innego mieć nosa, a co innego mieć „opinię” czy jak mu tam... Jimmy wie, o czym ja mówię, bośmy nie raz o tym rozmawiali. On ma, proszę ja was, naukowe podejście. Bada, zastanawia się. Bo i, bez obrazy, ma na to czas. Studiuje, proszę ja ciebie, Valerie. Ja mu tam nie mam za złe, bo niby czemu? Ty grasz na wyścigach?

VALERIE Nie.

FINBAR Dobra dziewczyna.

JACK On to... Jimmy, ile tak przez miesiąc wyciągasz na koniach?

JIM Różnie to bywa, Jack. Zależy, czy... no wiesz...

JACK Ostatnio ile wygrałeś? Wtedy w Cheltenham?

JIM Dwieście dwadzieścia.

JACK I co ty na to, Valerie? Dwieście dwadzieścia funtów. W trzy dni. Tak?

JIM No tak, ale...

JACK Wiem, wiem. Taka wygrana nie zdarza się co dzień. Do tych wyścigów w Cheltenham przygotowywał się całe tygodnie. Ślęczał nad tymi cyferkami, główkował... Tutaj, na barze, zeszyt rozłożył i obliczał. Pamiętasz, Brendan?

BRENDAN Pewnie że pamiętam.

JACK No właśnie. Ale ja jestem inny. Stawiam, na co mam ochotę, i się nie przejmuję.

Raz się wygra, raz się przegra, na tym cała zabawa polega. I nie mam zamiaru słuchać, jak mi ktoś mówi: „Zrób tak czy tak, to wygrasz”, tylko po to, żeby wpadło parę groszy. Bo wtedy nie ma zabawy. A rzecz w tym, żeby była zabawa.

FINBAR Rzecz w tym, żeby wygrać parę groszy, a nie ciągle wtapiać.

JACK Kto ciągle wtapia? Może ty, bo ja nie. Tu rzecz nie jest w tym, żeby mieć naukowe podejście. Rzecz w tym, żeby mieć farta, a nie wyliczać i kombinować.

FINBAR O Jezu! To co, padacie z Kennym na kolana i klepicie kilka szybkich zdrowasiek przed każdym zakładem?

JACK Wcale nie! Nie o to mi, do cholery, chodzi!

FINBAR To o co? Jimmy ci odpowiedział, wygrafeś, więc o co ci, do diabła, chodzi?
(*do pozostałych*) Nie?

JACK Niby tak, ale... posłuchaj...

Pozostali śmieją się i nie dają Jackowi dokończyć, uznając, że Finbar wygrał „pojedynek”.

JACK Słuchajcie no, to wam powiem! Nie mam żadnego systemu i czasem zdarza mi się przegrać parę groszy. To prawda. Wtedy słucham, co Jimmy radzi i znów mam za co stawiać na ślepo przez następnych parę tygodni. (*śmieją się*) A samemu też zdarzyło mi się wygrać z raz czy dwa. Zapamiętajcie sobie. Raz czy dwa.

BRENDAN Eee tam! Kto by tam w to uwierzył!

JACK Poważnie mówię.

FINBAR To chyba jeszcze za czasów Czerwonej Strzały albo innych takich...

JACK (*na boku do Valerie*) My się tak czasem lubimy podrażnić.

FINBAR Kto co pije? Jim?

JIM Eee... Dla mnie whisky.

FINBAR Jack? Whisky? Piwko? Z butelki? Ty, dziś widzę, na butelkowym?

JACK Kranik spieprzony.

FINBAR Jak zwykle.

JACK Whisky niech będzie.

FINBAR To rozumiem. Valerie?

VALERIE Ja dziękuję na razie.

FINBAR Na pewno? Może dolać?

VALERIE Nie, nie. Naprawdę.

FINBAR Pewna jesteś?

VALERIE Tak. Dziękuję.

FINBAR (*wznosi ręce w geście rezygnacji*) Trudno. Nie będę zmuszał. No to... trzy whisky, Brendan. Dla ciebie?

BRENDAN (*nalewając*) Tak się właśnie zastanawiam: napić się czy nie.

JACK Wypijesz, co masz nie wypić. Finbar stawia. Trzeba korzystać. Nie wiadomo kiedy się taka okazja powtórzy. No już! Co się zastanawiasz! Patrz, jaki wściekły, że i tobie musi kupić.

FINBAR (*do Valerie*) Mam nadzieję, że nie słuchasz tych bzdur, Valerie.

JACK Finbar to nam do tej pory co najwyżej wodę z kranu stawiał.

JIM I to tylko na Boże Narodzenie.

Śmieją się.

FINBAR Przychodzę tu pierwszy raz od nie wiem jak dawna, przyprowadzam ze sobą uroczą młodą damę i tak się mnie traktuje? A naszego Jimmiego to nie poznaję! Coś mu się bardzo język wyostrzył: „Na Boże Narodzenie”...

Brendan stawia drinki na barze.

FINBAR A ja im jeszcze, jak ten głupi, drinki stawiam! Coś tu jest nie tak. Co o tym sądzisz, Valerie?

VALERIE To straszne!

FINBAR To okropne! (*podaje Brendanowi dwudziestofuntowy banknot*) Zbyt często to dwudziestek tu nie widzisz. Jak masz takich klientów jak oni. Na zdrowie, chłopaki.

JACK (*do Brendana*) Sprawdź, czy nie fałszywe. Na zdrowie.

JIM Zdrowie.

BRENDAN Na zdrowie.

VALERIE Wasze zdrowie.

JACK Jak ty z nim wytrzymałaś tę przejażdżkę po okolicy?

VALERIE Nie mówił tak dużo.

JACK To teraz widzisz, jaki jest naprawdę. I założę się, że wolisz to poprzednie wcielenie. Myśmy go nigdy takim nie widzieli. Milczący Finbar. To chyba tylko jak śpi.

VALERIE Było bardzo przyjemnie, opowiadał mi o historii tej okolicy.

JACK „O historii okolicy!” Pewnie wymyślał na oczekaniu.

FINBAR No jasne, Jack. Te wszystkie zdjęcia to też kant. Sam je zrobiłem, specjalnie, żeby nabrać Valerie.

VALERIE (*podchodząc do fotografii*) To tutaj, niedaleko?

FINBAR (*podchodząc do fotografii*) Tak. To tama. Kiedy to było robione, Brendan?

BRENDAN Eee. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

FINBAR Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy. Wybudowali tę tamę, żeby uregulować rzekę i zasilić Carrick i okolice. (*do Brendana*) To twój ojciec tutaj.

BRENDAN Uhm. Twój ojciec też tam jest.

FINBAR A rzeczywiście! Przyjrzyj się, Valerie. To stary Finbar. A to ojciec Brendana, Paddy Byrne. W dniu otwarcia. Pamiętasz, Brendan? To było wydarzenie.

BRENDAN No.

VALERIE (*do Finbara*) Podobny jesteś do swojego ojca. (*do Brendana*) A ty wcale.

FINBAR Brendan podobny jest do matki. A teraz... zagadka: kto to jest ten w szortach?

VALERIE Ty?

FINBAR No przestań! Ten wielki łeb na pajęczych nóżkach? To Jack!

VALERIE Niemożliwe! Ile miałeś wtedy lat, Jack?

JACK A tak gdzieś z siedem.

VALERIE Nigdy bym nie powiedziała, że to ty.

FINBAR Żartujesz chyba! Ten barani łeb to bym w nocy o północy poznał. Fotograf chciał go nawet do domu odesłać, bo za mało było miejsca na zdjęciu. Prawda, Jack?

JACK No, no. A tu twój ojciec, prawie wlaźł do obiektywu.

FINBAR Mój ojciec był filarem całej wsi. Nikt na niego nigdy złego słowa nie odważył się powiedzieć. Chyba że takie półgłówki jak ten tu. (*wskazuje na Jacka*)

JACK Święta racja, Finbar. Pozwolisz, że ja oddalę się na chwilkę. Mam małą sprawę pod filarem.

Wychodzi tylnymi drzwiami.

FINBAR Beznadziejny przypadek.

VALERIE Gdzie to zdjęcie było zrobione?

BRENDAN To panorama Carrick. Z mojego pola na wzgórzu.

VALERIE Pięknie.

FINBAR To chyba jeden z najładniejszych widoków w okolicy, nie Brendan?

BRENDAN Chyba tak.

JIM Pewno że tak.

FINBAR W lecie wszyscy Niemcy z kempingu zasuwiają tam na górę.

VALERIE Wcale im się nie dziwię.

FINBAR Lecą na górę, bo to, rozumiesz, „punkt widokowy”. Taak. Kiedyś mówiono... ludzie gadali, że na tym polu zbierają się wróżki. Tam w ruinach starego... fort to chyba był, co Brendan?

BRENDAN Ano taki fort.

FINBAR Niemcy uwielbiają takie rzeczy.

BRENDAN I krąg drzew... wiecie, no taki...

FINBAR Pamiętacie tę historię o ścieżce wróżek... Kto to opowiadał?

BRENDAN Zaczekajcie no na Jacka, on zna te wszystkie historie.

FINBAR Tego to ci u nas nie brak, Valerie. Każda piędź ziemi ma w sobie tajemnicę...

BRENDAN Jack to zna... i ty też znasz parę, co Jim?

JIM Ja nie umiem tak dobrze opowiadać jak Jack.

FINBAR (*wskazując na inne zdjęcie*) A to opactwo...

VALERIE Mhm.

FINBAR Teraz już tylko ruiny zostały. Ale kiedyś... Co to tam było, Brendan?
BRENDAN Synod był, biskupi. W pięćset-którymś. Wszystkie biskupy zjechały się, żeby...
no wiecie...

JIM Kiedyś to tu była tak jakby... stolica hrabstwa. Kilkaset lat temu. Ważne miejsce.
VALERIE Naprawdę?

Jack wraca.

FINBAR Tak, tak. To ciekawa okolica. Jack, właśnie rozmawialiśmy, co to była za historia, o ścieżce wrózek?

JACK O ścieżce wrózek? (*kręci głową*) Wystarczy, że się człowiek pójdzie wysikać na minutę, a oni o wrózkach zaczynają gadać.

Śmieją się.

FINBAR Opowiadałem tylko Valerie o wzgórzu i o forcie. Jak to tam było z tą ścieżką wrózek? Którędy ona szła?

Pauza.

JACK Naprawdę chcecie wiedzieć?

FINBAR Czemu nie? Opowiedz dziewczynie. Będzie się z czego pośmiać.

JACK (*do Finbara*) Zaraz będziesz żałował, żeś chciał tej historii słuchać.

FINBAR Dlaczego?

JACK Bo to działo się w domu Maury Nealon.

FINBAR (*nagle przypominając sobie*) O... Jezu...

Śmieją się.

JACK A nie mówiłem? I co teraz?

FINBAR A niech to! Na śmierć zapomniałem, że to była Maura...

JACK To wszystko bujdy, Valerie.

VALERIE Opowiedzcie. Bardzo jestem ciekawa.

JACK Zmyślone bzdury...

FINBAR Nie straszcie mi dziewczyny.

JACK Nic w tym nie ma straszego.

VALERIE Umieram z ciekawości.

FINBAR Ludzie różne głupoty opowiadają, zwłaszcza tutaj.

BRENDAN To ładna historia.

JACK Krótka. Nie ma się nad czym rozwodzić. Było tak. Maura... Maura Nealon przychodziła tu zawsze wieczorami, siadała tam, koło kominka. Ile ona miała lat, Jim? Jak umarła?

JIM O Jezu! Z dziewięćdziesiąt przynajmniej.

JACK No. Ale w formie była do samego końca. Taka kobita! Żywa, z humorem. To ona opowiadała... Przysięgała, że to zdarzyło się naprawdę. Jak była jeszcze małą dziewczynką. Mieszkała w tym domu od urodzenia. Ona i wszyscy jej bracia i siostry. Ona była najmłodsza. A jej matka...

JIM Birdie.

JACK Birdie. Wszyscy ją tu w okolicy dobrze znali. Wdowa. Ta to miała charakterek. I żarty lubiła. Maura opowiadała, że zawsze robiła psikusy starszemu rodzeństwu. Znaczą Birdie. A to ubranie im schowała, a to coś. Albo mówiła swojej córce, że spotkała chłopaka, którego ta córka akurat miała na oku, i ten chłopak powiedział, że mu się ona, znaczą ta córka, podoba i chce z nią chodzić. I zawsze krzyczała z góry: „Ktoś puka”. Zawsze tak mówiła: „Ktoś tam do tylnych drzwi puka” albo „Ktoś tu do nas idzie”. Takie różne. I nigdy nikogo nie było. I wszyscy się do tego przyzwyczaili. Do tych jej żartów.

I ponoć któregoś wieczoru, w sobotę, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czy tysiąc dziewięćset jedenastym, gdy starsi szykowali się na tańce czy gdzieś, Birdie zeszła na dół i zapytała, czy ktoś poszedł drzwi otworzyć. Na co wszyscy: „O, znowu to samo”. A Birdie podeszła do drzwi, otworzyła, ale nikogo nie było. I nic nie powiedziała.

Jakby się nic nie stało. A Maura, choć była malutka, wiedziała, że coś jest nie tak. Wiedziała, że tym razem to nie był żart. I potem, gdy już wszyscy wyszli, one siedziały z matką przy kominku, same we dwie. I Birdie nic nie mówiła. Całkiem nic. Normalnie to wysłałaby Maurę do łóżka, bo była pora. Ale tego wieczoru, Maura dobrze to zapamiętała, nie kazała jej iść na górę. Chciała, żeby ktoś z nią był. Bo wiesz, Valerie, wtedy nie było jeszcze elektryczności. A żadna noc nie jest tak ciemna jak zimowa noc na wsi. Tylko wicher od morza jęczał i zawodził. Słysząc go było spod drzwi. Całkiem jakby ktoś śpiewał. Śpiewał do ciebie za drzwiami. Taka to była noc. Co, już się boicie?

Śmieją się.

JACK Finbar coś niewyraźnie wygląda. Wypij tę whisky, Finbar, to ci się może polepszy. FINBAR Pilnuj swojej whisky. Okropnie ponurą historię z tego robisz, Jack.

JACK Taka jej uroda. I śpieszyć się nie ma co, bo każdy szczegół ważny.

Śmieją się.

JACK No więc siedziały tak we dwie przy tym kominku, nic nie mówiąc. Birdie patrzyła w ogień. Czasem tylko uśmiechała się do Maury, ale widać było, że oczy ma mokre. I nagle rozległo się ciche pukanie. Do drzwi frontowych. Ale Birdie się nie ruszyła. A gdy Maura zapytała: „Mam pójść otworzyć drzwi, mam?” Birdie powiedziała: „Nie ma co, to pewnie ktoś sobie żarty robi”. Siedziały więc dalej i pukanie ustało. W tamtych czasach, Valerie, nie było tej przybudówki, gdzie kuchnia, tylko od razu tylne drzwi, zamykane na taki mały haczyk. I po chwili właśnie do tych drzwi ktoś zapukał. Cichutko, delikatnie i bardzo nisko, tak Maura mówi. Nie tam, gdzie dorosły by pukał, o tu gdzieś, nie. I Birdie znowu powiedziała: „Ktoś sobie żarty robi, zaraz przestanie”. A potem zapukał ktoś do okna. Maura nic nie mogła zobaczyć, tak ciemno było. A matka nie pozwalała jej wyjść przed dom. Potem pukanie ustało. A gdy było już bardzo późno i ogień wygasł, Birdie nie poszła do komórki, żeby przynieść torfu i dorzucić do ognia. Bała się wyjść. Siedziały więc tak we dwie po ciemku i czekały, aż inni wrócą. Aż do północy.

VALERIE I nie wiadomo, co to było?

JACK Maura mówiła, że matka nigdy nie powiedziała innym o tym, co się stało. Tylko któregoś dnia, kiedy były same, zawołała księdza. Przyszedł, przyniósł święconej wody, pokropił drzwi i okna, i więcej już się pukanie nie powtórzyło. Dopiero po latach starzy ludzie z okolicy powiedzieli Maurze, że ich dom wybudowany został na „ścieżce wróżek”. To znaczy, to nie była ścieżka, tak dosłownie, tylko...

JIM Taki trakt, jakby...

JACK No, tak jakby... od fortu na polu Brendana na wzgórzu, potem obok starej studni i dalej w dół, obok opactwa, do malutkiej jaskini, tam, gdzie ta kamienista plaża. Legenda mówi, że wróżki chodziły tamtędy się kąpać. No a Maury dom postawiono im na drodze.

VALERIE A one chciały po prostu przejść?

JACK Na to wygląda. Ale Maura nigdy potem nie słyszała już pukania. Tylko raz, w pięćdziesiątym którymś, jak tamę budowano. Wtedy ktoś pukał. A w krzakach znalazła stado martwych ptaków... No i taka to historia.

FINBAR Mam nadzieję, że się nie boisz, Valerie? Nie ma czego, to przecież bujda. Takich tajemniczych historii to ci u nas tu w okolicy dostatek.

VALERIE Trochę w tym prawdy musi być. Tak myślę.

JACK Może i tak. Ale co to komu szkodzi. Ot, stara historia. Ale wiecie, na pragnienie mi podziałało. Co kto pije?

Śmieją się.

JACK Valerie, dolać?

VALERIE Hmm...

JACK No, nie daj się prosić.

FINBAR Dolej jej, dolej, Brendan.

Brendan stawia czystą szklanę na barze.

VALERIE Może być w tej samej.

FINBAR Szybko się uczy. Dobra dziewczyna!

Śmieją się. Brendan nalewa wino.

JACK Finbar? Duże?

FINBAR Niech będzie duże. Czemu nie?

JACK Jim?

JIM To samo.

JACK *(do Brendana)* Dwa duże i jedno takie. *(wskazuje na butelki)*

BRENDAN Dwa duże.

Pauza. Brendan nalewa.

FINBAR Taak...

JACK Zastanawiasz się, czy napić się czy nie?

BRENDAN Ano zastanawiam się.

FINBAR No i jaka decyzja?

BRENDAN A niech tam. Wypiję szklaneczkę.

FINBAR Poczciwy chłop. Może dwie od razu?

Śmieją się.

JACK *(wyjmuje papierosy)* Valerie?

VALERIE Czemu nie. *(bierze jednego)*

FINBAR *(mile zaskoczony)* Ooo! Uczy się!

JACK Finbar?

FINBAR Ja dziękuję. W listopadzie minie osiemnaście lat, jak przestałem.

JACK Osiemnaście lat?

Częstuje Brendana i Jima, obydwaj biorą po papierosie.

FINBAR Osiemnaście. Od przeprowadzki. *(do Valerie)* Do Carrick.

JACK To już tak dawno? *(zapala papierosa)* Nie powiem, żebyś zdrowiej wyglądał.

Śmieją się.

FINBAR Poczekaj no, poczekaj. Zróbmy dwa okrążenia dokoła domu i zobaczymy, jak kto będzie wyglądał. Płuca wyplujesz, stary.

JACK A gdzie ja bym się tam z tobą mierzył. Za stary jestem. Dziesięć lat różnicy między nami albo i więcej, a ten się chce ścigać! Toś sobie przeciwnika znalazł!

FINBAR *(puszcza oko do Valerie)* Tak się wygrywa. Wykorzystując słabości przeciwnika.

JACK Słabości? Opowiedz no lepiej o swojej przygodzie z wrózkami czy co to tam było wtedy, zanim żeś się przeniósł.

FINBAR Jack...

JACK Pochwal się wszystkim, jaki byłeś odważny.

FINBAR Oj, daj spokój...

JACK No pochwal się, pochwal...

FINBAR Ależ jesteś upierdliwy...

JACK Jak już zaczęliśmy mówić o wrózkach, to mówmy.

FINBAR To nie były wróżki. To ta... mała Walsh... na pewno wszystko zmyśliła.

JIM Niamh Walsh? Ona teraz w Ameryce.

BRENDAN Nie wiedziałem, że ty z małą Niamh...

FINBAR A broń cię, Panie Boże. Ona była nie bardzo tego. Robiła wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę.

VALERIE Co się stało?

JACK Niech bohater opowie. *(wskazuje na Finbara)*

FINBAR A, daj spokój. Żadna tam moja zasługa.

JACK Walshowie mieszkali niedaleko starego Finbara.

FINBAR Ale nie byli tutejsi. *(z odrazą)* Napływowi. On pracował w policji.

VALERIE „Napływowi”. Tak jak ja?

FINBAR Oj, nie. Wiesz, co mam na myśli...

JACK Ty uważaj, co mówisz, Finbar, bo jak będziesz miał taki niewyparzony język, to klientkę stracisz. Co nie, Valerie?

Śmieją się.

FINBAR Ona wie, o co mi chodzi. Valerie jest tu przez wszystkich mile widziana i dobrze o tym wie. Prawda, Valerie?

JACK O Jezus! A dałbyś wreszcie dziewczynie spokój. Już nikt nie wie, gdzie oczy podziąć, tak żeś namącił. *(śmieją się)* Opowiedz lepiej tę historię.

FINBAR Nie dość to już tych bzdur? Już żeście jej wmówili, że w nawiedzonym domu mieszka! Spać nie będzie mogła, biedaczka.

VALERIE Wcale się nie boję. Opowiedz...

FINBAR To i tak nieprawda...

JACK Długo będziesz jeszcze tak smędził? Prosi cię dziewczyna, to opowiedz!

FINBAR Nie ma o czym gadać. Banda nawiedzenców i tyle. *(krótka pauza)* No więc niedaleko nas, po drugiej stronie wzgórza, był dom. Nasze najbliższe sąsiedztwo. Tak ze ćwierć mili drogą. Mieszkał tam stary Finnerty – sam jak palec, ale potem rodzina znalazła mu miejsce w domu starców, gdzieś koło Westport. Żeby go niby mieć przy sobie. No i wprowadzili się Walshowie. On pracował w policji w Carrick. Pod sześćdziesiątkę chłop i ciągle w randze sierżanta. Sherlock Holmes widać z niego nie był.

Śmieją się.

FINBAR Ani żaden „Walsh – postrach przestępców”. Trzy córki mieli, nastolatki, i syna, co był już żonaty i mieszkał gdzieś pod Longford. No więc mieszkali razem: Walsh, jego żona i te ich córki. Znałem ich trochę, bo wprowadzili się tego roku, co stary Finbar umarł, świeć Panie nad jego duszą, jakoś tuż przed pogrzebem. I przy tej okazji się z nimi poznałem... Dwóch nas tylko było, ja i ojciec, więc po jego śmierci mieszkalem sam. Samotny kawaler, a po sąsiedzku trzy młode panny, Ho, ho, myślę sobie! Wicie, jak to jest...

Śmieją się.

FINBAR Był to taki czas, że nie wiedziałem za bardzo, co mam robić. Czy sprzedać farmę czy nie? Wiesz, Valerie, jak to jest, jak się ma te dwadzieścia dwa czy trzy lata? I któreś nocy, jedenasta musiała już być, a może i później, pukanie do drzwi. Otwieram, a to Walshowa. Cała jakaś podenerwowana i prosi mnie, żebym z nią poszedł, bo ona nie wie, co robić. Powiedziała, że Walsh nie ma, jakieś wezwanie dostał, a że ona nikogo w okolicy nie zna i dlatego przychodzi do mnie. „Co się stało”, pytam, a ona, że zadzwoniła Niamh, jej najmłodsza, która brała właśnie udział w seansie spirytycznym czy jak mu tam?

VALERIE Spirytystycznym.

FINBAR Spirytystycznym.

JACK Seans spirytystyczny! To co ona, w monopolowym w Carrick była czy jak?

FINBAR A, spierdalaj tam. Pomylić się nie można. O spirytystyczny seans mi chodziło...

No więc Niamh brała udział w tym...

JACK „Seansie spirytycznym”.

FINBAR A dajże już pokój... U koleżanki w domu czy gdzieś. Tam zrobiły sobie ten seans... spirytystyczny. No i Niamh zadzwoniła do matki, żeby ta przyszła po nią, bo wywołały jakiegoś tam ducha i ten duch teraz nie chce odejść, i ona się boi. Ja sobie oczywiście pomyślałem, gówno prawda. Przepraszam za wyrażenie, Valerie, ale matka mówi, że poszła po nią i przyprowadziła ją do domu. „Nawiedzeńcy”, myślę sobie, ale nic. No i że po drodze do domu coś zobaczyły. Obydwie, matka też to widziała. Jakby pies. Na drodze. Biegł przy samochodzie i potem za nim. Psów to u nas nie brak. Każdy farmer ma psa. Pamiętasz, Jack, Willie McDermott miał wtedy takiego olbrzymia.

JACK Co mam nie pamiętać! Bydlę było! Jakbyś go z daleka zobaczył, myślałbyś, że koń. Taki wielki!

JIM Owczarek niemiecki.

FINBAR Dobrze mówisz. Owczarek.

JIM A może to był wilczarz? Nie pamiętam. Wiem, że kupił go od takiego gościa z Północy.

FINBAR Ważne, że wielkie było bydlę. Więc se myślę – psa zobaczyć – wielka sprawa.

Wszystkie psy z okolicy łagodne jak baranki. Dużo dziapią, ale krzywdy nie zrobią. Ale ona uparła się, żebym poszedł do nich, bo Niamh jakiejś hysterii dostała, że niby coś na schodach jest... Nikt inny nic tam nie widział. Ale ona twierdziła, że kobieta stoi na schodach i na nią patrzy. Biedna Walshowa nie wiedziała, co ma robić. Do męża nie miała jak zadzwonić, więc przyszła do mnie. Nie wiem, skąd jej do głowy przyszło, że ja coś pomogę. Ale cała była w strachu... Wsiadłem więc do samochodu i pojechałem z nią. O Jezu! Mówię wam, czegoś takiego nie widziałem jak żyję. Biedna Niamh wyglądała, jakby zaraz miała umrzeć. Matka kocem ją owinęła. Biała była jak o, to... (*wskazuje na koszulę Jacka*) Bielsza nawet, bo to pewnie nieprane od miesiąca.

JACK Cha, cha, cha.

FINBAR Nie żartuję. I za nic nie chciała wyjść z pokoju, bo mówiła, że na schodach stoi ta kobieta. „Co ona robi”, pytam, a ona na to: „Patrzy na mnie”. Poważnie była przeżrana. Ja tam nie wiem, czy ona się naćpała czy wypila, a może jeszcze co innego. Powiedziałem, żeby zadzwonić po doktora Dillon, do Carrick. Do Joego Dillon. Poznasz go pewnie niedługo, Valerie. Dalej ma tam swój gabinet, obok spożywczego. Miły facet. Dzwonię więc do niego, żona odebrała, powiedziała, że go zawoła. Czekam. A Niamh krzyczy, żebym zamknął drzwi od pokoju. Bo ja byłem w holu, tam gdzie telefon, i ona przez drzwi widziała tę kobietę przy poręczy, jak się na nią patrzy. Tak z nią było źle. Wtedy Walshowa zadzwoniła do ojca Donala, z łóżka go wyciągnęła. Przyszedł, nieszczęśnik, co miał zrobić. Wodę święconą przyniósł. Pokropił schody i pokój. On to święty jak sam papież, ten nasz ojciec Donal. Żadne złe duchy i inne takie nie mają przy nim szans.

JACK Straszne to musiało być dla niego przeżycie. On taki delikatny... Gdzież to, żeby się musiał ze zjawami i demonami zadawać.

Śmieją się.

FINBAR Doktor Joe przyjechał, dał jej coś na uspokojenie i zasnęła. My wypiliśmy po kielichu, ale biedna Walshowa ciągle nie mogła dojść do siebie. Trzęsła się cała i te rzeczy. Trudno się kobiecie dziwić. Ojciec Donal powiedział jej, żeby się nie martwiła, że ten cały seans spirytystyczny to bujda. Że Niamh ma bujną wyobraźnię i tyle. I wtedy zadzwonił telefon. Najstarszy Walsh, ten żonaty, co mieszkał w Longford. Że jego dziecko płakało i nie chciało spać, więc je wyjął z kołyski, stanął z nim przy oknie i zobaczył, że po sąsiedzku coś się dzieje. Przed domem stały samochody, paliło się światło. Mieszkała tam staruszka, dawna niania Niamh i jej siostr, która od lat nie wstawała już z łóżka. Okazało się, że znaleziono ją martwą, na dole schodów. Potknęła się, spadła i tam ją znaleźli. Zbieg okoliczności – pomyślałem.

Ale... tej nocy, w domu, gdy siedziałem przy kominku i paliłem ostatniego papierosa przed pójściem spać – Jack wie jak to u mnie było, schody szły wprost do pokoju – no i gdy siedziałem tak, plecami do schodów, to, teraz to brzmi głupio, ale wtedy... bałem się odwrócić. Bałem się wstać i pójść do łóżka. Bo wydawało mi się, że coś jest na schodach. (*cichy śmiech*) I siedziałem tak, patrząc w zgasy kominek. Siedziałem aż do rana. Bałem się, że jak się ruszę, to mnie to coś zobaczy. Nawet drugiego papierosa bałem się zapalić. Okropnie mi się chciało, ale się bałem... Wariactwo, nie? Ale jak się tylko zrobiło jasno, wszystko było okej. Nic, oczywiście, na schodach nie było ani nigdzie, ale ten papieros, co go w nocy wypaliłem, to był mój ostatni. Od tamtej pory nigdy więcej. (*krótka pauza*) Walshowie wyprowadzili się niedługo potem. (*pauza*) I tyle.

VALERIE I wtedy przeniosłeś się do Carrick?

FINBAR Tak. *(powoli kiwa głową)* Może to, co się wydarzyło, miało jakiś wpływ na moją decyzję. Sam nie wiem.

VALERIE Hmm.

JACK Pojechałeś tam, gdzie więcej światła, co?

FINBAR Hm. Może. Może masz rację. Może mi samotność nadojadła? *(pauza)* Pewnie myślicie sobie wszyscy, że zmyślam, co? *(śmieją się)* Albo że jestem świr? Tak? No nic. Pójdę sobie chyba nos przypudrować. *(wychodzi tylnymi drzwiami)*

JACK *(woła za nim)* Zawsze wiedzieliśmy, że jesteś świr. Jeszcze zanim zaczęłeś opowiadać.

Śmieją się. Pauza.

VALERIE Strachy strachami. Ale samotność to tu pewnie potrafi dokuczyć?

JACK Trochę tak. Ale szybko się człowiek przyzwyczaja, nie Brendan?

BRENDAN No. Nawet się o tym nie myśli.

JACK Ja i Brendan jesteśmy samotni. Jim ma mamę, którą się musi opiekować, ale my we dwóch tu zawsze siedzimy. W ciągu dnia będziesz pewnie pracować, ale wieczorem możesz wpaść, jak będziesz miała ochotę. Jakies się tam towarzystwo znajdzie. Parę domów jest, tyle że rozproszonych po okolicy.

JIM Zawsze można radia posłuchać.

Pauza.

JACK Co chcesz tu robić? Masz jakieś plany?

VALERIE Nie. Chcę spróbować mieć trochę...

JACK Świętego spokoju.

VALERIE Mhm.

JACK To lepszego miejsca znaleźć nie mogłaś!

Śmieją się.

JACK Świętego spokoju to tu będziesz mieć na potęgę. To ci gwarantuję.

BRENDAN Jakbyś czegoś potrzebowała, to zajrzyj. Albo Jack, albo ja, załatwimy, co ci tam będzie trzeba.

VALERIE Dziękuję. Myślę, że jakoś dam sobie radę.

JACK Do ciebie stąd tylko dziesięć minut pod górę. Oj, coś czuję, że Finbar to tam będzie częstym gościem.

VALERIE Poczciwa chłopina.

JACK Tak to jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś o nim powiedział. Różnie, ale tak nie.

Finbar wraca.

FINBAR Czego to jeszcze nie słyszałaś, Mullen? O czym teraz opowiadasz? Hm? Jak się tu w tamte wakacje dwudziestu Niemców piwem zatrąło? *(puszcza oko do Brendana)* Co?

JACK To chyba u ciebie. Tam się takie rzeczy zdarzają. Jedno piwo człowiek wypije i przez dwa tygodnie z łóżka wstać nie może.

FINBAR Nie słuchaj, Valerie. Z zazdrości tak gadają.

VALERIE Na pewno.

FINBAR Przynajmniej jedna trzyma moją stronę.

JACK Bo chce, żebyś ją do domu odwiózł. Nasłuchiwała się o tych strachach i teraz boi się sama wracać.

FINBAR Nie wierzę! Przecież to tylko takie świry jak ja się boją. Nawiedzenie!

Śmieją się. Jim odlicza pieniądze.

JIM Ktoś coś... pije?

JACK Ja dziękuję. Ale ty się nie krepuj.

JIM Może jednak? Valerie?

VALERIE Nie, nie. Teraz moja kolejka.

FINBAR Nie trzeba, Valerie. Ty tu jesteś...

JACK Nie trzeba.

FINBAR Jesteś gościem.

JIM Finbar, whisky?

FINBAR Na razie, dziękuję. Dokończę to piwo.

BRENDAN Jedną whisky, Jim? (*nalewa*)

JIM Dzięki, Brendan. Dorzucę trochę torfu, co?

FINBAR Dobry chłopak.

Brendan podaje Jimowi drinka. Jim kładzie pieniądze na barze, bierze szklanekę i podchodzi do kominka.

JACK Dorzuc, dorzuc, bo coś zimno.

FINBAR Zimno.

Patrzy na zegarek.

VALERIE Chcesz już jechać?

FINBAR Nie, nie. Tak tylko patrzę, która to godzina. Jutro mamy wesele.

VALERIE Ty sam osobiście pracujesz w hotelu?

JACK A jak? Nie musi wtedy nikomu innemu płacić.

FINBAR Tak się robi pieniądze, stary! (*puszcza oko do Valerie*)

JACK Wiemy, wiemy.

FINBAR A tak poważnie: nie. Tylko przy specjalnych okazjach sam robię niektóre rzeczy. Nauczyłem się, że najważniejsze w biznesie to mieć dobry rosół.

VALERIE Rosół – zupę?

FINBAR Tak jest. Na zupę, na sos, na galaretę. Rosół wszędzie potrzebny. Więc robię rosół. Ten jeden drobiazg. Codziennie rano. Taki mały rytuał. Dla was to pewnie śmieszne, ale taki mam zwyczaj i już.

VALERIE Mnie się ten zwyczaj podoba.

FINBAR Rosół to moja działka. Taki mały przesąd. Znany z tego jestem.

JACK To taki chwyt reklamowy.

BRENDAN Czyje to wesele, Finbar?

FINBAR Nuali Donnelly. Znasz ją? „Nu” na nią mówią. Pracowała kiedyś u mnie. Córka Declana Donnelly. Najmłodsza.

BRENDAN Aha.

FINBAR Ty się kumpłowałeś z Declanem. Nie, Jim?

JIM Biedny Declan. W lipcu dziesięć lat będzie, jak umarł. Świeć Panie nad jego duszą. Poczciwy był z niego chłop.

FINBAR No i ta jego latorośl, „Nu” ją zwą. Pierwszy dzień przyszła do pracy: „Możesz mi mówić „Nu”, tak do mnie mówi. Wygadana z niej dziewczyna, śmiała. Zawsze wszystkim rozpowiadała, kto tam z kim i te rzeczy. Była u mnie za pokojówkę. Od razu wiedziała, która para ma coś na sumieniu, bo jak rano wchodziła do pokoju, to łóżko było pościelone. Taka kobita, co ma kogoś na boku, zawsze ponoć pościeli. Z poczucia winy. Żeby ukryć wszystkie ślady. Tak, tak... Niezłe ziółko z tej Nu.

VALERIE Dużo takich „par” korzysta z twojego hotelu?

FINBAR Raczej nie. Nie sędzę. Ale Nuala, no wiesz, lubiła sobie poplotkować.

JIM (*przy kominku*) Za kogo wychodzi?

FINBAR A jakiś taki – zagranicznik. Niemłody – pod czterdziestkę. Gdzie to, żeby młoda dziewczyna za takiego dziada szła. Bogaty musi być. (*do Valerie*) Tak jak i ten. (*wskazuje na Jacka*) Niemalby grosz musi chować w tym warsztacie. Ci mówię. Ma nadzieję, że mu się jakaś młoda rybka na niego złapie. Nie tak, Jack?

JACK Taki mam plan.

FINBAR Ale z takimi starymi kawalerami trzeba uważać. Mają taki gar zupy na kuchni i co jakiś czas dorzucają do niego jakieś odpadki. Tym się żywią. Nie, Jack? To ci wystarcza.

JACK Co dzień smakuje lepiej!

FINBAR Fuj! Odrażające typy. I to biedne dziewczę, co to się da takiemu złapać... gorąco jej współczuję. Taaki kurz wszędzie! Przecież taki chłop to od urodzenia w tych swoich dwóch pokojach siedzi, i dziewczynina musi ten cały syf wysprzątać. Trzydzieści lat niewynoszone stare gazety i kryminały, co to już pleśnią porosły. Leżą, odkąd mamusia umarła. Od tamtej pory nikt nawet nie próbował sprzątać. Nie tak jest, Jack?

JACK Dokładnie tak.

BRENDAN Ty mów za siebie, Jack!

FINBAR Ciężkie przypadki. Pościel zmieniają raz w roku, na Boże Narodzenie. Sadza na meblach i na ścianach, a na podłodze resztki bekonu, jajeczniczy i kaszanki.

VALERIE Biedna dziewczyna.

FINBAR Dobrze mówisz: biedna dziewczyna. Jedno, co mogę dla niej zrobić, to wyprawić jej u siebie w hotelu takie wesele, żeby miała co wspominać w długie zimowe wieczory.

Śmieją się.

JACK Taki całkiem normalny to ty nie jesteś, Finbar.

FINBAR (*puszcza oko do Valerie*) Przecież ja tak sobie tylko plotę trzy po trzy.

JIM Nuala wychodzi za mąż. Boże, jak ten czas leci.

FINBAR Oj, leci.

JIM Hmm. Pamiętam, musiało to być ze dwadzieścia lat temu, a może i więcej. Podłaliśmy z Declanem robotę. To tak wracając do tych historii, co to żeśmy wcześniej... Ksiądz z Glen szukał chłopaków. W pubie, w Carrick żeśmy go spotkali. Już to było podejrzone. Żeby aż do Carrick przyjeżdżał chętnych do roboty szukać. Ale Declan Donnelly się zapalił. Miało za to być ładnych parę groszy, więc i ja dałem się namówić. Następnego dnia mieliśmy się stawić w kościele w Glen. Pamiętam, że miałem wtedy okropną grypę i wysoką gorączkę. Matka mówiła, żebym został w łóżku, wypociał się. Ale że chciało się te parę groszy zarobić, powiedziałem Declanowi: „Zrobimy to jutro. Nie ma problemu”.

Od samego rana lał straszny deszcz. Nigdy tego nie zapomnę. Declan przyjechał po mnie samochodem ojca. Ależ tam śmierdziało owcami! O Boże! Mało nie padłem. Stary Donnelly pakował te owce do samochodu i woził je od pastwiska do pastwiska!

Śmiech.

No i pojechaliśmy do Glen. Ksiądz wziął nas do zakrystii i powiedział, że mamy wykopać grób na cmentarzu. Tego dnia w kościele było wystawienie zwłok, następnego miał być pogrzeb i potrzebowali na rano grób. „Chwila, chwila”, mówi mu na to Declan. „Tu, w okolicy, nie było nikogo, kto by grób chciał wykopać?” Ksiądz na to się zmieszał i coś tam zaczął kręcić, że niby miejscowe chłopaki grają w pubie w strzałki czy coś tam. Deszcz lał bez przerwy, więc dał nam kalosze, ortaliony i co tam jeszcze mieli, a do tego dwie łopaty.

Potem otworzył swój parasol i zaprowadził nas do grobu pod drzewem. A zły był przy tym czegoś. To był rodzinny grób, dwójka już tam leżała – matka i ojciec, a teraz mieliśmy kopać dla chłopaka. Ten chłopak to już nie taki chłopak, tylko chłop pod czterdziestkę. No, ale że ci starzy już tam leżeli, to nie trzeba było Bóg wie jak głęboko kopać. Zostawił nas tam i poszedł swoje robić, a my zabraliśmy się do kopania. Lało coraz gorzej. Grypa mnie rozbierała: bolały ręce i nogi. Potem szyja rozbolała. Pot mi oczy zalewał. Wykopaliśmy tak ze dwie i pół stopy i zrobiliśmy sobie przerwę. Siedliśmy w samochodzie, Declan wyciągnął butelkę samogonu i jakieś kanapki. Jeść nic nie mogłem, ale pociągnąłem sobie zdrowy łyk i trochę mnie to postawiło na nogi.

Chwilę tak posiedzieliśmy, słuchając radia, i zabraliśmy się z powrotem do roboty. Co pół godziny robiliśmy przerwę na łyka i jakoś szło. Po jakimś czasie przyjechał karawan. I, dziwna rzecz, na mszy były tylko ze dwie czy trzy osoby. Niby to tylko wystawienie zwłok, ale żeby tak nikogo prawie nie było? Przecież to nie stary facet.

Po mszy przyszedł do nas ksiądz. Akurat żeśmy prawie skończyli. Powiedział, o której rano pogrzeb i poszedł. No i zostaliśmy sami, ja i Declan. *(krótka pauza)* Ten nasz umarłak leżał sobie w kościele. Declan poszedł po folię... żeby grób nakryć, ja w tym czasie stare drzwi znalazłem, żeby na folię położyć, żeby wiatr nie zwiął. A potem siadłem pod drzewem i czekam. Wypiłem, co tam jeszcze we fłaszce zostało, i myślę sobie, żeby już prędzej od tego cholernego deszczu się schować i może po drodze wstąpić gdzieś na piwko.

I nagle, ja się patrzę, a tu z kościoła wychodzi facet w garniturze i idzie do mnie. Pomyślałem sobie, że pewnie jakaś rodzina zmarłego czy coś. A on idzie, między grobami, wprost do mnie. Rozgląda się dokoła, jakby pierwszy raz tu był. Stał koło mnie pod drzewem i patrzy na grób. Nie wiedziałem, co mam robić. I pyta się mnie: „To dla tego i tego?”. Zapomniałem nazwiska. Ja mu na to: „Zgadza się”. A on: „To nie ten grób”. A ja: „Jak nie ten. Przecież ksiądz powiedział”. On się wtedy popatrzył na mnie i sapać zaczął ciężko, przez nos. Jakby starał się złość powstrzymać. I mówi: „Chodź, to ci pokażę”. I idzie.

Ja sobie myślę, a dajże mi pan spokój. I w myślach przeklinam Declana, że nie wraca. A gość się odwraca i mówi: „Chodź, to niedaleko”. „Wariat”, myślę sobie. Ledwo już żywy byłem ze zmęczenia. Niedobrze mi było. Pójdę, myślę, żeby się odczepił. Zatrzymał się parę grobów dalej. Przy takim całkiem świeżym. Białym. Ze zdjęciem małej dziewczynki.

I mówi: „To ten, tutaj”. A ja na to: „Nie ma sprawy, proszę pana. Zrobi się. Żaden problem”. Pochylił się wtedy... dotknął nagrobka i poszedł z powrotem do kościoła. Mówię wam, odetchnąłem z ulgą. Przychodzi Declan z folią, więc się go pytam: „Widziałeś tego faceta?”. A on na to, że nikogo nie widział. Opowiedziałem mu całą historię, pośmialiśmy się trochę i tyle. Po drodze zatrzymaliśmy się w pubie na parę piwek i od razu lepiej mi się zrobiło. Dopiero w domu poczułem, jaki jestem zmordowany. Gorączka mi skoczyła i matka nie puściła mnie następnego dnia na pogrzeb. Declan sam poszedł. A ja leżałem, jak ten zewłok, dobrych parę dni. Któregoś dnia, jakoś niedługo po tym pogrzebie, matka przyniosła mi gazetę. A tam, w rubryce zgonów, było zdjęcie tego faceta, cośmy mu grób kopali. Już się pewnie domyślacie, co zaraz powiem. Ten gość na zdjęciu był kropla w kroplę jak ten, co go spotkałem na cmentarzu. Myślałem sobie, że to pewnie brat albo jakiś inny krewny, ten, co go spotkałem.

I zapomniałem o całej sprawie, aż którejs nocy, przy piwie, lata później, Declan powiedział mi, dlaczego ksiądz z Glen aż w Carrick szukał chłopaków, żeby mu grób wykopać. Ten gość, co umarł, był jakiś lewy. Wszyscy we wsi wiedzieli, że zbrocheniec. O Jezu! Jak to usłyszałem, to mi włosy dęba stanęły. A jak to był on? Z małą dziewczynką chciał, żeby go pochować... Aż strach mi było o tym myśleć... Teraz mi się przypomniało, jak o córce Declana była rozmowa.

Pauza.

FINBAR O Jezu! To okropna historia.

JIM Wiecie, jak jest. Chory byłem, gorączkę miałem wysoką, a i wypiliśmy trochę. Dobry samogon. Dick Lenihan pędził.

JACK O Jezu! Toć to czysty spiryt. Szklanekę na wylot przepala, co tam się dziwić, żeś miał halucynacje.

Krótki śmiech. Pauza.

VALERIE Myślisz, Jim, że to były halucynacje?

JIM A żebym ja wiedział? Troszkę byłem zawiany, to prawda, ale to dziwny zbieg okoliczności, że pokazywał, gdzie chce być pochowany. I czemu mi akurat? Przecież go nawet nie znałem?

VALERIE Mhm. *(kiwa głową)*

FINBAR Dobrze się czujesz, Valerie? *(śmieje się)* Jakoś niewyraźnie wyglądasz.

VALERIE Dobrze. Muszę tylko na chwilę do łazienki. To tędy?

BRENDAN Tędy. *(krótka pauza)* Strasznie mi głupio, Valerie, ale wiesz co? Damski się zapchał. Mają mi naprawić...

Jack śmieje się. Brendan stara się powstrzymać.

BRENDAN ...na przyjazd Niemców, ale jeszcze nie zdążyli.

FINBAR Jak ci nie wstyd, Brendan.

BRENDAN Chodź, zaprowadzę cię na górę, do mnie.

VALERIE Nie, nie trzeba.

BRENDAN Chodź, chodź, żaden problem.

JACK Nie martw się, Valerie, jak cię nie będzie za dziesięć minut, to pójdziemy cię szukać.

BRENDAN Jak Boga kocham! Dali byście se na wstrzymanie! Chodź, Valerie. Zapalę ci światło. Tędy.

FINBAR No to tymczasem, Valerie.

VALERIE Bye.

Brendan i Valerie wychodzą tylnymi drzwiami.

Pauza.

JACK No tak...

Krótką pauza.

FINBAR *(do Jima)* Coś ty, zdurniał? Takie, kurwa, historie dziewczynie opowiadać? Straszyc ją, że zbrojeńcy po okolicy grasują. Chyba cię pojechało.

Krótką pauza.

JACK A twoja historia to niby co?

FINBAR Moja się nie liczy. Banda nawiedzonych i tyle.

JACK Aleś to ty wszystko zaczął! Z tymi wróżkami. Wrózek ci się zachciało! Przecież ona mieszka w tym domu!

FINBAR Zapomniałem, że to tam. Zapomniałem, że to Maury historia. Jak Boga kocham, zapomniałem.

JACK Jak Boga kochasz?

FINBAR No poważnie.

JACK Przestań nam tu kity wciskać.

FINBAR O co ci chodzi?

JACK To tyś ją tu przywiózł.

FINBAR I co w tym złego?

JACK Zaprowadził na wzgórze i wszędzie.

Krótką pauza. Finabar patrzy na Jima i na Jacka.

FINBAR I co z tego?

JACK Więc przestań nam tu teraz kity wciskać.

FINBAR Jakie kity? *(pauza)* Pytam się ciebie. *(krótka pauza)* Co?

JIM Dajcie spokój, chłopaki. Napijmy się lepiej. Whisky?

FINBAR Poczekaj no, Jim. *(do Jacka)* Co?

JACK Namówiłeś mnie, żebym opowiedział historię o domu, w którym ona mieszka.

FINBAR Nie wiedziałem, że to ten. Mówiłem ci już.

JACK Niech ci będzie. A potem sam opowiedziałeś o tej młodej Walsh.

FINBAR To przez ciebie.

JACK Co?

FINBAR Zacząłeś gadać o papierosach i rzucaniu palenia. Wtedy, jakżeś częstował.

JACK Też masz skojarzenia! Duchy i rzucanie palenia!

FINBAR No dobra już. Przepraszam. Niepotrzebnie żeśmy te bzdury wywlekali. Dość już na dzisiaj strachów. Takie jest moje zdanie.

JIM Jakoś tak nie pomyślałem. Przypomniało mi się, to powiedziałem. Jak żeście wspomnieli Declana. Wiecie, jak to jest...

FINBAR Daj już pokój, Jim. Żadna to twoja wina. Niepotrzebnie gadaliśmy, ale trudno.

Byle już nam się nic więcej nie przypomniało.

JACK Niepotrzebnie gadaliśmy, tak?

FINBAR Tak.

JACK To nie było w programie wycieczki, co?

FINBAR Daj spokój, Jack.

JACK „Lokalny koloryt”?

FINBAR Nie, Jack.

JACK To przestań opierniczać Jima za jego historię, skoro sam też swoją opowiedziałeś.

FINBAR Przepraszam. Jeśli tak zrobiłem, to przepraszam. Sorry, Jim. Ale nie róbcie ze mnie... przewodnika wycieczek. To nie fair. Dziewczyna sprowadziła się tu sama jak palec. Czemu? Nie wiem. Coś się jej widać w życiu nie układa. Chcę jej jakoś pomóc. Ułatwić. Gościnnie ją przyjąć, do kurwy nędzy. Więc przestańcie mi tu Bóg wie co insynuować, bo tego nie lubię. *(pauza)* Przeprosiłem Jima i nie będę opowiadał więcej żadnych historii. *(krótka pauza)* Przecież ja jestem żonaty, panowie! Co wy sobie myślicie? Co innego wy, kawalerowie. *(krótka pauza. Ciepło)* Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem cię w garniturze.

Pauza.

JACK Aha. Znowu do mnie pije.

JIM Dajcie już spokój, chłopaki. Wystarczy. Wystarczy już tego.

JACK Myślisz, że ja żony szukam, co?

FINBAR Wcałe bym się nie zdziwił. Masz święte prawo.

JACK A w garniturze często chodzę. Przychodzi tu taki, pierwszy raz od Bóg wie jak dawna, i się mądrzy. Za wsiurów nas ma. A sam wsiur.

Pauza.

FINBAR Nigdy tego nie powiedziałem. Musiałeś mnie źle zrozumieć, Jack. Nie ma się już o co sprzeczać. Daj no, postawię ci piwo i będzie po sprawie.

JACK Nic ty mi, kurwa, nie będziesz stawiał. *(krótka pauza)* Ja ci postawię, i wtedy będzie po sprawie.

Wyciąga rękę na zgodę. Ściskają sobie dłonie.

JIM No, teraz to co innego. Nie, chłopaki?

Jack staje za barem.

JACK Co kto pije?

FINBAR *(podając rękę Jimowi)* Przepraszam, stary.

JIM No, już, już. Daj spokój. *(ściskają sobie dłonie)* Było, minęło.

JACK Finbar?

FINBAR Dla mnie duże piwko.

JACK A do tego szklaneczka whisky, co ty na to?

FINBAR O Boże! Zabić mnie chcesz czy co? Zabić mnie chce, nie, Jim?

JIM Nic ci będzie.

JACK Jim?

JIM Dla mnie whisky.

JACK A do tego duże piwko, co?

JIM Czemu nie?

FINBAR To rozumiem! *(pauza)* No, gorąco było przez chwilę, nie?

JACK Nie mówmy już o tym. Jak wróci, możemy najwyżej coś pożartować.

Śmieją się.

FINBAR No! To jest pomysł. Jak mama, Jim?

JIM Oj, wiesz jak to jest. Starość. Starość jej dokucza.

FINBAR Tak to jest, co zrobić? Muszę wpaść ją odwiedzić.

JACK Ja też się wybieram. Właśnie rozmawialiśmy, zanim przyszliście, nie, Jim?

JIM No.

FINBAR Nie boisz się zostawiać jej samej, jak idziesz na piwo?

JIM Nic jej nie będzie. Świetnie daje sobie radę. Niby ze wzrokiem coraz gorzej, ale i tak lepiej wie ode mnie, jakie tabletki ma przyjmować. Mnie się zawsze pomyli. Dobrze wie, co, kiedy i tak dalej. Ma teraz w pokoju telewizor. Siedzi sobie i słucha, jak mnie nie ma. Czasem przysnie.

FINBAR Czyli nie jest tak źle?

JIM Nie... Jutro zabieram ją w odwiedziny do siostry, do klasztoru.

JACK To klasztor o ścisłej klauzurze, czy jak to tam mówią, nie Jim?

JIM No. Nie wolno im rozmawiać ani nic. Siostra jest sześć lat starsza od mamy.

FINBAR No, no! A nie zaszkodzi jej taka podróż?

JIM A gdzie tam! Zmęczy się zdrowo i będzie spała jak niemowlę, jak wrócimy do domu.

FINBAR Hm...

JIM Ci mówię.

Brendan i Valerie wracają.

BRENDAN Pub był najpierw. Potem dobudowano dom.

VALERIE Rozumiem.

FINBAR Nareszcie! Już mieliśmy iść was szukać.

VALERIE Musiałam sobie cały dom obejrzeć.

FINBAR I jak wrażenia?

VALERIE Porządniej niż u mnie.

JACK Bo siostry miał dzisiaj u siebie. To dlatego.

FINBAR Widziałem je u mnie na lunchu.

BRENDAN Nawet mi o nich nie mów.

FINBAR (*ostrożnie*) Ooo... przepraszam, wycofuję się. Drażliwy temat. Valerie, może ty chcesz już iść, a ja się tak zasiedziałem?

BRENDAN Któryś z nas może przecież odprowadzić.

FINBAR Nie trzeba, na razie Jeszcze chwilę posiedzę.

VALERIE Ja tak... Słuchając tych waszych... historii, pomyślałam... Teraz moja kolej...

FINBAR Na dzisiaj koniec historii. Dość żeśmy się już tych bzdur nasłuchali. Właśnieśmy o tym żartowali, jak byłaś w łazience. W głowach nam się pomiesza od tych opowieści. Spać nie będziemy mogli!

VALERIE Przydarzyło mi się coś, o czym... To dla mnie ważne. Ja nie jestem z tych... nawiedźców. To znaczy... jestem osobą... poważną... Z pozycją. Pracowałam na uniwersytecie. Daniel, mój mąż, też tam pracuje, wykłada inżynierię. Moja córeczka, Niamh, urodziła się w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym ósmym. Wróciłam do pracy, jak miała pięć lat. Kiedy zaczęła szkołę. Zostawialiśmy ją u rodziców Daniela. Jego matka zawsze odbierała ją ze szkoły. Ja przychodziłam po nią po pracy. Rok temu Niamh chciała nauczyć się pływać.

W szkole był kurs. Raz w tygodniu, w środy, zabierali dzieci na basen do Clontarf. Świetnie jej szło. Robiła postępy. Uwielbiała wodę. Nie mogła doczekać się każdej środy i pływania. Daniel zabierał ją też na basen w soboty.

Była taka sprytna, wesoła, roześmiana, ale... Miała kłopoty ze spaniem. Bała się ciemności. Nigdy nie pozwalała mi wyjść z pokoju. Któreś z nas musiało leżeć przy niej, aż zasnęła. Często budziła się w nocy i przychodziła spać z nami.

Próbowałam z nią o tym rozmawiać. Pytałam: „Czego się boisz?”. Ale w ciągu dnia nic ją żadne strachy nie obchodziły. Wydawało jej się, że noc będzie za sto lat. Nie myślała o tym. Ale gdy tylko robiło się ciemno, za oknem pojawiali się ludzie, coś działo się na strychu, ktoś wchodził po schodach, dzieci pukały w ścianę. I ten mężczyzna. Zawsze widziała mężczyznę stojącego po przeciwnej stronie ulicy. Biedactwo. Chciałam pójść z nią do lekarza, ale Daniel mówił, że wyrośnie z tego. Że powinniśmy tylko zwracać uwagę, jakie książeczki dajemy jej do czytania i co ogląda w telewizji.

Bała się, że jak wstanie rano, to nie będzie taty i mamy, i wszystkich mebli, i dywanów. Tak skarżyła się mamie Daniela. Tłumaczyłam jej wtedy, że to bzdura, że przecież nigdy byśmy jej nie zostawili. Mówiłam, żeby jak tylko będzie się czegoś bała, zadzwoniła do mnie ze szkoły, to zaraz po nią przyjadę. Znała numer, bardzo szybko zapamiętywała numery. Nasz domowy i babci, i mój do pracy.

W marcu w zeszłym roku szkoła urządziła takie małe zawody. Każde dziecko miało przepłynąć długość basenu. Obiecałam, że przyjdę jej kibicować. Ale nie... Za późno wyszłam z pracy. Nie zdążyłam na zawody. Dojechałam w porę, żeby zabrać ją do domu. Przed budynkiem stała karetka. Ale że pływalnia jest przy Centrum Rehabilitacji, pomyślałam, że pewnie kogoś przywieźli i wcale się tym nie przejęłam.

Gdy weszłam do środka, zobaczyłam, że w basenie nie ma nikogo. Nauczycielka z grupą dzieci stała na brzegu. Płakała. Niektóre dzieci też płakały. I podeszła do mnie jakaś kobieta, chyba matka któregoś z dzieci, i powiedziała, że był wypadek. Że Niamh uderzyła głową w dno basenu, że była pod wodą, że próbują ją reanimować. Ale że wszystko będzie w porządku.

Nie wierzyłam w to, co słyszę. Myślałam, że to pewnie kto inny. I zaprowadzono mnie do sali, Niamh leżała na stole. Na stole do ping-ponga, a lekarz z karetki robił jej... sztuczne oddychanie.

Była w kostiumie. Lekarz powiedział, że sztuczne oddychanie nie skutkuje. Że nie wie, czy żyje. Zawinął ją w ręcznik i zaniósł do karetki. Poszłam z nim. Po drodze zadzwonili do szpitala w Beaumont. Mieli podłączyć ją tam do maszyny. Ale lekarz chyba już wiedział. Nie oddychała, i on już wiedział... I zapytał, czy chcę się z nią pożegnać, tu w karetce, bo w szpitalu może nie być kiedy.

Przytuliłam ją. Była zimna jak lód. Powiedziałam, że mamusia bardzo ją kocha. Wyglądała, jakby spała, tylko usta miała sinoniebieskie. Nie żyła.

To wszystko stało się tak szybko. Kilka minut. Nie muszę wam chyba mówić, jak było ciężko. Między mną a Danielem. Jakby to nie działa się naprawdę. Na pogrzebie wydawało mi się, że wystarczy, że podejść i wyjąć ją z trumny, a zły sen pryśnie.

Daniel chyba... Nie wiem, czy winił mnie za to, co się stało. Przecież nic nie mogłam zrobić. Ale zaczął pracować coraz więcej. Nie było go... A ja? Nie wiem, co się ze mną działo. Chodziłam gdzieś, bez celu, albo siedziałam w domu. Mama Daniela krzątała się koło mnie.

I tak było całe miesiące. Prawie ze sobą nie rozmawialiśmy.

Pauza.

Któregoś dnia rano leżałam w łóżku. Daniel wyszedł już do pracy. Co rano leżałam tak po parę godzin, próbując spać, bo co innego? I wtedy zadzwonił telefon. Pomyślałam – niech dzwoni. Nie miałam zamiaru odbierać. Długo dzwonił. Potem przestał. Znowu przysnęłam. Za chwilę znowu zaczął dzwonić. Dzwonił i dzwonił. Pomyślałam, że to pewnie Daniel coś chce ode mnie. Ktoś, kto wie, że jestem w domu. Wstałam więc, zeszłam na dół, żeby odebrać. Podniosłam słuchawkę. Ledwo było słyhać, tak jakby coś było na linii. Słyszałam głosy, ale nie mogłam zrozumieć, co mówią. Po chwili usłyszałam głos Niamh. „Mamusia?”, zapytała. „Tak”, odpowiedziałam.

Krótką pauzą.

A ona na to... żebym po nią przyjechała. Nie wiedziałam, czy to sen, czy może ten jej wypadek był snem. Zapytałam tylko: „Gdzie jesteś?”.

Powiedziała, że u babci. W sypialni. Ale że babci nie ma i ona się boi. Że dzieci pukają w ściany i ten mężczyzna stoi po drugiej stronie, i patrzy na nią, i ma zamiar przejść przez ulicę. I czy mogę po nią przyjechać?

Powiedziałam, oczywiście, że zaraz będę. Rzuciłam słuchawkę i pobiegłam do samochodu, tak jak stałam, w podkoszulce, w której spałam. Pojechałam do mamy Daniela. Ledwo widziałam drogę, tak bardzo płakałam. Wiedziała, że jej tam nie bę-

dzie. Wiedziałam, że nie żyje. Ale ta myśl, że jest gdzieś tam i... a ja nie mogę jej pomóc.

Matka Daniela wezwała lekarza i... spałam... dzień czy dwa. Daniel powiedział, że... muszę pogodzić się z myślą, że Niamh nie żyje. Ja uważałam, że powinien zastanowić się nad tym, co mi się przydarzyło, spróbować zrozumieć. Nalegał, żebym poddała się kuracji i... wszystko będzie dobrze. Ale jak może być dobrze, skoro ona jest gdzieś... nie wiem, gdzie, i potrzebuje mojej pomocy. Ona... ona mnie potrzebuje.

Pauza.

JACK Nie myślisz, że to mógł być sen?

Krótką pauza.

VALERIE Słyszałam jej głos.

Krótką pauza.

FINBAR Byłaś w strasznym szoku, Valerie. Takie rzeczy się zdarzają. Rozum... próbuje jakoś sobie poradzić, no wiesz? (*pauza*) Mąż dojedzie tu do ciebie?

VALERIE Nie sądzę.

FINBAR Byłoby bardzo źle, gdybyś... gdybyście rozstali się przez coś takiego, co... Nie wiesz nawet, co to było.

Krótką pauza.

BRENDAN Valerie powiedziała, że wie, co to było.

FINBAR No, ale przecież to niemożliwe, żeby, no wiesz... musi... musi być jakieś inne wytłumaczenie.

JIM Może to była pomyłka. Ktoś wykręcił nie ten numer?

BRENDAN Co?

JIM Pomyłka albo coś z telefonem. Może to było coś na linii. I tylko ci się wydawało?

BRENDAN Jakby to, kurwa, było coś na linii, to by nie słyszała głosu!

JIM Może to nie był głos.

JACK Spokojnie, Brendan, Jim tylko próbuje jakoś to wytłumaczyć.

FINBAR Panowie!

JACK Tylko spokojnie.

VALERIE Przestańcie. Nie chcę... Zdarzyło się, cokolwiek to było... Nie mówmy już o tym. Jest mi dobrze tu z wami. Słucham tego, co mówicie, i tak sobie myślę, że chyba jednak nie zwariowałam...

Krótką pauza.

FINBAR Valerie, skarbie, nikt cię o to nie podejrzewa. Tylko, wiesz... to są rzeczy, o których nie mamy pojęcia... Tyle się historii słyszy... ale na wszystko jest jakieś wytłumaczenie... Jim sam powiedział, że grypa go wtedy rozbierała, nie Jim?

JIM I gorączka.

FINBAR Maura... Nealon codziennie tu przesiadywała, nie, Brendan. No i ile zwykła była wypić jednego wieczoru? Tak szczerze.

BRENDAN Ile?

JACK Miałbyś trochę szacunku dla zmarłych, Finbar.

FINBAR Próbuję czegoś dowiedzieć, Jack. Ta kobieta piła.

JACK Wszyscy pijemy.

FINBAR Wiesz, o co mi chodzi. Była pijaczką. Alkoholiką. Obciągała butelkę whisky, zanim się zdążyłeś obejrzeć. Nic dziwnego, że pukanie słyszała.

JACK Grasz nie fair, Finbar. Kobita nie żyje. Nie ma jak się bronić.

FINBAR Nic przeciw niej nie mam. Załóżmy, że by teraz tu weszła. Jakby żyła, rozumie się. Postawiłbym jej drinka i niechby jej na zdrowie. Pierwszy bym do baru leciał. Ale sam pub prowadzę i wiem, co alkohol potrafi z człowiekiem zrobić. Maura lubiła wypić, tyle tylko mówię.

BRENDAN A ty? A Walshowie?

FINBAR Ile razy mam powtarzać? To była banda nawiedziców i tyle!

Pauza.

FINBAR Miałem niezłego pietra tamtej nocy, przyznaję. Kto by nie miał? Ale teraz zły jestem na siebie, że tak się dałem nastraszyć. Młody byłem. Banda nawiedzeńców!

Pauza.

FINBAR Ale omijam najważniejszą rzecz. To straszne, co stało się twojej córeczce. Przykro mi.

JACK To okropne. Wszystkim nam przykro.

Długa pauza.

FINBAR (*patrzy na zegarek*) No cóż, trzeba się zbierać. Zostałbym z chęcią, ale...

VALERIE Okej.

BRENDAN Ja Valerie odwiozę.

FINBAR (*do Valerie*) Chyba że wolisz jechać ze mną?

VALERIE Czy ja wiem...

BRENDAN Zostań. Napijesz się jeszcze winka, zrelaksujesz.

VALERIE Czemu nie? Zostanę jeszcze chwilę.

FINBAR Tylko żeby mi już nie było żadnych opowieści.

JACK Marudny jesteś jak stara baba. Nic jej nie będzie.

FINBAR Na pewno?

JACK Na pewno.

JIM Mogę się z tobą zabrać, Finbar?

FINBAR Jasne że możesz, Jim.

JACK To co, wpadniesz rano zrobić ojcu Donalowi ten samochód?

JIM (*licząc pieniądze*) Nie ma problemu. Będę za piętnaście dziesiątą.

JACK Bo wiesz, muszę pojechać do Conora Bolanda.

JIM Wiem. Będę, jak powiedziałem. Brendan...

BRENDAN Coś na sen?

JIM No.

Brendan wkłada małą butelkę whisky do plastikowej torby i podaje Jimowi. Jim chce zapłacić – Brendan dyskretnie odmawia.

FINBAR Gotowy?

JIM Valerie...

VALERIE Miło cię było poznać.

JIM (*biorąc ją za rękę*) Ogromnie ci współczuję z powodu tego, co się stało. Wiem na pewno, że twoja dziewczynka jest bezpieczna i ma się dobrze, tam gdzie teraz jest. Pomodłę się za nią, choć wcale jej to niepotrzebne. Jest aniołkiem, niewinne małenstwo. A ten facet, co go widziałem wtedy, na cmentarzu, to tylko ten przekłety samogon i gorączka. Finbar ma rację. Odpoczywaj sobie teraz, ciesz się ciszą i spokojem. I do zobaczenia wkrótce. Jesteś bardzo miła. Dobranoc.

VALERIE Dobranoc. Dziękuję ci, Jim.

JIM Nie ma za co.

FINBAR Valerie. (*bierze ją za rękę*)

VALERIE Dziękuję za wszystko.

FINBAR Cała przyjemność po mojej stronie. Zjrzę do ciebie jutro czy pojutrze... (*uśmiecha się do niej*)

VALERIE Dziękuję.

FINBAR Dopilnujemy, żeby ci niczego nie brakowało i żebyś się tu u nas zadomowiła. Jesteś naszym gościem. (*całuje ją niezgrabnie w policzek*)

VALERIE Dziękuję za wszystko, Finbar.

FINBAR Nie ma sprawy. Panowie.

JACK Finbar.

FINBAR Do zobaczenia wkrótce, mam nadzieję.

Ściskają sobie dłonie.

FINBAR No to do szybkiego.

JACK Do szybkiego.

FINBAR Brendan.

BRENDAN Trzymaj się, Finbar. Uważaj tam na siebie.

FINBAR Obiecuję, że następny raz nie będzie znów Bóg wie za jak długo.

BRENDAN Zobaczymy.

JIM Dobranoc.

BRENDAN Dobranoc, Jim.

VALERIE Do zobaczenia wkrótce.

JACK Do zobaczenia z rana.

JIM Za kwadrans dziewiąta.

FINBAR No to na razie.

Jim i Finbar wychodzą.

JACK No i tak...

BRENDAN Mmm...

JACK Przepraszam, że tak na ciebie wsiadłem.

BRENDAN Daj spokój. Ja tak...

VALERIE To wszystko moja wina.

JACK A co ty pleciesz? Żadna twoja wina. Łatwo jest tak siedzieć i pieprzyć bzdury cały wieczór. Ale wobec czegoś tak osobistego, co przydarzyło się tobie... Ludzie nie wiedzą, jak się znaleźć... Próbują na różny sposób. Jim chciał... no wiesz...

BRENDAN No.

JACK On wcale tak nie myślał.

BRENDAN Wcale nie wierzył, że coś było nie tak z twoim telefonem. Tak mi się wydaje.

Śmieją się przez chwilę. Pauza.

JACK To... straszne, co się stało... Czy po czymś takim można kiedykolwiek dojść do siebie? Znaczący... nie chodzi mi o ten telefon...

VALERIE Wiem. (*pauza*) Nie wiem.

Pauza.

JACK Bardzo ci współczujemy.

BRENDAN Chodźcie, siądziemy przy piecyku. Zimno się robi. Wypijemy jeszcze po jednym na do widzenia.

JACK Dobry pomysł.

BRENDAN Daj szklanke, Valerie. Jack? Małą whisky na drogę?

VALERIE Teraz ja stawiam.

JACK O, nie, nie.

BRENDAN Ta kolejka – gratis od firmy. Oficjalnie bar już zamknięty. No, ruszcie się.

Jack i Valerie przenoszą się bliżej piecyka.

JACK Ty siądź tu bliżej. Zaraz zrobi się ciepło jak w uchu.

BRENDAN Należę ci brandy, Valerie. To wino prawie zamarzło w lodówce.

JACK Poczciwy chłop.

VALERIE Świetnie. Dziękuję.

JACK To rozumiem! (*do Brendana*) Jimowi też nie będzie lekko, jak mamusia umrze, nie Brendan?

BRENDAN Oj, nie będzie. Bo wiesz, Valerie, biedaczka choruje już od dobrych paru lat.

Niknie w oczach. Ale psuje synalka jak psuła!

JACK O tak!

Brendan przynosi drinki.

VALERIE To za dużo dla mnie.

BRENDAN A gdzie tam!

JACK Nigdzie nie jest napisane, że masz wszystko wypić. Jak zostanie, Brendan zleje z powrotem do butelki i po krzyku.

BRENDAN Odpieprzysz ty się kiedyś wreszcie!

JACK (*do Valerie*) Myślę, że czas, żebyśmy wypili twoje zdrowie.

BRENDAN Tak jest. Twoje zdrowie, Valerie.

JACK Żeby się wszystko jakoś... (*podnosi szklankę*) ułożyło...

BRENDAN Na zdrowie.

VALERIE Na zdrowie.

Pija. Jack przygląda się Brendanowi przez chwilę.

JACK Porządny chłopak z tego naszego Brendana, nie?

VALERIE Ty nie masz dzieci, Jack?

JACK Nie, skarbie. Nigdy nie byłem żonaty. Ale ten (*ruchem głowy wskazuje Brendana*) powinien sobie kobity poszukać, ciągle mu mówię. Szkoda, taki młody chłop, żeby skończył jak ja.

VALERIE Żałujesz, że się nie ożeniłeś?

JACK Kto by tam mnie chciał? Takiego złośliwego pierdołę.

BRENDAN Dobrze mówi.

JACK Tak to jest, widzisz. Brendan wie. Siedzę w tym warsztacie. I ten przeklęty blaszany dach! Sam siedzę jak palec na tym zadupiu. Bo główna droga do Carrick idzie bokiem. No i nie ma, żeby było... W lecie gorąco jak w piekarniku, tak się ten dach nagrzewa, a jak nie, to deszcz wali jakby kto kamieniami rzucał, taki łomot. Jak kto zajedzie, to tylko miejscowy, inny nie trafi. Czasem to już ma człowiek dość. Ale wiesz, przyjdzie się tu na piwko, no i tego... Nie ma to jak wypić piwko z kolegami. A i barmana takiego gdzie indziej nie znajdzie...

VALERIE Nigdy o tym nie myślałeś? Nawet jak byłeś młody?

JACK Jak nie? A o czym to się innym myśli, jak się ma te dwadzieścia lat? Co? Miałem wtedy dziewczynę, śliczną jak malowanie. Brendan wie. Chodziliśmy ze sobą trzy lata z hakiem od sześćdziesiątego trzeciego do sześćdziesiątego szóstego. Ale ona chciała przenieść się do Dublina. Uważała, że tam nasze miejsce. A ja? Nie wiem, co mi się stało... bałem się, nie wiedzieć całkiem czego. Nie mogłem zrozumieć, po co ona chce frunąć aż do Dublina. Wiecie, jak to jest... No i zostałem. A ona pofrunęła. Znalazła tam pracę i czekała, żebym do niej przyjechał.

Ale ze mną coś było nie tak... Wydawało mi się to tak strasznie daleko. Tysiąc mil stąd. Nienawidziłem tam jeździć.

Byłem dwa czy trzy razy. Jeździłem... po to tylko, żeby... no, wiecie... Wynajmowała pokój. Wilgotną norę, bez ogrzewania. To było wstrętne z mojej strony. Jeździłem tam tylko po to... po nic innego. Czułem się źle z dala od domu. Nie wiem, dlaczego. Napalałem się cały na to jechanie, bo... no wiecie... można sobie było... Ale wystarczył jeden dzień, jedna noc, dostałem, co chciałem, chodziliśmy po parku, a ja już robiłem się marudny i złośliwy. Już mi było nudno.

Pauza.

JACK Biedna dziewczyna, serce jej pękało. Kiedy tak człowiek patrzy z perspektywy lat na to, dlaczego postąpił tak czy tak, to widzi, że najczęściej całkiem bez żadnego powodu. Wiele rzeczy robiło się przez głupi upór.

Przestałem odpowiadać na jej listy. Nie chciałem, żeby do mnie pisała. Nie mogłem znieść tej jej troski. Zastanawiania się, jak się mam i że coś z pocztą musi być nie tak.

Pauza.

Nie rozumiem, dlaczego taki byłem. Po prostu... chciałem to skończyć. Być prawdziwym mężczyzną. Ojciec przekazał mi właśnie biznes. Zgrywałem waźniaka. A jak napisała mi, że wychodzi za męża za jakiegoś tam faceta, jeszcze potrafiłem być na nią wściekły.

Pauza.

Uważałem, że to wszystko jej wina. Że nie powinna była tam wcale jechać.

Grupa ludzi z okolicy wybierała się na wesele, autokarem. I ja z nimi. Jako jeden z gości. W garniturze i butach wyczyszczonych na glanc. Jakiego miałem kaca, to szkoda gadać. Do piątej rano siedziałem przed kominkiem i piłem, patrząc w ogień. Autokar odjeżdżał o dziewiątej. Po drodze rozmowa była o tym, czemu to ona nie wróciła do domu, żeby sobie męża znaleźć. A mnie się rzygać chciało.

W kościele w Phibsboro waliło brylantyną nie do wytrzymania, od nas – wsioków. A wszystkie jej koleżanki, pielęgniarki i ich chłopcy w mundurach wyglądali tak pięknie. Bo ona wychodziła za wojskowego. Wielkie chłopisko. Bary jak u goryla. I gdy tak szli do ołtarza, nasze oczy się spotkały. Uśmiechnąłem się do niej sztucznie i pomyślałem sobie: „Ty masz goryla, ja mam przed sobą przyszłość”.

A ona spojrzała na mnie, jakbym był po prostu jednym z gości weselnych. I tyle. No i rzeczywiście, miałem przed sobą przyszłość. Całe lata. Wszystkie problemy, którym trzeba było stawić czoło. Samemu. Zacisnąć zęby i pokazać całemu światu, jakim się jest twardzielem.

Uciekłem z kościoła jak dzieciak. Nie czekałem na przyjęcie. Szedłem przed siebie, nie zatrzymując się. Padał deszcz. Doszedłem do miasta. Był ciemny, ponury dzień. Jakby ktoś czarną płachtę rozpostarł. Znalazłem się w labiryncie pustych ulic. Wszedłem do jakiegoś pubu. Był ciasny i ciemny. Prawie pusty – dwóch czy trzech facetów. I barman-biznesmen. Całkiem jak ty, Brendan. Porządny. Wypiłem ze dwa piwa, jedną czy dwie whisky. I siedziałem tak z łbem zwieszonym, gapiąc się na brudny drewniany bar. Barman podszedł do mnie i zapytał, czy czasem mi nic nie jest. Takie zwykłe, proste pytanie. Powiedziałem, że nie. On na to, że mi zrobi kanapkę. No to ja, że dziękuję. I prawie się rozplakałem – że jest ktoś, kto się o mnie... A on wziął, odkroił dwie kromki ze świeżego bochenka, dokładnie nasmarował masłem. Nigdy tego nie zapomnę. Potem wziął ser i szynkę, pokroił; wyjął ze słoja cebulkę, położył to wszystko na chlebie, chleb na talerzu i przekroił na pół. Zrobił to dla mnie. Postawił talerz i powiedział: „Zajadaj, stary”. A potem złożył swoją gazetę, włożył marynarkę i poszedł, bo się jego zmiana skończyła. I przyszedł inny barman.

A ja wziąłem tę kanapkę do ust i nie mogłem przełknąć, bo jakbym gulę miał w gardle. Ale zjadłem, bo ktoś, kogo wcale nie znałem, zrobił tę kanapkę dla mnie. Taka mała rzecz. A taka wielka. Dla mnie. Wtedy.

Ta kanapka dała mi siły jak żaden posiłek w życiu. I wróciłem na przyjęcie. I wstydzilem się za siebie. Od tamtej pory próbuję żyć w pokorze. Ale bycie dobrym szybko się nudzi. Znacznie łatwiej być skurwysynem.

Ta robota w warsztacie, siedzenie cały dzień nad tym, co można by zrobić w godzinę. Łatanie jednej dętki całe popołudnie. Pomaga ci nie myśleć o tym, co mogło być, o tym, co powinienesz być zrobić. To tak, jakby odwrócić się i nie patrzeć. Tak jak ja na tym przyjęciu. *(pauza)* Bo spojrzeć komuś w oczy nie można ot tak sobie... I powiem wam, że nie ma nocy, żebym o niej nie śnił.

Pauza.

JACK Ale się rozgadałem... *(pauza)* No nic. *(pauza)* Pójdę już chyba.

Pauza.

BRENDAN Pewny jesteś? Strasznie wieje.

JACK A co to ja, pierwszy raz w tych stronach?

BRENDAN Dam ci latarkę.

JACK A co ja, baba?

BRENDAN *(idąc po latarkę)* Gorzej... *(wychodzi)*

JACK Przynajmniej to nie była opowieść o duchach.

VALERIE Nie.

JACK Tych to mieliśmy dziś aż nadto. *(pauza)* Wszyscy będziemy duchami, nim się obejrzymy.

VALERIE Mmm.

JACK Będziemy sobie tu siedzieć całą noc i popijać whisky z Maurą Nealon. *(pauza)*

Taa. *(krótka pauza)* To był dla mnie bardzo dziwny wieczór.

VALERIE *(krótki śmiech)* Dla mnie też.

JACK Ooo! Tośmy się popisali. *(krótka pauza)* Cieszę się, że cię poznałem.

VALERIE Ja też.

JACK Przepraszam, że się tak rozgadałem.

VALERIE No, co ty...

JACK To twoja obecność tak na mnie podziałała. Inspirująco. No i to. (*unosí do góry szklankę*)

Uśmiechają się.

JACK Nie jestem pewien, czy to odludzie to najlepsze miejsce dla... no wiesz...

VALERIE Dla czego?

JACK Kto to widział, żeby taka dziewczyna jak ty chowała się przed światem. Słuchała, jak starzy idioci opowiadają o wrózkach. Żeby jej strachu napędzić. Też coś! Duchy, anioły i te inne! Pieprzyć je. Nigdy więcej. Nie chcę, żebyś zaprzętała sobie głowę takimi bzdurami. Masz dość... swoich problemów, do jasnej cholery. Tak ci strasznie współczuję...

VALERIE Dziękuję.

Wraca Brendan z latarką, włączając i wyłączając ją na zmianę.

BRENDAN Baterie słabe. Chodź, podwiozę cię.

JACK Nie trzeba...

BRENDAN Chodź, chodź. I tak odwożę Valerie.

VALERIE Zabierzesz się z nami.

JACK No dobra.

Brendan staje za barem, myje szklanki, porządkuje.

VALERIE Pomóc ci?

BRENDAN Nie, nie! Nie trzeba. Już kończę.

Jack zdejmuję z wieszaka swoją kurtkę, żartuje.

JACK To twoja, Valerie?

VALERIE Tak, tak. Moja.

Jack podaje jej żakiet.

JACK Valerie.

VALERIE Ooo! Co za uprzejmość.

JACK Ma się te maniery, nie Brendan?

BRENDAN No, no.

JACK Proszę.

VALERIE (*wkłada żakiet*) Dziękuję.

JACK Hmm. Chyba zapalę sobie jeszcze przed wyjściem. (*wyjmuje paczkę papierosów*)

Ktoś jeszcze?

VALERIE Nie, dziękuję.

BRENDAN (*odmawia*) Dzięki, Jack.

JACK Muszę wstać z samego rana. Jechać do Conora Bolanda. Na drugi koniec Carrick.

Ten to ma bachorów – chyba z piętnaścioro. Stado brudnych bękartów.

Brendan i Valerie śmieją się.

JACK A żebyście zobaczyli babę. Sama, kurwa, jak traktor.

BRENDAN Okropny jesteś.

JACK Tylko czasami.

Brendan patrzy na Valerie i kiwa głową.

VALERIE Zobaczą cię tu znów wkrótce?

JACK Pewnie tak. Beze mnie to by ten interes padł już dawno.

BRENDAN (*sprzątając*) Nie słuchaj go, Valerie. Przez najbliższych parę tygodni to ani jego, ani Jima tu nie zobaczymy.

VALERIE Czemu?

BRENDAN (*przerywa sprzątanie i zapala papierosa*) Niemcy się zjeżdżają i będą tu przesiadywać. To ich ulubiony pub.

VALERIE (*do Jacka*) Przeszkadzają ci?

Jack wykrzywia się.

BRENDAN Jack uważa, że robią za dużo hałasu.

JACK Nie wiadomo, o czym gadają ani nic...

BRENDAN Siadają z Jimem przy barze, miny skwaszone i narzekają, jak stare baby.

JACK Ej, nie jest z nami tak źle.

BRENDAN Jesteście jak dwie stetryczące cioty. Gdybyście tylko mogli siebie zobaczyć.

VALERIE To gdzie chodzicie?

JACK Mamy taki pub w Carrick. The Pot.

BRENDAN (*przedrzeźnia go*) „The Pot”. Myślisz, że tam będzie inaczej? Tam ich tak samo dużo!

JACK A, nie. Tam nie jest tak źle.

VALERIE Tak ci się tylko wydaje, dlatego że to jest wasze miejsce.

JACK Trafiałś w sedno sprawy, Valerie. Widzisz, Brendan, Valerie nas broni. To z szacunku dla tego miejsca.

BRENDAN Pieprzę ten wasz szacunek. Zostawiacie mnie tu, żebym stał za barem jak ta dupa i nie wiedział, co się dzieje. Słuchał, jak ci idioci grają na gitarach i śpiewają przeboje z lat sześćdziesiątych. A nawet słów nie znają.

Jedynie, co mam do roboty, to nalać parę piw i patrzeć, jak cień wzgórza wędruje po podłodze, gdy słońce zaczyna zachodzić. Jak jakiś kretyń pieprzony stał będę i na cień się gapię! Jak wpelza na tych zidiociałych Niemców. A oni go nawet nie widzą.

Coś musi być ze mną poważnie nie tak, skoro takie mi się rozrywki na wieczór szykują.

JACK Nie marudź. Wiesz, co ci powiem? Jeżeli Valerie zgodzi się tu przyjść i stawić czoło Niemcom, to i my z Jimem przyjdziemy dotrzymać wam towarzystwa. Co wy na to?

BRENDAN Zaszczycicie nas łaskawie swoją obecnością, tak? Będziemy mogli popatrzyć na wasze paskudne mordy?

JACK Nie to nie. Napraszać się nie będziemy. Za to Finbara będziecie tu mieć co wieczór. Z wywieszonym ozorem przyleci za Valerie.

VALERIE Już przestań.

Śmieją się przez chwilę.

JACK Nie odpędzisz go. Jak muchy od kupy gówna. Oj! Ale zajarzyłem!

BRENDAN Nie przejmuj się, Jack. Znalazłeś się jak zawsze...

JACK Gorzej już nie mogłem! Przepraszam.

VALERIE Nic się nie stało.

Brendan wkłada marynarkę.

JACK Przepraszam. No to jak?

VALERIE Z czym? Z... Niemcami?

JACK No.

VALERIE Nie ma problemu. Mnie oni nie przeszkadzają.

JACK No i słusznie. Zdrowe podejście. Zawsze to lepiej wśród ludzi.

BRENDAN (*rozglądając się*) Widziałeś gdzieś moje klucze?

Valerie i Jack też się rozglądają.

VALERIE Może się przy okazji poduczę trochę niemieckiego.

JACK Eee, czy ja wiem... Oni są... Ty, Brendan, skąd oni są?

BRENDAN Kto?

JACK Niemcy. (*do Valerie*) My tak na nich mówimy.

VALERIE (*podnosi kluczyki leżące na kominku*) To te?

BRENDAN Tak. Dzięki. Gotowi?

Zaczynają iść w kierunku drzwi.

JACK Skąd oni są? Z Danii czy z Norwegii? (*do Valerie*) Gdzieś stamtąd.

Wychodzi, za nim Valerie.

BRENDAN A chuj ich tam wie, skąd oni są.

Gasi światło i wychodzi.

CONOR MCPHERSON

(Dublin 1971)

Jeden z najbardziej różnorodnych stylistycznie i tematycznie współczesnych autorów irlandzkich. Początkowo otwarcie krytykował zasadność pisania o irlandzkiej tradycji i historii. Fascynując się przede wszystkim starszymi od niego o pokolenie autorami brytyjskimi i amerykańskimi, pisał utwory, które – choć osadzone często w scenerii Dublina – koncentrowały się na poszukiwaniu współczesnego języka dramatycznego (zwłaszcza teatralnie twórczej siły języka dialogowego). W tym duchu powstały wczesne jednoaktówki McPhersona, wystawiane zarówno w Irlandii, jak i Wielkiej Brytanii (dzięki ich sukcesowi McPherson został autorem rezydującym w londyńskim Bush Theatre). To właśnie w tych niedługich utworach dał się poznać jako autor umiejętnie godzący funkcjonalność konwersacji jako narzędzia dramatycznego z epickim rozmachem opowieści (często w formie monologu).

Swoistym zwrotem w jego twórczości była drukowana w tej antologii *Tama* z 1997 (charakterystyczne, że sztuka miała premierę w londyńskim Royal Court Upstairs i dopiero później zagrano ją w Dublinie, w Gate Theatre). W tym dramacie odnaleźć można echa twórczości Synge'a i Yeatsa – jego akcja rozgrywa się na wyraziście zarysowanej irlandzkiej prowincji. Pojawia się tu, znany choćby z Friela, wątek obcego (mamy zatem do czynienia z dziwną „inicjacją do irlandzkości”), zaś wiele rozwiązań, głównie fabularnych, przywołuje na myśl dramat Synge'a *Playboy zachodniego świata*.

„Dialog” drukował *Tamę* w numerze 11/1999 i w tym samym roku utwór został wystawiony w warszawskim Teatrze Studio w reżyserii Agnieszki Lipiec-Wróblewskiej.

SPIS SZTUK IRLANDZKICH DRUKOWANYCH W „DIALOGU”

- Samuel Beckett *Czekając na Godota* (fragmenty), przełożył Julian Rogoziński, nr 1/1956;
Końcówka i Akt bez słów, przełożył Julian Rogoziński, nr 5/1957;
Którzy upadają, przełożył Krzysztof Zarzecki, nr 7/1957;
Ostatnia taśma Krappa, przełożyli Krystyna Cękalska i Kazimierz Błahij, nr 11/1958;
Popioły, przełożyła Cecylia Wojewoda, nr 12/1959;
Radosne dni, przełożyli Mary i Adam Tarnowie, nr 12/1961;
Słuchaj, Joe, przełożył Julian Rogoziński, nr 3/1966;
Komedia, przełożyli Julian Rogoziński i Małgorzata Semil, nr 9/1970;
Wyludniacz, przełożył Krzysztof Wolicki, nr 12/1971;
Nie ja, przełożyła Małgorzata Semil, nr 10/1973;
Fragment dramatyczny, przełożył Jacek Gąsiorowski, nr 5/1976;
Kroki i Wtedy, przełożyła Małgorzata Semil, nr 12/1976;
Ohio impromptu, przełożył Antoni Libera, nr 3/1983;
Kołysanka, przełożył Antoni Libera, nr 4/1983;
Katastrofa, przełożył Antoni Libera, nr 12/1983;
Co gdzie, przełożył Antoni Libera, nr 9/1984;
Partia solowa, przełożył Antoni Libera, nr 4/1986;
Nacht und Traume, przełożył Antoni Libera, nr 5-6/1986;
Słowa i muzyka, przełożył Antoni Libera, nr 9/1987.
- Brendan Behan *Zakładnik*, przełożyli Maria Skroczyńska i Juliusz Żuławski, nr 12/1960;
Skazaniec, przełożył Grzegorz Sinko, nr 11/1963.
- Marina Carr *Porcja Coughlan*, przełożyła Elżbieta Jasińska, nr 5/2005.
- Lin Coghlan *Litość*, przełożyły Anna Błasiak i Iwona Libucha, nr 7-8/2005.
- Bryan Delaney *Szewc*, przełożyła Małgorzata Semil, nr 3/2008.
- Anne Devlin *My same*, przełożyła Irena Tarłowska, nr 11-12/1989.
- Paschal Finnán *U Dana*, przełożyli Elżbieta i Ryszard Bugajscy, nr 2/1977.
- Brian Friel *Obywatelstwo honorowe*, przełożyła Maria Skroczyńska, nr 2/1975;
Przekłady, przełożyli Angus MacQueen i Urszula Tempska, nr 5/1985;
Tańce w Ballybeg, przełożyła Małgorzata Semil, nr 4/1993;
Molly Sweeney, przełożyła Małgorzata Semil, nr 5/1997.

- Desmond Hogan *Alma-Jane i Betty-Sue*, przełożył Piotr Niklewicz, nr 2/1977.
 James Joyce *Ulisses, epizod piętnasty, Circe*, przełożył Maciej Słomczyński, nr 12/1964.
 Owen McCafferty *Mojo Mickybo*, przełożyła Małgorzata Semil, nr 4/2005.
 Martin McDonagh *Kaleka z Inishmaan*, przełożyła Małgorzata Semil, nr 5/1998;
 Pan Poduszka, przełożyli Włodzimierz Kaczkowski i Mhairi McInnes, nr 10/2005.
 Frank Mc Guinness *Skrzeczenie srok*, przełożył Krzysztof Puławski, nr 5/2011.
 Conor McPherson *Tama*, przełożyła Klaudyna Rozhin, nr 11/1999.
 Paul Mercier *Budleja*, przełożyła Agnieszka Hein, nr 5/1997.
 Tom Murphy *Bailegangaire*, przełożył Tomasz Kubikowski, nr 3/2007.
 Sean O'Casey *Kukuryku*, przełożyła Cecylia Wojewoda, nr 5/1960;
 Czerwone róże dla mnie, przełożyła Cecylia Wojewoda, nr 10/1961;
 Opowiadanie na dobranoc, przełożyła Cecylia Wojewoda, nr 10/1969.
 Ursula Rani Sarma *Błękit*, przełożył Daniel Łaskiewicz, nr 6/2007.
 Billy Roche *Biedne zwierzę na deszczu*, przełożył Tomasz Basiuk, nr 4/1993.
 John Millington Synge *Jeźdźcy do morza*, przełożyła Maja Monika Misińska, nr 3/1957.
 Enda Walsh *Farsa z Walworth*, przełożyła Małgorzata Semil, nr 3/2007;
 Penelopa przełożyła Małgorzata Semil, nr 5/2011.
 Michael West *Upadek*, przełożył Piotr Klinger, nr 3/2011.
 William Butler Yeats *Cathleen, córka Houlihana*, przełożyli Zofia i Lucjan Porembscy, nr 11/1957;
 Śmierć Cuchulaina, przełożył Tomasz W. Brzozowski, nr 4/1993;
 Garnek rosółu, przełożył Artur Przybyszowski, nr 5/1997.

Ponadto w numerze 2/1977 swoje osobiste rekomendacje dotyczące dramaturgii irlandzkiej przedstawił znany dramatopisarz brytyjski, John Arden, a w numerze 4/1993 znalazła się seria artykułów pisanych przez irlandzkich autorów, omawiających rozmaite polityczne i kulturowe aspekty życia Irlandii, poruszane w dramaturgii.

Wybór tekstów: zespół redakcyjny

Korekta: Anna Kruk, Anna Napiontkówna, Ludmiła Pańków

Projekt okładki: Krzysztof Rumowski

Redakcja techniczna: Helena Dziurnikowska

Druk: Petit, Lublin.

Redakcja miesięcznika „Dialog”
al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa;
telefony: 22 608 28 80; 22 608 28 81, tel./fax 22 608 28 82;
e-mail: dialog@instytutksiazki.pl.

Dział Wydawnictw Instytutu Książki
al. Niepodległości 213, 02-086 Warszawa;
telefon: 22 608 23 74, faks 22 608 24 88;
e-mail: czaspatron@instytutksiazki.pl